



DZIENNIKARSKIE ŚLEDZTWO
ANNY ROGOZIŃSKIEJ
nr 1000 97426288

JOANNA OPIAT- -BOJARSKA



TO KONIEC, ANNO



TO KONIEC, ANNO

JOANNA OPIAT- -BOJARSKA

TO KONIEC, ANNO

Za darmo dostaje się tylko to, czego nikt inny nie chce.

I śmierć. Śmierć też jest za darmo.

Jonathan Carroll

Wdech. Wydech.

Ma już wszystkiego dość. Szczególnie pojawiających się, odchodzących i wracających mężczyzn. Ma też dość przereklamowanej miłości.

Wdech. Wydech.

Do uszu dociera przyjemnie niski głos Adele:

– *Hello, it's me. I was wondering if after all these years you'd like to meet.*

Nie zastanawia się. Chce zapomnieć.

Wdech. Wydech.

Za chwilę się zrelaksuje. Zapach lawendy rozpycha się właśnie w jej nozdrzach. Stopa dotyka lustra wody. Odczuwa przyjemne ciepło.

Wdech. Wydech.

Dopasowuje swoje ciało do wanny. Zamyka oczy i skupia się na oddechu.

Ciepła woda rozluźnia jej mięśnie. Schodzi z niej całe napięcie. Cały ten popieprzony dzień.

Wdech. Wydech.

W tej chwili nie ma jej dla nikogo. Co więcej, nikogo nie ma dla niej. Staje się obojętna na dźwięki dochodzące zza ściany. Wyobraża sobie, że jest sama. Sama na całym świecie.

Wdech. Wydech.

Przysięgłaby, że coś właśnie złapało ją za kostki.

Otwiera oczy.

Czuje ból. Dokładnie taki sam towarzyszy jej zwykle w momencie, w którym gałki oczne spotykają się z wodą.

Orientuje się, że jej twarz znalazła się pod wodą.

Wdech.

Woda pojawia się wszędzie. W nosie. W gardle. W przełyku. Chciałaby znaleźć w sobie siłę, żeby zawalczyć o oddech. Złapać się krawędzi wanny. Spojrzeć w oczy tego, który właśnie ją topi.

Nie liczy na to, że zmieni zdanie. Nie jest aż tak naiwna. Pragnęłaby jednak, żeby zapamiętał jej spojrzenie do końca swoich dni.

Szuka siły do walki, ale – mimo ogromnej motywacji – nie znajduje jej.

Skoro sama nie jest w stanie sobie pomóc, szuka innego wyjścia.

Próbuje krzyczeć. Bezskutecznie. Przekonuje się, że układ oddechowy został stworzony do oddychania. Jego inne funkcje, w tym wydobywanie się głosu, są wstrzymane, gdy trwa walka o zaczerpnięcie powietrza.

Chciałaby złapać oddech, ale zamiast tego słyszy szum. Jakby przyłożyła do ucha muszlę przywiezioną z nad morza. I bicie serca. Coraz wolniejsze.

Czuje, że odpływa.

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkp/S39PbwJtA2oBYFJgUGliTT1SMUs/XnAAbA==

ROZDZIAŁ 1

Anna Rogozińska od dawna marzyła o tym dniu. Wpatrywała się w szpitalne okno i czekała. Cierpliwie czekała, aż odzyska siły i będzie mogła wrócić do pracy. Snuła plany, w myślach analizowała hipotetyczne przeszkody, które będzie musiała pokonać, żeby wrócić na szczyt.

Rekonwalescencja przeciągała się w nieskończoność, za oknem zmieniały się pory roku, a w Ance dojrzewała niesmaczna myśl, że zanim upora się ze skutkami ubocznymi ostatniego dziennikarskiego śledztwa, wszyscy o niej zapomną. Dlatego, kiedy dziś wróciła do telewizji, postanowiła dać z siebie dużo więcej niż zwykle. Mimo że zwykle dawała z siebie wszystko.

Zespół przyjął ją chłodno, ale za to szef poznańskiego oddziału Primo TV, Kamil Grabowski, wysłał ją z misją nagrania materiału z poznańskiej Ławicy, zaznaczając, że ma się spisać, bo podobno na lotnisku rozpęta się niezła afera.

Anna najpierw odtąńczyła taniec radości, a później zabrała ulubionego operatora kamery, Artura, i pojechała sprawdzić, o co chodzi.

Po godzinie wróciła z obszernym materiałem i wizją, jak zmontować obraz. W końcu robiła to, do czego została stworzona. Zmontowany materiał wysłała do szefa.

– Pani Anno, poproszę do mnie. – Grabowski wychylił się ze swojego gabinetu jakiś kwadrans później.

Pamiętała, że takie spontaniczne wizyty w gabinecie dyrektora mogły mieć trzy powody: głośna bura, cicha pochwała lub przydzielenie zadania specjalnego. Liczyła na to ostatnie. Już raz otrzymała świetną propozycję zawodową, ale z powodu pobytu w szpitalu musiała z niej zrezygnować.

– Pani Anno, co to ma być? – Pozbawiony emocji głos szefa zbił Annę z tropu. Mężczyzna nawet nie poczekał, aż podwładna usiądzie.

– Jak to co? Świetny materiał. – Przyglądała mu się uważnie, próbując wyczytać z jego twarzy intencje.

Nie oczekiwała pochwał, bo Grabowskiemu dobre słowa zwykle grzęzły w gardle. Ale spodziewała się przynajmniej zobaczyć błysk w jego oku.

– Świetny?! – Prychnął ironicznie. – Chyba dla osiedlowej telewizji!

– Ale przecież...

– Może zbyt szybko wróciła pani do pracy? Może powinna pani wykorzystać jeszcze zaległy urlop? Najwidoczniej to, czego pani doświadczyła... To zatrucie dopalaczami...

Słowa Grabowskiego mogłyby świadczyć o trosce, nawet jeśli nie przyjaznej, to przynajmniej takiej... zwyczajnej, ludzkiej. Mogłyby, ale Anka

skupiła się nie tylko na fonii, ale także na obrazie docierającym do jej oczu.

Tłusta głowa szefa, zwykle kiwająca się na krótkiej szyi, sterczała nieruchomo. Plecy były wyprostowane tak mocno, jakby właśnie połknął pręt, a dłonie, zwykle płynnie tańczące w trakcie rozmowy, leżały na biurku.

Za oknem zbierały się chmury. Obrzydliwie ciemne i kłębiaste potwory zakrywające resztki niebieskiego nieba.

– Szefie – próbowała się bronić – dopalacze nie mają z tym nic wspólnego. Antyterrorysty wyprowadzili z samolotu Syryjczyka tylko dlatego, że jedna z pasażerek uznała go za terrorystę. Przesłuchano go i wypuszczono. Nagrałam rozmowy z nim, z kimś ze służby granicznej i ze zniecierpliwionym pasażerem narzekającym, że samolot nie wyleciał o czasie. Pokazałam kilka perspektyw... – kontynuowała ze słabnącym entuzjazmem. Grabowski jej nie słuchał. Wpatrywała się jednak w niego, mając nadzieję, że w końcu wymusi jego uwagę. – Poza tym zagrożenie terrorystyczne... Ludzie albo je ignorują, albo są przewrażliwieni. Może warto byłoby poruszyć ten temat i pokazać społeczeństwu, gdzie leżą granice? Dzisiejsza sytuacja to przecież dyskryminacja rasowa! Chłopak nie zrobił nic takiego. Po prostu urodził się w Syrii. Gdyby był biały, taka sytuacja nie miałaby miejsca. Gdyby...

– Pani Anno, nie jesteśmy od tego, żeby gdybać.

Zwykle jej tłumaczenia doprowadzały go do szału. Miotał się po biurze, objając tłuste ciało o meble w kolorze wenge. Jak lew przechadzał się od ściany do ściany i skutecznie unikał wzroku zdenerwowanej dziennikarki.

Kolejna bezemocjonalna wypowiedź Grabowskiego zmusiła Annę do wyciągnięcia wniosków. Niewątpliwie brała udział w przedstawieniu. Ominęła próbę generalną i nie nauczyła się tekstu, w przeciwieństwie do siedzącego za biurkiem mężczyzny, który wydawał się panować nad wszystkim. Nawet nad oddechem.

Gdyby nagle zrzuciła z siebie ubranie i zaczęła tańczyć nago, Grabowski nawet by nie mrugnął.

– Sam pan mnie wysłał na to lotnisko!

– Tak, żeby nagrała pani materiał o tym, jak sprawnie reagują nasze służby, kiedy chodzi o zagrożenie terrorystyczne. Myślałem, że pokaże pani jakiegoś twardziela – wycedził i zacisnął pięści, jakby chciał wzmocnić przekaz słowny prezentacją – który powie, że nic nam nie grozi. Że poznaniacy mogą spać spokojnie. I że przeanalizuje pani sytuację na chłodno!

– Na chłodno? Miałam zostawić ważny problem społeczny?!

– Ważnym problemem jest zagrożenie terrorystyczne! Zamiast skupić się na meritum i pokazać konkret, pani wołała pójść w łzawy ton reportażu. I niby kogo to ma zainteresować? Reportaż o biednym Syryjczyku, którego potraktowano jak zwierzę? I o złej białej kobiecie, która ośmieliła się poczuć zagrożona? Miała

prawo się bać! W tym roku naliczyłem już ponad dwadzieścia zamachów terrorystycznych na całym świecie. Słyszała pani, że syryjscy uchodźcy szykowali zamachy w Berlinie?

– Nie słyszałam.

– No właśnie, a to tylko potwierdza moje obawy. Nie nadaje się pani do pracy.

„Czyli dotarliśmy do finału?” – pomyślała Anka i spuściła głowę. Kiedyś zapewne kłóciłyby się z szefem i jak lwica broniła swojego punktu widzenia. Kilkumiesięczny pobyt w szpitalu sprawił jednak, że wypadła z obiegu i straciła sporo pewności siebie.

– Nie interesuje mnie дума jakiegoś brudasa! – Grabowski uderzył dłońmi o blat biurka. – Nie mam czasu na prostowanie pani społecznych zapędów. Pracujemy dla ogólnopolskiej telewizji, musimy wpasować się w sztywne reguły!

– Szefie...

– Nie wiem, co z panią zrobić. Jest pani wypalona i przewrażliwiona. Szczerze przyznam, że trzymałem dla pani miejsce, by po chorobie mogła pani do nas wrócić. W końcu, jakby nie było, o mały włos nie straciła pani życia podczas wykonywania obowiązków służbowych. Starłem się, pani Anno. I przyznaję, że kiedyś cenilem pani podejście do pracy. Niestety teraz widzę, że stare sentymenty to niezbyt dobry sposób na zarządzanie stacją telewizyjną. To jest niedopuszczalne, że ekscytuje się pani sentymentalnymi pierdołami. Pani Anno, to już nie jest dziennikarstwo...!

* *

Bardziej niż kiedyś? Słowa Grabowskiego błędziły po głowie Anki jeszcze długo po tym, jak wyszła z budynku. Nie tego spodziewała się usłyszeć.

Sama dzieliła swoje życie na „kiedyś” i „teraz”. Chciała jednak zapomnieć o tej granicy. O rozmowie z mordercą, która uświadomiła jej, że wybrany przez nią zawód dziennikarza śledczego był zdecydowanie bardziej niebezpieczny, niż początkowo sądziła. Że powoli traciła świadomość i kontrolę nad własnym ciałem i o tym, że ambicja i chęć rozwiązania sprawy związanej z dopalaczami sprawiły, że mogła umrzeć.

Żyła bardziej przez przypadek. To podkochujący się w niej Łukasz sprawił, że ją odratowano. Pamiętała, jak krzyczał: „Nie zamykaj oczu, nie zasypiaj, zostań

ze mną, Anka!”.

– I jak podsumujesz pierwszy dzień w pracy?

Łukasz siedział obok niej na kanapie. Zadomowił się już. Nawet sweter, który miał na sobie, pasował do wystroju mieszkania.

Widziała, że bardzo chciał się wtopić w tło i sprawić, że któregoś dnia Anka powie mu: „Zostań”. Bywał u niej właściwie codziennie, odkąd wróciła ze szpitala. Początkowo wynajdywał jeszcze preteksty dla swoich wizyt. Raz przyszedł wymienić uszczelkę w kranie, innym razem przechodził obok, jeszcze innym wnosił na piętro siatki z zakupami, a później przygotowywał kolację. Potem wpadał już jak do siebie. Siadał na kanapie, zamieniał z nią kilka słów, a potem włączał telewizor i szukał kanału informacyjnego.

– Nie mogę narzekać. Pierwsze dni są zwykle trudne. Nieważne czy w nowym miejscu, czy na starych śmieciach.

– Czyli było ciężko? – Oderwał wzrok od telewizora i spojrzał na nią zatroskany.

– Nie. – Pokręciła głową i uciekła do kuchni.

Nie chciała, by widział jej twarz, by się o nią martwił. Czasami zwyczajnie wolałaby, żeby go tu nie było.

Nie potrafiła mu jednak tego powiedzieć. Był przy niej przez cały ten trudny szpitalny czas. Zawsze cierpliwy i pomocny. Siedział przy jej łóżku, gładził po dłoni, a ona zastanawiała się, czego mu brakuje.

Bo tego, że czegoś brakowało, była pewna. Był przecież bardzo dobrym człowiekiem – inteligentnym, czytany i uwielbiającym swoją pracę. Wiele rzeczy ich łączyło. Przyglądała mu się tygodniami spod przymkniętych powiek i jakoś nigdy nie mogła dojrzeć w nim kandydata na kochanka.

Był dla niej bardziej jak brat, nawet przystojny, dobrze ubrany, chełpiący się kaloryferem na brzuchu. Nie potrafiła zauważyć w nim mężczyzny. Dobrze się im rozmawiało, ale brakowało między nimi chemii – specyficznej i bardzo przyjemnej reakcji organizmu na bliskość drugiej osoby.

– Anka, telefon! – Głos Łukasza wyrwał ją z zamyślenia.

Wróciła do pokoju i zerknęła na wyświetlacz komórki leżącej na futurystycznej półce z książkami. Dobrze знаła tę kombinację cyfr. Potrzebowała chwili spokoju i odosobnionego miejsca.

– Zrobić ci kanapkę? – zapytała Łukasza, nim odebrała. Chciała mieć pretekst do wyjścia z pokoju.

Kiwnął głową, ale nie oderwał wzroku od telewizora. Na ekranie trzech polityków próbowało się wzajemnie przekrzyczeć.

Wróciła do kuchni, przyłożyła aparat do ucha i odezwała się najbardziej neutralnie, jak tylko potrafiła:

– Halo?

– Cześć, Aniu – przywitał ją męski głos.
Otworzyła lodówkę. Poczowała chłód. Zwykle źle znosiła zimno, ale w tej chwili właśnie tego potrzebowała.
– Cześć.
– Jestem w Poznaniu.
– Życzę przyjemnego pobytu. – Starła się zachować dystans.
Wyjęła z lodówki szynkę, majonez i masło. Sięgnęła do chlebaka. Zamiast oczekiwanego bochenka znalazła tylko jedną bułkę.
– Musimy się spotkać.
– Nie.
– Musimy – powtórzył kategorycznie.
– Zapomniałeś? – syknęła najciszej, jak potrafiła. – To już nieaktualne.
– Bardziej aktualne, niż ci się wydaje. Czekam tam gdzie zawsze.

* *

Mimo że dopiero minęła dziewiętnasta, wokół panowała ciemność. Neon nie przejmował się jednak brakiem słońca. Po dwunastu godzinach siedzenia w domu korzystał z wolności. Zadowolony biegł przed siebie, radośnie poszczekując.

Prokurator Wiktor Braun jak co wieczór spacerował wzdłuż Warty, obserwując swojego psa i rozmyślając nad życiem. Jesienią i zimą okolice koryta rzeki były wyludnione, co bardzo mu odpowiadało. Dzięki otaczającej go ciszy i ciemności korzystał z odrobiny wolności.

W pracy zawsze był na świeczniku. Trzymał się wypełnionego po brzegi planu dnia, procedur i paragrafów. Kontrolował, konsultował, przesłuchiwał i wygrywał kolejne sądowe batalie. Zawsze schludnie ubrany, opanowany i uważny.

W ostatecznym rozrachunku praca przynosiła mu o wiele więcej radości niż zmęczenia, ale były chwile, takie jak ta, że zastanawiał się, czy w jego życiu jest cokolwiek poza pracą.

Od dawna usprawiedliwiał się sam przed sobą, że nie ma czasu ani na przyjemności, ani na przyjaciół, ale chyba przyszedł czas, żeby uświadomić sobie, że to nie czas był największą przeszkodą. Nie miał przyjaciół, hobby czy marzeń do spełnienia.

Gdyby otrzymał kilka godzin w prezencie, i tak spędziłby je w pracy. Tylko

ona przynosiła mu prawdziwe poczucie satysfakcji.

– Neon! – przywołał do siebie psa, który odbiegł zbyt daleko.

Wyżeł przybiegł do jego nóg. Dał się pogłaskać i znowu ruszył przed siebie.

Braun zatrzymał się przy ławce, przy której widoczne były ślady bytności rdzennie chwaliszewskiego towarzystwa. Porozrzucone butelki po piwie, zgnieciona paczka po papierosach i mnóstwo petów. Powoli się do tego przyzwyczajał. Nie miał wyjścia. Zamieszkał przecież w nowym budynku w dzielnicy, która nie miała najlepszej opinii.

Ślady. Nie lubił do tego wracać. Zwłaszcza jesienią. Cztery lata temu z drzew też spadały liście. I też nieomal nie zdążyłby tego zauważyć. Tragiczny wypadek sprawił, że czas się zatrzymał, a on – skupiony na pracy profesjonalista – zauważył leżące na ziemi liście.

Nie chciał jednak pamiętać emocji związanych z tamtym wydarzeniem. Zamiast nich skupiał się na cyfrach, a one mówiły same za siebie.

Eksperci ustalili, że pomiędzy pojawieniem się przeszkody na drodze a wciśnięciem hamulca przez kierowcę mija około sekundy. Do tego doliczyć trzeba około pół sekundy na zadziałanie układu hamulcowego. Razem daje to półtorej sekundy, w ciągu której samochód jadący z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę pokona dystans przynajmniej piętnastu metrów.

Tamten jechał właśnie z taką prędkością a droga jego hamowania wyniosła trzynaście metrów. Razem dwadzieścia osiem metrów.

– Kierujący pojazdem nie miał szans, żeby wyhamować. – Wiktor powtórzył słowa jednego z biegłych wypowiadającego się w sądzie.

Zapamiętał wszystkie – nawet najdrobniejsze – szczegóły tamtego wypadku. A także to, że zabrakło kilku sekund, kilku metrów. A może jedynie odrobiny szczęścia?

Raport z miejsca zdarzenia pokazał, że kierowca jechał zgodnie z przepisami, a pieszy wtargnął na jezdnię, nie pozostawiając sobie żadnych szans. Znalazł się zbyt blisko samochodu. Trudno było z tym dyskutować. Dla Brauna nie był to jednak byle jaki przechodzień.

Po zakończeniu prowadzenia każdej sprawy resetował tę część umysłu, która się nią zajmowała. Było to niezbędne, by zrobić miejsce na nową sprawę. Wypadek sprzed czterech lat nadal tkwił w jego pamięci. W lecie, zimie czy wiosną udawał, że go tam nie ma, ale jesienią dawał o sobie znać, krzycząc: „Jestem tu, jestem! Jak możesz z tym żyć?”.

Z ulgą zamknęła za Łukaszem drzwi. Nie było łatwo się go pozbyć, ale w końcu jej się udało.

Z przerażeniem obserwowała to, co się z nimi działo. Mogła na nim polegać. Sprawdził się w trudnej sytuacji, teoretycznie powinna więc paść mu w ramiona i zadeklarować miłość aż do śmierci. Jednak cały czas spokoju nie dawała jej myśl, że nie mogła w Łukaszu odnaleźć nawet cienia mężczyzny.

Była mu wdzięczna, ale jednak chciała się go pozbyć.

Niby chciała się pozbyć, ale przy Łukaszu jej asertywność i bezceremonialna bezpośredniość traciły na sile.

Z perspektywy fotela, na którym siadała, gdy on zalegał na kanapie, zauważała ogromne podobieństwo Łukasza do jej świętej pamięci ojca. Miała przed oczyma wytłuszczone zdanie, które znalazła ostatnio w jednej z babskich gazet: „Kobiety wybierają na partnerów mężczyzn, którzy najbardziej przypominają im ich nieobecnych ojców”. Nawet jeśli było w tym stwierdzeniu ziarenko prawdy, to zauważała jeszcze jedno podobieństwo: powoli zmieniała się przy nim we własną matkę. Nie chciała tego.

Wróciła do salonu po telefon i wybrała ostatni dzwoniący do niej numer.

– Jesteś tam jeszcze? – spytała.

– Jestem. Jedziesz?

– Skończyłam spotkanie, mogę być najwcześniej za pół godziny.

– Tak długo nie będę czekał. Bądź za kwadrans.

* *

W restauracji Wieniawskiego⁵ panował nieoczywisty klimat. Industrialne lampy sufitowe i cegła na jednej ze ścian tworzyły wrażenie miejsca idealnego do prowadzenia rozmów biznesowych. Nastrojowe światło kinkietów ocieplało jednak to nowoczesne wnętrze, podobnie jak bieżniki zdobiące stoły, stwarzając przyjemną atmosferę sprzyjającą nieoficjalnym rozmowom, także tym bardziej intymnym. Wszystko to czyniło miejsce sympatycznie niezobowiązującym.

„Spokojnie, to tylko lunch. Co będzie dalej, zależy tylko i wyłącznie od ciebie. Nie zrobię nic, na co nie dasz mi przyzwolenia” – tak odczytała to miejsce,

kiedy ponad rok temu weszła do niego po raz pierwszy, przyjmując zaproszenie Roberta, wiceprezesa Primo TV.

Poczuła się na tyle bezpieczna, że nawet nie zauważyła, że łagodnie przeszli do kolejnego etapu ich znajomości. Wieczory zwykle rozpoczynali w restauracji, a kończyli w łóżku.

Dzisiaj nie czuła się tu bezpiecznie. Chciała mieć to spotkanie już za sobą. Pchnęła drzwi wejściowe i od razu go zobaczyła. Siedział przy ścianie. Zauważył ją i nie spuszczał z niej oczu. Anna zdjęła kurtkę i powoli skierowała się do jego stolika.

Nie zdążyła do niego podejść, a on już ironicznie i głośno spytał:

– Kupić ci zegarek?

Zacisnęła zęby i stłumiła w sobie chęć odwrócenia się na pięcie i wyjścia.

– Nie, dziękuję. Chciałam ci przypomnieć, że skończyliśmy z fazą dawania i przyjmowania prezentów.

Spojrzał na nią tak, że momentalnie pożałowała swoich słów. Nadal wydawało jej się, że wszystko w Robertcie Zielińskim jest idealne. Interesujące spojrzenie, zawsze dwudniowy zarost, delikatne dłonie oraz mieszanka inteligencji, poczucia własnej wartości, humoru i złośliwości. Nie bez znaczenia było również umięśnione ciało opakowane w dobrze skrojony garnitur i pozycja zawodowa.

Najbardziej jednak idealny wydawał się Ance fakt, że Robert miał żonę i dzieci. To pozwalało im kiedyś na budowanie relacji, w której nie liczyło się nic oprócz dobrej zabawy. Ich spotkaniom nie towarzyszyły obawy, że któreś z nich zaangażuje się na tyle, by mieć wobec drugiego oczekiwania.

* *

– Co słychać?

– Dziękuję, wszystko w porządku. A co u twojej żony i dzieci?

Zaskoczyła go. Zawsze go zaskakiwała. Do tej pory nigdy nie negatywnie. Kiedyś wydawała mu się kobietą idealną – inteligentną, atrakcyjną i emocjonalną, ale nierobiącą scen. Teraz ewidentnie dążyła do zderzenia. Czołowego.

– Dziękuję, mają się dobrze.

Nie mógł nie zauważyć, że jest spięta. Zaciskała usta, bez przerwy poruszała dłońmi. Albo pocierała jedną o drugą, albo pastwiła się nad słomką wystającą ze szklanki z colą.

– Schudłaś.

– Ale żyję.

Usłyszał dziś od Grabowskiego, że Rogozińska nie radzi sobie w pracy. Że to, przez co przeszła, mocno odbiło się na jej psychice. Że reaguje zbyt emocjonalnie i nie jest w stanie nad sobą panować. Spotkał się z nią, żeby sprawdzić, czy to, co do niego dociera, to prawda czy tylko plotki i kwestia panującej w Primo TV antypatii do jednostek zawyżających średnią.

– Aniu...

– Co Aniu, co Aniu? Przestań mi się tak przyglądać! Wiem, że się zmieniłam, ale spędziłam w szpitalu sześć miesięcy, a potem jeszcze ponad miesiąc w domu. Mam więc prawo wyglądać mniej atrakcyjnie. Widzieliśmy się ostatnio w lutym. Jest początek października.

– Cieszę się, że jesteś. Wiedziałem, że sobie z tym poradzisz.

– Świetnie. Po co kazałeś mi tu przyjechać?

– Aniu, co się z tobą dzieje?

– A co ma się dziać? Nic. O co ci chodzi?

Przy stoliku obok pojawili się młodzi ludzie. Roześmiana para trzymająca się za ręce i towarzyszący im znajomi. Robert dałby sobie odciąć rękę, że widział gdzieś już jedną z dziewczyn. Kojarzył jej kocie oczy i znamię na dekolcie.

– Nic? – powtórzył z nadzieją, że sprowokuje Ankę do rozmowy.

– Nic. – Wzruszyła ramionami.

Udawała obojętną. Jak kiedyś, podczas pierwszego spotkania poza Primo TV. Czekał na nią w tej samej restauracji, a potem wprosił się do jej mieszkania. Mimo że cel wizyty był oczywisty, nie protestowała. Jej sposób bycia dawał mu pewność, że nikt nigdy nie dowie się o tym, że miło spędzają wspólne chwile.

Dziś nie zabrałby jej nawet do knajpy. Unikał spotkań z dziewczynami rozchwianymi emocjonalnie. Jego żona nie znosiła awanturujących się kochanek.

– Mam nadzieję, że stać cię na szczerą przynajmniej z samą sobą.

Dziewczyna z kocimi oczami zamachała do niego i wyszczerzyła zęby. Kiedy zobaczył szparę między jedynkami, od razu dopasował twarz do sytuacji. A raczej ciało do pokojowego hotelu. Odpowiedział jej krótkim uśmiechem.

Anka musiała to zauważyć, bo odwróciła się, zmierzyła towarzystwo wzrokiem, po czym bąknęła:

– Pójdę już. Na pewno nie będziesz się nudził.

Zanim zareagował, Anna zdążyła wstać z krzesła. Sięgnęła jeszcze po leżącą na stole komórkę. Skorzystał z okazji i złapał ją za rękę.

– Puść! – wysyczała, na tyle głośno, by zwrócić uwagę nowo przybyłego towarzystwa.

– Usiądź, to puszczę. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Chodzi o Primo TV.

– Jeśli dotyczy to Primo TV, to zadzwoń do mnie jutro, w godzinach pracy.

Skapitulował. Postanowił przejść do rzeczy. Zakomunikować to, o czym się dowiedział, i wrócić do hotelu. Miał czterdzieści dziewięć lat i był za stary na bezsensowne komplikowanie sobie życia.

– Nie dostarczyłaś zdolności do pracy.

– Że co? – Usiadła.

– Zaświadczenie, że jesteś zdolna do pracy. Od lekarza. Po dłuższej chorobie jest to niezbędne, by wrócić do wykonywania obowiązków wynikających ze stosunku pracy.

– To tylko papierek. – Anka znowu wzruszyła ramionami. – Załatwię go jutro.

– Anka, do kurwy nędzy, otrząśnij się w końcu! – Skoro jego troska nie robiła na niej wrażenia, musiał uderzyć z innej strony. Zależało mu przecież na tym, by wywołać w niej jakąś reakcję. – Podczas twojej nieobecności w Primo TV trochę się pozmieniało. Grabowski wszedł w łaski prezesa i nastawił go odpowiednio przeciwko tobie. Czekali na twój powrót tylko po to, by cię zwolnić.

– Czekali? – Anka roześmiała się nerwowo. – Robert, nie rozśmieszaj mnie. Bądź facetem i powiedz mi to prosto w oczy. Czekaleś na to, żeby mnie zwolnić. Ty, nie oni. I tu nie chodzi o pracę, tylko o twoje pieprzone ego! Musisz mnie zwolnić, bo jest ci to potrzebne, żeby poczuć się lepiej!

– Dlaczego mówisz tak, jakbyś mnie nie znała?

– Nie mam czasu na takie rozmowy. Mówiłam już. Nie dzwoń do mnie. Mam faceta. Jestem zajebiście szczęśliwa. Z nami koniec. Zraniłam cię? Przepraszam. Ale rozumiem, że teraz ty musisz oddać mi z nawiązką?

– Przestań się miotać i posłuchaj mnie, bo to ostatnia rzecz, którą ci powiem.

* *

Weszła do łazienki, zatkała odpływ wanny i odkręciła kran z ciepłą wodą. Strumień uderzył o ceramiczne dno.

Z pokoju sączyła się spokojna muzyka. Sade anielskim głosem wyznawała właśnie, że dała mu wszystko, co miała w sobie, a on wziął jej miłość i odszedł.

Anka nie miałaby odwagi czegoś takiego powiedzieć, chociaż wydawało jej się, że spotkało ją dokładnie to samo. Nie teraz, nie z Robertem ani nie z Łukaszem... Wcześniej. Kiedyś dała całą siebie, w zamian otrzymując ochłapy.

To nie była zwyczajna miłość. To było bolesne doświadczenie, które zmieniło ją na zawsze.

– *I keep crying / I keep trying for you / There's nothing like you and I baby / This is no ordinary love / No ordinary love.*

Rozebrała się, a pod wartki strumień wody wlała swój ulubiony płyn do kąpieli. Łazienka błyskawicznie wypełniła się zapachem lawendy, ylang-ylang i kardamonu, a fioletowa, gęsta ciecz zaczęła zamieniać się w pianę.

Weszła do wanny, zanurzyła ciało, zamknęła oczy i wciągnęła tak dużo powietrza, jak się tylko dało. Lubiła ostry zapach lawendy. Ylang-ylang wyostrzał jej zmysły, tłumił złość i wyciszał myśli. Kardamon wraz z konopiami indyjskimi i makiem był w średniowieczu składnikiem arabskiej mikstury narkotycznej.

– *Keep trying for you / Keep crying for you / Keep flying for you / Keep flying / I'm falling / I'm falling.*

Potrzebowała takiej mieszanki, by zrelaksować się po ciężkim dniu i jeszcze cięższym wieczorze. Musiała zebrać myśli i odnaleźć siebie. Powoli miała siebie dość. Uzmysłowała to sobie podczas rozmowy z Robertem. Zebrały się nad nią chmury i tylko ona mogła je przegonić.

„Chcę cię zwolnić”. – Przypomniała sobie słowa Roberta. – „Prezes podjął decyzję. Postawiłem mu się, ale to był ostatni raz. Aniu, nie mogę dłużej być twoim aniołem stróżem. Mam zbyt wiele do stracenia. To koniec. Uratowałem ci tyłek po raz ostatni. Sprawy wyglądają tak, że mają dla ciebie propozycję. Nie do odrzucenia. Niestety”.

* *

– Wyrzucisz śmieci?

– Co?

– Śmieci. – Dziewczyna podeszła do zlewu, otworzyła szafkę i pokazała Muhamedowi, że odpadki nie mieszczą się już w koszu.

– *Of course, hunny.*

Muhamed pocałował swoją dziewczynę i ochoczo zabrał się do wykonania zleconego zadania.

Po wydarzeniach z poranka jego ciało nadal magazynowało w sobie nadmiar energii i negatywnych emocji. Chętnie pozbyłby się zwłaszcza tej negatywnej części, postanowił więc, że zbiegnie z dziewiątego piętra schodami, a potem wróci pieszo.

O czternastej miał pojawić się w londyńskiej siedzibie kontrahenta i omówić z nim zmiany w umowie. Obudził się rano w dobrym humorze. Zjadł śniadanie, przygotował się do podróży, chwycił walizkę i wyruszył na lotnisko. Odprawa poszła szybko, w strefie bezcłowej wypił kawę i zrelaksowany wsiadł do samolotu.

Potem było już tylko gorzej. Dwóch antyterrorystów chowających swoje twarze za kominiarkami wyprowadziło go siłą z samolotu. Trafił do pokoju, w którym przez kilka godzin odpowiadał na to samo bezsensowne pytanie.

– Nie jestem terrorystą – powtarzał tak długo, dopóki sam nie zaczął w to wątpić.

Nie zrobił przecież nic złego. Wykonywał obowiązki zawodowe, nie przewoził niebezpiecznych substancji, nie miał na sobie pasa szahida. Nie wytatuował sobie na czole napisu: „Allāhu Akbar”.

Mimo to, odkąd pojawił się w Polsce, spotykał się z podejrzanymi spojrzeniami lub dziwnymi uwagami. Część ludzi omijała go szerokim łukiem. Zdążył się do tego przyzwyczaić. Wyróżniał się karnacją, oprawą oczu i intensywnością koloru włosów.

Wyjechałby, gdyby nie Małgosia.

– Dzień dobry. – Na parterze minął sąsiadkę.

Uśmiechnął się do niej, ale nie odpowiedziała. Wykrzywiła twarz i spojrzała na niego z pogardą. Pomyślał, że może pomylił powitania, że po zmroku powinien użyć innego.

Afera na lotnisku skończyła się niezadowolaniem londyńskiego klienta, problemami w pracy, zainteresowaniem mediów i rozmową z adwokatem, który zaoferował swoją pomoc w wywalczeniu odszkodowania za naruszenie praw Muhameda.

Nie czuł, że ma jakieś prawa. Że jest gotowy do walki. Chciał tylko spokoju.

Chłodny, jesienny wiatr przywitał go od razu, gdy wyszedł z klatki schodowej. Postawił kołnierz kurtki i ruszył przed siebie. Było już całkiem ciemno, a śmietnik znajdował się za budynkiem.

Na rogu stała osiedlowa młodzież, która jak zwykle nie miała nic do roboty. Małgosia nazywała ich „dresiarzami” i kazała mu ich unikać. Starał się, ale tym razem za późno ich zauważył, przez co nie miał dużego pola manewru. Mógł co prawda cofnąć się i obejść blok z drugiej strony, ale uznał, że jeśli się odwróci, uznają to za ucieczkę. Przeszedł więc obok, starając się zachować jak największy dystans i wpatrując się w swoje buty. Nie szukał zaczepki.

– Zobaczcie, pasożyt lezie z workiem! Ciekawe, co tam ma! Może coś ukradł?

Kilku mężczyzn podeszło do niego. Jeden szturchnął go ramieniem.

– Ej, brudasio, patrz, gdzie leziesz!

– Nosz kurwa, nie jesteś u siebie!

– Też, Michu, to terrorysta!

Ignorował zaczepki. Do śmietnika miał już tylko kilka kroków. Postanowił, że wróci inną drogą. Nie będzie znowu rzucał się im w oczy.

– Terrorysta do odstrzału! Na bank ma w tym worku bombę i zaraz rozpierzdoli nam osiedle!

Silna dłoń złapała go za ramię. Prawie tak silna jak ta, która należała do wyprowadzającego go z samolotu antyterrorysty.

– Po chuj tu przyjechałeś, brudasie?!

– Zostawcie mnie – odezwał się i właśnie wtedy otrzymał pierwszy cios.

Najpierw zabolął go nos, a potem całe ciało. Kolejne uderzenia posypały się z różnych stron. Słyszał podekscytowane głosy.

– Wracaj do siebie!

– Powiedz swoim kumplom, że jeśli tu przyjadą, to ich zajebimy!

– I pamiętaj, jeszcze raz tkniesz polską dziewczynę, a połamiemy ci ręce!

Zwinął się w pozycję embrionalną i starał się zakrywać głowę rękoma. Nie wszystkie słowa rozumiał, nie wszystkie był w stanie usłyszeć. Łapał jednak ogólny sens. Mowa nienawiści. Nie mógł jej nie zauważyć. Tracąc przytomność, pożałował, że jednak nie ma na sobie pasa szahida.

* *

Tak, nie powinna wychodzić prosto z wanny na dwór, zwłaszcza że termometr wskazywał tylko dziesięć stopni Celsjusza. Anka w myślach przyznała rację matce.

Zimno atakowało jej rozgrzane ciało. Wciskało się w niedopiętą kurtkę i przenikało do środka, szukając sobie wygodnego miejsca.

– Dobry wieczór, czy dostanę jeszcze jakieś pieczywo? – spytała z nadzieją, kiedy dotarła do celu swojej nierozsądnej podróży.

Czynny do północy osiedlowy sklep stanowił mekkę dla wszystkich zapominalskich, chociaż o tej godzinie przyciągał chyba więcej tych potrzebujących wysokich procentów.

– Niestety. – Ekspedientka pokręciła przecząco głową.

– A może jednak? Coś? Cokolwiek?

– Mam jeszcze jeden tostowy, ale jutro kończy się jego data ważności.

– Na bezrybiu i rak ryba – skwitowała i dodała: – Biorę!

W drodze powrotnej ze zdziwieniem odnotowała, że mimo niesprzyjającej aury grupa osiedlowych dresiarzy stoi przy bloku obok. Być może była już za stara na to, by zrozumieć fenomen rozmawiania ze znajomymi w środku nocy, na wietrze i w ciemności.

Na klatce schodowej panowały ciemności. Pomacała ścianę w poszukiwaniu włącznika światła, a kiedy go znalazła, poczuła się pewniej. To właśnie wtedy jej wzrok padł na skrzynki na listy.

Ta najwyżej położona, oznaczona numerem dziesiątym, wydawała się nie być pusta. Rzeczywiście dawno jej nie sprawdzała.

W środku leżała koperta zaadresowana na Kancelarię Prawną AR.

– Mecenas Anna Rogozińska – odczytała.

List nie wyglądał na przesyłkę reklamową. Koperta była szara, adres odbiorcy wypisany ręcznie starannym pismem. Z tyłu nie było adresu nadawcy.

– Kancelaria prawna? Co to za żarty?

Anka pokonywała schody, jednocześnie zajmując się otwarciem koperty. Jak zwykle w takich sytuacjach przedmiot martwy wykazał się niebywałą złośliwością. Najpierw okazał się tak mocno zaklejony, że nie mogła go otworzyć, a później, kiedy zdecydowała się go rozerwać, wypadł jej z rąk.

Znowu zgasło światło na klatce i Anka musiała po omacku odnaleźć włącznik. Tym razem nie poszło jej to tak sprawnie, jak na parterze. Tam lokalizację włącznika знаła niemalże na pamięć. Na trzecim piętrze nigdy wcześniej nie orientowała się, który przycisk odpowiada za uruchomienie dzwonek do drzwi, a który rozpała żarówkę.

Po chwili zastanowienia zrezygnowała. Wyciągnęła z kieszeni komórkę i uruchomiła latarkę. Cofnęła się do schodka, na którym upuściła list. Podniosła kopertę i rozsypane kartki, po czym pobiegła do domu.

Dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi, przyjrzała się zawartości przesyłki. Złożona kartka wypełniona była niebieskimi, równymi literami. Uwaga Anki skupiła się jednak nie na liście, ale na dołączonej do niego karcie do gry.

Nie była zwykła, jak w większości talii. Intrygowała i przerażała jednocześnie. Przedstawiała ludzki szkielet przyozdobiony różnym wiankiem. W oczy rzucały się przede wszystkim czerwone plamy, które wydawały się być śladami po kroplach krwi. Na dwóch rogach karty widniało czerwone serce oraz litera „Q”.

– Królowa Kier? – Anka zamarła.

Królowa Kier kojarzyła się jej tylko z jednym. Chcąc wykluczyć rodzące się w jej głowie podejrzenia, zerknęła na koniec listu. Szukała jakiegoś podpisu, czegoś, co pomoże jej ustalić, kto i dlaczego przesłał jej taką kartę.

– Zakład Karny. – Jej wzrok padł na ostatnie słowa listu: „Jeśli miałabyś ochotę do mnie napisać, to kieruj listy na adres Zakładu Karnego w Rawiczu”.

===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkp/S39PbwJtA2oBYFJgUGliTT1SMUs/XnAAbA==

ROZDZIAŁ 2

Droga Aniu,

Załóżę się, że jesteś już znudzona siedzeniem i nicnierobieniem. Być może siedzisz przy regale z książkami i zastanawiasz się nawet: na co komu książka bez obrazków i rozmów?

A może rozmyślasz nad pytaniem, czy radość, jaką sprawiłoby Ci zajęcie się kolejnym śledztwem, jest warta wysiłku, którego trzeba, żeby wstać z kanapy i ruszyć w miasto z naiwnym przeświadczeniem, że uda Ci się rozwiązać kolejną zagadkę?

A może robisz coś zupełnie innego, nawet nie dlatego, że chcesz, ale raczej dlatego, że nie wypadało Ci odmówić?

Dlatego właśnie piszę i przesyłam Ci kartę. Żebyś nie musiała zastanawiać się, na co komu list bez obrazków.

Ostatnio wydarzyło się tyle złego. Zarówno w Twoim, jak i w moim życiu.

Mam ogromny zamęt w głowie.

Słyszałem, że walczysz o siebie. Że ktoś chciał zrobić Ci krzywdę. Martwi mnie to.

Chciałbym spojrzeć przed siebie i powiedzieć Ci... Ale chyba nie jestem sobą, więc nie wiem, gdzie spojrzeć.

Wybacz.

Nie wszystko jest takie, jak się wydaje, dlatego zdecydowałem się napisać do Ciebie. Jesteś moją ostatnią szansą.

Możesz mnie nie lubić. Możesz mi nie ufać. Możesz mi nie wierzyć.

Wiesz, jaki jestem, ale nigdy nie zrobiłbym Ci krzywdy. Wtedy... pragnąłem jedynie sprawiedliwości.

Tygodnie spędzone za kratami dały mi do myślenia.

Jeśli ten list do Ciebie dotrze... Jeśli go przeczytasz – odezwij się do mnie.

No chyba że się mnie boisz.

Chciałbym przy Twojej pomocy naprawić część swoich błędów. Zabiłem kilka osób, ale może uda nam się wspólnie uratować kilka innych istnień?

Zapraszam na partię krokieta u Królowej Kier.

Ściskam.

Na zawsze Twój,

Kapelusznik.

* *

– Udawanie, że ludzie z natury nie są agresywni, jest chore.

Siedział zatopiony w ciemności. Nikt na niego nie patrzył, nikt się nim nie interesował.

Czerń otulała go szczelnie z każdej strony. Mimo świadomości, że otaczają go ludzie, czuł się bezpieczny. Nie widział ich. Nie słyszał.

Mógł uważać się za jedynego człowieka zagubionego w kosmicznej pustce.

– Milion lat walk o partnerki i terytorium sprawiło, że w każdym z nas istnieje mniej lub bardziej ukryty instynkt zabójcy. U mężczyzny decyzja o zabijaniu wyzwala testosteron. To on obniża próg, który pobudzenie musi przekroczyć...

Pobudzenie towarzyszyło mu od zawsze. Dlatego nie lubił ludzkich spojrzeń. Nie chciał ich skupiać. Nie chciał myśleć o tym, że ktoś zauważy jego odmienność.

– Można z całą pewnością stwierdzić, że morderstwo jest efektem dynamicznej wymiany między napastnikiem a ofiarą. Celem ofiary jest obrona. Celem sprawcy: zachowanie twarzy i zademonstrowanie siły charakteru – słowa płynęły z głośników, szczelnie wypełniając salę.

Jedynym źródłem światła stanowiły stojące przy scenie reflektory. Oświetlały fotele, na których siedzieli zaproszeni goście Poznańskiego Festiwalu Kryminału Granda. Jakiś pisarz kryminałów, psycholog policyjny i jeszcze ktoś – nie kojarzył nazwiska. Uważnie przysłuchiwał się dyskusji i teraz, mniej więcej w połowie jej trwania, mógłby stwierdzić, że trzeci mężczyzna jest chyba z łapanki. Ewidentnie nie miał nic do powiedzenia.

– Wspomniał pan o frustracji. Czy ona zawsze prowadzi do agresji? – Prowadzący zadał pytanie psychologowi.

Mężczyzna przez chwilę wiercił się na fotelu, kilka razy sapnął do mikrofonu, jakby czekał na pytanie dodatkowe.

On też czekał. Przez całe swoje życie na coś czekał. Na lepszy moment. Chwilę, w której będzie mógł się sprawdzić. Kilkanaście sekund, w ciągu których będzie mógł pokazać, jaki jest świetny.

* *

– Obciąć jej głowę!

Kwestia wypowiedziana przez Królową Kier, postać z „Alicji w Krainie Czarów”, towarzyszyła Annie podczas marszu w kierunku biura Grabowskiego. Kiedy dyrektor wezwał ją do siebie, poczuła się bardzo niepewnie. Siedząca przy oknie Joanna Semczuk, dziennikarka zatrudniona podczas choroby Anki, uśmiechała się tryumfująco. Reszta zespołu udawała, że jest zajęta swoją pracą. Każdy wpatrywał się w ekran komputera, ewentualnie w notatki trzymane przed nosem.

Jedynie Artur wracający właśnie z pomieszczenia socjalnego z parującym kubkiem mrugnął do Anki, jakby chciał dodać jej otuchy. Najchętniej zatrzymałaby się i do niego przytuliła, a przynajmniej odebrała ojcowskie poklepanie po plecach. Niestety nie mogła sobie pozwolić na okazywanie słabości w pracy.

Teoretycznie po wczorajszym spotkaniu z Robertem wiedziała, że podczas wizyty w biurze Grabowskiego może spodziewać się propozycji nie do odrzucenia. Nie domyślała się jednak jakiej.

Kształtne usta Roberta pozostawały nieruchome, kiedy dopytywała o to, na czym propozycja ma polegać, kto ją wymyślił, i dlaczego on – jej były kochanek – uznał, że powinien Ankę uprzedzić. Robert milczał, a ona podziękowała uprzejmie, pożegnała się i wyszła z restauracji. Potrzebowała tego beznadziejnego, jesiennego wiatru, by ochłonać. Wszystko szło nie tak. Nie tylko praca, ale i związki z ludźmi. Nawet rozmowa z Robertem, którą zawsze się delectowała, przypominała bieg po polu minowym.

– Niech pani zajmie miejsce. – Kiedy stanęła w drzwiach, Grabowski wskazał jej krzesło, tak jakby miała jakiś większy wybór.

Przy biurku stały aż dwa. Usiadła na jednym z nich. Dokładniej rzecz ujmując, na tym drugim, niewskazanym przez dyrektora. Musiała to zrobić, żeby przygotować się do tego, co miało za chwilę nastąpić. Chciała odreagować. Trochę na zapas.

– Z centrali przyszła propozycja dla pani.

– Propozycja? Dla mnie? – Udała zdziwienie i skupiła się na dziurkaczu leżącym na biurku.

– Tak. – Odpowiedział jej uśmiechem tak cynicznym, że postanowiła nie poddać się bez walki.

– To miło, kiedy firma, której oddało się całe swoje dorosłe życie, docenia pracowników i ich zaangażowanie. – Anna wybrała strategię mającą – przynajmniej w jej mniemaniu – maksymalnie utrudnić dyrektorowi realizację jego planu.

Grabowski się skrzywił. Oparł się o biurko przedramionami, złożył ręce jak do modlitwy i wyrecytował:

– Wszyscy zgodnie uznaliśmy, że po powrocie ze szpitala ma pani problem.

I że jedynym sposobem na wyeliminowanie pani... – powiedział, po czym wziął wdech i spojrzął ku górze, jakby szukał odpowiedniego słowa – pani zbyt emocjonalnego podejścia do tematów społecznych będzie powierzenie pani pewnego wyzwania.

Przez chwilę przyglądała mu się z nadzieją, że znajdzie w nim coś, co nie zostało wcześniej zaplanowane.

– Wyzwania?

– Oczywiście zrozumieć, jeśli go pani nie podejmie.

– Jakiego wyzwania?

– Proszę mi wybaczyć, być może użyłem złego słowa. To zadanie. Mające oczywiście na uwadze dobro zarówno pani, jak i naszej stacji. Primo TV nie może pozwolić sobie na marnowanie zasobów ludzkich.

– Tak, tak. Czy będzie mi dane poznać konkrety?

– To rozumiałe – cedził słowa – że po tym, co panią spotkało, stała się pani jeszcze bardziej wrażliwa na wszelkie zło. Celowo mówię: „bardziej wrażliwa”, a nie „przewrażliwiona”, bo nie chcę, żeby czuła się pani niekomfortowo.

Współpracowali od lat, przeszli przez wiele trudnych tematów i konfliktów. Grabowski dobrze wiedział, jak się zachowywać, by czuła się niekomfortowo. Wiedział i dokładnie to robił. Przedłużał, przeciągał i odwlekał moment, na który czekała.

Bezczelnie spoglądał jej w oczy, jakby chciał sprawdzić, ile jeszcze wytrzyma, a później skupiał się na dziurkowaniu kartki. Wkładał ją do dziurkacza, a następnie z dużą siłą naciskał przyrząd. Towarzyszący tej czynności odgłos utrudniał jej skupienie.

– Przewrażliwienie dziennikarki kłóci się jednak z założeniami stacji. Pani Anno, wszyscy są rozczarowani pani postawą!

– Rozumiem, dziękuję za zwrócenie uwagi. Oczywiście zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby poprawić swój poziom, jak to pan nazwał, wrażliwości.

– Przykro mi. Cały zarząd głosował za tym, żeby pani się pozbyć. Zdecydowaliśmy się na współpracę z inną osobą. Zmieniła się pani i nie jesteśmy w stanie tego zaakceptować. Oczywiście, broniłem pani jak lew, przecież jest pani częścią mojego zespołu, ale reszta...

– Przejdźmy do meritum. – Postanowiła przyspieszyć rozmowę.

Dziwnym trafem Grabowski mówił to samo, co Zieliński wczoraj: wszyscy byli przeciw, a ja stanąłem w obronie. Nie wiedziała już, komu powinna wierzyć. Założenie, z którym wchodziła do gabinetu dyrektora, legło w gruzach.

Z trudem zachowywała pozory spokoju. Była o włos od utraty panowania nad sobą. Miała ochotę wstać, wykrzyzczeć swoją frustrację i trzasnąć drzwiami. Powstrzymywała ją jednak myśl, że Grabowski zapewne tylko na to czekał.

– O, właśnie o to mi chodzi. Kiedyś była pani gotowa na to, by przyjąć słowa

konstruktywnej krytyki, dziś widzę tylko zniecierpliwienie i negatywne nastawienie.

Dyrektor kontynuował przydługi wywód, a Anka starała się skupić myśli na czymś bardziej przyjemnym.

Robert Zieliński. Gdyby się z nim nie spotkała wczoraj, gdyby nie miała świadomości, że sformułowana przez zarząd propozycja jest jedynym kołem ratunkowym, dałaby upust swoim emocjom. Dzięki rozmowie z nim wiedziała jednak, że jest na cenzurowanym, a każdy jej gwałtowny ruch może zostać wykorzystany jako pretekst do zwolnienia.

– Sprawa ma się tak... Ruszamy z programem dotyczącym pogotowia ratunkowego. Zdecydowaliśmy się powierzyć pani rolę prowadzącej.

– Prowadzącej? – Ankę zamurowało. – Nie bardzo rozumiem. Kolejne *docusoap*? Czy jest na to jeszcze zapotrzebowanie?

– Nie, nie. To będzie coś zupełnie innego. Jest duża konkurencja między telenowelami dokumentalnymi. My uderzymy w zupełnie inny segment rynku. Nie będziemy udawali, że pokazujemy coś prawdziwego. Nie będziemy kręcili w hali. My po prostu pokażemy prawdziwe życie.

– Życie?

– Tak.

– Ale co miałabym robić?

– Jak to co? Być. Może pani potraktować ten projekt jako reportaż wcieleniowy.

– Wcieleniowy? – powtórzyła ostatnie słowo łamiącym się głosem.

Było gorzej, niż mogła się spodziewać.

– Popracuje pani w pogotowiu ratunkowym.

– Słucham?

Grabowski wstał zza biurka i zaczął maszerować jak lew, od ściany do ściany.

– Na kilka tygodni stanie się pani ratownikiem medycznym. Będzie pani pracować z ratownikami, pojeździ w karetce, napatrzy się na ludzkie dramaty, na śmierć i życie w niedostatku. Oczywiście każdy krok będą śledzić kamery. Najlepsze fragmenty z interwencji zmontujemy w dramatyczny i dynamiczny materiał. Widzowie dostaną program, od którego nie będą mogli się oderwać. Nam skoczą słupki oglądalności, a dochody z reklam... co będę mówić, sama pani wie.

– A co ja będę z tego miała?

– Pani Anno, wszyscy, cały zarząd i ja, mamy nadzieję, że odzyska pani dystans. Do siebie i świata. I że wykaże pani swoje zaangażowanie. Dzięki temu będziemy mogli kontynuować naszą współpracę.

Ludzkie dramaty, strzykawki, ręce zabezpieczone lateksowymi rękawiczkami, chorzy ludzie – przez ostatnie miesiące Anka miała tego

w nadmiarze. Najpierw na żywo, w szpitalu, później po cichu, w swojej głowie. Nie musiała jeździć po Poznaniu i oglądać tego z bliska.

* *

Błażej Puchalski jak co dzień maszerował do pracy. Niby mieszkał blisko salonu fryzjerskiego, w którym udało mu się zaczepić, ale jednak na tyle daleko, żeby dotarcie do niego zajmowało mu bite piętnaście minut.

Nie lubił chodzić pieszo, dlatego każdego dnia zastanawiał się, czy jednak nie powinien zrezygnować ze spacerów i nie przerzucić się na jakiś środek lokomocji. Samochód odpadał, bo swojego się jeszcze nie dorobił.

Poza tym mieszkał naprzeciwko Wielkopolskiego Centrum Onkologii, a ulica Garbary, przy której stał jego blok, była jednokierunkowa. Odnosił wrażenie, że ta jednokierunkowość była złośliwym uśmiechem losu. Wiatr zawsze wiał mu w oczy, najgorsze przydarzało się właśnie jemu, a samochody jadące Garbarami zawsze zmierzały w przeciwną stronę niż on.

Pracował na Chwaliszewie, więc kiedy maszerował w górę Garbar i przyglądał się mijającym go autom, w głowie tłukła mu się myśl, że idzie pod prąd. A kiedy wracał z roboty i z ulicy Chwaliszewo skręcał w Wielką a potem w Garbary, czuł się, jakby tonął. Wielki strumień próbował go zabrać ze sobą, a on nigdy nie miał ochoty na powrót do czterech ścian. Łapał się więc wszystkiego, co mógł, skręcał w Woźną i w Wodną, i w Groblę, i właściwie w każdy zaułek. Szukał pretekstów, by zatrzymać się gdzieś po drodze i z mniej lub bardziej nieznanymi ludźmi wypić piwo lub dwa.

Dzisiaj już podczas drogi do pracy chętnie poszukałby odpowiedniego kompana. Hałas Garbar zaczął go irytować, skręcił więc w prawo w Groblę, a później w lewo w Mostową.

Mostową tolerował tylko na odcinku od Grobli do Chwaliszewa. Otwierała się tu przestrzeń, pojawiały się jakieś drzewa i większy kawałek nieba. Wcześniejszy jej fragment wywoływał u Błażeja najgorsze skojarzenia.

Trasa maratonu. Wysoki szpaler publiczności. Wszyscy patrzą na niego z poirytowaniem. Mają szare twarze. Skamieniałe, ale wyrażające najgorsze uczucia. A on biegnie. Nie, raczej już tylko idzie. Nie ma siły biec. A oni stoją. Jeden przy drugim. I czekają, aż się przewróci. Aż będą mogli z niego szydzić i obrzucić go kamieniami.

Obejrzał się za siebie. Wysokie i mocno zniszczone kamienice tworzyły odpychający szpaler przy Mostowej. Znał je od dziecka, jednak z upływem lat coraz mocniej działały na jego wyobraźnię.

– Prosimy wszystkich o pozostanie na miejscach.

Głos płynący z głośników odgonił czarne myśli. Błażej rozejrzał się dookoła. Był już na wysokości Nowej Gazowni, przy której ewidentnie coś się działo. Policyjna suka podjechała na sygnale, ale tłum ludzi zasłaniał to, co mogło być najciekawsze.

Nie mógł nie podejść bliżej. Minął policyjne taśmy i niebiesko-czerwony plakat z wielkim napisem: „Granda”.

– Prosimy państwa o spokój. Niebawem policyjny śledczy przepytają świadków zabójstwa. Prosimy o pozostanie na miejscach.

Prośba tylko ułatwiła Błażewi przepchnięcie się do przodu. Przy okrągłym budynku stały leżaki, a na jednym z nich leżał mężczyzna. Na głowie miał sporych rozmiarów ranę. Policyjni technicy kręcili się przy zwłokach, rozstawiali tabliczki z numerami i wymieniali spostrzeżenia, ale Błażewi coś nie pasowało.

Przyjrzał się trupowi i mógłby przysiąc, że jest jakiś taki trochę zbyt żywy. Mógłby przysiąc, że trup co jakiś czas delikatnie porusza nogą. Wszyscy skupili się na zabezpieczaniu śladów, a być może ofiara nadal żyła. Gdyby nie obecność policji, podszedłby do niego i sprawdził, czy facet jeszcze przypadkiem nie oddycha.

Nie chciał się jednak rzucać w oczy. Jeszcze poprosiliby go o dowód osobisty i spisali. Nie potrzebował kłopotów. Poza tym śpieszył się do pracy.

– Drodzy państwo, tak oto rozpoczyna się nasza festiwalowa gra miejska. Prosimy drużyny biorące udział w grze o ustawienie się po prawej stronie. Za chwilę śledczy udzielą wam kilku wskazówek, na podstawie których będziecie musieli odnaleźć zabójcę.

* *

Od kilku tygodni miał dość swojego biura. Marzył mu się remont i wprowadzenie do przestrzeni, w której spędzał większość swojego zawodowego życia, oddechu nowości.

W pierwszej kolejności wymieniłby meble. W drugiej zmieniłby kolor ścian, wykładzinę, rolety okienne. Wszystko to, co przypominało mu o tym, że osiem lat

temu też był dyrektorem.

Generalnie nie miał nic przeciwko stanowisku, które piastował, drażnił go jednak upływ czasu i zmieniające się mody dotyczące wystroju wnętrz. Widziałby siebie w białym biurze z białymi meblami i białym laptopem. Chciał uchodzić za nowoczesnego faceta w średnim wieku, a nie ramola otoczonego przebrzmiałym już wenge.

– No to rzuciliśmy ją na głęboką wodę. – Kamil Grabowski rozpostarł się w fotelu.

– Szkoda, że nie mogliśmy od razu jej utopić. – Joanna Semczuk nie wyglądała na zadowoloną.

Zatrudnił ją dwa miesiące temu. Była świeżo po studiach, zmotywowana do pracy, a jej wygląd zapowiadał codzienne interesujące doznania wzrokowe. Długie, ciemne włosy, duże oczy, zarówno te prawdziwe, jak i przysłowiowe, a do tego nabrzmiałe usta i kształtne pośladki.

Nie mogła lepiej trafić w jego gust. Zawsze podobały mu się „czarne mamby”. Bardzo szybko przy zamkniętych drzwiach jego gabinetu ustalili, że oboje chętnie pozbyliby się konieczności odnoszenia się do siebie z dystansem.

– Utopić? Szkoda, ale wiesz, w każdej organizacji panuje pewna kultura, która narzuca przynajmniej obowiązek zachowania pozorów. Rozmawialiśmy o tym wieczorem. Muszę zachowywać się tak, żeby nikt nie miał mi nic do zarzucenia. Rozumiesz mnie, prawda?

Joanna usiadła na jego biurku – nie wyglądała na zadowoloną. Właściwie „usiadła” nie było odpowiednim słowem określającym to, co zrobiła. Przysiadła lewym pośladkiem na brzegu biurka, wysunęła prawą nogę w bok, a lewą rękę oparła na blacie, odchylając przy tym głowę.

Miała dwadzieścia sześć lat, prawie dwadzieścia mniej niż on. Dokładnie wiedziała, jak się ustawić, żeby jej ciało wyglądało najbardziej apetycznie. Kamila to fascynowało i przerażało jednocześnie.

Fascynowało z powodów oczywistych. Zbliżał się do pięćdziesiątki, od czterech lat był rozwodnikiem a od przynajmniej piętnastu nie towarzyszyło mu poczucie przyjemnego i jednocześnie nieznośnego podniecenia podczas rozbierania kobiety. Seks stał się dla niego czynnością tak oczywistą i przewidywalną jak mycie zębów. Po prostu jednym z zabiegów higienicznych, na które musiał znaleźć czas, by później czuć się jako tako.

Przerażało z powodów, nad którymi nie chciał się zastanawiać. Kiedy jednak opowiadał o Joannie swojemu przyjacielowi ze studiów, zdobył się na stwierdzenie, że za ich czasów dwudziestossześcioletki były zupełnie inne. Bardziej zahukane, nieśmiałe i wyczekujące.

– Tak, tak. Rozumiem. A jak zareagowała?

– Tak jak zakładaliśmy. Gotowało się w niej i nawet nie starała się tego

ukryć. Spytała, co z innymi sprawami, którymi powinna się zajmować. Odpowiedziałem, że ma je przekazać tobie.

– Ooo! – Z twarzy Joanny zniknęło niezadowolenie.

– Wkurzyła się, a potem, przełykając gorycz porażki, spojrzała na mnie z nadzieją i spytała, kiedy mielibyśmy ruszyć z realizacją tego programu.

– I wtedy ją dobiłeś! – Roześmiała się.

Znowu go przeraziła i podnieciła jednocześnie. Była zła. Prawie tak samo zła, jak on.

Wieczorami przez dwa tygodnie dopracowywali szczegóły idealnego planu pozbycia się Rogozińskiej z Primo TV. To Joanna wpadła na pomysł, że po traumatycznych doświadczeniach Anny ze szpitala przyda się jej coś, co przypomni jej o tym, o czym chciała zapomnieć.

Zależało im na tym, żeby dziennikarka rozsypała się całkowicie. Dzięki temu mogliby pozbyć się jej bez brudzenia rąk i budzenia czyichkolwiek wątpliwości.

– Dobiłem. Powiedziałem, tak jak uzgodniliśmy... już, o ile nie wczoraj.

– I?

– I wtedy zobaczyłem na jej twarzy prawdziwe przerażenie. Miałaś rację, zrzućcie na nią tego zadania, bez czasu na zastanowienie się czy uporanie się z sobą, było najlepszą rzeczą, jaką mogliśmy zrobić.

– Czyli co? Mamy ją?

– Mamy! Pytała oczywiście, czy nie można prowadzenia programu oddać komuś innemu, na przykład tobie. Powiedziałem, że można... a potem sięgnąłem do szuflady po czystą kartkę papieru. Podałem ją jej i dodałem, że jeśli nie czuje tematu albo nie jest do niego przekonana, to ma napisać kilka słów wyjaśnienia, które przedstawię zarządowi.

– Jesteś boski!

Miał wrażenie, że pożera go wzrokiem.

– No jestem... – zamruczał i zerknął na zegarek. – Spotkamy się na lunchu? Za godzinę?

– Czekał, niech pomyślę... – Przesunęła językiem po wargach. – A jeśli nasz plan nie wypali?

– Joasiu, spokojnie. Ona nie da sobie rady. Jestem tego pewien. To tylko kwestia czasu. Rozsypie się, a wtedy wyleci z hukiem.

– A jeśli się nie rozsypie?

– To wymyślisz coś innego.

– Przypilnuję, żeby nie nakręciła go zgodnie z wytycznymi.

– I to jest myśl. Pozbędziemy się jej z Primo TV, materiał zmontujemy tak, żeby jej na nim nie było i wyemitujemy. Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Tak, usuniemy ją, a wrzucimy mnie, co myślisz? Takie wstawki na

początku albo jakieś słowo komentarza? Widziałbyś mnie w takiej roli?

– Ciebie? W każdej! – Rozmarzył się. – Lunch?

Nie zdążyła mu odpowiedzieć. Telefon stojący na biurku zepsuł atmosferę narastającego napięcia. Wydał z siebie dźwięk, który zmusił Kamila do oderwania wzroku od Joanny.

– Halo? Podjęła pani decyzję? Dobrze. Rozumiem. Pani Joanna przekaze pani wytyczne programu.

* *

– W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, Sąd Okręgowy w Poznaniu, Trzeci Wydział Karny w składzie...

Prokurator Wiktor Braun stał i obserwował oskarżonego. Zawsze to robił. Wpatrywał się w twarz człowieka, którego oskarżał, i szukał na niej śladów jakichkolwiek emocji. Jedni przyjmowali wyrok sądu z ulgą, inni całkiem się rozklejali. Jeszcze inni do końca zachowywali kamienną twarz. Podobnie jak Kajetan Bagiński. Potwór, który z zimną krwią zabił matkę swoich dzieci.

Emocje. Wiktor sam ich nie okazywał. Był dumny z tego, że wyrobił w sobie bezpieczne nawyki. Cieszył się, że im dłużej pracował w zawodzie, tym bardziej robił się podobny do swojego książkowego idola, Martina Vaila. Vail był adwokatem, który w „Lęku pierwotnym” Williama Diehla bronił młodego człowieka oskarżonego o zabójstwo powszechnie szanowanego duchownego.

Vaila poznał najpierw w wersji filmowej. Zauroczył go odpychający styl bycia Richarda Gere broniącego debiutującego Edwarda Nortona. Później sięgnął po książkę i znalazł tam mnóstwo cynicznych zdań, które zakreślił na zielono. I nauczył się ich na pamięć.

„Nie wierz nikomu i niczemu. Nie wierz w to, co widzisz, słyszysz i czytasz. I na Boga nie ufaj uczuciom” – to była jedna z zasad, którą pożyczył od Vaila i której kurczowo się trzymał.

– ...po rozpoznaniu na rozprawie sprawy Kajetana Bagińskiego, syna Jadwigi i Przemysława, urodzonego w dniu 12 lipca 1985, oskarżonego o...

Wiktor pozwolił sobie na chwilę odciąć się od otoczenia. Dobrze wiedział, o jakie czyny oskarżał Bagińskiego. Nie musiał kontrolować, czy sędzia dobrze spisał wszystko z akt sprawy.

Przywykł do morderstw, napadów czy gwałtów. Wszystko brzmiało dla niego tak samo słabo, beznadziejnie i tandetnie. Nie rozpatrywał agresji

w kategoriach naukowych. Nie szukał etyki, ale cieszył się, gdy na nią trafił. Nie szukał też sprawiedliwości. Czasem jednak modlił się o to, by otrzymać jej choć odrobinę.

Pamiętał też o tym, że to tylko praca. Adwokat walczył o dobre imię oskarżonego. W tym czasie połowa sali – o ile była wypełniona publicznością zasypiała – a sędzia rozmyślał nad miłym sposobem spędzenia wieczoru. I on, prokurator miał też swój udział w tym przedstawieniu. Nie silił się jednak, by robić z niego arcydzieło. To zadanie zostawiał pismakom.

Teraz chciało mu się pić. Na sali panował zaduch. Kaloryfery grzały całą parą, a za oknem świeciło jesienne słońce.

– ...o czyn z artykułu sto czterdzieści osiem paragraf pierwszy kodeksu karnego...

Wiktor czekał na najważniejsze słowa sędziego. Dla niego odczytanie sentencji wyroku było jak muzyka klasyczna. Najpierw preludium, budowanie napięcia w oskarżonym, podnoszenie poziomu adrenaliny u jego obrońcy i publiczności, jeśli taka była na sali. Później pojawiały się paragrafy, cyfry, w których ukrywał się czyn zabroniony, Wiktor zaczynał czuć ekscytację, a na sam koniec padały słowa, na które czekał od chwili pierwszego rzucenia okiem na akta sprawy:

– Oskarżonego Kajetana Bagińskiego uznaje za winnego tego, że w dniu dwudziestego pierwszego grudnia dwa tysiące piętnastego roku, działając z zamiarem ewentualnego pozbawienia życia Małgorzaty Bagińskiej, poprzez kopanie, uderzanie jej pięściami po całym ciele oraz duszenie, spowodował u pokrzywdzonej obrażenia zewnętrzne w postaci sińców na głowie, twarzy, kończynach górnych i dolnych, oraz otarcia naskórka na szyi, a także obrażenia czaszkowo-mózgowe w postaci podbiegnięć krwawych w powłokach czaszki po stronie wewnętrznej, wylewu krwawego w mięśniu skroniowym prawym, obrzęku mózgu, krwiaka podtwardówkowego, wylewu krwawego w mięśniach szyjnych i mięśniach klatki piersiowej...

Sędzia wymieniał, a umysł Brauna projektował mu poszczególne fragmenty ciała Małgorzaty Bagińskiej. Nigdy nie zapamiętywał twarzy ofiar osób, które oskarżał, ale bardzo dokładnie pamiętał, kto co zrobił. Przechowywał to w swoim archiwum, gdzieś z tyłu głowy, zawsze w formie obrazów poszczególnych fragmentów ciała leżących na stole sekcyjnym.

– ...następstwem doznanych obrażeń czaszkowo-mózgowych, to jest ostrego krwiaka podtwardówkowego pourazowego, był nagły i gwałtowny zgon Małgorzaty Bagińskiej. Oskarżonego uznaje się za winnego zbrodni z artykułu sto czterdzieści osiem paragraf pierwszy kodeksu karnego i za to wymierza mu karę piętnastu lat pozbawienia wolności.

Sędzia przeszedł do odczytania uzasadnienia wyroku, a kamienna twarz

Bagińskiego poczerwieniała.

Braun mógł odetchnąć z ulgą. Wygrał. Wiedział, że tak będzie. Zbrodnia z artykułu sto czterdzieści osiem jest typowym przestępstwem materialnym, jego dokonanie wymaga nastąpienia określonego w ustawie skutku, czyli śmierci człowieka. Żona Bagińskiego umarła. W tej sytuacji mniej ważne było to, czy bił ją, bo tak właśnie wyglądały ich wszystkie małżeńskie kłótnie, czy chciał ją zabić, czy tylko mógł przewidywać, że taka liczba i siła ciosów może doprowadzić do śmierci.

* *

– W lewo!

Artur Lipiec w ostatniej chwili zdążył zmienić tor jazdy samochodu. Zgodnie z uwagą Anki skręcił w ulicę, której wcześniej nawet nie zauważył. Wydawało mu się, że skręt w Rycerską będzie dopiero na następnych światłach.

Wjechali w wąską drogę otoczoną z obu stron drzewami. Zwolnił. Nie pamiętał, jakiego dokładnie numeru szukali.

– Stacja Kontroli Pojazdów – odczytał duży niebieski baner.

– Wierz mi, że wołałabym już kontrolę pojazdów, smary i inne takie męskie rzeczy niż to pieprzone pogotowie.

– Wierzę – westchnął.

Gdyby nie prowadził samochodu, to poklepałby Ankę w tej chwili po plecach. Widział, że bardzo potrzebuje wsparcia. To dlatego zgodził się z nią jechać. Nie miał ochoty na tego rodzaju wyzwanie zawodowe, ale nie miał wyjścia. Nie mógł zostawić przyjaciółki samej.

– To chyba tam, gdzie wjeżdża ta karetka. – Anka wskazała bramę.

Lewa część jezdni była zajęta przez zaparkowane samochody. Po prawej znajdował się wjazd na teren Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego. Artur rozejrzał się za miejscem, w którym mógłby zostawić auto.

Kiedy wyłączył silnik i był gotowy do wyjścia, spojrzał na Ankę. Była blada i nie spieszyła się z otwarciem drzwi. Nie musiał być jasnowidzem, żeby stwierdzić, że się bała. Zwykle zachowywała się jak podekscytowana dziewczynka – niespokojnie tupała w miejscu i wybiegała z samochodu już podczas parkowania. Nie mogła się doczekać tego, co nastąpi. Nie chciała stracić ani sekundy.

– Może jeszcze fajka przed? – odezwała się, gdy spojrzał na nią pytająco.

Wyszli na chodnik. Wysił się na żart, że papierosa pali się zwykle po, ale nawet się nie uśmiechnęła. Stała w miejscu i poruszała nogami, przesuając leżące na ziemi liście.

– Dobra, to zacznijmy tę masakrę – odezwała się dopiero, kiedy zdeptał niedopałek. – Dzięki, że zgodziłeś się ze mną przyjechać.

– Nie ma za co. – Poklepał ją po ramieniu i wyciągnął z samochodu kamerę.

Cierpiał na specyficzną nadwrażliwość, jak zwykły to nazywać. Kiedy trzymał w rękach kamerę, odbierał wszystkie bodźce zbyt intensywnie. Świat wręcz do niego krzyczał. Żeby nie oszaleć, zamykał emocje uruchamiane u niego przez bodźce w kamerze, transportował je do uwiecznianych przez siebie filmów. To dlatego był dobry w tym, co robił, a jego materiały uchodziły za prawdziwe.

– Nie mówiłeś, że klimat w firmie tak bardzo się zmienił...

Przeszli przez jezdnię i powoli zmierzali do jaskini lwa.

– Anka, wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć?

– Specjalnie to przemilczałeś?

– Chciałem, żebyś skupiła się na dochodzeniu do siebie. Co dałoby ci zadrećzanie się tym, na co nie masz wpływu?

– Cholera! Muszę się odbić od dna!

– Nie jesteś na dnie – powiedział z przesadnym zaangażowaniem i od razu zganił się w myślach.

Sam nie wiedział, jak powinien ją traktować. Najchętniej wyrzuciłby z siebie krótkie: „nie pierdol”. Anna Rogozińska, którą znał, odpowiedziałaby mu tym samym i wzięła się w garść.

Dotarli do bramy wjazdowej i zatrzymali się.

Przyjrzał się Annie. Na pierwszy rzut oka wyglądała tak jak zwykle. Pomalowane paznokcie, blond włosy spięte w koński ogon, džinsy, tenisówki i marynarka. Brakowało tylko uśmiechu, którym zwykle wszystkich czarowała.

– Artur... Mam oczy i widzę, co się dzieje. Wpieprzyli mnie w jakieś obyczajowe gówno. – Wskazała na budynek, do którego powinni byli już wejść. – Potrzebuję sprawy. Konkretniej sprawy, najlepiej kryminalnej. Muszę wrócić w dobrym stylu. W swoim stylu. Muszę zabłysnąć.

– Błyszczysz, gdziekolwiek się nie pojawisz. Tak już masz.

Odpowiedziała uśmiechem.

– Masz rację. Może dyżury w pogotowiu to nie taka najgorsza alternatywa? Może znajdę coś ciekawego? Krwistą awanturę domową albo ofiarę strzelaniny? I będę na miejscu pierwsza!

– Wierzę w ciebie. – Znowu poklepał ją po plecach. Nawet przytuliłby ją, gdyby miał pewność, że Anka się nie rozklei. – Powiedz mi? Dobrze przemyślałeś powrót do pracy? W sensie... No wiesz, czy to dobry moment? Czy jesteś już wystarczająco...

– Wystarczająco co? Zdrowa? Sprawna? Silna? Nie gadaj jak mój, jak mój...
Jak Łukasz.

Z trudem powstrzymał uśmiech. Wkurzył ją. W końcu ją wkurzył, a ona się nie rozpląkała, tylko zareagowała, jak to zwykle miała w zwyczaju – uniosła głos, zaczęła gestykulować, a całe jej ciało oraz mimika twarzy mówiły: „odpierdol się!”.

Taką Ankę poznał, kiedy cztery lata temu pojawiła się po raz pierwszy w Primo TV. Z taką też się zaprzyjaźnił. I taką chciał widzieć u swojego zawodowego boku. Twardą i zdeterminowaną. Szczęśliwą i asertywną.

– Łukasz? Twój chłopak, Łukasz?

– Spadaj.

– Wiesz co? Nie przepadam za nim, ale skoro obaj mówimy to samo, to może powinno cię to zastanowić? Może po prostu mamy rację?

* *

„Skostniała struktura zamknięta w archaicznym budynku” – z takimi myślami Anka wchodziła do siedziby pogotowia.

– Złapiesz mi te korytarze? – poprosiła Artura.

Sama jeszcze nie bardzo wiedziała, jak zmontuje materiał z dzisiejszej wizyty, ale nie mogła nie zadbać o uwiecznienie tego obrazu.

Wąskie korytarze. Mnóstwo drzwi. Na podłodze wszechobecne w starych państwowych przychodniach lastriko, które – mimo wymyślnej nazwy – wciąż było tylko betonem. Zimnym i ohydny kompozytem powstałym ze zmieszania spoiwa i wypełniacza.

Skojarzenie z przychodnią, do której lata temu prowadziła ją matka, było zbyt silne, by można było je odgonić.

Poczuła się jeszcze gorzej niż przed wyjściem z samochodu. I to właśnie wydało się jej dziwne. Zwykle, kiedy szła do lekarza i wchodziła do ośrodka zdrowia, wszelkie dolegliwości mijały, jak ręką odjął. Kaszel się uspokajał, katar cudownie się zatrzymywał a ból głowy odpuszczał.

– Już. – Artur dał sygnał, że mogą iść dalej.

Na schodach minęli ratownika. Mimo że fluorescencyjnie czerwony mundur raził w oczy, Anka zwróciła uwagę na jego twarz. Była tak samo szara jak betonowa posadzka.

Kiedy dotarli na piętro, na którym znajdowały się gabinet dyrektora i sekretariat, Anka wyjęła z torebki oficjalne pismo, które miała złożyć w sekretariacie.

Joanna przekazała jej, że wszystkie szczegóły realizacji programu telewizyjnego zostały uzgodnione wcześniej. Nie omieszkła podkreślić, że były to rozmowy na szczycie, dając Ance do zrozumienia, że nie ma tak wysokich kompetencji, by rozmawiać z dyrektorem. Ale za to musi pojawić się w siedzibie pogotowia w roli kuriera.

To zadziało na Ankę jak płachta na byka. Nie zamierzała wdawać się w dyskusję z nową koleżanką, ale oczywiście zapagnęła zrobić wszystko, by wizyta potoczyła się inaczej, niż zaplanowała Joanna.

Zapukała do drzwi sekretariatu i, nie czekając na reakcję, otworzyła je i zajrzała do środka.

Przy biurku siedziała kobieta. Uniosła wzrok znad komputera i spojrzała na Annę obojętnym wzrokiem.

– Dzień dobry. Nazywam się Rogozińska. Anna Rogozińska. Dyrektor jest u siebie? – spytała pewnym tonem, nie bardzo wiedząc, w którą stronę powinna spojrzeć.

Sekretariat był pomieszczeniem przejściowym, z którego dwoje przeciwnych drzwi prowadziło do kolejnych pomieszczeń.

Anka nie była pewna, za którymi znajdzie dyrektora. Poczula się jak uczestniczka programu telewizyjnego „Idź na całość”, którego centralnym elementem był paradoks Monty’ego Halla. Dziś właśnie doznawała paradoksu Anki Rogozińskiej. Stała nie przed trojgiem, lecz przed dwójgiem drzwi. Tylko za jednym z nich była nagroda w postaci rozmowy z dyrektorem. Za drugim czekał Zonk – maskotka kota w worku.

– Nie.

– Kiedy będzie?

– Nie wiem.

„Skostniała struktura w archaicznym budynku” – po raz kolejny przez głowę Anki przemknęła ta sama myśl. Za nią pojawiło się stado myśli równie nachalnych i głośnych jak grupa przedszkolaków. Marnowała swój czas na czekanie na swoją kolej, na audiencję, na sprzyjającą chwilę. Szczerze nienawidziła służby zdrowia. Tych ciągłych kolejek, obojętności i konieczności oczekiwania. Kiedy leżała w szpitalu, odnosiła wrażenie, że prędzej doczeka się swojego zgonu niż pomocy ludzi, którzy są tam właśnie po to, by pomagać pacjentom.

– A zastępca jest? – Anka reagowała spontanicznie.

Zawaliła sprawę, bo zupełnie się nie przygotowała przed wizytą. Nie sprawdziła nazwiska dyrektora ani tego kto, zastępował go podczas nieobecności. Nic nie widziała o ludziach, z którymi miała rozmawiać. Kiedyś jej się to nie

zdarzało. Sprawdziała wszystko i wszystkich.

Na gorąco założyła, że jakiś zastępca lub zastępczyni musi istnieć – w końcu była w samym środku skostniałej struktury i oczekiwała w sekretariacie z dwojgiem drzwi. Jedne musiały prowadzić do dyrektora, drugie do zastępcy.

– Jest.

– Mogę się z nim zobaczyć?

Sekretarka wzruszyła ramionami, jakby było jej to obojętne. Anka wymieniła się z Arturem spojrzeniem zastępującym komentarz do tej absurdalnej sytuacji.

Przez chwilę rozważała opcję, żeby jednak zostawić pismo w sekretariacie i wyjść. Albo jeszcze lepiej – pojechać do więzienia, w którym przebywał Kapelusznik. Już raz wypłynęła na szerokie wody przy jego pomocy. Może los zsyłał jej właśnie kolejną szansę?

Sekretarka zebrała z biurka dokumenty, wstała i podeszła do regału.

– W takim razie zajrzę do zastępcy – oświadczyła Anka.

Przypomniała sobie, że pokonywanie przeszkód w postaci niesympatycznych sekretarek, zasłony milczenia czy strachu zawsze przynosiło jej satysfakcję.

– Jak pani chce. Ale musi wyjść pani na korytarz. Pokój dwadzieścia osiem. Drugi po prawej.

* *

– Pierwsze drzwi, drugie... Myślisz, że to tu? – Anka stanęła w miejscu, w którym teoretycznie powinien być gabinet zastępcy dyrektora pogotowia.

Na drzwiach nie widniała żadna tabliczka informująca o funkcji osoby urzędującej w pokoju. Nie było na nich też żadnego numeru.

– Być może. – Artur wzruszył ramionami.

Miał je chwilowo wolne, bo kamerę trzymał w opuszczonej ręce. Stał za dziennikarką i czekał na dalsze dyspozycje. Ze słabnącym zaniepokojeniem przyglądał się temu, jak Anka powoli wraca do siebie. Odzyskała już kolory na twarzy i przynajmniej część determinacji, która zwykle pchała ją do przodu.

– Wygląda jak wejście dla wtajemniczonych.

– Dokładnie. Do podziemnego kręgu – pozwolił sobie na żart.

– Myślisz, że będzie aż tak źle? Walka na gołe pięści?

– To wnętrze nie zapowiada nic przyjemnego.

– Dobra, bierz trzy wdechy i zarzucaj sprzęt na ramię. Wkraczamy do gabinetu dyrektora.

* *

Krótkie, ale zdecydowane pukanie do drzwi. Trzy sekundy podarowane osobie będącej w środku na dokończenie ewentualnego dłubania w nosie. Następnie naciśnięcie klamki i otwarcie drzwi na oścież, tak aby kamera Artura mogła zarejestrować zdziwienie zastępcy dyrektora.

Dziennikarka realizowała uzgodniony plan, pamiętając o tym, żeby nie zasłaniać koledze całego kadru.

– Dzień dobry. Szukamy zastępcy dyrektora.

– To ja. O co chodzi?

– Anka Rogozińska. – Podeszła i uściśniła dłoń mężczyzny. – Primo TV.

– Gabriel Żelichowski, miło mi. Proszę.

Wskazał jej krzesło, na które mogła usiąść, i z zakłopotaniem spojrział w stronę kamery. Nie zaprotestował jednak. Poprawił szarą prążkowaną marynarkę i usiadł przy swoim biurku.

Anka zajęła miejsce. Nie widziała miny Artura, ale mogłaby się założyć, że operator był zadowolony. Zastępca dyrektora zupełnie nie komponował się ze skostniałą strukturą, a Artur lubił filmować kontrasty.

Po pierwsze Żelichowski był zdecydowanie zbyt młody na to, by piastować to stanowisko. Szacowała, że mógł w tym roku pewnym krokiem minąć czterdziestkę. Spodziewała się, że zobaczy starego, wąsatego mężczyznę w dżinsach i marynarce zarzuconej na sweter w serek, kupiony na wyprzedaży trzy sezony temu.

Po drugie dwurzędowa marynarka, którą miał na sobie, była tylko częścią garnituru. Spodnie i buty – wszystko to tworzyło jednolitą całość. Gdyby Anka miała dodać do tego swoje stylistyczne trzy grosze, założyłaby mu na głowę kapelusz. Wyglądałby wtedy jak kumpel Ala Capone.

– My w sprawie programu telewizyjnego. Nie wiem, czy jest pan wtajemniczony w sprawę?

– Jestem, jestem, oczywiście! Bardzo cieszy nas wasze zainteresowanie.

– To świetnie. Przyniosłam oficjalne pismo. – Wyjęła opieczętowaną kartkę z papierowej teczki. – Rozumiem, że formalności mamy już za sobą.

– Oczywiście. W takim razie oprowadzę państwa po włościach.

Anka nie wierzyła własny uszom. Dyrektor, nawet jeśli wice, chciał ich

oprowadzać? Tak od razu, bez wcześniejszego umówienia, rzucając wszystkie inne menedżerskie sprawy, maile niecierpiące zwłoki i kawy, które trzeba wypić, by zasłużyć na miano dyrektora?

Artur z wrażenia aż zdjął kamerę z ramienia i spojrzał na Ankę pytająco.

– To może najpierw chwilę porozmawiamy? – Próbowała zapanować nad sytuacją.

Z chodzenia po garażach i oglądania karetek Artur mógł zrobić jedynie parę przebitek. Nie było co liczyć na dynamiczny i ciekawy materiał nadający się do emisji.

– No dobrze. – Żelichowski wrócił do biurka z miną zawiedzionego chłopca, któremu matka kazała wrócić do stołu, mimo że miał już w ręku wiaderko i łopatkę. – Porozmawiajmy. Co panią interesuje? Na czym będzie chciała się pani skupić?

Anka przez chwilę pożałowała, że nie dała się Żelichowskiemu najpierw wybiegać. Zamiast prowadzić kurtuazyjną rozmowę, zadał jej pytanie, na które sama chciałaby znać odpowiedź. Joanna nie przekazała jej jeszcze wytycznych programu. Nie wiedziała więc, na czym ma się skupiać, a co odpuszczać. Jednego jednak była pewna – w pytaniu „na czym będzie się chciała pani skupić” uwagę skupiało „chciała”. Anna Rogozińska nie chciała. Ani się skupiać, ani prowadzić tej rozmowy, ani tym bardziej jeździć w karetce.

– Na waszej pracy, oczywiście! – Zaśmiała się, by przykryć zakłopotanie. – Tak naprawdę ciekawa jestem, co będę mogła tu zobaczyć.

– Byłem ratownikiem piętnaście lat i proszę mi wierzyć, że z tego, co się naoglądałem, wyszłyby nie jedna dobra książka...

* *

Renata Rogozińska nałożyła sobie na talerz sałatkę warzywną, przygotowała kromkę chleba z masłem i pomaszerowała do pokoju.

Postawiła talerzyk na stoliku, sięgnęła po pilota i uruchomiła telewizor. Szybko przeskakiwała między kanałami, żeby z reżimowej telewizji, w której zwykle przed południem oglądała powtórkę swojego ulubionego serialu, przełączyć się na Primo TV.

Jej jedyna córka, Ania, wróciła właśnie do pracy, po przerwie spowodowanej zatruciem dopalaczami. Jako matka kibicowała córce od zawsze. Teraz

z niecierpliwością czekała, kiedy Ania po raz pierwszy po chorobie zaprezentuje się na ekranie.

– W Poznaniu doszło do nieprzyjemnego incydentu, o szczegółach opowie Joanna Semczuk.

Renata przestała jeść, by uważnie przyjrzeć się dziennikarce. To nie jakaś tam Joanna a Anna, jej córka, powinna przedstawiać wydarzenia z Poznania! Czarnowłosa harpia pojawiła się na ekranach Primo TV podczas choroby Ani, a Renata modliła się co wieczór, żeby zbyt długo się nie utrzymała.

– Jesteśmy przed szpitalem, do którego trafił pobity Syryjczyk. To ten sam mężczyzna, którym wczoraj na lotnisku Ławica zajęli się antyterrorysty. Przypomnijmy jedynie, że podejrzewano, iż zamierza on wysadzić samolot lecący do Londynu. Czy pobicie jest efektem niezadowolenia tych, na polecenie których działał, czy jedynie zwykłym zbiegiem okoliczności? Postaramy się to ustalić.

Dziennikarka wypowiadała kolejne słowa, ale Renata wcale nie miała ochoty jej słuchać. Sięgnęła po telefon i wybrała numer córki.

– Halo? Aneczko?

– Cześć, mamó.

– Oglądam właśnie telewizję i jestem oburzona! Dlaczego to nie ciebie widzę na ekranie?

– No wiesz, jak to jest. Dopiero wróciłam, muszę odzyskać siłę rozpędu i znaleźć dobry temat.

– Zawsze mówiłaś, że dobre tematy leżą na ulicy, wystarczy tylko po nie sięgnąć. Na przykład ten z tym niedoszłym zamachowcem. To ty, kochanie, powinnaś o tym opowiadać, a nie ta czarna harpia!

– Czarna harpia?

– Proszę cię, przecież ta dziewczyna wygląda okropnie! Jest młodsza od ciebie, ale ma dużo gorszą dykcję. Nie powinni jej puszczać przed kamery.

– Mówisz o Joannie?

– Tak. Opowiada właśnie o jakimś pobitym cudzoziemcu, co chciał wysadzić samolot. Boże, ostatnio tyle cudzoziemców się wszędzie kręci. Wyobraź sobie, że nawet na naszym osiedlu! – Renacie zabrakło tchu. – Wprowadził się taki jeden, jak nic terrorysta. Omijam go szerokim łukiem, ale jak coś będzie chciał wysadzić, to mój dom też pewnie na tym ucierpi. Córciu, uważaj tam w tym Poznaniu na siebie...

Nie знаła nikogo, kto działałby na nią tak irytująco, jak jej własna matka. Zwykle dzwoniła w najmniej odpowiednim momencie. Zawsze ze sprawami niecierpiącymi zwłoki, przynajmniej z jej punktu widzenia. Zawsze przeciągała rozmowę w nieskończoność, jakby zależało jej na zwycięstwie z powodu wycieńczenia przeciwnika.

Tym razem nie było inaczej. Anka wyszła właśnie z wanny i, mimo że nie zdążyła się jeszcze ubrać, odebrała telefon. Znała swoją matkę i teoretycznie mogła domyślać się ciągu dalszego, ale zawsze gdzieś z tyłu głowy czaiła się myśl, że może coś się stało, a matka dzwoni.

– Ta dziewczyna naprawdę się nie nadaje. Powiedz o tym swojemu szefowi. Przecież ona tam przysłała tylko po to, by zastąpić cię podczas choroby. Teraz ty wróciłaś, a ona powinna usunąć się w cień. Ta dziewczyna jest jeszcze zbyt młoda na robienie kariery w telewizji. Powinna, tak samo jak ty, odczekać kilka lat.

– Mamo, muszę już kończyć.

– A kiedy do mnie przyjedziesz? Sałatkę zrobiłam pyszną, mam dla ciebie kilka słoików. Mięso pieczone. Buraczki. Wszystko, co lubisz.

– Nie wiem, mamo. Przed chwilą wyszłam z wanny i jest mi zimno. Muszę kończyć.

– Jezus Maria, to ty marzniesz i nic nie mówisz? A ubierasz się ciepło, bo jesień jest taka zdradliwa, niby słońce świeci, młodzież chodzi w krótkich rękawkach, ale jak wiatr zawieje, to można sobie przeziębic pęcherz!

– Mamo!

Po kilku irytujących uwagach matka zakończyła połączenie, a Anka w błyskawicznym tempie wskoczyła w dres i usiadła przed telewizorem.

Wiadomości w Primo TV już się skończyły, musiała więc zajrzeć do Primo VoD.

– Lekarze określają stan Syryjczyka jako stabilny. Jego prawnik utrzymuje, że było to pobicie na tle rasowym, a winni zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Podobnie jak służby, które siłą wywlekły jego klienta z samolotu.

Joanna opowiadała głupoty, ale cholernie dobrze prezentowała się na ekranie. Była młoda, fotogeniczna i szczupła. Kamera każdemu dodawała kilka kilogramów, ale ona nadal wyglądała na szczupłą. To chyba wkurzało Ankę najbardziej. Sama miała trochę zbyt szerokie biodra i w pełnych ujęciach sylwetki wyglądała niezbyt korzystnie.

Nie lubiła Joanny. Intuicyjnie czuła, że jest między nimi coś więcej niż tylko zawodowa rywalizacja. Dziewczyna właściwie weszła na jej miejsce – początkowo miała być zastępstwem, ale chyba zbyt dobrze poczuła się w skórze Anny, żeby

odpuszczać. Oprócz młodości i świeżości miała jeszcze jedną przewagę: zdobyła coś więcej niż sympatię Grabowskiego i wcale tego nie ukrywała.

* *

Alina Czerny zmierzała w stronę kamienicy i przeklinała swój brak asertywności. Dotychczas ulicę Kilińskiego kojarzyła jako papierową teczkę z numerem dwadzieścia jeden, zawierającą spis lokatorów i rzędy liczb.

Kontaktowała się z najemcami regularnie, informując ich o kolejnych podwyżkach, planowanych remontach czy zaległościach czynszowych. Łączyła nazwiska z metrażami i piętrami, na których znajdowały się kolejne mieszkania. Pamiętała o tym, że samotna Rynarzewska mieszka na trzecim, a naprzeciwko niej żyje rodzina Piątkowskich, która zawsze zaokrąglła płatności w dół. Zamiast trzysta pięćdziesiąt dwa czterdzieści osiem groszy przelewa na konto właściciela trzysta pięćdziesiąt złotych.

Teraz Alina miała okazję przekonać się, jak wyglądali ludzie, do których co miesiąc wysyłała wezwania do zapłaty. Gdyby była bardziej asertywna, wytłumaczyłaby szefowi, że to nie wchodzi w zakres jej obowiązków służbowych, że wieczorne wizyty u obcych ludzi mogą się źle skończyć. Zwłaszcza jeśli trafi się w sam środek libacji.

Szef jednak był tak zdeterminowany polepszeniem ściągальności czynszów, że gadał jak katarynka. Pani Alinko to, pani Alinko tamto.

– Pani Alinko, trzeba porozmawiać z tymi ludźmi. Bo to nawet nie chodzi o to, żeby nagle wyskoczyli z gotówki, ale żeby wiedzieli, że będziemy ich nękać, że nie akceptujemy takiego stanu rzeczy. Że trzeba płacić, a nie unikać.

Chciała odpowiedzieć szefowi, że przecież nie jest komornikiem, a jedynie administratorem. Sprawdza stan konta, wysyła pisma o podwyżkach i czasem wysłuchuje skarg najemczynie spod piątki.

– Pani Alinko, musimy zrobić wszystko, żeby w krótkim okresie zwiększyć ściągальność zaległości. Taką mam umowę z właścicielem kamienicy. Pani Alinko, pójdzie tam pani dziś...

Nie mogła zaprotestować, więc szła, zastanawiając się, dlaczego w wypowiedziach szefa „musimy” z naciskiem na „my” zmieniło się błyskawicznie w „pójdzie tam pani dziś”. A później została poklepana po ramieniu i niemalże wypchnięta z gabinetu.

– Czego? – Głos w domofonie był odpychający i opryskliwy.

– Dobry wieczór, administracja – odpowiedziała niepewnie.

Zadzwoiła pod dwójkę. W mieszkaniu, zgodnie z dokumentacją, powinna zamieszkiwać Patrycja Gołębowska i trójka jej dzieci.

– O co chodzi?

– Wpuści mnie pani?

Alina za dobrą kartę przyjęła najpierw zwolnienie blokady zamka, a później otwarcie drzwi. Pomyślała nawet, że szef powinien być z niej jutro zadowolony.

– Pani z administracji? – zdziwiła się stojąca w drzwiach kobieta, o włosach unikających kontaktu z grzebieniem od przynajmniej kilku tygodni.

– Tak, Alina Czerny, mogę wejść?

– Proszę.

Kobieta odsunęła się od drzwi na tyle, żeby Alina weszła do przedpokoju. W mieszkaniu panował zaduch.

Długi korytarz z obu stron wypełniony był szafami, co sprawiało wrażenie, że ciąg komunikacyjny jest tak wąski, iż korzystać z niego może tylko jedna, na dodatek niezbyt masywna osoba.

– Ja wiem, pewnie przyszła pani w sprawie płatności. Ja przepraszam, zapłacę.

– Pani Gołębowska, wysłaliśmy do pani kilka wezwań, także to przedsądowe. Naprawdę chce pani, żebyśmy ją eksmitowali?

– Nie, nie, oczywiście, że nie. Ja mam dzieci. Zapłacę.

– Kiedy?

Mieszkanina zapachów stawała się nie do wytrzymania. Alinie trudno było stwierdzić, czy zapachem przetrawionego alkoholu przesiąknięte jest całe mieszkanie, czy też woń wydobywa się ze stojącej obok kobiety.

Na korytarzu pojawiło się raczkujące dziecko ubrane w rajstopy i poplamioną bluzkę. W rękach trzymało foliową torbę. Usiadło w rogu i, mamrocząc coś pod nosem, zaczęło bawić się w zakładanie i ściąganie torby z głowy. Matka nie zwracała na nie żadnej uwagi.

– Zapłacę.

– Kiedy?

– Pani kochanieńka, za chwilę. Byłam sama, bez pracy, tylko z zasiłkiem, ale teraz już wszystko wróciło do normy.

– Znalazła pani pracę? Możemy umówić się na spłatę zaległości w ratach...

Alina chciała jak najszybciej ustalić cokolwiek, czym będzie mogła pochwalić się jutro szefowi. I co pozwoli jej wyjść na świeże powietrze.

– Zapłacę.

– Gdzie pani pracuje?

– Mówiłam, że nie mam pracy.

– Mówiła też pani, że wszystko już wróciło do normy.

– Tak. Teraz już wszystko będzie dobrze. Mój facet wrócił. Na dniach znajdzie pracę i będziemy mieli kasę. Zapłacę, na bank zapłacę. W ratach, po trochu, ale wszystko spłacę. I więcej zaległości nie zrobię. Teraz już wszystko będzie dobrze.

* *

– Przebieraj się!

Łukasz pojawił się w mieszkaniu Anki bez uprzedzenia. Leżała na kanapie i oglądała telewizję, a on nagle stanął obok niej.

Przestraszyła się, bo już prawie zapomniała, że w przypiływie wdzięczności podarowała mu któregoś dnia klucze do swojego mieszkania. Potraktował to chyba bardziej jako kolejny etap związku niż zwykle udogodnienie. Ona na myśli miała raczej wygodę. Bywał u niej niemal codziennie. Wychodził do sklepu i wracał. Szedł wyrzucić śmieci i wracał. I za każdym razem dzwonił domofonem, a później pukał do drzwi. Nie chciała ciągle odrywać się od swoich zajęć, stąd decyzja o kluczach.

Przyjął je z takim uśmiechem, jakby co najmniej się mu oświadczyła. Na tłumaczenia o wygodzie machnął ręką, jakby jedynie miały stanowić zasłonę dymną dla jej nieśmiałości. A ona momentalnie pożałowała swojej spontanicznej decyzji.

– Przebieraj się – powtórzył.

– Ale po co?

– Wychodzimy!

– A co ci się nie podoba w moim dresie? – Nastroszyła piórka.

Nie miała ochoty ani na wyjście, ani na wykonywanie poleceń jakiegoś faceta. Za oknami było już całkiem ciemno, a w telewizji leciał jakiś serial.

Łukasz stał oparty o framugę. Jak zwykle zabawił się modą i odważnie zestawiał kolor spodni i bluzy. Anka nie zawsze rozumiała te zestawienia, ale nie mogła odmówić mu odrobiny uroku osobistego. Zwłaszcza dzisiaj, kiedy tak odważnie forsował swoje zdanie. Zwykle zachowywał się w stosunku do niej jak empatyczny przyjaciel. Dzisiaj prezentował twarz zdecydowanego mężczyzny.

– Dres jest uroczy i jeśli będziesz się w nim dobrze czuła na mieście, proszę bardzo. Pięknemu we wszystkim jest pięknie. Rusz się, idziemy.

– Ale dokąd?

– Do kina.

– A po co? Późno jest, miałam... – Chciała wspomnieć o ciężkim dniu, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Wiedziała, jaki byłby ciąg dalszy. Otoczyłby ją ramieniem i zaczął dopytywać o szczegóły. Miała dość jego opiekuńczości. – Miałam inne plany.

– Plany są po to, żeby je zmieniać. Idziemy do kina. Dostałem z redakcji podwójne zaproszenie na przedpremierowy pokaz „Ostatniej rodziny”.

Broniła się jeszcze przez chwilę, ale w końcu skapitulowała. Intrygowała ją rodzina Beksińskich, o której miał opowiadać film, a kino wydawało się bezpieczną opcją. Nie będą musieli zbyt dużo rozmawiać. On nie zapyta o to, jak minął jej dzień. Ona nie będzie musiała silić się na uprzejmości.

Zmieniła dres na coś bardziej odpowiedniego, pociągnęła rzesy maskarą i po piętnastu minutach wyszli.

* *

Mimo zbliżającej się północy Stary Rynek nadal tętnił życiem. Ogródki wypełnione były ludźmi i głośnymi rozmowami, elewacje kamienic przepięknie prezentowały się w żółtawym świetle, a rozłożone parasole zapewniały siedzącym nie tylko bezpieczne schronienie przed ewentualnym deszczem, ale i złudną nadzieję, że resztki lata da się jakoś zatrzymać.

Pod pręgierzem nadal stali pojedynczy ludzie czekający na swoje drugie połowy. Noc się dopiero rozkręcała. Z klubów dobiegały urywki aktualnych przebojów, a upojeni alkoholem imprezowicze rozpoczęli już kołędowanie między modnymi miejscami, jakby uważali, że bawiąc się w jednym miejscu coś tracą.

– Usiądźmy w środku – zaproponował Łukasz, ale nie czekał na reakcję Anki. Pchnął ją w kierunku wejścia do lokalu.

Gdyby usiedli na zewnątrz, może byłoby milej i widzieliby tych wszystkich roześmianych ludzi i mieniący się kolorowymi światłami rynek. Jednak istniało ryzyko, że z powodu chłodu Anka bardzo szybko chciałaby wracać.

Już po filmie próbowała powiedzieć mu, że jest zmęczona. Znał ją jednak nie od dziś, ale właśnie dziś wykorzystał wiedzę na jej temat. Po filmie była na tyle wzruszona, że nawet nie protestowała, kiedy wpakował ją do samochodu, a później do knajpy.

Nie czekał na kelnerkę. Podeszedł do niej i zamówił gorącą czekoladę dla

Anki, a dla siebie herbatę.

– Jakie miłe zakończenie trudnego dnia – zagał, kiedy wrócił do stolika.

Anka była zamyślona.

– Miałem dziś masakrę w redakcji. Kolega się rozchorował i biegałem wte i wewte, załatwiając swoje i jego tematy.

Zaczął opowiadać o kryminalnych sprawach, o których pisał dla gazety, a twarz Anki się rozpogodziła. W końcu wróciła do niego myślami. Działał z pełną premedytacją, a ona podążała za nim. Nie mógł tego zaprzepaścić. Skupił się na opowiadaniu o pracy, na reportażu, nad którym pracował, redakcyjnych gierkach i niespodziewanych wyzwaniach.

Chłonęła każde jego słowo z taką uwagą, że przestał się skupiać na przechodzących obok nich ludziach, na studentach siedzących nieopodal i na kelnerce, która zbyt długo nie pojawiała się z zamówionymi napojami.

– Zazdroszczę ci. Ja po powrocie do pracy czuję się odsunięta.

Otworzyła się w końcu, a on z radości poczuł ochotę na szota. Wszystko szło zgodnie z jego oczekiwaniami. Spędzali miło czas, rozmawiali ze sobą i za chwilę, zgodnie z jego planem, mieli przejść do tematu, który go męczył.

Mieszkanie. Wspólne mieszkanie. Odkąd dostał od niej klucze, zaczął się zastanawiać, czy może już wykonać kolejny krok. Chociaż nie. Nie zastanawiał się, czy może go wykonać, bo tego był pewien. Nie wiedział tylko, jak się do tego zabrać.

Skoro miał swoje klucze, chciał też mieć szczoteczkę do zębów, półkę w szafie i stałe miejsce w łóżku. Nie chciał wieczorami wracać do siebie. Płacić za wynajem mieszkania, które właściwie przez dziewięćdziesiąt procent czasu stało puste.

– To tylko chwilowe. Wiesz, upewnią się, że jesteś już w pełni gotowa zawodowo i znowu będziesz miała wolną rękę.

– Wolną rękę to ma teraz ta nowa. – Anka przewróciła oczami.

– Masz na myśli tę czarnulę, Joannę? Przecież ona jest beznadziejna! Spotkałem się z nią dziś przed szpitalem. Zbierałem informacje o tym Muhamedzie, nazwiska nie pamiętam. No wiesz, tym facecie, który został pobity pod blokiem.

– Tym, którego wyprowadzili z samolotu?

– Dokładnie.

– Rozmawiałam z nim po tej akcji na lotnisku.

– No to jesteś ode mnie lepsza. Mnie nie udało się z nim pogadać. Po pierwsze facet był nieprzytomny, a po drugie wejścia do niego bronił adwokat.

– Adwokat? – W oczach Anki pojawił się błysk, a Łukasz od razu zrozumiał, że właśnie przegiał i miła atmosfera, stwarzająca szanse na poruszenie ważnych prywatnych tematów, właśnie minęła. – Która godzina? Na pewno nie ma go przy

Muhamedzie przez całą noc.

ROZDZIAŁ 3

Wiktor zmierzał do swojego gabinetu.

Lśniące nowością buty idealnie komponowały się z podłogą, po której stąpał. Zarówno elewacja, jak i wnętrze budynku prokuratury robiło odpowiednie wrażenie. Jasne ściany, podłogi na wysoki połysk, piękne drzwi, klamki – wszystko to sprawiało, że każdy przybyły mógł poczuć się przytłoczony.

Nie atakował go przepych, ale surowy w formie, oszczędny w szczególe i konsekwentnie dopracowany wystrój, stanowiący idealne preludium spotkania z każdym z prokuratorów.

Byli do siebie podobni. Elegancy i zasadniczy. Podejrzewał, że wszyscy rano, w drodze do swoich gabinetów, przeglądali się najpierw lustrach stanowiących część wystroju windy, a później śledzili swoje kształty odbijające się w podłodze.

– Dzień dobry. – Kiwnął głową do spotkanego na korytarzu Pawła Szymańskiego, naczelnika wydziału.

– Zostawiłem panu na biurku akta nowej sprawy – odpowiedział przełożony.
– Powinna się panu spodobać. Gwarantuję zainteresowanie mediów.

Wiktor odprowadził przełożonego wzrokiem, poczekał, aż tamten zniknie w windzie i dopiero wtedy wszedł do swojego gabinetu. Nie zdążył za sobą zamknąć drzwi – przeciąg zrobił to za niego.

Z odgłosem drzwi uderzających o framugę automatycznie wróciło wspomnienie wczorajszej rozprawy.

Po ogłoszeniu wyroku Bagiński wpadł w furję i wywrzeszczał mu w twarz:

– I już, kurwa, leżysz, Braun!

Nie odpowiedział. Nigdy nie wdawał się w dyskusję z oskarżonymi, zwłaszcza po wygranym procesie. Na początku kariery uśmiechał się tryumfująco, ale dość szybko nauczył się kontrolować emocje.

Jego wygrana była przecież nie tylko jego osobistym sukcesem, ale przede wszystkim zwycięstwem sprawiedliwości. Oskarżony złamał zasady współżycia społecznego, naruszył przepisy kodeksu karnego i w związku z tym powinien być gotowy na poniesienie odpowiedzialności.

Jeśli nie był... Jeśli liczył na to, że jakoś się wywinie... Jeśli prokurator stanął mu na drodze do uzyskania najniższego wymiaru kary... Pretensje i tak powinien mieć tylko do siebie. Naruszenie zasad wiąże się z karą.

Tak uważał Braun.

Pracę starał się zostawiać w pracy, a życia prywatnego właściwie nie miał. Był w zawodzie od tylu lat, nasłuchiwał się różnego rodzaju grózb, ale nie odczuwał już zagrożenia.

– Człowiek jest w stanie przyzwyczać się do wszystkiego – powtórzył to, co zwykle zamykało jego rozmyślenia na temat grózb.

Zamknął okno i usiadł przy biurku. Miał niewiele czasu, bo o dziewiątej trzydzieści powinien pojawić się w sądzie.

Na samej górze stosu postępowań, które prowadził, leżała nowa teczka. Domyślił się, że to właśnie muszą być akta dotyczące sprawy, o której wspominał naczelnik. Zajrzał do nich z ciekawości. Chciał wiedzieć czego dotyczą.

– Pobicie cudzoziemca? – zdziwił się.

* *

– Ciekawe, co nas dzisiaj ominie?

– Co masz na myśli?

Artur wyglądał na zupełnie nieobudzonego. Owszem, nie miał już na sobie pidżamy, tylko dzinsy i kurtkę, ale jego rozluźniona twarz zdradzała, że wstał z łóżka co najwyżej kwadrans temu.

– Zamachy, pobicia, afery polityczne, protesty. Mój drogi, tyle się dzieje w naszym cudownym kraju! Powinniśmy biegać z kamerą i wywieszonymi językami i filmować te wszystkie wynaturzenia.

– Co mnie obchodzą jakieś wynaturzenia? Spójrz, kobieto, jaką piękną mamy jesień. Liście mają w sobie tyle kolorów, drzewa zaczynają być gołe. Czujesz zapach mijającego lata? Słyszysz szelest liści, które deptasz, spacerując chodnikiem? Widzisz ptaki, które szykują się do długiego lotu?

– Kurwa, Artur! – Anka z wrażenia aż przysiadła na masce swojego samochodu.

Spotkali się na Rycerskiej. Ulicy, która latem przypominała raczej park niż miejską przestrzeń. Nagromadzenie zieleni było tu imponujące. Zadbane trawniki, krzewy i drzewa. To one oddzielały bloki od ulicy i sprawiały wrażenie idealnej przestrzeni nadającej się na pierwszy romantyczny spacer.

– Ty się dobrze czujesz? – spytała z troską. – Byłeś wczoraj na randce z żoną czy masz atak starczej ślepoty? Rozejrzyj się dookoła! Jeszcze kilka dni temu jakoś to wyglądało, a teraz? Łyse drzewa, bure bloki, zaśmiecone liśćmi ulice... Jak dla mnie to kwintesencja nagości. Ale wiesz, nie takiej w wydaniu hollywoodzkim, gdzie masz sto dubli, i *make-up* na tyłku, byleby tylko wszystko wyglądało wystarczająco idealnie, tylko francuskiej... Do bólu naturalistycznej.

– Do bólu naturalistycznej tak jak w „Intymności” Patrice Chéreau?

– Dokładnie.

– Świetny film i rzeczywiście masz trochę racji.

– Więcej niż trochę. Artur, jesień jest beznadziejna. Te wszystkie liście i łyse drzewa informują nas, że wszystko, co dobre, właśnie minęło.

– Ale wróci...

– Ja nie mogę! – Skapitulowała, widząc nostalgiczne spojrzenie operatora. – Nadajemy dzisiaj chyba na dwóch różnych częstotliwościach. Chodźmy już na to szkolenie z pierwszej pomocy, bo zaraz zmusisz mnie do rękoczynów.

* *

Anka klęczała na podłodze. W niewielkiej sali panował porządek, a na regale znajdującym się za jej plecami leżały medyczne akcesoria, na które nie chciała zwracać uwagi. Spojrzała na nie tylko raz i wróciły wspomnienia. Wypychane z pamięci przebłyski z nocy, kiedy to wieziono ją karetką do szpitala.

– Pierwszą pomoc należy podjąć możliwie jak najszybciej. U pacjenta nieprzytomnego należy ocenić, czy oddycha. Aby to zrobić, najpierw musimy udrożnić drogi oddechowe, na przykład rękoczynem czoło-żuchwa. Następnie przykładając policzek nad jego usta, obserwujemy jednocześnie, czy unosi się jego klatka piersiowa. Oddech oceniamy przez dziesięć sekund. Układ oddechowy, krwionośny i nerwowy są od siebie zależne. W momencie, w którym którykolwiek z tych układów zostanie uszkodzony, u poszkodowanego może dojść do stanu zagrożenia życia. Mózg potrzebuje dużo tlenu i jest bardzo wrażliwy na jego niedobory. Przy braku dostawy tlenu mówi się o książkowych czterech minutach, po upływie których komórki kory mózgowej mogą zacząć obumierać. Książkowych, bo w praktyce czas ten może ulec zmianie. – Kobieta, której nazwiska dziennikarka nie usłyszała, kontynuowała przydługi teoretyczny wstęp: – Zależne jest to od wielu czynników, nie będę może o nich teraz

opowiadać. Istotne jest jednak to, że czas po którym niedotleniony mózg zaczyna obumierać, może ulec zarówno wydłużeniu, jak i skróceniu. Jeśli więc z czterech minut zrobią się trzy, a uszkodzona kora mózgowa oznacza problemy ze świadomością człowieka, to oznacza, że do wykonywania czynności z zakresu resuscytacji krążeniowo-oddechowej trzeba przystąpić jak najszybciej. Nie muszę chyba wspominać, że właśnie na zewnętrznej warstwie mózgu znajdują się rejony czuciowe, ruchowe i kojarzeniowe? Jeśli upłynie zbyt dużo czasu, może się zdarzyć, że czynności życiowe zostaną przywrócone, ale mózg zostanie trwale uszkodzony.

Ania nie przerywała. Wiedziała, że później przytnie to wszystko tak, żeby już w pierwszej minucie widz nie poczuł się znudzony i nie sięgnął po pilota z zamiarem zmiany kanału.

O jakość materiału się nie martwiła. Artur przemieszczał się po sali z miną wniebowziętego chłopca. Ania знаła to spojrzenie. Wiedziała, że zauważył to, co dla oka laika było niewidoczne. Jakieś drugie dno, walkę dwóch sił, ciekawe zestawienie kontrastów.

Obie, wraz z prowadzącą szkolenie, pochylały się nad poszkodowanym. Fantom miał jedynie klatkę piersiową i twarz, tak obojętną, że trudno byłoby sobie wyobrazić, że jest człowiekiem.

Artur zrobił długie zbliżenie na fantoma, a Anka nie wytrzymała:

– To może przejdźmy do konkretów?

– Jeżeli upewniliśmy się, że poszkodowany i wszyscy świadkowie zdarzenia są bezpieczni, musimy sprawdzić reakcję poszkodowanego. W tym celu najpierw sprawdzamy przytomność. Poszkodowanego trzeba dotknąć. – Kobieta położyła ręce na fantomie. – Najlepiej potrząsnąć za ramiona i zapytać: halo, słyszy mnie pan?

Potrząśnięty fantom nie odpowiedział, ale za to Anka poczuła się wstrząśnięta. Kilka chwil wcześniej zdążyła oswoić się z myślą, że musi nakręcić ten materiał, i że jakoś się zbierze i da radę. Teraz przyglądała się kobiecie z szeroko otwartymi oczami.

Nie wyobrażała sobie tego, że podejdzie do obcej osoby i ot tak naruszy jej i swoją granicę przestrzeni osobistej.

– Poszkodowany może być pijanym mężczyzną, kobietą w ciąży, dzieckiem albo bezdomnym...

Stan upojenia alkoholowego, płęć, wiek – to wszystko nie miało dla Anki żadnego znaczenia. Nie miała ochoty dotykać obcych. Nie miała ochoty na takie wyzwanie zawodowe. Przekraczało to jej możliwości. Gdyby wiedziała, że propozycja zarządu Primo TV wiąże się z koniecznością obcowania – nie tylko obserwowania – zaprotestowałyby. Głośno i wyraźnie. Rzuciłaby na biurko Grabowskiego wypowiedzenie i poszłaby pracować gdzie indziej. Chociażby na

kasie w markecie.

* *

Siłą rozpędu z sali, w której otrzymali podstawową wiedzę o pierwszej pomocy, przemieścili się do pokoju, w którym urzędował Wiesław Wrzeszcz. Mężczyzna miał przybliżyć im zasady BHP, żeby uniknąć sytuacji, w której Anka albo Artur złamią sobie nogę, wchodząc do karetki.

Artur zdawał sobie sprawę z tego, że szkolenie z zasad bezpieczeństwa i higieny pracy będzie jedynie formalnością. Wyłączył więc kamerę, postawił ją na ziemi i usiadł na krześle obok Anki.

– Nazwisko? – spytał mężczyzna, nie odrywając głowy znad pliku druczków.

– Anna Rogozińska i Artur Lipiec – odpowiedziała Anka.

Operator mógł się wyłączyć i skupić się na oglądaniu pokoju, w którym siedzieli. Wiedział, że Anna poprowadzi za niego rozmowę, a w razie potrzeby mało subtelnie szturchnie go w bok.

– Rogozińska? Pani jest z TYCH Rogozińskich?

– Tych, to znaczy jakich?

– Tych znanych z Poznania, co to ojciec Rogoziński miał majątek w postaci ziemi, wszystko sprzedał i wyjechał do Warszawy robić karierę w telewizji?

– No nie, niestety nie z tych.

– Ale przecież pani jest z telewizji? Będzie pani kręciła u nas swój program?

Artur nie słyszał kolejnych pytań. Na regale przy drzwiach stał radiomagnetofon. Z radością zauważył, że to stary Kasprzak. Też kiedyś miał takiego u siebie w domu. Z głośnika płynęła muzyka, idealnie pasująca do klimatu tego miejsca. Aż pożałował, że nie włączył kamery.

Starszy mężczyzna, ubrany we wzorzystą jedwabną koszulę rodem z lat osiemdziesiątych, pieczołowicie wypełniał kolejne rubryki formularza, jakby od tego zależało życie co najmniej tuzina osób. Jego biurko nie różniło się niczym od biurka tysięcy pracowników biurowych, ale stojące na regale radio i płynąca z niego muzyka tylko wzmacniały klimat skostniałej instytucji.

Najpierw Lambada w oryginalnym wydaniu zespołu Kaoma, a później niski, zmysłowy kobiecy głos. Artur przez chwilę szukał w pamięci nazwiska wokalistki. Pamiętał jej wygląd, ciemne włosy, ciemną oprawę oczu oraz gitarę.

– Artur!

Szturchnięcie w bok sprawiło, że przełączył się na odbiór rzeczywistości, jednocześnie odnajdując nazwisko piosenkarki. Tanita Tikaram. Nie pamiętał, kiedy słyszał ją po raz ostatni, ale była na tyle charakterystyczna, że nigdy nie zlała mu się w jedno z innymi popowymi artystkami.

– Artur! – Anka ciągnęła go za rękaw, podsuwając pod nos swój telefon komórkowy.

– Jadę na Marcinkowskiego. Podobno karetka wjechała w przejście dla pieszych. Stan uszkodzonego jest ciężki, nie wiadomo, czy przeżyje. Dołączysz?

Odczytał treść wiadomości, ale nie bardzo zrozumiał, o co chodzi.

Wziął telefon do ręki i jeszcze raz na niego spojrzął. Nadawcą był Łukasz.

– *Time to risk a life, a life, a life* – śpiewała Tikaram, a Wrzeszcz przybijał pieczętki.

– Artur, zbieraj się. Panie Wiesławie, my musimy już iść, wrócimy po dokumenty później.

* *

– Bierz wszystko, co jest zakrwawione, selekcję zrobimy potem. – Anka rzuciła komendę i wybiegła z samochodu Artura, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Swoje auto zostawiła na Rycerskiej. Wiedziała, że Artur sprawdza się lepiej w sytuacjach, w których potrzebna jest szybka reakcja, ciężka noga i magiczne umiejętności związane z parkowaniem w bezpiecznych miejscach.

Na siebie nie mogła liczyć. Zawsze kiedy zobaczyła miejsce zdarzenia, włączała się w niej funkcja niezwłocznej konieczności rozmawiania z obecnymi na miejscu ludźmi, poczynając od uszkodzonych, przez świadków, kończąc na funkcjonariuszach. Wyskakiwała wtedy z samochodu, nawet jeśli siedziała za kierownicą, biegła przed siebie i zapominała o wszystkim, łącznie z uruchomionym silnikiem.

– Cholera – warknęła pod nosem, gdy truchtem zbliżała się do przejścia dla pieszych. Przeskoczyła przez policyjną taśmę i chciała podejść jak najbliżej ciała leżącego na ziemi. Obejrzała się za siebie, chcąc ustalić, czy Artur dotrzymuje jej kroku. Był jakieś pięć metrów za nią.

– Chwileczkę! – Kilka centymetrów przed dziennikarką pojawił się mężczyzna.

Nie zdążyła się zatrzymać. Z całym impetem wpadła na policjanta, a jej

twarz dotknęła śliskiego munduru.

– Przepraszam – bąknęła i zrobiła krok w tył. – Primo TV, ja tylko...

– Pani przejdzie za taśmę. – Wskazał jej kierunek, z którego przybiegła.

– Ale...

– Żadnego „ale”.

– Właśnie że jest. Pan utrudnia mi pracę... Rozejrzę się tylko i już wracam za taśmę.

– To pani utrudnia. Koniecznie chce pani, żeby ją odprowadzić? – Jego dłoń zacisnęła się na przedramieniu Anki.

Rozejrzała się. Policyjny technik robił zdjęcia, ale nie na pasach, tylko w karetce. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, a na przedniej szybie była krew. Zaraz za policyjną taśmą stał policjant i notował to, co opowiadała mu wzburzona kobieta w średnim wieku.

– Nie, dziękuję, sama wyjdę. – Poczekała, aż policjant zwolni uścisk, i dała znać przyglądającemu się jej z oddali Arturowi, żeby przemieścił się w pobliże przesłuchiwanej kobiety.

Jeśli chciała zapewnić sobie miejsce w dzisiejszych wieczornych wiadomościach, musiała zatroszczyć się o odpowiednią dawkę emocji.

* *

– Czy wie pani, co się tu wydarzyło?

Kobieta oderwała wzrok od leżącego na pasach czarnego worka i spojrzała w bok.

– Zabili ją – odpowiedziała.

Straciła poczucie czasu. Chwilę wcześniej stała na przejściu dla pieszych i zastanawiała się, czy sportowe buty, które wypatrzyła w sklepie, spodobają się jej córce. Planowała, że przyjdą tu dziś jeszcze raz, zaraz po tym, jak Jagoda wróci ze szkoły. Miały przecież blisko. Musiały pokonać jedynie kawałek chodnika i dwa przejścia dla pieszych.

Czekała, aż czerwone światło zmieni się na zielone. Zamiast tego zobaczyła śmierć.

– Zabili – powtórzyła. – A przecież powinni ratować. Ci z pogotowia!

Opowiadała o tym, co widziała, policjantowi i dwóm lub trzem osobom, które do niej podeszły. Mogła opowiedzieć to jeszcze raz. Obrazy, które zarejestrowała, ciągle odtwarzały się w jej pamięci, a mówienie o tym przynosiło

chwilową ulgę.

– Wypowie się pani do kamery? Jestem z Primo TV.

Wzruszyła ramionami. Może gdyby nie wydarzenia sprzed chwili, ucieszyłaby się zainteresowaniem telewizji. Teraz to nie miało znaczenia.

– Zabili ją – powtarzała, jakby liczyła na to, że w końcu jakoś oswoi się z wypowiedzianymi słowami. – Zabili. Był człowiek i nie ma człowieka.

W zasięgu wzroku pojawił się mężczyzna z kamerą. Odnotowała to, ale i tak nie była w stanie powstrzymać łez. Nie знаła dziewczyny, która właśnie umarła, ale stały tak blisko siebie. I to w takiej chwili. Przecież mogłyby nawet zamienić kilka słów. O pogodzie, ruchu samochodowym albo o kasjerce, która miała śmiesznie piskliwy głos. Obie stały najpierw w tej samej kolejce, a później na tym przejściu. I nawet się do siebie nie uśmiechnęły.

– Proszę powiedzieć, jak to się stało?

– Byłyśmy na przejściu. Ja i ta dziewczyna. Ona przyszła chwilę później. Miała słuchawki na uszach. Było czerwone światło. Karetka jechała tak samo jak inne samochody. Ani szybko, ani wolno. Normalnie. Bez sygnału. Chwilę przed pasami skręciła...Nagle, bez uprzedzenia. Spojrzałam na dziewczynę. Wpatrywała się w światła, to znaczy w ten sygnalizator świetlny. Nie zdążyłam krzyknąć, włączyło się zielone. Dziewczyna weszła na jezdnię, a ja odskoczyłam na bok. To mogłam być ja! Ta karetka mogła zabić mnie... albo moją córkę, z którą chciałam tu dziś przyjść...

* *

Wiktor coraz rzadziej delegowany był do wykonywania takich działań. Tym razem jednak ze względu na medialność wydarzenia otrzymał dyspozycję pojawienia się i przeprowadzenia postępowania w sposób jak najbardziej transparentny. Przełożony uwielbiał wysyłać go na pożarcie mediów.

Dotarł na miejsce zdarzenia. Zaparkował na poboczu i ogarnął wzrokiem zbiegowisko. Między przejściem dla pieszych, na którym doszło do zdarzenia, a marketem sportowym zgromadził się już spory tłum.

Było to o tyle wyjątkowe, że na otwartej przestrzeni poznańskiego Franowa widywał wcześniej jedynie pojedyncze osoby przemierzające się pomiędzy sklepami i swoimi samochodami. Ikea, Obi, Jula, Decathlon, M1 – to one wchłaniały ogromną liczbę klientów, którzy nie mieli pewnie ani ochoty, ani czasu,

ani powodu, by wypuszczać się dalej i spacerować pomiędzy poszczególnymi budynkami.

Nie mieli aż do teraz, kiedy to z prędkością światła rozeszła się informacja, że na Szwedzkiej leży trup. Porzucili więc wózki przepelnione sportowymi akcesoriami, których nigdy nie użyją. Przestali spacerować pomiędzy pozornie idealnie urządzonymi mieszkaniami. Zostawili na stołach talerze ze szwedzkimi klopsikami w sosie pomidorowym. Przybiegli na miejsce zdarzenia, nie zważając na ludzką tragedię, jesienną aurę i napięty plan dnia każdego z nich.

Ludzie jak muchy instynktownie zlatują się do padliny – takie było osobiste zdanie Brauna. Po ich liczbie zwykle próbował oszacować czas zdarzenia. Im więcej gapiów, tym śmierć nastąpiła później.

– Panie prokuratorze, mogę prosić o kilka słów komentarza?

Uprzejmy męski ton sprawił, że Wiktor obrócił się w lewo. Na chodniku stał dziennikarz Nowości, Łukasz Zawodny. Prokurator kojarzył go nie tylko z faktu prowadzenia w gazecie rubryki kryminalnej, ale również z tego, że kręcił się przy Annie Rogozińskiej – dziennikarce telewizyjnej i córce wybitnego prokuratora, który był promotorem Wiktora.

– Nie teraz – odpowiedział, nie zatrzymując się.

Schylił się, by przejść pod policyjnymi taśmami i podszedł do karetki, która stała ukosem na pasach.

Na wysokości przejścia dla pieszych ulica Szwedzka miała trzy pasy ruchu. Dwa były wyłączone z użytkowania, trzecim powoli poruszały się samochody.

Braun z właściwym sobie spokojem przystąpił do wykonywania czynności służbowych. Kilka uścisków dłoni, zorientowanie się, który funkcjonariusz dysponuje lepszymi informacjami, poznanie szczegółów i przyjrzenie się miejscu zdarzenia. To były jego priorytety.

– Panie prokuratorze. – Technik pracujący w karetce skinął głową.

– Dzień dobry. Czy z wnętrza karetki da się zabezpieczyć jakieś ślady biologiczne uciekiniera?

– Działamy, za wcześnie na odpowiedzi.

– Mam nadzieję, że chwycił klamkę lub cokolwiek innego.

– Dam znać, jeśli coś będziemy mieli.

* *

– Co się właściwie wydarzyło?

Anka była w swoim żywiole. Błyskawicznie zapomniała o wszelkich ograniczeniach, dylematach czy niepewnościach. Z pamięci wymazała kilkumiesięczną rehabilitację i obawy związane z wypadnięciem z zawodu. Czuła, że żyje. W końcu przestała tylko wegetować.

– Nie będę wypowiadał się do kamery.

Mężczyzna w czerwonym mundurze ratownika medycznego zasłonił dłonią obiektyw kamery. Anka wiedziała, że Artur tego nie znosił. Włosy stawały mu dęba zawsze, gdy ktoś próbował dotknąć jego sprzętu. Tym bardziej jeśli istniało ryzyko pozostawienia śladów po palcach na obiektywie.

– Dobra, nie ma sprawy. – Dała Arturowi znak, żeby zostawił ich samych. Niemalże od początku współpracy rozumieli się bez słów. – Porozmawiajmy. Tylko my dwoje. Bez kamery.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie.

Od ratownika oddzielała Ankę biało-czerwona taśma policyjna. On stał w centrum wydarzeń, a ona za taśmą, razem z tymi wszystkimi dziennikarzami, którzy zdążyli się już zjechać, i postronnymi ludźmi, którzy głośno dyskutowali o tym, kto był winny. Kierowca karetki, która zmieniła tor jazdy, czy kobieta, która wtargnęła na jezdnię.

– Bo to ty wjechałeś w tę kobietę na przejściu? – prowokowała.

Nie zareagował. Spojrzał na nią jedynie w taki sposób, że wiedziała, że zadawanie kolejnych pytań nie przyniesie jej odpowiedzi. Anka po raz pierwszy pożałowała, że nie prowadzi jeszcze tego programu telewizyjnego, i że nie ma na sobie czerwonego munduru. Stałaby wtedy z zupełnie innej strony i łatwiej byłoby jej namówić mężczyznę na rozmowę.

– Anka? – głos Łukasza zabrzmiał gdzieś z tyłu.

Odwróciła się instynktownie – kiwnęła do niego, a kiedy chciała znowu odezwać się do ratownika, okazało się, że gdzieś zniknął.

– Cześć. – Łukasz cmoknął ją w policzek.

– Cześć. Wiesz coś?

– Tylko tyle, że ofiara zmarła na miejscu, a kierowcę karetki odwieziono do szpitala. Nieoficjalnie jest z nim źle.

– Ale jak? Nie jechali przecież zbyt szybko... Co się stało?

– Nieoficjalnie? Wieźli gościa do szpitala, a ten nagle rzucił się na kierowcę z nożem.

* *

– Co wiemy o sprawcy? – dopytywał Wiktor.

Z właściwym sobie dystansem i chłodem zbierał informacje. Kryminalny Jakub Szukalski jakoś mu nie pomagał. Musiał być nowy w wydziale, bo Wiktor nie miał z nim jeszcze nigdy wątpliwej przyjemności współpracować. Na tyle nowy, że nikt nie zdążył go jeszcze uprzedzić, jaką prokurator ma opinię i czego nie akceptuje w kontaktach między prokuraturą a policją.

– Mamy dwie relacje. Świadek zdarzenia, kobieta, która była na przejściu dla pieszych, jest w szoku. Całkiem się rozsypała. Może jutro jakoś się ogarnie i będziemy w stanie z nią porozmawiać. Na razie wszystkie wspomnienia ukrywają się pod żywym obrazem poturbowanego człowieka. W kółko gada o zabitej dziewczynie.

„Erudyta się znalazł” – pomyślał ze złością Wiktor i ostentacyjnie zerknął na zegarek. Zadał proste pytanie, na które normalni śledczy odpowiadali lakonicznie: biały, wysoki, tatuaż na szyi, spodnie, bluza, kaptur. Tym razem zamiast konkretnych i osamotnionych słów otrzymał pełne zdania, niektóre nawet podrzędnie złożone.

– Sprawca. Interesuje mnie sprawca – powtórzył i postawił kołnierz.

– Kobieta kątem oka widziała, że ktoś wybiega z karetki, nie wie jednak, czy był to mężczyzna czy kobieta. Wydawało jej się, że ta osoba miała na sobie mundur ratownika. Ja nie wiem czy ta baba tak ma, czy to tylko następstwo tego, co zobaczyła. W każdym razie nie polecałbym dziś rozmowy z nią, chyba, że pan prokurator...

– Stop. Panie Szukalski, daleko tak nie ujedziemy. Nie interesują mnie pana osobiste opinie i oceny. Jeśli będzie interesował mnie stan psychiczny świadka, to sam z nim porozmawiam, alternatywnie poproszę psychologa o stosowną ekspertyzę.

– Rozumiem. – Policjant wyprostował się. – O co pan pytał?

– O sprawcę.

Przy przejściu dla pieszych było coraz mniej ludzi. To znaczyło, że minęli punkt krytyczny. Ciało dziewczyny zostało już zabrane. Technicy kończyli pracę. A ludzie jak muchy rozlecieli się na różne strony świata. Nie było już czego oglądać. Nie było na czym żerować.

– Sprawca?

– Tak. Co powiedział ratownik z karetki, w której doszło do ataku?

– Ratownika z ranami kłutymi zabrano do szpitala.

– Drugi ratownik? – Braun nabrał w płuca tyle powietrza, że gdyby nie przytłaczająca świadomość, że będzie musiał współpracować z policjantem przez

jakiś czas, już dawno odfrunąłby jak balonik.

Szukalski sięgnął do kajetu, a Braun wypuścił z siebie powietrze. Pomyślał z nadzieją, że być może ta rozmowa przyniesie jakiś skutek, a policjant nauczy się, że roztrzasać głupoty może z kolegami z pracy, a z nim ma się komunikować w sposób wysoce efektywny.

– Ach, drugi. Maurycy Gawroński wyjaśnił, że otrzymali informację o wyjeździe. Omdlenie, NN, mę... – Policjant przez chwilę przysuwał do twarzy i oddalał od niej swój kajet. – A, już wiem. Mężczyzna, lat czterdzieści pięć. Po przyjeździe pacjent był na miejscu. Przytomny, zgłaszał jednak dolegliwości... – Szukalski spojrzał kontrolnie na prokuratora i zdecydował się nie odczytywać wszystkich notatek – ...i dlatego ratownicy zdecydowali się go zawieźć do szpitala na Szwajcarskiej.

– Rysopis?

– Z tym jest problem. Gawroński pamięta, że facet był zniszczony, chudy i raczej ani wysoki, ani niski.

– Twarz? Znaki szczególne?

– Nos, oczy, usta, uszy. Wszystko w normie. Tak powiedział. I dodał, że nie zapamiętuje twarzy pacjentów.

* *

– No to mamy dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Raczej dwa zdarzenia na jednym miejscu.

– Jak zwał, tak zwał... Cieszę się, że kwitniesz.

Łukasz obserwował Ankę od momentu, w którym wybiegła z samochodu. Rozpięta kurtka, szalik niedbale okręcony wokół szyi, rozwiane włosy. Najpierw zauważył jej fizyczność, a potem to coś, co ją otaczało. Jakby aura. Ogromna chmura pozytywnej energii, przysłaniająca sobą market budowlany za jej plecami.

Nie podszedł jednak do niej wtedy. Daj jej pracować, sam też musiał ustalić kilka faktów. Przyjemności zostawił na później.

– Ja? – Anka jedynie udawała, że się broni.

Była uśmiechnięta i promieniała. Opierała się o samochód Artura i bawiła się włosami.

– Nie udawaj. – Mimochodem dotknął jej ręki.

Przytuliłby ją, ale wiedział, że tego nie lubi.

– Dobra, dobra, nie ściemniaj, moja ulubiona dziennikarko. – Artur przyznał

mu rację i wydmuchał z siebie spory obłok papierosowego dymu. – To co? Wracamy na szkolenie BHP?

– Myślisz, że Wiesiek szkolił też ich? – Anka spojrzała w kierunku karetki. – Mam na myśli tych ratowników, których już tu nie ma.

Zatrzymała wzrok na czymś na tyle długo, że Łukasz poczuł zaniepokojenie. Najpierw przypatrywał się jej twarzy. Na ułamek sekundy pojawił się na niej uśmieszek, a Łukasz od razu dodał dwa do dwóch.

Gdyby wiedział, że to Wiktor Braun pojawi się na miejscu zdarzenia, nie dałby Ance cynku. Nie chciał, żeby się widywali. Nawet przelotem.

– Ratowników? Nie zaglądałem mu do metryki, ale ten Kasprzak na półce świadczy... – Artur roześmiał się głośno i rzucił niedopałek na ziemię. – Myślę, że wyszkolił kilkanaście pokoleń ratowników.

– I pewnie ich szkolenia wyglądały dokładnie tak jak nasze... Dlatego nie zachowali ani zasad bezpieczeństwa, ani higieny pracy...

– Nie oceniaj. Chciałbym ci przypomnieć, droga koleżanko, że nie wiemy jeszcze, co tak naprawdę zaszło w tej karetce.

– Jeszcze! – podchwyciła Anka i wymownie spojrzała w kierunku przejścia dla pieszych.

Łukasz nie mógł tego przeoczyć. Znał ten figlarny ton. I to spojrzenie. Anka miała plan. Wpatrywała się w oddalonego od nich o kilkadziesiąt metrów prokuratora i dokładnie wiedziała, co za chwilę nastąpi. On również. Wiedział też, że nie jest w stanie zrobić nic, co mogłoby odwieść ją od pomysłu, który zakiełkował w jej głowie.

– Kurczę, Aniu... Nie wiem, czy to taki dobry pomysł, żebyś jeździła w karetce. – Złapał ją za rękę. Chciał, żeby na niego spojrzała. Żeby przypomniała sobie, że on jest przy niej i że troszczy się o nią bardziej niż ktokolwiek inny. – Niby masz tylko obserwować, ale, jak widać, zamykanie się z pacjentami w jednym samochodzie nie jest zbyt bezpieczne.

– Luz. – Anka zabrała rękę i zapięła kurtkę. – Jakby co, Artur mnie obroni, prawda?

– Wiadomo. Zawsze i wszędzie. Wracamy? Zimno mi już.

– Tak, mnie też. Lecę, żeby wrzucić materiał jeszcze dziś na stronę i dodać krótkie info do jutrzejszego papierowego wydania. Miło było cię znowu spotkać. – Łukasz uściśnął dłoń Artura.

– Jedźcie, ja wrócę sama. Muszę tu jeszcze załatwić jedną sprawę. – Anka nie czekała na ich reakcję.

Uśmiechnęła się do nich i pospieszyła w kierunku prokuratora.

* *

Patrycja Gołębiowska siedziała na łóżku i wpatrywała się w szafę bez drzwi. Nie pamiętała nawet, od kiedy mebel wyglądał właśnie tak. Jedno skrzydło drzwi zepsuło się lata temu. Nie potrafiła ich naprawić, wkurzyła się więc któregoś dnia, wyrwała pozostałe i wyniosła wszystkie na śmietnik.

Być może gdyby miała wtedy jakiegoś faceta na oku, poprosiłaby go o pomoc. Kupiłaby mu piwo i zorganizowała jakiś śrubokręt. A może przyszedłby ze swoją skrzyneczką z narzędziami? Zabrałaby mu ukradkiem młotek, a kilka dni później powiedziałaby, że go u niej zostawił i musi przyjść go odebrać?

Niestety życie nie układało się po jej myśli. Faceci, którzy raczyli zwracać na nią uwagę, byli niestali w uczuciach. Mówili, że kochają, a potem szybko się wycofywali. Ostatni nawet nie doczekał do porodu. No cóż, wiedziała, że nie jest łatwa przez tą ciężową burzę hormonów, a alkohol działa na nią wtedy jak płachta na byka.

No ale przecież prawdziwa miłość przetrwa wszystko. Tak mawiała jej babka i Patrycja w to wierzyła. Ufała, że ten jeden jedyny nadal jest gdzieś tam na wyciągnięcie ręki. Może go jeszcze nie zauważyła... A może jeszcze nie poznała?

Po każdym mężczyźnie swojego życia miała jakąś pamiątkę. Po pierwszym bliznę na twarzy i dziecko. Po drugim tę cholerną szafę i dziecko. Po trzecim umiejętności topienia smutków w alkoholu. Oraz dziecko. Tak, nie mogła zapomnieć o trzecim dziecku.

Na szczęście dwa klony jej mężczyzn chodziły już do szkoły, były więc na tyle duże, żeby zajmować się trzecim. To dlatego nie czuła wyrzutów sumienia podczas poszukiwań następnego partnera. I tak trafiła na Huberta.

Trafiła to może trochę za dużo powiedziane. Nie widzieli się przecież. Przysłał do niej list. Taki długi i ciepły. Pisał, że pamięta ją ciągle, jej piękne włosy i poczucie humoru. Powtarzał, że zazdrościł Bastkowi tak pięknej kobiety.

Bo przez Bastka – ojca jej pierwszego dziecka – się poznali. Podobno.

Nie pamiętała Huberta. Nie mogła go sobie przypomnieć. Ale zdecydowała się mu odpisać. Więzienie jej nie przerażało. Z listów Huberta wynikało, że odbywana przez niego kara to prawdziwa nauczka. Że zmieniła jego spojrzenie na świat i skruszyła grubego, niepotrzebny pancerz.

Pisał do niej tak piękne listy, że nie mogła się nie zakochać. Pełna nadziei zaproponowała, żeby po wyjściu z więzienia zamieszkali razem. Zgodził się, a kiedy pojawił się w drzwiach jej mieszkania wiedziała, że robi wszystko, by został. Nie był przystojny, ale świadomość posiadania własnego mężczyzny

sprawiała, że czuła się lepsza.

– Mało masz tych ciuchów – zauważyła, gdy wypakowywał z plecaka swoje rzeczy i układał je na półce. Specjalnie zrobiła mu jedną wolną.

– Tak ci się tylko wydaje, bo to ty masz za dużo.

– Ale to nie są tylko moje. Jeszcze dzieci, a one ciągle wyrastają ze wszystkiego.

Dobrze wyglądał w jej mieszkaniu. I był dla niej miły. Z seksem czekali do czasu, aż wyjdzie na wolność. Proponowała mu co prawda ślub w więzieniu, bo wyczytała, że wtedy mogliby spotykać się na „mokrych” widzeniach. Odmówił, tłumacząc, że więzienie jest okropnym miejscem niesprzyjającym rozwojowi miłości. Nie chciał, żeby budowali swoje pierwsze wspomnienia w Zakładzie Karnym w Rawiczu.

Odsiedział wyrok i wyszedł na wolność. Nie musieli już do siebie pisać. Skupili się na poszukiwaniu nowego sposobu komunikacji.

Zamieszkał z nią i jej błędami przeszłości. Musiał nauczyć się je ignorować. A ona musiała przyzwyczać się na nowo do bycia z mężczyzną. Hubert Rozwadowski był niezwykle spokojnym mężczyzną i to bardzo dobrze wróżyło na przyszłość.

* *

– Miło cię widzieć.

– Ciebie również.

Nie mogli wybrać bardziej niezobowiązującego miejsca na rozmowę. Przemieścili się swoimi samochodami na parking pod M1 i spotkali przy środkowym wejściu do centrum. W ciszy pokonali dystans dzielący ich od obrotowych drzwi do znajdującego się na środku ciągu komunikacyjnego kawiarnianego stolika.

Anka przy nim została, a Wiktor podszedł do kasy i zamówił dwie białe kawy.

– Ile czasu minęło od naszego ostatniego spotkania? – spytał, kiedy wrócił z filiżankami.

– Dużo...

– Dużo... – powtórzył.

Kręcący się wokół ludzie nie pomagali w osiągnięciu skupienia. Poza tym zarówno Anka jak i Wiktor czuli się niezręcznie. Mieli ochotę na swoje

towarzystwo, jednocześnie nie mając ochoty na poruszanie tematu przeszłości.

– Dobrze wyglądasz. – Wiktor przerwał milczenie.

– Jeśli mówisz mi to, żebyśmy zrewanżowała się tym samym, to przepraszam, ale ty wyglądasz raczej na przepracowanego.

Braun uśmiechnął się. Szorstkość Anny trochę rozluźniła napiętą atmosferę. Zwykle częstowali się drobnymi złośliwościami. Lubili się, ale i czubili. Od lat, nawet wtedy, gdy młody Wiktor – jako ulubieniec starego Rogozińskiego – bywał w jego domu rodzinnym i mijał się z młodą Anią.

– Co u ciebie słyhać? – Starął się nadać pytaniu jak najbardziej delikatny wydźwięk, ale chyba mu nie wyszło. – Widzę, że wróciłaś do pracy. Jak się czujesz?

– Dobrze, wszystko po staremu.

– Aniu, chciałem cię odwiedzić w szpitalu, ale...

– Dobrze, że nie przyszedłeś.

– Ale...

– Wiktor, nie rozmawiajmy o szpitalu. Proszę. Miałam inne zmartwienia na głowie. Nieważne. Co u ciebie w pracy?

– Jak zwykle kocioł.

– A dziś co mamy?

– Mamy? – Roześmiał się. Po raz pierwszy tego dnia szczerze i głośno. – Widzę, że ty znowu to samo? Niby kawka i miłe spotkanie po latach, ale tobie chodzi jedynie o wyciągnięcie informacji od prokuratora, co?

* *

Stał otoczony ostrym i duszącym zapachem.

Musiał się do niego przyzwyczajać. Za każdym razem na nowo.

Wiedział, że w najczystszej formie ten gaz byłby silnie trujący. I że chlor jest bardzo aktywny chemicznie, a w pełnym świetle słonecznym łączy się z wodorem w sposób iście wybuchowy.

Stał i czekał na moment, w którym będzie gotowy. Nie spieszył się. Nikt na niego nie zerkał. Nie czuł na sobie spojrzeń obcych ludzi. Chciał najpierw uspokoić swoje zmysły. Tak. Nad węchem już zapanował. To był ten moment.

Podskoczył delikatnie, a jego ciało po krótkiej chwili lotu wpadło do basenu.

Zimno. Poczul je najpierw na stopach, potem na całym ciele. Następne było

klucie w oczach. Znowu zapomniał założyć okularów do pływania, a jego rogówki nie znosiły chloru. Na końcu woda przykryła jego głowę. Kiedy dotknął stopą dna basenu, wiedział, że od powierzchni wody dzieli go czterdzieści centymetrów.

Otoczyła go cisza, która jednocześnie była świetną powierzchnią rezonansową. Słyszał w niej każdy ruch swojego ciała. Uderzenie nogami czy odwiedzenie ręki. Odbił się od dna i wypłynął na powierzchnię.

Tylko na chwilę. Zaczerpnął powietrze tak, jakby to był ostatni wdech w jego życiu i zanurzył się ponownie.

Był całkowicie skoncentrowany. Z jednej strony musiał poruszać się maksymalnie szybko, z drugiej sprawić, żeby jeden oddech starczył mu na pokonanie bez wynurzenia się dwudziestu pięciu metrów. Czuł opór wody, ale wiedział, że da sobie z nim radę. Był przecież jak Superman.

Czekał na ten jedyny moment. Wiedział, że nadejdzie. Że w końcu przyda mu się to wszystko, nad czym tak ciężko pracował. To dlatego lekceważył wysiłek i konieczność walki z własnymi ograniczeniami.

Najważniejsza była dla niego adrenalina. To ona rekompensowała mu całe ryzyko i skutki uboczne.

* *

Pech chciał, że zanim Anka dotarła do szpitala, w którym leżał Muhamed, zapadł wieczór. Od czasu choroby unikała szpitali, zwłaszcza wieczorową porą, ale niestety nie mogła czekać do rana.

Powinna była pojawić się tu zaraz po zajściu. Nawet próbowała złożyć mu nocną wizytę, ale nie udało jej się pokonać ochroniarza, który jak lew bronił wstępu do budynku. Próbowała go przechytryć, przekonać i powalić urokiem osobistym, jednak pozostawał niewzruszony.

Wróciła teraz i szybko zorientowała się, że pora odwiedzin właśnie dobiegała końca. Na szczęście ochroniarz nie zwracał uwagi na wchodzących i wychodzących. Na korytarzach nie było już zbyt wielu odwiedzających. Dziennikarka niespostrzeżenie przemykała bokiem, zaglądając do kolejnych sal. Miała nadzieję, że znajdzie pobitego Syryjczyka, zanim zainteresuje się nią któraś z pielęgniarek.

– Jesteś! – Ucieszyła się, gdy zobaczyła jego kruczoczarną czuprynę. – Dobry wieczór. Jak się czujesz?

– Jak się czujesz? Jak się czujesz? Ty mnie pytasz: „jak się czujesz”?

– Słyszałam, co ci się stało. – Przysiadła na jego łóżku.

W trzyosobowej sali pozostałe łóżka zajmowali starsi mężczyźni. Obaj nie byli zainteresowani wizytą Anki. Ten mający łóżko bliżej Muhameda wpatrywał się w sufit. Na jego szpitalnej szafce leżał aparat słuchowy. Drugi mężczyzna pochrapywał w najlepsze.

– Słyszałaś? *Beautiful*. Słyszałaś, że jednego dnia ktoś powiedział, że jestem terrorystą, wyprowadzono mnie z samolotu jak *criminal*. W telewizji wygadywano głupoty o mnie, a wieczorem jakieś typy skopali mi tyłek.

– Muhamed, rozumiem, że jesteś zły...

– Na ciebie zły. Obiecałaś, że pokażesz, jak to wszystko wygląda z mojej strony.

– Wiem, przepraszam. Walczyłam o to, by mój materiał został wyemitowany. Niestety góra mi na to nie pozwoliła. Chciałabym jednak, żebyś zaufał mi jeszcze raz. Obiecuję, tym razem będzie inaczej. Opowiesz mi o swoim życiu w Polsce.

– Po co? *Go away*.

– Po to, żeby te typy i inni, którzy myślą, że każdy cudzoziemiec o ciemniejszym odcieniu skóry jest terrorystą... Żeby oni wszyscy zrozumieli, że jesteście normalnymi ludźmi. Takimi jak my.

– Znajdź sobie kogoś innego.

– Chcę ciebie, Muhamed. Dobrze nam się rozmawiało, prawda?

– I co? Ty naprawdę myślisz, że jeśli oni usłyszą, że wczoraj czułem się w Polsce bezpiecznie, że mieszkałem *first* w Warszawie, a potem w Poznaniu, że miałem polską dziewczynę, to nagle zmienią zdanie? Bardzo mocno starałem się do was dopasować. Nauczyłem się języka. Kolegowałem się z Polakami. Starałem się żyć zgodnie z zasadami, które u was obowiązują. Chwaliłem pierogi, dzieliłem się wszystkim, co miałem, z gośćmi, którzy nas odwiedzali. Miałem *good job*. Szef mnie chwalił. Mówił, że jestem dobry. I co z tego? Teraz moja twarz jest znana jako terrorysty, który został pobity. Myślisz, że jak wyjdę stąd, to co? Ile dni uda mi się przeżyć bez kolejnego pobicia?

Pochrapujący pacjent przewrócił się na bok, a w sali zapanowała całkowita cisza. Anka westchnęła. To było trudne zakończenie niełatwego dnia. Powinna dziś przed snem dostać medal, a przynajmniej jakiś dyplom za prowadzenie niezręcznych rozmów.

– Rozumiem cię, Muhamed. Naprawdę rozumiem. Właśnie dlatego trzeba wszystko pokazać. Ciebie, twoją dziewczynę, może jej rodziców. Trzeba pokazać, że jesteś niewinny, że stałeś się ofiarą przewrażliwienia społeczeństwa, a spirala nienawiści...

– *Go away*. Nie chcę cię słuchać.

– Muhamed, proszę! Polacy są przewrażliwieni tym, że na całym świecie muzułmanie podkładają bomby i mordują niewinnych. Pokażmy im, że się mylą! Że nie każdy człowiek z ciemną skórą jest terrorystą.

– A jeśli jest?

ROZDZIAŁ 4

Wskazówki zegara wlekły się niemiłosiernie. Anka obudziła się o szóstej i nie mogła już zasnąć. Nadal czuła się zmęczona, ale myśli atakowały ją jak piranie – gromadnie i bardzo agresywnie. Rozrywały zębami spokojne, śpiące jeszcze ciało i pożerały je małymi kawałkami.

Najpierw próbowała je przegonić. Potem lekceważyć. Bezskutecznie. Z minuty na minutę rósł jej niepokój, a ból się nasilał. Usiadła na łóżku, włączyła nocną lampkę i położyła przed sobą komórkę.

Straciła szansę na dobry społeczny temat. Nie była w stanie przekonać Muhameda do siebie po raz drugi.

Musiała zmierzyć się z wyzwaniem związanym z ratownictwem medycznym. Do wczoraj była temu niechętna. Dziś wiedziała, że zrobiłaby wszystko, żeby z niego zrezygnować. Paraliżowała ją świadomość tego, że pacjent, do którego przyjeżdża ratownik, może rzucić się na niego z nożem. Nie przeżyłaby powrotu do szpitala. Nie miałyby siły znowu walczyć o siebie. Nie chciałyby umierać. Nie chciała też oglądać krwi. Wystarczyła jej wczorajsza zakrwawiona karetka.

Najchętniej wskoczyłaby teraz w jakieś ciuchy i pobiegła do firmy. Powiedziałyby Grabowskiemu, że odchodzi. Załatwiłaby sobie zwolnienie lekarskie. Gdyby tylko mogła. Nie mogła jednak pozwolić sobie na słabość. Nie chciała dać satysfakcji czarnowłosej zdzirze.

Agresywne myśli przegryzły się przez pierwszą skorupę i zaczęły atakować wnętrze. Ból i niepokój przybrały na sile. Anka starała się skupić na czymś innym. Na ekranie komórki zegar wskazywał szóstą osiemnaście.

Wiktor. Ich wczorajsze spotkanie nie było takie, jakie być powinno. Chciała mu tyle powiedzieć. Zadać kilka pytań, poprosić o wyjaśnienie i pogratulować. Przez kilka miesięcy wyobrażała sobie, jak będzie wyglądać ich ponowne, a jednak jakby pierwsze spotkanie.

I wszystko – naprawdę wszystko! – poszło nie tak.

Podczas spotkania nawet nie była sobą. Czuła się raczej jak dzikie zwierzę, które wcześniej trzeba oswoić. Sama musiała najpierw przyjrzeć się mu, a potem przyzwyczaić się do jego fizyczności. Trochę inaczej go zapamiętała.

Zamiast pozwolić sobie na luz, nieustannie kontrolowała swoje zachowanie i reakcje ciała. Nie chciała, żeby mógł z niej zbyt dużo wyczytać. Nie chciała, ale poranne przemyślenia doprowadziły do wniosku, że zachowała się jak idiotka. Że zostawiła złe wrażenie i powinna jak najszybciej je zatrzeć. Przykryć kolejnym, już lepszym zachowaniem.

Szósta osiemnaście to nie był dobry moment na dzwonienie do Wiktora. Za oknem ciemność powoli ustępowała szarości. W bloku naprzeciwko w większości mieszkań świeciło się światło. Ludzie wstawali i szykowali się do wyjścia.

Anka też powinna, ale najpierw chciała porozmawiać z Wiktorem. Postanowiła odczekać do siódmej. Miała ponad pół godziny na znalezienie dobrego pretekstu do rozmowy.

* *

– Cześć, nie dzwonię za wcześnie?

Głos Anki złapał Wiktora w samochodzie. Stał na skrzyżowaniu i wpatrywał się w sygnalizator, spokojnie czekając na zielone. To były ostatnie światła, po pokonaniu których zjeżdżał na parking. Nigdy nie liczył, ile skrzyżowań dzieliło jego dom i pracę, ale właśnie chwilę temu pomyślał, że powinien wiedzieć. Dziś trafił na czerwoną falę. Stał na każdym możliwym skrzyżowaniu, mimo że nie było dużych korków.

– Witaj. Nie, coś się stało?

– Nie, ja tylko... Chciałam zapytać, czy wiesz, co dzieje się z Kapelusznikiem? Nie śledziłam jego procesu.

– Za zabójstwo trzech osób został skazany na dożywocie. Karę odsiaduje w Zakładzie Karnym w Rawiczu. Dlaczego pytasz?

– Tak tylko.

– Dlaczego pytasz? – powtórzył głośno i natarczywie.

Czerwone światło zgasło, a stojący na sąsiednim pasie czarny ford próbował wcisnąć się przed samochód Wiktora. Samochód zbliżył się niebezpiecznie do corsy Brauna, skutecznie uniemożliwiając jazdę na wprost.

Prokurator przez krótką chwilę rozważał dalszy sposób zachowania. Mógł przecież ruszyć i uderzyć w prawy bok intruza. Policjanci drogówki nazwaliby to wymuszeniem pierwszeństwa przez kierowcę forda. Znaleźliby na to kilka paragrafów, chociażby za próbę zmiany pasa ruchu bez użycia sygnalizatora bocznego.

Mógł też wpuścić cwaniaka i nie traktować tego ambicjonalnie. Trzydzieści sekund opóźnienia nie powinno mieć żadnego odzwierciedlenia w jego dokładnie rozpisany harmonogramie dnia.

– Kapelusznik przysłał do mnie list.

– List? – powtórzył zaniepokojony i przycisnął pedał gazu.

Zgrabnie ominął forda i pojechał przed siebie.

– Zostaw to. Mam ci przypominać, że ostatnia seria listów, które do ciebie pisał, nie przyniosła nic dobrego?

– Nie. Nie mogę.

– Zdajesz sobie sprawę, że być może znowu chce wciągnąć cię w swoją beznadziejną grę?

– Wiktor, ale przecież sam mówiłeś, że siedzi w więzieniu. Nie jest już niebezpieczny.

– Aniu, powiedziałem tylko, że siedzi. Reszta to wnioski, które wyciągnęłaś sama, opierając się na niepełnych danych i przekonaniu... Nieważne. Zostaw to, dobrze ci radzę.

– Celowo chcesz sprawić wrażenie, że się o mnie martwisz?

Właśnie wjechał na miejsce, na którym zawsze zostawiał samochód. Wyłączył silnik i mógł się skupić na prowadzonej rozmowie.

Odnosił wrażenie, że chociaż nie dotarł jeszcze do budynku prokuratury, to już był w pracy. Znalazł się pod ostrzałem pytań. Pozornie łatwych, a jednak podchwytliwych. Pojedynczych pytań dotyczących – wydawałoby się – zupełnie odrębnych tematów.

– Chcę ustrzec cię przed popełnianiem błędów.

– Powiedz jeszcze, że kolejnych błędów.

– Nie wkładaj mi w usta własnych słów! – Nie dał się sprowokować. – Nic takiego nie powiedziałem. Zależy mi na tym, żebyś była bezpieczna.

– Zależy, bo...?

Jej głos zadrżał. Albo tak mu się tylko wydawało. Tak jak jego idol, Vail, nie ufał uczuciom, przeczuciom i odczuciom. To przez to nie wiedział teraz, jak się zachować.

Cholernie brakowało mu wizji. Cholernie. Zwykle nie używał tego słowa, ale w tym wypadku nie znajdował lepszego określenia. Obsesyjnie i niemalże chorobliwie pragnął, by siedziała właśnie obok niego. Chciał ją widzieć. Obserwować twarz. Gesty. Oczy.

Może wtedy wiedziałby, jak zareagować?

– Bo jesteś jedyną córką mojego promotora. – Był dumny ze swojej odpowiedzi.

Mogła zostać wpisana do protokołu i trudno byłoby ją podważyć. Zawierała najprawdziwszą prawdę – profesor Stanisław był promotorem Brauna i miał tylko jedną córkę.

– Wiktor, ja i tak z nim porozmawiam. Muszę. Chcę sprawdzić, jakie ma intencje. Mógłbyś mi załatwić wizytę?

– Aniu... Jeśli powiem, że nie, to i tak to zrobisz, co?

– Jak ty mnie dobrze znasz...

– Dobrze, pomyślę, Ale chciałbym najpierw zobaczyć ten list. Sfotografuj go lub zeskanuj i podeślij mi, proszę.

* *

Tomasz Nasiłowski spotkał się z Braunem na korytarzu. Zamienili kilka słów na temat najnowszego orzecznictwa i wsiedli do windy.

– Słyszałeś? – zagadnął kolegę, bo ten był dziś zamyślony bardziej niż zwykle.

– O czym miałem słyszeć?

– Jak to o czym? Wiktor? Jaki jest dziś news numer jeden?

– Nie wiem. Zaspąłem, radio mam zepsute. Ale patrząc na twój wyraz twarzy, nie jestem nawet pewny, czy chcę wiedzieć.

– Wiedza to władza, nie odmawiaj więc sobie najważniejszego atrybutu męskości.

– Czy twoje twierdzenie ma jakieś uzasadnienie w badaniach naukowych?

– Odejźmy na chwilę od uzasadnień. Słyszałeś o zamachu?

– Zamachu?

– O wybuchu bomby? Proszę cię, nie mów, że nie słyszałeś. Media spekulują, że to mógł być zamach terrorystyczny.

Wiadomość zelektryzowała Brauna. Cofnął się i szeroko otworzył oczy. Taka reakcja przyniosła Tomaszowi satysfakcję. Lubił być pierwszy. Popisywał się wiedzą, szybkością zdobywania i przetwarzania informacji. Potrafił też jak nikt inny w prokuraturze stopniować napięcie, by zrobić na słuchaczach jak największe wrażenie.

Żałował, że w windzie byli jedynie we dwóch. Mógłby za jednym razem sprawdzić sposób sprzedawania newsa na większej próbie odbiorców.

– Nie słyszałem.

– Widzę w twoich oczach przerażenie. Może to i dobrze...

– Nie, nie. Nawet tak sobie nie myśl. – Wiktor wysunął przed siebie dłonie, jakby chciał wytworzyć między nimi niewidzialną barierę. – Nie mam już wolnych mocy przerobowych. Spraw przybywa, akt na moim biurku też. Nie będę przyjmował kolejnej. Zamach spadnie na ciebie.

– To widzę, że jednak nie słyszałeś. Bomba, ale nie u nas. W Paryżu.

* *

– Cześć, cześć, to znowu ja, cieszę się, że cię słyszę. Oczywiście, od razu mówię, że wódeczka aktualna, spotkanie oczywiście też, ale wiesz, wczoraj wszystko się skiepiło. Joanna musiała wyjechać poza Poznań, a bardzo bym chciał, żebyś ją w końcu poznał. No i nie ukrywam, że nie darowałaby mi, gdybyśmy spotkali się bez niej. Dużo jej o tobie opowiadałem.

Grabowski siedział na hokerze przy kuchennym stole i kończył pić kawę. Nie lubił wysokich, drewnianych stołków, ale Joannie się podobały, więc długo z nią nie dyskutował. W końcu wynajął i urządził mieszkanie, w którym mieli czuć się dobrze. I ona, i on. A raczej ona.

Bo jeśli ona czuła się dobrze, to pozwalała mu na to, na co miał ochotę. A on zwykle miał ochotę pogimnastykować się z nią w łóżku. A łóżko kupił wygodne. Duże i z dobrymi sprężynami.

– Cześć, Kamil. Wiesz, wczoraj mnie zmartwiłeś, bo już się nastawiłem. No ale skoro mówisz, że odkupisz swoje winy, niech tak będzie. – Żelichowski brzmiał na rozbawionego.

– To kiedy masz wolny termin?

– Dla ciebie i wódeczki? Zawsze.

– W takim razie wpadaj do nas w piątek. Joanna przygotowuje jakieś przekąski. Tylko pamiętaj, że adres zmieniłem, żebyś nie zapukał przypadkiem do mojej starej żony.

– Dobrze, że przypominasz, bo wiesz, z przyzwyczajenia polazłbym do niej... Przyślij mi adres esemesem, nie mam teraz jak zapisać.

– Świetnie. Jeszcze jedno. Słuchaj, stary... – Grabowski zawiesił głos. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć, żeby osiągnąć zamierzony efekt. – Bo wiesz. Dzięki, że zgodziliście się na realizację tego programu telewizyjnego.

– Nie ma za co.

– Ja bardzo doceniam, że nie robicie przeszkód i idziecie nam na rękę, ale Gabryś, tak dalej być nie może.

Drewniany hoker wydawał się być coraz bardziej niewygodny. Niskie oparcie, które według producenta miało zapewniać wygodną pozycję, piło Grabowskiego w plecy.

– Kamil, nie bardzo rozumiem.

– Gabryś, to ja powiem prosto z mostu. Skoro nie mogliśmy wczoraj przegadać tego przy wódeczce, to muszę dziś na sucho. Bardzo proszę, żebyście

zrezygnowali z wyjątkowego traktowania tej dziennikarki, Rogozińskiej. No wiesz, tej, co z ramienia Primo TV będzie się wam tam pałętać pod nogami. Ona nie potrzebuje taryfy ulgowej. Twarda jest, poradzi sobie ze wszystkim.

– Nie no, dobra. Tylko że wiesz, ona już do mnie raczej przychodzić nie będzie. Najwyżej raz. Czas będzie spędzać na podstacji.

– Proszę cię tylko, żebyś nie przekazywał zespołowi swojego entuzjazmu co do tego projektu. Może szepnąłbyś im, że na wszystko będziesz miał oko i że masz nadzieję, że nie wypłyną przy tym projekcie żadne wewnętrzne brudy?

– Myślisz, że aż tak? Przecież oni ją wtedy zjedzą...

– To niech jedzą. Im wszystko będzie naturalniej wyglądało, tym większa będzie oglądalność. Na tym skorzystamy my, ale i ty też. Bo przecież każdy elitarny zawód zamknięty jest na ludzi z zewnątrz. Prawnicy, lekarze... Wy też chcecie pokazać, że ratownik to nie jakiś kierowca czy sanitariusz.

* *

Wiktor wpatrywał się w Pawła Szymańskiego. Cenił sobie naczelnika wydziału. Przede wszystkim za doświadczenie, ale również za to, jak zarządzał wydziałem. Przejrzyście, zdecydowanie i twardą ręką.

Niepokoił go tylko fakt, że siedział teraz w gabinecie przełożonego i słuchał czegoś, czego nie chciał słyszeć.

– Prokurator Najmrocki miał wylew. Za szybko na podejmowanie ostatecznych decyzji, ale niestety, panie kolego, nie jesteśmy ze stali, a prokurator Najmrocki najprawdopodobniej nie wróci już do zawodu. Istotne jest to, że nasz wydział ma teraz problem. Osłabiony zespół i sprawy, które trzeba przejąć.

Wiktor westchnął. Po minie przełożonego wnosił, że za chwilę rozpoczną się negocjacje. Szymański z nich słynął. Uważał, że w przypadku kompromisu wszyscy tracą, a w negocjacjach zyskują.

– To jak, panie prokuratorze, ile spraw mogę panu powierzyć?

– Przyznam szczerze, że w tej chwili nie wiem, w co włożyć ręce.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale tak jak powiedziałem na wstępie: cały wydział ma ten sam problem. Musimy sobie z nim poradzić. Panie kolego, ile?

Braun nie miał czasu na negocjacje. Za piętnaście minut powinien rozpocząć przesłuchanie. Poza tym w negocjacjach z przełożonym był na straconej pozycji. Po pierwsze nigdy nie mógł się do nich wcześniej przygotować. Po drugie trudno

było mu walczyć na argumenty, kiedy obawa przed urażeniem Szymańskiego osłabiała jego umiejętności negocjacyjne.

– Jedną? – Braun na wszelki wypadek rozpoczął od możliwie najmniejszej liczby.

* *

Stali na obdrapanej klatce schodowej. Bezbłędnie wyczuwał smród kociego moczu. Rozejrzał się i na schodach prowadzących do piwnicy zauważył kilka plastikowych misek z suchą karmą. Skrzywił się. Nie dbał przesadnie o czystość, ale bezpańskie koty kojarzyły mu się z pasożytami i wścieklizną.

– Masz? – Chciał jak najszybciej dobić targu i wyjść.

– A ty?

Dostawca jak zwykle był ostrożny. Rozglądał się na prawo i lewo, jakby nagle z piwnicy mieli wyskoczyć antyterrorysty albo policjanci Centralnego Biura Śledczego.

Stwierdzenie, że dobijali transakcji, działając na granicy prawa, było tak naciągane jak to, że otaczały ich przepięknie odrestaurowane ściany historycznie cennej kamienicy.

– Czy kiedyś, kurwa, nie miałem?

– Trudno było to zdobyć. Musisz dorzucić jeszcze stówę za fatygę.

– Dorzucić? Żebym ja ci zaraz nie dorzucił! W chuja sobie lecisz?! – Błyskawicznie przeszedł w stan pobudzenia.

Zbyt długo tkwił w spokojnym świecie. Słuchał pierdolenia polityków, marudzenia społeczeństwa i jęczenia kobiet, które chciałyby mieć prawo usuwania problemów. Ludzie naprawdę nie mieli styczności z prawdziwymi problemami, skoro zajmowały ich takie głupoty.

Potrzebował adrenaliny. Przynajmniej jednej szybkiej akcji. Czegoś, co da mu poczuć, że jego życie ma sens. Tęsknił za dreszczem niepewności, cieniem strachu i przekonaniem, że jest niezniszczalny.

Chciał w lustrze zobaczyć błysk zamiast oczu bez wyrazu. Chciał znowu zachwycić się sobą. Wpaść w samouwielbienie i pieścić w pamięci tę jedną szybką akcję.

– Nie? To nie. Twoja strata. - Dostawca wpatrywał się w niego bezczelnie.

– Skoro tak mówisz...

Odwrócił się powoli, chcąc sprawić wrażenie, że odchodzi, ale tak naprawdę wziął tylko zamach i uderzył dostawcę pięścią w brzuch. Nie pozwolił mu się jednak zgiąć w pół. Pchnął go na ścianę, docisnął do niej a prawą ręką złapał z całej siły za gardło.

– Weź, kurwa, powtórz, bo się chyba przesłyszałem. Chcesz zmienić warunki transakcji?

– Puść mnie.

– Chcesz?

* *

Deszcz towarzyszył Ance od chwili, gdy zdecydowała się wstać z łóżka.

Najpierw bez uprzedzenia zaczął nieśmiało bębnić w parapety. Potem jego krople próbowały rozmyć jej pole widzenia, kiedy przepychała się przez przepełniony Poznań. Pokazała się jedynie w Primo TV i pojechała dalej. Oczywiście z deszczem, który – jak na złość – przybrał na sile.

„Brzydka ona, brzydki on...” W głowie rozbrzmiewała jej piosenka z lat siedemdziesiątych. Jej matka uwielbiała Grażynę Łobaszewską i katowała nią domowników. Anka nie wiedziała, dlaczego nagle „Brzydcy” wyskoczyli nieproszeni z jej pamięci.

Pokonała drzwi zabezpieczone domofonem, schody z lastriko i ciemny korytarz.

Siedziała na korytarzu, czekając na audiencję u zastępcy dyrektora. Odebrała już zaświadczenie o ukończeniu szkolenia BHP. Podpisała jakieś dokumenty w kadrach. Dopiełniała chyba wszystkich formalności, by na chwilę stać się częścią tej skostniałej struktury.

„Gdzieś tu chyba zakpił los...” Głos Łobaszewskiej próbował zagłuszyć szarą rzeczywistość. A może właśnie ją uwydatnić? Tak jakby Anka jeszcze nie zauważyła odrażającej szarości i chłodnej obojętności.

Siedziała na korytarzu i walczyła ze sobą. Coś podpowiadało jej, że powinna uciec. Albo przynajmniej wyjść jak gdyby nigdy nic. Wyjść i nie wracać.

Nazwa instytucji przerażała ją tak samo mocno, jak budynek pogotowia, w którym spędziła ostatnio trochę czasu. I mimo to, że spotkała tu samych ciepłych i pozytywnie nastawionych ludzi, czuła się jak w pułapce. Robiła to wbrew sobie. Wbrew zasadom bezpieczeństwa.

„Brzydka ona, brzydki on, a taka ładna miłość...” Miłość też była wbrew zasadom bezpieczeństwa. Dobrze o tym wiedziała, jednak z jakiegoś względu parła do czołowego zderzenia.

– Pani do mnie? – Na korytarzu pojawił się Żelichowski.

Nie pasował do otoczenia. Był zbyt uśmiechnięty. Zbyt dobrze ubrany. Zbyt zadowolony.

Kiwnęła głową, wstała z krzesła i dokładnie w tej chwili uświadomiła sobie, że idealnie tu pasuje. Jak to lastriko, po którym właśnie zmierzała do gabinetu. Tak samo kiepska jak wnętrze, które chwilę temu ją brzydziło. I na dodatek przespała szkolenie z zasad bezpieczeństwa i higieny. Higieny życia.

* *

– Tak więc chyba wszystko już mam. – Anka położyła papiery na biurku Żelichowskiego.

Mężczyzna nawet na nie nie spojrzał. Za to przyglądał się Ance takim wzrokiem, że przez chwilę zwątpiła, czy na pewno zdążyła zmienić rano pidżamę na dzinsy.

– Była pani w kadrach?

– Tak – odpowiedziała i usiadła, mimo że nie wskazał jej miejsca.

– Jeszcze w kwestii ubrania...

– Tak? – Wiedziała, że coś jest nie tak.

– Mundur będzie czekał na panią na podstacji. Doradzałbym też lepsze buty.

Odruchowo spojrzała na swoje tenisówki i wysunęła nogę spod stołu. Uwielbiała obuwie sportowe. Kolekcjonowała je i szczyciła się, że codziennie może założyć na nogi tenisówki w innym kolorze czy kroju. Czarne niskie, różowe za kostkę, niebieskie z cekinami, czerwone z frędzlami, szare wysokie.

– Lepsze to znaczy jakie? – Jakoś nie bardzo wierzyła w to, że może być coś lepszego, chociaż rzeczywiście nie mogła przypomnieć sobie wizerunku ratownika w fajnych trampkach.

– Nieprzemakalne i za kostkę.

– Koniecznie?

– To pani buty, więc ja oczywiście nie wnikiem. – Żelichowski uśmiechał się w sposób sugerujący, że ma ją za typową blondynkę. Głupią gąskę porywającą się z motyką na słońce. – W taką pogodę wystarczy jeden wyjazd, wdepnie pani w kałużę, udzielając pomocy poszkodowanemu w wypadku, albo wpadnie pani

w błoto czy wejdzie do meliny... Jak tam sobie pani chce.

Nie zamierzała z nim dyskutować. Nie wiedziała, czy zmienił sposób jej traktowania, czy tylko tak się jej wydawało. Poranny deszcz, rozmowy z Wiktoorem, wiszący gdzieś z tyłu głowy list Kapelusznika i dołujący klimat budynku, w którym siedziała, sprawiły, że straciła dystans.

– Dobrze. To kiedy możemy zaczynać?

– Jutro.

– O której? Tak jak dziś? Nie wiem czy to dla pana nie za wcześnie.

– Ja tu już nie mam nic do gadania. Stawi się pani na podstacji.

– Na której?

– Na Ratajach. Najpóźniej o szóstej czterdzieści pięć.

– O szóstej? – chciała upewnić się, że się nie przesłyszała.

– Tak albo za piętnaście siódma, jeśli to pani robi różnicę – powtórzył z nieukrywaną satysfakcją.

– Tak wcześnie?

– Normalnie. Takie mamy dyżury. Od siódmej rano do dziewiętnastej i od dziewiętnastej do siódmej.

– Od siódmej?

– Ale zmiana jest wcześniej. Widzę, że brakuje pani wyobraźni, więc chętnie pomogę. Jeśli przyjdzie pani o szóstej pięćdziesiąt siedem, a minutę później okaże się, że wasz zespół ma wyjazd w kodzie pierwszym... I ratownicy będą czekali, aż pani łaskawie zmieni ciuchy, to dziecko, które mieliście ratować, może być już martwe. Radziłbym więc zdecydować, czy chce być pani ratownikiem, czy też woli się pani wyspać.

– Będę na czas. Rozumiem, że nie będę musiała siedzieć tam przez całe dwanaście godzin?

– Nie bardzo rozumiem sens pani pytania? Czy pojawiła się pani u nas w charakterze wolontariusza, czy może załatwialiśmy tyle formalności – mruknął i podrzucił dokumenty, z którymi przyszła – tylko po to, żeby wypić sobie pani kawę na podstacji i przez dwie godziny popatrzyła, jak to jest i poszła do domu? Primo TV obiecywało nam, że program będzie rzetelny! Trudno o rzetelny materiał, jeśli nie będzie pani pracować tak, jak każdy ratownik.

– Oczywiście rozumiem, ale mam w sobie nie tylko wyobraźnię, ale i społeczną wrażliwość.

– Wrażliwość? – Zaśmiał się, a kiedy skończył, spojrzął na nią tak, jak morderca patrzy na ofiarę, nim zada jej ostatni cios. – Ciekawy jestem, co stanie się z pani wrażliwością po kilku nocnych dyżurach. Kiedy o czwartej nad ranem będzie pani pędziła przez miasto tylko po to, żeby zaoferować pomoc agresywnemu pijakowi, który jej wcale nie potrzebuje.

Nie rozumiała, dlaczego miałyby to wpłynąć na jej wrażliwość, ale nie miała

zamiaru kontynuować tematu.

– Dobrze, wiem już wszystko. Będę jutro tam, gdzie trzeba.

Wymienili się wymuszonymi uśmiechami i uścisnęli sobie dłonie.

Anka dotarła do drzwi, ale nie zdążyła jeszcze złapać klamki, gdy Gabriel Żelichowski zawołał:

– A zaraz, chwileczkę!

Zatrzymała się i odwróciła, chociaż resztki instynktu samozachowawczego kazały jej tego nie robić.

– Wykupiła pani już ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków?

* *

Czerwony citroën właśnie minął tablicę z napisem: „Rawicz”. Przez część trasy wycieraczki nie nadążały zbierać pojawiającej się na szybie wody. Po minięciu Dolska deszcz stracił na sile, a w okolicach Gostynia w ogóle zniknął.

Od spotkania w stacji pogotowia ratunkowego minęły dwie godziny. Długie i męczące godziny, spędzone przez Ankę na rozmyślaniu i śledzeniu trasy, której jeszcze nigdy nie pokonywała. Nie jako kierowca.

Żelichowski wspomniał mimochodem o tym, że wypadki chodzą po ludziach. I że oni, ratownicy, wiedzą o tym najlepiej. Później dodał, że dziennikarka musi ubezpieczyć się od następstw nieszczęśliwych wypadków. Bo z jednej strony wiadomo, że przecież będzie tylko obserwowała pracę ratowników. Ale z drugiej on nie da uciąć sobie swojej dyrektorskiej głowy za to, że jej nic się nie stanie.

Roztoczył przed nią nazbyt sugestywne wizje: uderzenie butelką w głowę, ukłucie skażoną igłą czy kraksa karetki na sygnale. Wstrząśnienie mózgu, wirusowe zapalenie wątroby, HIV, atak nożownika... to było tylko kilka gratisów, z którymi mogła zakończyć swoją misję.

Wyszła z gabinetu Żelichowskiego, zadzwoniła do Wiktora i postanowiła, że nie uspokoi gonitwy myśli, dopóki nie porozmawia z Kapelusznikiem. Początkowo planowała zrobić to z rozmysłem, za kilka dni, ale dwunastogodzinne dyżury w pogotowiu popsęły jej plany.

– Cześć, gdzie jesteś? – W telefonie rozbrzmiał głos Artura.

Szybko przełączyła go na zestaw głośnomówiący i wróciła do poszukiwania nazw ulic. Musiała dostać się na 17 Stycznia.

– Cześć, nie wrócę już dziś do firmy.
– Ale jesteś jeszcze w pogotowiu?
– Nie, załatwiłam wszystko, co trzeba. Potrzebujemy jeszcze jakiegoś ubezpieczenia, ale umówiłam nas już z agentką ubezpieczeniową. Na szesnastą w tej restauracji, do której wpadamy czasem na lunch. Gdybym się spóźniła, to zaczniesz z nią? Musimy być ubezpieczeni od nieszczęśliwych wypadków, od jutra rana...

– Aniu – przerwał jej – wszystko w porządku?
– Tak. W jak najlepszym. Artur?
– No?
– Gdyby coś się tam działo... No wiesz, na tym dyżurze... Mogę na ciebie liczyć? Obronisz mnie?

Zadała głupie pytania, bo przecież zawsze mogła liczyć na jego pomoc. Ale nie zdenerwował się, tylko spokojnie wytłumaczył, że od tego są przyjaciele. Mówił coś jeszcze, ale przestała go słuchać.

Właśnie dotarła do celu, a jej oczom ukazały się mury Zakładu Karnego w Rawiczu.

* *

„Sufit, podłoga, cztery ściany, drewniany stół i dwa krzesła. Jak niewiele trzeba, żeby człowiek poczuł się zagrożony, a jego skłonność do rozmowy wzrosła” – pomyślał Wiktor i zamknął za sobą drzwi.

Tak naprawdę nie chodziło jedynie o skąpe wyposażenie pokoju, ale całą oprawę. Doprowadzenie przez policję lub pismo urzędowe wzywające do stawienia się w prokuraturze. Oschła wymiana zdań w punkcie zwanym przez prokuratorów ochroną. Podróż przez sterylne korytarze w asyście umundurowanych mężczyzn i oczekiwanie, aż zjawi się on. Inteligentny i błyskotliwy prokurator w swoim idealnie skrojonym garniturze.

To wszystko sprawiało, że człowiek przychodzący z zewnątrz czuł się w budynku prokuratury jak malutki trybik w ogromnej maszynie sprawiedliwości. Tak ogromnej, że aż koszmarnie niebezpiecznej.

W pokoju czekał na niego kolejny kandydat do przesłuchania.

– Maurycy Gawroński, syn Maurycego, lat dwadzieścia osiem, ratownik medyczny. Zgadza się?

Braun od lat korzystał z tej samej strategii. Kilka sekund przed wejściem do pokoju spoglądał w akta i zapamiętywał podstawowe dane na temat przesłuchiwanego. Później otwierał drzwi i popisywał się wiedzą.

Liczyło się pierwsze wrażenie, a on robił wrażenie wszechwiedzącego. Później siadał przy stole, otwierał akta i spoglądał w nie od niechcienia.

– Zgadza się. – Ratownik kiwnął głową.

– Niech mi pan opowie, co wydarzyło się dnia... – Zerknął w akta. W pracy unikał nieprecyzyjnych pojęć typu „przedwczoraj”, „wczoraj”, „jutro”. Posługiwał się pełnymi datami.

Mężczyzna wysłuchał tego, co Braun miał do wyartykułowania, po czym odgarnął włosy z twarzy. Miał co odgarniać, bo oprócz długich brwi i zdecydowanie za długich wąsów z głowy zwisały mu jeszcze włosy, które bardzo długo nie widziały fryzjera. Przypominał wyglądem raczej zwariowanego Zwierzaka z „Muppet Show” niż niosącego ratunek Supermana.

– Zgłoszenie wyjazdu otrzymaliśmy o godzinie dziesiątej dwadzieścia trzy – przystąpił do udzielenia odpowiedzi. – Wyjazd w kodzie pierwszym. Po niecałej minucie zgłosiliśmy dyspozytorowi wyjazd z bazy. Po dotarciu na miejsce zgłosiłem dotarcie do pacjenta. Sprawdzono bezpieczeństwo. Pacjent zastany na chodniku, w miejscu zdarzenia, w pozycji siedzącej. Przytomny. Zgłaszał omdlenie bez utraty przytomności. Pamiętał okoliczności zdarzenia. Wydolny krążeniowo i oddechowo. Poinformował, że to nie był jego pierwszy epizod. Zalecono SOR Szwajcarska.

– Rozumiem. Pacjent wszedł do karetki. Co było dalej?

– Dalej? – Ratownik zamyślił się.

Braun z zadowoleniem zauważył, że temat rozmowy wyszedł poza kartę wyjazdową, której zapisów kurczowo trzymał się mężczyzna. Deklamował zawartość poszczególnych rubryk, a Braunowi przecież nie o to chodziło. Umiał czytać. Nawet ze zrozumieniem.

– Jaki był dalszy rozwój wypadków?

– Jechaliśmy na Szpitalny Oddział Ratunkowy do szpitala imienia Józefa Strusia. Mniej więcej na wysokości giełdy warzywno-owocowej spojrzałem do tyłu. Pacjent siedział tam, gdzie go posadziliśmy. Minęliśmy McDonalda, wjazd do magazynów Obi, wyjechaliśmy na Szwedzką.

– I on dalej siedział?

– Tego nie jestem pewien. Wypełniałem dokumenty, a kiedy uniosłem wzrok, napastnik zadawał pierwszy cios Andrzejowi.

– Jak to wyglądało? Ten pierwszy cios?

– Stał za nami na szeroko rozstawionych nogach. Zauważyłem właśnie te nogi. Pomyślałem wtedy, sam nie wiem dlaczego, że on to wszystko ma zaplanowane. Na początku myślałem, że on tylko uderzył Andrzeja, ale kiedy

wyjął nóż i znowu go dźgnął, w kaście pojawiła się krew. Andrzej krzyczał, ja chciałem wstać, ale pas mnie trzymał. Odpiąłem się i chciałem go odciągnąć, w sensie napastnika od kolegi. Uderzyliśmy w coś, zatrzymaliśmy się. Napastnik uciekł. Nie zdążyłem zareagować. Przystąpiłem do udzielania pomocy Andrzejowi.

- Czy napastnik miał jakieś paczki, siatki, torby, w których ukrył nóż?
- Nie miał nic przy sobie. Nawet dokumentów. Nie pamiętał, jak się nazywa.
- Czy zanim pacjent wszedł do karetki, pan lub pana partner wykonaliście kontrolę osobistą mężczyzny lub przeszukanie, by sprawdzić, czy nie ma on przy sobie niebezpiecznych narzędzi?

* *

Rosół ugotowany na skrzydełkach z kurczaka nikomu nie smakował. Być może dlatego, że na wielki gar wody miała tylko trzy skrzydełka. Dzieciaki marudziły i wybierały z zupy sam makaron. Hubert udawał, że nie jest źle, ale słyszała, jak mówił potem do jej najstarszego syna, że w pierdlu dają lepsze żarcie.

Patrycja nie wiedziała, czy to był żart czy nie, ale i tak poczuła się urażona. Oczywiście nie dała tego po sobie poznać. Już kilka razy przerabiali sytuacje, w których ona nie łapała jego żartów i się obrażała, a on wyzywał ją od półgłówków, bo przecież wszyscy inni dobrze wiedzieli, gdzie przebiega cienka linia między kpiną a humorem. Wszyscy – tylko nie ona.

Wieczorem, kiedy Hubert siedział przed telewizorem i trzymał rękę w gaciach, przyniosła mu piwo z lodówki. Nie chciała, żeby myślał, że znowu jest półgłówkiem. Poczekala, aż wypije i skończy oglądać swój program, a potem zrobiła mu dobrze, tak jak lubił.

I w gruncie rzeczy to chyba był najlepszy moment tamtego dnia, bo kiedy Hubert spojrział na nią po wszystkim, takim maślanym, niemalże nieobecny wzrokiem, poczuła, że wszystkie urazy minęły. W końcu mieszkali razem, a to przecież znaczyło, że ją kochał.

Tak się wzruszyła jego orgazmem, że popłynęła i obiecała, że kolejny obiad będzie mu bardziej smakował. I właśnie dlatego stała teraz jak kretyńka w kuchni, przed otwartą lodówką, w której oprócz garnka z wczorajszym rosółem były jeszcze dwie butelki piwa, słoik dżemu i margaryna.

Nie była cudotwórczynią. Z pustą lodówką i pustym portfelem nie miała dużego pola manewru. Najchętniej nawrzeszczałaby na wszystkich. Na dzieci, bo

robią bałagan i hałas. Na Huberta, bo rzucił robotę na budowie po jednym dniu pracy, a przecież obiecał, że z jego pensją będzie im łatwiej.

Spojrzała jednak na nowego ukochanego. Siedział przed telewizorem o suchym pysku, mimo że w lodówce miał jeszcze dwa piwa. Nie pracował, ale też się nie awantuował. Był dużo lepszy od poprzednika. Taki spokojny i statyczny.

Zrezygnowała więc z kłótni i znowu zajrzała do lodówki. Tym razem zauważyła mały słoik koncentratu pomidorowego, otwartego po raz pierwszy wieki temu. Sięgnęła po niego, otworzyła, łyżką wybrała pleśń i zdecydowała, że jednak uda jej się zaczarować rzeczywistość.

– Dzisiaj będzie pomidorówka! – krzyknęła zadowolona w stronę Huberta.

* *

Znajomość Anki z Kapelusznikiem była dość specyficzna. Rozwijała się na miarę współczesnych czasów – internetowo i szybko. To on odezwał się do niej pierwszy. Wysłał tajemniczego maila, podpisując się B.K. Zaintrygowała ją treść wiadomości, ale odpisała na nią tylko dlatego, że nadawca dostarczał jej sensacyjnych informacji dotyczących sprawy, którą się interesowała.

Korespondowali ze sobą przez jakiś czas. Był inteligentny, nigdy nie udzielał jej odpowiedzi wprost, zmuszając ją tym samym do główkowania. Jego teksty zawierały odniesienia do „Alicji w Krainie Czarów”, dlatego Anka domyśliła się, że inicjały B.K. oznaczają Bezdennego Kapelusznika.

Po jakimś czasie spotkali się. Nie gdzieś na uboczu, z dala od wścibskich spojrzeń. Usiadł w studio telewizyjnym i przyznał się do zabójstwa trzech osób. Zapewnił tym samym Ance nie tylko dopływ ogromnych emocji, ale także – a może przede wszystkim? – ogromny rozgłos i sukces zawodowy.

Ze studia telewizyjnego został wyprowadzony przez policję. Od tamtego dnia nie mieli ze sobą kontaktu. Ale to właśnie dlatego Anka nie mogła zlekceważyć listu, który do niej wysłał.

Liczyła, że spotka się z Kapelusznikiem w sali widzeń, że usiądą przy stoliku i spokojnie porozmawiają. Instynkt samozachowawczy podpowiadał jej, że mężczyzna traktuje ją zupełnie inaczej niż wszystkich. Że nawiązał z nią relację, której było może daleko do przyjaźni, ale na swój sposób ją lubił i cenił jej inteligencję.

Zamiast do pokoju ze stolikami i krzesłami została wprowadzona do

wyłożonej płytkami wąskiej kanciapy.

– Proszę czekać. – Funkcjonariusz zniknął za drzwiami.

Wybrała jeden z drewnianych taboretów i usiadła. Na czymś imitującym parapet stał czarny aparat telefoniczny. Kilkanaście centymetrów przed nią znajdowała się szyba. Dotknęła jej najpierw ręką, a później uderzyła w nią paznokciem. Nie była zimna, a dźwięk był stłumiony.

– Gdzie to spotkanie? – przypomniała sobie fragment rozmowy prowadzonej przez funkcjonariuszy służby więziennej.

– Czy ja wiem?

– A co mówił Irek?

– Że ma być bezpiecznie.

– To dajmy ją do pleksy.

Pleksa. Anka dopiero teraz zrozumiała nazwę pomieszczenia. To, co miało dzielić ją i Kapelusznika, nie było szybą. Szkło byłoby zbyt niebezpieczne. Jeden zdecydowany ruch ręką i rozpadłoby się na kawałki. Drugi ruch i skazany odłamkiem szkła ciąłby w newralgicznym punkcie. Siebie, współwięźnia lub odwiedzającego.

Dźwięk otwieranych drzwi kazał Ance skupić wzrok na tym, co działo się za plastikową przeszkodą.

Do środka wszedł Kapelusznik. Uśmiechnął się tryumfalnie, gdy ją zobaczył, a potem podszedł do stanowiska. Usiadł niespiesznie, splótł ręce i powoli studiował szczegóły jej twarzy.

Sięgnęła po słuchawkę i trochę się naczekała, zanim zrobił to samo.

– Jestem. – Zagotowało się w niej.

Zamiast przystąpić do przekazywania szczegółów sprawy, którą chciał ją zainteresować, zachowywał się, jakby delectował się tym, że udało mu się ściągnąć dziennikarkę do więzienia.

– Po co mnie tu zaprosiłeś?

– Chciałem cię zobaczyć.

– Widzisz. Przejdźmy do konkretów.

– W końcu mogę ci się przyjrzeć. Zmizerniałaś?

– Dlaczego napisałeś mi o „ratowaniu istnień”?

– Wybacz, że nie mogę zaproponować ci ani herbaty, ani partyjki krokietu.

– Wiesz coś na temat planowanego morderstwa?

– Jakiego morderstwa?

– Żartujesz sobie?

– A wyglądam, jakbym żartował?

Wyglądał tak, że miała ochotę go rozszarpać. Nie po to wzburzona rozmową z Żelichowskim jechała dwie godziny do Rawicza, żeby bawić się w kotka i myszkę.

– Nie interesuje mnie, jak wyglądasz...
– A mnie interesuje.
– Po co był ten list, co?
– Lubię do ciebie pisać.
– Skończ to pierdolenie! Ratowanie istnień! Wymyśliłeś je sobie tylko po to, żeby mnie zobaczyć?

– A co jeśli? – Patrzył na nią tak prowokująco, że zdała sobie sprawę, że pleksi dzieląca odwiedzającego od osadzonego ma nie tylko zabezpieczać odwiedzającego, ale w niektórych przypadkach, takich jak ten, chroniła życie osadzonego.

Gdyby rozmawiała z Kapelusznikiem w normalnej sali widzeń, nic nie powstrzymałoby jej ataku. Agresja i rozczarowanie urosły w niej do takich rozmiarów, że musiała dać im ujście.

– Pierdol się!

Rzuciła słuchawkę i wstała.

Nie zdążyła jednak wyjść z sali. Usłyszała stukanie w pleksi. Odwróciła się. Mężczyzna uderzał słuchawkę w imitację szyby.

Anka zamarła. Z jednej strony nie chciała wracać, z drugiej jednak list tak ją zaintrygował, że nie mogła stracić szansy na podjęcie ostatniej próby wyjaśnienia kwestii morderstwa.

Na szczęście Kapelusznik stanął na wysokości zadania. Odłożył słuchawkę i złożył dłonie jak do modlitwy. To przekonało dziennikarkę. Wróciła do stanowiska.

– Nie wymyśliłem. Ono się wydarzy.

– Mów dalej.

– Możesz mi pomóc w zapobiegnięciu morderstwu.

– Jak?

– Dowiesz się w swoim czasie.

* *

Liczba nieodebranych połączeń uzmysłowiła Ance, że spędziła w Rawiczu znacznie więcej czasu, niż planowała. W ciągu trzech godzin próbowali się do niej dodzwonić niemal wszyscy. Kobieta od ubezpieczeń, Artur, Łukasz, Wiktor i oczywiście matka. Ta ostatnia dzwoniła aż pięć razy. Nie mogła się nauczyć, że

jeśli córka nie odbiera, to zawsze oddzwania, nie ma więc konieczności ponawiać połączenia.

Anka wsiadła do samochodu i zanim ruszyła w drogę powrotną, wybrała ostatni numer z listy nieodebranych.

– Halo?

– No cześć, w końcu oddzwaniaasz. – Usłyszała głos Łukasza.

– Cześć. Miałam spotkanie. Nie mogłam gadać.

– Szkoda, bo miałem szybką sprawę.

– Teraz nie możemy jej załatwić? – spytała i włączyła się do ruchu. – Albo jak dojadę, to znaczy, jak się spotkamy wieczorem, czy kiedyś.

– Aniu... Przepraszam.

Wypowiedział te dwa słowa takim tonem, że niepokój niemalże uderzył ją w zęby.

– Łukasz?

Po takim dniu spodziewała się najgorszego. Najpierw rozmowa o nieszczęśliwych wypadkach, którym może ulec podczas nagrywania programu, potem bezowocna wizyta w więzieniu. Pech przyczepił się do niej i nie chciał jej opuścić.

– Aniu, przepraszam. Nie spotkamy się wieczorem... To była szybka piłka. Miałem piętnaście minut na podjęcie decyzji. Dzwoniłem, bo chciałem ją skonsultować z tobą. Nie chciałem zrobić tego za twoimi plecami. Ale... Aniu. Przepraszam.

– Łukasz, o czym ty mówisz?

– Nie będzie mnie przez kilka chwil. Jestem w drodze do Paryża – wykrztusił z siebie.

Mijała właśnie tablice Rawicza.

– Paryża?

– Gazeta chce mieć relację z miejsca zamachu. W Paryżu panuje panika, służby szukają zamachowców. To świetny temat. Nie mogłem go tak po prostu odrzucić.

* *

Łukasz był już pewnie w Paryżu, Kapelusznik siedział na pryczy w celi, a Wiktor? Wiktor stanowił dla Anki niewiadomą.

Ona sama leżała w wannie i czekała, aż gorąca woda i zapach lawendy zadziałają rozluźniająco na jej ciało i umysł.

– „...na prawdziwą wojnę nie zamierzam iść...” – Ze stojącej w pokoju wieży sączył się głos Ani Dąbrowskiej.

Rogozińska zadbała o wszystkie zmysły. Migające światło, pochodzące z rozstawionych na podłodze świeczek, pozwalało zrelaksować się jej oczom. Zapach ulubionego płynu do kąpieli wnikał do jej wnętrza. Na szafce łazienkowej stało gorące kakao, a na powierzchni wody sterczała nieśmiała piana, która znikwała pod wpływem dotyku.

– „...w myślach tak bez końca zmyślam nas...”

Wysłuchiwała się w tekst i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że gdyby oderwać go od muzyki, która dodawała dynamiki, pozostałby imponujący i okrutnie smutny obraz. Kobiety, która stoi przed ukochanym mężczyzną i bez wstydu opowiada mu o swoich emocjach, nie oczekując niczego w zamian.

– „...świat już skończył się nie raz...”

Anka była zła na cały świat, ale najbardziej na Łukasza. To ona powinna być teraz na miejscu zamachu terrorystycznego. Ona powinna rozmawiać z ludźmi, którzy się boją wyjść z domu, z tymi, którzy stracili bliskich, i z cudzoziemcami, którzy teraz będą utożsamiani z całym złem. Powinna popijać kawę w uroczych kawiarniach, zajadać się bagietkami i ustalać, kim byli zamachowcy. Czy szaleńcami, poszukiwaczami sławy czy rzeczywiście terrorystami.

– „Nigdy mi nie znudzisz się. Jesteś wszystkim czego chcę. Tak bezpieczna z tobą mogę być...”

Zamknęła oczy, żeby pozbyć się uporczywych myśli, ale zamiast tego jej wyobraźnia wyemitowała kuszący obraz: Anki stojącej na tle zniszczonego wybuchem budynku, łączącej się na żywo ze studiem Primo TV.

A potem następny. Wiktora Brauna przyodzianego w swój świetnie skrojony garnitur i przyglądającego się jej wzrokiem Kapelusznika.

– „...mam ciebie tylko w głowie i to wystarczy mi...”

* *

Samochód nie był najlepszym miejscem na spotkanie, jednak Wiktor jak ognia unikał kawiarni i centrów handlowych. Poza tym pora, o której Anka zadzwoniła do Wiktora, była zbyt późna, by namawiać go na kawę. I tak większość

kawiarni właśnie się zamykała.

– Minęła dwudziesta druga, na informacje zaprasza Radek Kowalski.

Poznańskie radio towarzyszyło Ance podczas jazdy ciemnymi ulicami. Właśnie skręciła w prawo z Chwaliszewa w Czartorię. Auto zaczęło podskakiwać na bruku.

Z Wiktoorem miała spotkać się nieopodal Czerwonej Chaty, pozostałości po domach robotniczych. Dokładnie w tamtym miejscu rozpoczęła się ich współpraca dotycząca dopalaczy. O jej zakończeniu Anka nie chciała pamiętać, ale w szafie przechowywała jeszcze ususzoną czerwoną różę i karteczkę z napisem: „Zaufaj mi, Anno”.

Zaufała mu dzisiaj i właśnie dojeżdżała na miejsce, w którym miał na nią czekać.

Czartoria nie wyglądała bezpiecznie nawet za dnia, nie bardzo więc rozumiała wybór Wiktora. Znała wiele innych miejsc, w których mogliby się spotkać. Ale nie oponowała. Być może miał jakiś plan.

Nie chciała, przynajmniej w momencie prowadzenia rozmowy telefonicznej. Leżała zrelaksowana w wannie i wydawało jej się, że wszystko jest takie łatwe. Wydawało, bo kiedy tylko skręciła w Czartorię, przypomniała sobie miejską legendę o czarnym, ogromnym psie, który niegdyś podobno błąkał się po okolicy.

Pies był wcieleniem sił nieczystych, a mieszkańcy Chwaliszewa bali się go tak bardzo, że nocą nie wychylali nosów ze swoich mieszkań. Podobno gdy kogoś ugryzł, ten ktoś nawracał się i przestawał być zły. A bycie złym na Chwaliszewie było niegdyś obowiązkiem. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych zbierało się tu całe podejrzanе towarzystwo – od drobnych złodziejasków, na nożownikach skończywszy – i planowało krwawe zbrodnie i napady.

Mówiono też, że imię psa odczytano z kilku kocich łbów, które do dziś nosiły na sobie charakterystyczne litery. Anka nigdy tego nie sprawdzała, ale z kilku źródeł słyszała, że kamienie do wybrukowania Czartorii pochodziły z kirkutu, który stał kiedyś na poznańskiej Malcie.

Znalazła wolne miejsce parkingowe po prawej stronie ulicy, dokładnie w miejscu, w którym ulica rozgałęziała się. Nie wyłączała silnika. Grające radio i wątle światło, którym świeciła deska rozdzielcza, dodawały jej odwagi. Przynajmniej pozornie. Ale i tak podskoczyła, kiedy ktoś zapukał w okno od strony pasażera.

Wyteżyła wzrok. Oceniała, że ciemna sylwetka w niczym nie przypominała ani psa, ani chwaliszewskiego monstrum.

Ktoś pociągnął za klamkę, ale nie mógł poradzić sobie z drzwiami, więc znowu zapukał.

– Otworzysz? – Usłyszała głos Wiktora.

Odetchnęła głęboko i odblokowała zamek.

– Cześć.

Wiktor usiadł na miejscu pasażera i zamknął za sobą drzwi. Do środka razem z nim wdarł się chłód. Anka naciągnęła na ręce rękawy wełnianego swetra. Próbowwała też ocenić zapachowo, czy to zimne, nocne powietrze października, czy zawodowy chłód prokuratora.

Zamiast powietrza poczuła jednak intrygujący męski zapach.

– Cześć – odpowiedziała i starała się usiąść tak, żeby móc patrzeć na Wiktora.

Wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle. Miał na sobie dresowe spodnie i sportową kurtkę. Żałowała, że w samochodzie panował półmrok, bo nie mogła zobaczyć go w pełnej okazałości.

– I jak było?

Nie musiał mówić nic więcej. Wiedziała, o co mu chodzi. To dzięki niemu – a raczej jego znajomościom – mogła zobaczyć się z Kapelusznikiem. Tak od razu, bez wcześniejszego uprzedzenia i wymiany listów urzędowych.

– Zostaw to – powiedział, kiedy skończyła mu opowiadać o odwiedzinach w Rawiczu.

Nie była pewna, co usłyszała w tej krótkiej komendzie. Rozkaz? A może troskę?

Chciała móc spojrzeć w jego oczy. Chciała zerknąć na twarz. A on po prostu siedział obok i patrzył przed siebie.

Samochód był zdecydowanie najgorszym miejscem spotkania, na jakie mogła się zgodzić. Zrezygnowana spojrzała w kierunku, w którym patrzył Wiktor.

Czerwona chata stała tak samo jak ponad siedem miesięcy temu, całkowicie odstając od najbliższego otoczenia. Trochę przepraszająco, a trochę bezczelnie. Jakby historia się przejadła współczesności, jakby nie była modna, ale za wszelką cenę chciała zaistnieć.

– Nie mogę, Wiktor. A jeśli on mówi prawdę?

– A jeśli kłamie?

– A jeśli to, a jeśli tamto... Wiesz, że tak możemy rozmawiać o wszystkim – zdenerwowała się Anka.

– O wszystkim... Czyli na przykład o czym?

Spokój, z jakim zadał to pytanie, sprawił, że najchętniej schowałaby głowę w piasek. Albo wyprosiłaby go ze swojego samochodu i pokonała dystans dzielący ją od domu w tempie kierowcy rajdowego. Przemknęłaby przez ciemne i pustawe miasto, żeby uciec od pytań i myśli, które w niej buzowały.

– Co jeśli to oleję, a potem do końca życia będę pluła sobie w twarz, że miałam możliwość zapobieżenia śmierci człowieka.

– Anka!

– Wiktor. Obiecuję, że zostawię to, jeśli zrobi się niebezpiecznie. Jeśli mi

pomożesz, to mogę ci obiecać, że nie zrobię nic bez twojej wiedzy.

– Jak pomóc?

– Słuchaj, tak sobie myślałam... Jeśli Kapelusznik rzeczywiście dysponuje wiedzą o tym, że ktoś chce kogoś zabić... To albo dotyczy to jakiejś sytuacji w więzieniu, albo poza jego murami. Jeśli ma zginąć jeden z osadzonych, to odpuszczam temat, ale jeśli ktoś normalny... No wiesz, niewinny... To chcę przynajmniej to sprawdzić.

– Ale jak?

– Mam pomysł, ale będę potrzebowała twojej pomocy.

ROZDZIAŁ 5

Najpierw bez chwili wahania wyłączyła dzwoniący budzik. Spojrzała na wyświetlacz. Była piąta trzydzieści. Momentalnie usiadła na łóżku, nie dając organizmowi ani chwili na wybudzenie świadomości.

Najpóźniej za godzinę musiała być już w drodze do miejsca jej zsyłki. Miejsca, w którym czyhać będzie na nią zgraja nieszczęśliwych wypadków. Na szczęście mieszkała na Ratajach, nie musiała więc przejeżdżać przez pół miasta, by dotrzeć do podstacji pogotowia ratunkowego.

Wszzechogarniająca ciemność i senność, której nie mogła się pozbyć, otumaniały ją. Właściwie była jak zombie. Przemieszczała się między łazienką, kuchnią i pokojem, ale robiła to jak robot.

Dzwonek telefonu zastał ją w kuchni. Siedziała przy blacie i wmuszała w siebie kolejne kęsy kanapki. Matka wpoila jej, że nie wychodzi się rano z domu bez zjedzenia śniadania.

– Halo? Anka?

– Cześć, Artur. W co my się wpakowaliśmy? Jem śniadanie niemalże w środku nocy...

– Anka, zasnęłam. Właśnie otworzyłam pierwsze oko. Spóźnię się.

– Artur, kurwa! Jak to: zasnęłaś?! To się teraz nie opierdzielaj i nie gadaj ze mną, tylko przyspiesz!

– Przyspieszam, ale nie dotrę z Piątkowa na Rataje w ciągu piętnastu minut.

– Zabiję cię! – krzyknęła i rozłączyła się.

Zegar pokazywał szóstą dwadzieścia pięć. Wypiła herbatę, resztę kanapki zostawiła na talerzu i zerknęła jeszcze na swojego smartfona. W newsach znalazła kilka informacji dotyczących sytuacji w Paryżu. Liczba ofiar przekroczyła sto trzydzieści, a rząd wprowadził stan wyjątkowy.

W jej prywatnym świecie też właśnie trwał stan wyjątkowy.

* *

Otaczał go chłód. Cholerny poranny chłód, który przypominał, że już za chwilę nadejdzie zima ze swoimi ujemnymi temperaturami, perfidnie śliskimi

chodnikami i irytującymi opadami śniegu.

Wciągnął powietrze nosem, przytrzymał je chwilę w sobie, a następnie wypuścił. Obłok pary pojawił się przed jego oczami. Tak biały, jakby powietrze było dymem papierosowym.

Nie palił. To znaczy kiedyś palił. W młodości, przy okazji imprezy lub spotkania w męskim gronie. Nie przepadał jednak za smakiem tytoniu, skupiał się raczej na ogniu.

Tańczący płomień zapalniczki zawsze robił na nim wrażenie. Był taki wolny i niebezpieczny. Dotknięty sprawiał ból, a jednocześnie budził coś na kształt podniecenia.

Pamiętał swój pierwszy raz. Nie z papierosem, ale z wybuchowymi eksperymentami. Chyba jak każdy szanujący się bomber zaczynał od saletry i cukru. W skupieniu przygotowywał mieszankę, przesypywał do pudełka od zapalek, a później zaklejał je, robił w nim niedużą dziurę i wciskał w nią zielony lont.

Kiedy niewielki płomień przeskakiwał z zapalniczki na lont, przez jego ciało przebiegał dreszcz podniecenia. Chwilę później następował wybuch. Opakowanie ulegało rozerwaniu, a huk i dym przyjemnie drażniły jego zmysły. Lubił to znacznie bardziej niż papierosy.

Teraz biegł przed siebie, oddychając miarowo. Miasto powoli budziło się do życia. Na przystanku tramwajowym ludzie przestępowali z nogi na nogę. Czekali... tak jak on czekał.

Wszystko, co robił, robił tylko w jednym celu. Musiał być przygotowany do tego dnia. Najważniejsze wydarzenie jego życia było przed nim. Jeszcze daleko, ale już prawie na wyciągnięcie ręki.

To dlatego zmagął się ze swoimi słabościami. Dlatego biegał przy czterech stopniach Celsjusza. Dlatego rzucił palenie. Dlatego nie rozmawiał z nikim o swoich pasjach. Musiał być gotowy, mimo że nie znał jeszcze ani dnia, ani godziny.

* *

Artur dotarł na podstację w wielkim pośpiechu. Od razu, kiedy wszedł do budynku, zauważył minę Anki. Nie wiedział, czy jest spowodowana chłodnym przyjęciem przez dwie ekipy ratowników, tym, że musiała wstać w środku nocy,

czy tym, że zaspał i zmusił ją do zrobienia pierwszych kroków na nowym terenie bez asysty.

Zdążył się przywitać z obecnymi w środku ratownikami, cmoknąć Ankę w policzek i przebrać w mundur, a już przyszło zlecenie wyjazdu.

– Artur, jedziemy! – Anka rzuciła mu spojrzenie.

Znał je. Była podekscytowana.

Ratownicy wręcz przeciwnie. Z obojętnymi minami ruszyli w stronę wyjścia.

– Do kasty wchodzisz bez kamery – warknął jeden z nich.

Artur zlekceważył go i pomaszerował za wszystkimi. Zatrzymał się półtora metra przed karetką. Błdy blondyn zablokował mu wejście. Anka zdążyła już wsiąść.

– Bez kamery albo wypad.

– Wyluzuj, wszystko jest uzgodnione na wyższym szczeblu.

– Bez kamery albo wypad. Masz trzy sekundy na decyzję. To nie Hollywood, tylko życie. I moja robota!

– Człowieku, przecież nie będę filmował na chama! Najpierw zapytam pacjenta o zgodę. – Artur uznał, że musi się odezwać.

Filmował przecież od lat i dobrze wiedział, jak to się robi. Owszem, pytanie o zgodę po fakcie prowadziło czasem do nieprzyjemnego poczucia straty czasu. Nie przepadał za sytuacjami, w których musiał usuwać dobry materiał, bo sfilmowana osoba mówiła kategoryczne „nie”. Zaliczał je jednak do tak zwanego ryzyka zawodowego.

– Trzy sekundy minęły. Zostajesz. – Ratownik odwrócił się i złapał klamkę bocznych drzwi.

– Haribo! – Z wnętrza karetki wydostał się głos kierowcy. – Ruszamy!

* *

– Anna Rogozińska, słucham?

– Obciąć jej głowę – powiedział piskliwym głosem.

Wyobrażał sobie, że Królowa Kier z „Alicji w Krainie Czarów” była okrągła, mała i miała cienki i mocno irytujący głos.

– Halo?

– Mówię, że Królowa powinna rozkazać obciąć ci głowę. Przegięłaś.

– Kto mówi?

– Jak to kto? Ja. Przestań zadawać pytania i w końcu mnie posłuchaj.

– Jaki ja? Kapelusznik?

Była zdenerwowana – czuł to w jej głosie. Wpatrywał się w ścianę, na której wisiał aparat telefoniczny, i zastanawiał się, czy udało mu się ją przestraszyć i zaintrygować jednocześnie, czy może nerwowość wynikała z tego, co działo się obok niej.

Nie wiedział, gdzie była, ale wyraźnie słyszał wycie syreny. Musiała znajdować się właśnie obok radiowozu lub karetki pogotowia. Kusiło go, żeby zadać jej pytanie, co się stało, ale takim zachowaniem zrujnowałby swój misterny plan.

– Tak, ja. Słuchaj. Nie nasyłaj na mnie urzędasów. Niech przestaną o mnie wypytywać i mnie sprawdzać. Powiedziałem ci prawdę. Niebawem dojdzie do morderstwa. Pośrednio będę w nie zamieszany, ale mi tego nie udowodnisz. Nigdy. Niezależnie od tego, jak bardzo będziesz się starała. Dobrze wiesz, że jestem ponadprzeciętnie inteligentny i nie działam bez zastanowienia. Zabiłem już trzy osoby, jakoś poradzę sobie z myślami o tym, że przyłożyłem się do śmierci czwartej. Ale czy ty dasz radę żyć ze świadomością, że mogłaś uratować ofiarę, a wolałaś bawić się w te swoje gierki i wykrzykiwać po kątach: „sprawdzam, sprawdzam!”?

– Kapelusznik... ale ... chyba... ty...

Jej głos przegrywał starcie z syreną. Nie słyszał, co mówiła, ale nie miał czasu na przedłużanie rozmowy. Nie dzwonił przecież z komórki, bo mendi miały wykrywacze częstotliwości. Odczekał swoje w kolejce do budki telefonicznej zainstalowanej na więziennym korytarzu.

– Posłuchaj mnie uważnie. Zadzwoń do ciebie jutro. Po raz ostatni. I chcę usłyszeć, jaką decyzję podejmiesz. Albo mi pomagasz, albo mnie sprawdzasz...

Rzucił słuchawkę na widelki i spojrzał na korytarz. Edek spisywał się świetnie. Wychowawca, który miał dziś monitorować rozmowy, został przez Edka skutecznie odciągnięty i zainteresowany fikcyjnym problemem. Odkąd Chudy wyszedł na wolność, Kapelusznik mógł liczyć tylko na Edka.

* *

– ...u pacjenta.

Anka usłyszała głos jednego z ratowników i spojrzała za okno. Dojechali na miejsce.

Przy okrągłym budynku Nowej Gazowni znajdował się tłum ludzi. Ktoś

wybiegł w stronę karetki, ktoś inny machał, jakby wskazując kierunek. Reszta stała, rozmawiając ze sobą i spoglądając to w kierunku karetki, to w kierunku Nowej Gazowni.

Ratownicy wysiedli z samochodu. Haribo zajrzał do tyłu, sięgnął po spory czerwony plecak, zarzucił go sobie na ramię i chwycił torbę opatrunkową, którą podał Szczepanowi.

– Idziesz? – spytał obojętnie, spoglądając na Ankę.

Nie odpowiedziała, ale uniosła się z fotela i pomaszerowała za ciemnowłosym ratownikiem. Była oszołomiona. Wydarzenia ostatnich kilku minut zadziały na nią jak otumaniający koktajl.

Najpierw Artur, którego wraz z kamerą zostawili przy podstacji. Potem jazda na sygnale, wbrew światłom i przepisom drogowym. Pośpiech w czasoprzestrzeni kontrastujący ze spokojem ratowników siedzących w przedniej części karetki. W końcu rozmowa telefoniczna z kimś podającym się za Kapelusznika.

– Co się dzieje?

– Tu, panowie, tutaj! Tu jest ten facet!

Tłum rozstępował się przed nimi. Szli gęsiego. Anka zamykała czerwoną procesję. Nie czuła się członkiem zespołu, widziała jednak swoje nogi odziane w odblaskowe, czerwone spodnie. To nie pozwalało jej zapomnieć, że powinna być blisko ratowników. I w razie potrzeby coś im przytrzymać lub podać.

– Tutaj!

– Halo, proszę pana? Słyszysz mnie pan? Halo? Co się dzieje?

Na chodniku leżał nieprzytomny mężczyzna. Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat. Splecione na brzuchu dłonie były całe we krwi. Głowa i plecy opierały się o półokrągłą ścianę z namalowanym nieistniejącym już Mostem Chwaliszewskim i napisem „Poznańska Wenecja”.

– Kiedy was wzywałam, jeszcze był przytomny. – Obok pacjenta stała kobieta w średnim wieku. – Boże, był przytomny, a ja myślałam, że to jakiś teatr...

– Spokojnie, proszę się odsunąć i dać nam pracować.

Ance wydawało się, że krew jest wszędzie. Nawet na budynku.

– Oddycha – zakomunikował Szczepan.

Podniósł rękę pacjenta i położył ją na wysokości serca. Przycisnął jeden opuszek palca, a później go puścił.

Anka rozejrzała się dookoła. Ludzi przybywało. Z oddali dochodził odgłos wyjącej syreny, a z bliska głos kobiety, która zadzwoniła po karetkę.

– Myślałam, że to część przedstawienia. Nawet nie wiedziałam, że tamten facet ma nóż. Stali blisko siebie. Potem ten osunął się po ścianie. Obserwowałam, ja głupia! Bo wie pani, tutaj ten festiwal kryminału jest. O, Granda, widzi pani ten plakat? No właśnie. Więc ja myślałam, że to performer, czy jak to się mówi? Że to performans takie jest. Że to udawane. Przystanęłam więc z boku i oglądałam,

zamiast pomóc. Dopiero po czasie, kiedy on się osunął...

Stała i słuchała podekscytowanej kobiety, bo nic innego w tej chwili nie mogła zrobić. Zdążyła pożałować, że nie ma przy niej Artura albo że ona sama nie ma przy sobie kamery. Miała pierwszorzędny widok. Gdyby mogła pokazać go widzom, byłiby zachwyceni.

– Pomożecie mu, panowie? Pomożecie?!

– Spokojnie, spokojnie! – Haribo stał obok pierwszego ratownika.

Szczepan rozcinał ubrania pacjenta. Oczom Anki ukazał się nagi męski tors i brzuch z krwawiącymi dziurami. To były pierwsze rany klute, które widziała. Policzyła je i skupiła się na ich wyglądzie, żeby jak najpełniej opisać je później Arturowi. W tym czasie ratownicy zajmowali się opatrywaniem ran.

– Dawaj mary! – Polecenie Szczepana sprawiło, że Haribo zniknął i po chwili wrócił z noszami.

Wszystko toczyło się błyskawicznie, według przewidzianych wielokrotnie schematów. Nawet gdyby chciała pomóc leżącemu na chodniku człowiekowi, nie było nic, co mogłaby zrobić. Haribo i Szczepan sprawiali wrażenie, że dokładnie wiedzą, co robić.

* *

Joanna nie mogła nie zauważyć Rogozińskiej. W czerwonym mundurze wyglądała jak kukła. Stała nieruchoma, podczas gdy pozostali ratownicy nachylali się nad poszkodowanym.

– Anka? Uuu, to na ciebie trafiło – odezwała się w taki sposób, że jej wypowiedź można by nagrać i zamieścić w internetowej wersji słownika języka polskiego, tuż obok wyrazu: „pejoratywny”.

Mogli tam zamieścić nawet jej zdjęcie. Specjalnie wydeła usta i wykrzywiła twarz. Chciała, żeby była gwiazda poznańskiego oddziału telewizji poczuła się odpowiednio zdegradowana.

– Joanna? Ty tutaj? Tak szybko? Skąd miałaś cynk?

Niebieskie bystre oczy wwierały się w nią, ale nie zamierzała tracić rezonu. Może i miała mniej doświadczenia od Rogozińskiej, ale była też od niej młodsza.

– Od informatora, ma się rozumieć.

– Czyli od kogo? Masz kogoś spoza grona stale współpracujących z Primo TV?

– Przecież wiesz, kochanieńka – odpowiedziała, bezczelnie patrząc w oczy zaciekawionej koleżanki – że w naszej branży najcenniejsze są źródła. Ja o swoje dbam.

Policjanci przegonili operatora z miejsca zdarzenia i zaczęli rozwijać taśmę oddzielającą najbliższą okolicę zakrwawionego miejsca od gapiów.

– Rozmawiałaś już z kimś? Udało ci się ustalić, co się tu stało? – Ankę wyraźnie bolało, że to nie ona zbiera informacje.

– Rozmawiałam...

Zawiesiła głos, by zabrzmieć jak najbardziej tajemniczo. Jeszcze z nikim nie rozmawiała, ale przecież wiedziała, do kogo ma uderzyć. Miała imię i nazwisko kobiety, która zadzwoniła pod numer alarmowy. Teraz tylko musiała ją znaleźć. Musiała... ale jakoś nie mogła odmówić sobie w tej chwili przyjemności pastwienia się nad Rogozińską.

– Co ustaliłaś? Ktoś widział sprawcę?

– Nie powinno cię to interesować. Przyznam szczerze, że niezbyt do twarzy ci w tej fluorescencyjnej czerwieni. Ten kolor podkreśla wszystkie niedoskonałości skóry i uwydatnia zmarszczki.

Podeszły do karetki. Pół kroku za Joanną podążał operator. Kobieta liczyła na to, że był na tyle przytomny, by zrobić kilka ujęć wnętrza karetki i uwiecznić to, co działo się w środku.

– Zatrzymał się.

Wydawało jej się, że te dwa słowa dotarły do jej uszu właśnie z wnętrza karetki. Próbowała do niej zajrzeć, ale Rogozińska jakby wyczuła jej intencje i stanęła przy drzwiach, zasłaniając widok.

– Joanna, gramy do jednej bramki. Powiedz, co ustaliłaś.

– Jednej bramki? – zachnęła się. – Masz na myśli Primo TV? Kochanieńka, coś ci się pomyliło. Spójrz na siebie i na mnie. Ja gram do bramki, a ty tylko sprzątasz brudy. Chcesz wiedzieć, co ustaliłam? Włącz telewizor. Wiesz przecież, o której jest wieczorne wydanie informacji.

* *

Mimo starań ratowników nie udało im się uratować mężczyzny. Kiedy Szczepan zarządził, że wracają na podstację, Anka odetchnęła z ulgą. Stanowczo zbyt dużo czasu spędzili przed Nową Gazownią. Najpierw czekali na karetkę „S”,

w której zespole był lekarz mogący stwierdzić zgon poszkodowanego, później na prokuratora.

Haribo uruchomił silnik i włączył się do ruchu. Szczepan wychrypiął do nadajnika numer karetki oraz hasło:

– Powrót.

Anka czuła się nieswojo. Jakby połknęła kilka tabletek z hormonami o wzajemnie wykluczających się działaniach. Emocje uwalniały się naprzemiennie, podkręcając swoje działanie lub je neutralizując. Początkowa adrenalina i nieodparta chęć działania ustąpiły miejsca poczuciu beznadziei. Zaraz po niej pojawiły się zniecierpliwienie i złość.

Zmarnowała mnóstwo czasu, przebywając bez kamery w miejscu, które byłoby interesujące dla widzów. Już sama dynamika sytuacji zachwycała. Nie była operatorem filmowym, ale i tak przemawiały do niej obrazy. Oczyma wyobraźni widziała już kadry, które idealnie przekazywałyby klimat i emocje tamtej chwili.

Najpierw szybka jazda na sygnale. Później zwolnienie akcji. Ujęcie, w którym ważniejsze od szybkości były precyzja i zdecydowanie ratowników. Badanie pacjenta. Podjęcie decyzji o sposobie udzielenia mu pomocy.

W kolejnym ujęciu niewielkie przyspieszenie akcji. Pojawiają się nosze, a pacjent znika w karetkce. Przyglądający się temu ludzie przestają wstrzymywać oddechy. Rozluźniają się i rozmawiają, bo przecież poszkodowany jest już w dobrych rękach.

Nowy kadr rozpoczynałby się w kontrze do tych wszystkich rozmów i uśmiechów gapiów. Karetka. Tam nadal trwa walka o życie człowieka. Ratownicy uwijają się jak mrówki. Muszą zatamować krwawienie.

Pojawiają się opatrunki hemostatyczne. Zbliżenie kamery na coś, co samo w sobie jest potwierdzeniem tezy, że postęp technologiczny służy człowiekowi. Maksymalny *zoom*, by pokazać, jak środek chemiczny styka się z ludzkim osoczem i w bardzo krótkim czasie tworzy skrzep tamujący krwawienie.

Zwrot akcji – zatrzymanie krążenia. Ujęcie pokazujące skupione twarze ratowników, ich zdecydowane ruchy i odczyty urządzeń.

Wreszcie zgon. Ale to nie on stanowiłby ostatnie ujęcie. Ostatnim byłoby spojrzenie na zgromadzony tłum ludzi. Tak bardzo zajętych rozmowami o tym, co się tu przed chwilą stało, że nawet nie zauważają tego, że w ich otoczeniu spaceruje śmierć.

– Nie wiem, czy to odpowiednia chwila, ale mam pytanie... – zaczęła nieśmiało Anka.

Całą drogę Haribo i Szczepan siedzieli w milczeniu, patrząc przed siebie. Trudno było jej cokolwiek wyczytać z ich zachowania. Zdawała sobie sprawę, że być może ratownicy nie mieli ochoty na rozmowy. Może w taki sposób odreagowywali utratę pacjenta.

– Pytaj – pierwszy odezwał się Szczepan.

Nawet odwrócił się i spojrzał na nią. Wyraz twarzy miał dokładnie taki sam jak rano. Dość groźny, zimny i odpychający. Oczy nadal były ciemne i suche. Anka uznała, że śmierć w karetce raczej nie zrobiła na nim wrażenia, spytała więc już bardziej pewnie:

– W czym przeszkadzałyby ci dziś kamera?

– Słyszysz to, Haribo? – Szczepan zwrócił się do kolegi. – Czy przeszkadzałyby ci ten facet z kamerą na ramieniu?

– Przeszkadzałyby.

– A w czym? – dopytywał.

– We wszystkim – odpowiedział tamten i obaj się roześmiali.

Karetka wjechała na most Królowej Jadwigi. Dokładnie ten sam, z którego w osiemdziesiątym czwartym roku skoczył poeta, Andrzej Babiński, przyjaciel Edwarda Stachury. Anka też miała ochotę skoczyć. Na widoczne w dole betonowe nabrzeże.

Myśl o tym, że będzie musiała męczyć się w tym zespole przynajmniej przez kilka, a może i kilkanaście dni, dobijała ją do tego stopnia, że mogłaby zdobyć się na taką spontaniczną decyzję. Skoczyć i pozbyć się towarzystwa mrukowatych i zbyt pewnych siebie twardzieli.

Nie zrobiła tego, bo po pierwsze musiała załatwić jeszcze sprawę związaną z Kapelusznikiem, a po drugie zatrzymała ją świadomość, że Szczepan Misztak i Maciej Majcher byli ratownikami. Gdyby więc wybiegła z karetki i skoczyła z mostu, mogliby ruszyć za nią i zbyt szybko przystąpić do czynności ratujących życie.

– Dziewczyno, rozluźnij twarz. Głupie zadajesz pytania, to się z nich śmiejemy. Pojeździsz z nami trochę, to sama się przekonasz.

– Szczepan, a możesz wytłumaczyć mi to teraz?

– Niecierpliwa pani z telewizji – podsumował ją Haribo. – A jak długo będziesz z nami jeździła?

– Jak nie będziecie chcieli ze mną rozmawiać, to pewnie ze trzy razy dłużej, niż zakładałam.

– Byle nie do usranej śmierci... – rzucił Haribo i ratownicy znowu zaczęli się śmiać.

Tym razem przyłączyła się do nich, a kiedy przestali, dodała:

– Byłam z wami na razie tylko na jednym wyjeździe, ale już widzę, że o śmierć w tej karetce wcale nie jest tak trudno, jakby się mogło wydawać.

To miał być żart, ale kiedy go wypowiedziała, zdała sobie sprawę z tego, że przekroczyła granice dobrego smaku. Kilkadziesiąt minut wcześniej jakiś metr od miejsca, w którym siedziała, człowiek wyzionął ducha. Prawdziwy człowiek, który miał jakąś rodzinę, przyjaciół, dziewczynę czy narzeczoną. Ludzi, którzy

tygodniami będą opłakiwać jego śmierć.

– No, no, dziewczyno. Chyba trochę za mocno się rozluźniłaś. Ale dobrze, chcesz odpowiedzi? Proszę. Jak trochę z nami pojeździsz, to przekonasz się, że... – Szczepan zawiesił głos, jakby szukał odpowiednich słów. – Że zdecydowana większość naszych pacjentów różni się od ludzi, których znasz. Nasi pacjenci nie marzą o medialnej sławie. Chcą, żeby przestało ich boleć. Albo żeby ktoś im pomógł. Albo chcą żebyśmy przyjechali, bo od tego właśnie jesteśmy. Czasem zależy im tylko na tym, by ktoś ich pożałował, wysłuchał ich bolączek. Być może chcą pozbyć się starego rodzica albo innego problemu. Wydaje im się, że umierają, bo podskoczyło im ciśnienie albo że za chwilę wykrwawią się na śmierć. A czasem w ogóle nas nie chcą i wcale tego nie ukrywają. Powiedziałbym, że zdecydowana większość z nich znajduje się subiektywnie w jednej z najgorszych chwil swojego życia i nie ucieszy się z widoku faceta z kamerą.

– Ale sam mówisz, że większość, czyli nie wszyscy. Dlaczego chcesz mówić za tą część społeczeństwa, którą możemy zaprosić przed kamery? Poza tym można ukryć twarze tym, którzy nie wyrażą zgody. Pokazać ich w sposób utrudniający identyfikację.

– Okej, ale jak ty to sobie wyobrażasz? – Szczepan patrzył na Ankę z ironicznym uśmiechem, ale wyglądał na zainteresowanego rozmową. – Jak dogadałaś się z dzisiejszym pacjentem?

– Nie wiem... Może gdzieś tam stałby jakiś jego znajomy? Kobieta, dziewczyna, matka, partner?

– I myślisz, że w momencie, w którym najważniejsza jest walka o życie człowieka, będziemy tracić cenne minuty na rozmowę? Dzień dobry, pani pozwoli, że zanim przystąpię do naprawy pani zepsutego syna, przedstawię zgromadzonych tu ludzi. To kolega z telewizji, jest operatorem, a to koleżanka dziennikarka, która ma misję i chętnie pokazałaby, jak taka naprawa wygląda. Czy mogłaby się pani zastanowić, czy wyrazi pani zgodę na obecność kamery podczas działań ratujących życie pani syna? O zaraz, chwileczkę. Propozycja jest już nieaktualna. Pacjent właśnie umarł. Nie, proszę nie mieć do nas pretensji, to pani za długo się zastanawiała.

– Przesadzasz!

– Koloryzuję, żebyś zobaczyła to, czego jeszcze nie widzisz.

– A jeśli co drugi, piąty, nawet co dziesiąty pacjent się zgodzi?

– To, że się zgodzi, nie znaczy, że obecność kamery nie utrudni nam pracy. Pomyśl. Jak ludzie zachowują się, wiedząc, że ktoś ich będzie oglądał i oceniał?

– Starają się zrobić dobre wrażenie.

– Bingo! – krzyknął Szczepan. Haribo właśnie zaparkował samochód przy podstacji. – Pacjent myślący o tym, żeby sprawić dobre wrażenie, nie będzie się z nami skutecznie komunikował. Jak mamy pomóc komuś, kto jest zamknięty, nie

odpowiada na niewygodne pytania i chce przemilczeć niewygodne fakty?

* *

– Szanowny pan wybiera się na wagary?

Z Tomaszem Nasiłowskim Wiktor spotykał się ostatnio tylko w windzie. Byli zbyt zabiegani, nawet na to, by wspólnie zjeść obiad. Czasem sam miał problem z tym, żeby w grafiku wygospodarować piętnaście minut na ciepły posiłek.

– Chciałbym. Niestety spieszę się na rozprawę.

– Zabiegany jesteś ostatnio. Chyba najbardziej z całego naszego wydziału. To tobie przypadła ta sprawa z karetką i przechodniem?

Wiktor pokiwał głową i wybrał przycisk z literą „P”. Do rozprawy zostało mu tylko dziesięć minut. Na szczęście miał blisko do sądu. Wystarczyło, żeby przedostał się na drugą stronę ulicy.

– Współczuję. Ty to masz pecha. – Tomasz rozłożył ręce i wzniosł oczy do góry.

– Dlaczego? Wykreślę z harmonogramu przerwy na wychodzenie do toalety, sen i dojazdy do domu i jakoś dam radę ogarnąć to wszystko, zanim się przedawni.

Nasiłowski złapał żart. Uśmiechnął się delikatnie i spojrzał na siebie w lustrze. Wiktor mógłby przysiąc, że to było zalotne spojrzenie. Ale nie przelotne. Mężczyzna przyglądał się swojemu odbiciu, jakby centymetr po centymetrze analizował swój strój, postawę i wyraz twarzy. Nie ukrywał, że się sobie podoba.

Wiktor obserwował to z rozbawieniem. Pomyślał nawet, że gdyby Tomek nie był osobą publiczną, to na pewno robiłyby sobie zdjęcia w tej windzie. Wyginałby się na boki, uśmiechał w różny sposób i codziennie wrzucałby fotografie na fejsbuka. Jak pewien znany projektant mody. W gruncie rzeczy był nawet do niego podobny. Tylko ubierał się bardziej zachowawczo.

– A jak ugryziesz te dwie sprawy? Atak na kierowcę i śmierć przechodnia.

– Moim zdaniem sprawa śmiertelnego potrącenia przechodnia powinna być prowadzona łącznie ze sprawą ataku nożem. Przecież pieszy zginął w wyniku zdarzenia drogowego spowodowanego przez agresywnego pasażera. Gdyby miała być prowadzona osobno, to nie byłoby sprawcy, bo przestępstwem jest czyn zawiniony człowieka wyczerpujący znamiona przewidziane ustawą. W tym wypadku zachowanie ratownika kierowcy stanowiło odruch, nie czyn.

– Czyli co? Umorzenie z powodu braku czynu?

– Dokładnie. Artykuł siedemnaście paragraf pierwszy punkt pierwszy kodeksu postępowania karnego.

* *

Anka spojrzała na zegarek. Pięć minut temu minęła szesnasta. Do końca dyżuru zostały jeszcze prawie trzy godziny. Od przynajmniej trzech miała już wszystkiego dość. Miejsca, mężczyzn, pacjentów.

Rano, kiedy po raz pierwszy weszła do mieszkania zaadoptowanego na podstację pogotowia ratunkowego, poczuła mroźny powiew tymczasowości.

Została oprowadzona po włościach. Szczepan zupełnie poważnym głosem nazywał poszczególne pokoje:

– To dyżurka pierwszego zespołu, to dyżurka drugiego, a to jest biuro.

Nie widziała nic dyżurnego w dyżurkach. W każdej były dwa łóżka, cztery ściany, okno, podłoga. Wszystko w standardzie peerelowskiego schroniska młodzieżowego. Leżenie w łóżku nie kojarzyło jej się z dyżurowaniem. Ze spaniem również nie. Nie w takim miejscu.

Tymczasowość uderzała w oczy. Gdyby przyłożyć do podstacji papierek lakmusowy, nie zmieniłby barwy. Było tu tak obojętnie, że aż odpychająco. Przywykła do tego, że w miejscu pracy ludzie zwykli zostawiać jakieś ślady siebie. Stawiali na biurku zdjęcia, maskotki lub kamienie przywiezione znad morza. W kuchni chowali swoje kolorowe kubki. Na podstacji nie było żadnych oznak bytności ludzi.

Biuro też było biurem jedynie z nazwy. Owszem, stały w nim dwa biurka i dwa komputery, ale oprócz tego również kanapa, fotel, telewizor, kilka krzeseł i stoliki, a na jednej ze ścian i meble kuchenne. Miejsca siedzące zajmowali ratownicy, którzy oczekiwali na wyjazd.

Przed siódmą rano została przedstawiona wszystkim mężczyznom. Ucisnęła kilka dłoni, starała się zapamiętać imiona lub ksywki, ale po kilku minutach jak zwykle wszystkie informacje zlały się w jedną.

– A wy co tak wysiadujecie kanapy? Nie wstyd wam?

Do biura właśnie weszli Misiek i Cygan, ratownicy z drugiej karetki. Przez większość dnia mijali się w przelocie. Zespół jednej karetki wracał na podstację, a chwilę później drugi zespół otrzymywał wezwanie. Tymczasowo wszyscy usiedli.

– Nie wstyd – odpowiedział Haribo. – Wróciliśmy jakiś kwadrans temu.
– To i tak o kwadrans za długo siedzicie na tyłkach.
– Dobra, dobra... Do czego jechaliście?
– Do sześćsetletniej babci z bólem ręki.
– To rzeczywiście bezpośredni i nagły stan zagrożenia życia...
– No nie? Pytam jej, co się dzieje, a ona mi odpowiada, że jak robi ręką tak – Misiek zgiął prawą rękę i uniósł ją w barku – to ją boli. To jej mówię, że nie powinna nią tak ruszać, to wtedy przestanie.

Cygan ściągnął buty i wyciągnął nogi na kanapie, a podekscytowany Misiek zaczął kręcić się po kuchni. Zajrzał najpierw do lodówki, a później do dwóch szafek.

– Nie, Misiek, błagam! – zaprotestował Cygan. – Nie zabieraj się za gotowanie, bo jak zwykle zaczniesz i zostaniemy wezwani.

– Wyluzuj, Cygan. Jesteśmy drudzy w kolejce.

– Drudzy, drudzy, ale jak chcecie, możemy wam odstąpić nasze miejsce. – Haribo się roześmiał i włączył telewizor.

Anka – zamiast patrzeć na ekran – przyglądała się uważnie otaczającym ją mężczyznom. Przez chwilę ratownicy z dwóch zespołów stacjonujących na Ratajach znowu byli w komplecie.

Biuro zmieniło się w peerelowski pokój kolonijny. W otoczeniu byle jakich sprzętów czwórka dużych chłopców próbowała miło spędzić czas. Sprawiali wrażenie, że dobrze się bawią. Anka jednak cały czas czuła na sobie powiew tymczasowości. Tym razem nie tylko z powodu klimatu otoczenia, ale ratowników.

Wyglądali trochę lepiej niż harcerze, dużo gorzej niż wojskowi. Naładowany energią Jacek Cygan był bladym blondynem, a spokojniejszy Misiek przypominał drwa, zapewne za sprawą długiej brody.

Szczepan Misztak wyglądał jak dresiarz wyjęty z osiedlowej siłowni. Miał umięśnione ciało i mało inteligentny wyraz twarzy. Z powodu bladej karnacji i niebieskich oczu mógłby zostać uznany za wzorcowego przedstawiciela rasy panów.

Haribo, partner Szczepana, był jego zupełnym przeciwieństwem. Niski, ciemny, z czarnymi, zapadniętymi oczami i trzydniowym zarostem na twarzy, mógłby udawać syryjskiego uchodźcę. Ankę denerwowała jego szczeka, która bez przerwy się poruszała. Zupełnie jakby ciągle coś żuł.

– I jak ci się podoba nasza robota? – Cygan chyba odpuścił sobie kuchenne wariacje i usiadł przy stole, przy którym siedziała Anka.

– Co mam ci powiedzieć?

– Jak to co? Prawdę.

Uznała, że pierwszego dnia prawdę powinna zatrzymać dla siebie. Zamiast tego odpowiedziała wymijająco:

- Marzę o tym, żeby wrócić do domu i walnąć się do łóżka.
- Tak szybko wymiękasz? – Najwyraźniej go rozbawiła.
- Nie wiem, może to kwestia przestawienia się? Zmiany trybu życia? A tobie nie przeszkadza takie siedzenie i czekanie na nie wiadomo co?
- Nie. Jak skończę dwunastkę tutaj, to jadę do szpitala, na SOR. Na kolejne dwanaście godzin.
- Szpitalny Oddział Ratunkowy, serio?
- To u nas standard. Prawie każdy ciągnie dwa etaty. Bo wiesz, trudno jest utrzymać rodzinę z jednej pensji ratownika.

* *

– Halo, Wiktor? Możemy się spotkać?
To było takie łatwe. Wyjęcie telefonu, wybranie numeru Brauna i wyrażenie myśli kołatającej jej w głowie od dłuższego czasu.

Reszta szła już dużo gorzej. Po dyżurze wpadła do domu, wzięła szybki prysznic, wreszcie zjadła coś ciepłego i pojechała pod wskazany przez Wiktora adres.

Tym razem nie chciał spotykać się z nią gdzieś na uboczu, pod osłoną nocy, czy w ciemnym zaułku. Nie pytał też, w jakim celu mieliby się zobaczyć. Nie potrzebował czasu na zerknięcie do kalendarza i wyznaczenie terminu na tyle odległego, że przynajmniej trzy razy mogło im wyskoczyć coś, co popsuje plany. W ogóle nie zadawał żadnych pytań. Powiedział jedynie krótkie: „oczywiście”, po czym zaprosił ją do siebie do domu.

Zanim dotarła do Ronda Rataje, poczuła, że senność daje się jej we znaki. Przez chwilę rozważała możliwość zjazdu na stację i zakup kawy. Najmocniejszej z dostępnych. Albo jakiegoś energetyka. Ostatecznie pomyślała, że spowolnione myślenie i otumanione zmysły być może zagrają na jej korzyść podczas czekającego ją spotkania.

Skręciła w ulicę Serafitek. Minęła siedzibę Telewizji Polskiej, budynek zajmowany przez siostry serafitki oraz kościół Świętego Rocha. Następnie skręciła w lewo w Kórnicką, szybko odbiła w Groblę i skierowała się na Chwaliszewo. Wiktor Braun zaprosił ją na Wenecjańską.

- Jestem – odezwała się, gdy otworzył jej drzwi.
- Cieszę się. Wejdz.

Weszła do przedpokoju, zdjęła kurtkę i rozejrzała się za wieszakiem.

– Daj. – Wiktor wyciągnął rękę. – Schowam do szafy. Nie kupiłem jeszcze wieszaka.

– Nowe mieszkanie?

– Tak, wprowadziłem się miesiąc temu. Od sierpnia trwały prace wykończeniowe. Wybacz mi, proszę, jeśli zauważysz niedociągnięcia. Nie miałem szczęścia do ekipy.

– Ty do niej czy ona do ciebie? – Zdecydowała się rozluźnić atmosferę.

Tak jak w pogotowiu czuła powiew tymczasowości, tak tutaj kiedy tylko zobaczyła Wiktora, poczuła, że paraliżuje ją coś, czego nawet nie miała ochoty nazywać.

Na szczęście zareagował na jej żart. Roześmiał się i zaprosił ją do pokoju.

Zrobiła kilka kroków do przodu, a jej oczom ukazała się otwarta przestrzeń, na którą składał się aneks kuchenny, jadalnia i salon. Nogi się pod nią ugięły. Trudno było zauważyć jakiegokolwiek niedociągnięcia w tak doskonałym wnętrzu.

Dominowała w nim biel, jedynie fronty szafek kuchennych były błyszcząco czerwone. Dla równowagi koloru ściana znajdująca się naprzeciwko części kuchennej była ciemno szara.

– Herbata, sok, woda, piwo?

– Prokurator proponujący piwo? – Teraz ona się roześmiała. Musiała poradzić sobie jakoś z postępującym paraliżem. – Herbatę proszę. Zimno dziś.

Wiktor zaczął kręcić się przy szafkach kuchennych, a Anka usiadła na szarej kanapie.

– Ładnie tu masz.

– Dziękuję.

Odbił piłeczkę i milczał. Czuła się niekomfortowo. Nie wiedziała, jak się zachować. Czy powinna pomóc Wiktorowi w kuchni, czy czekać w ciszy? Ostatecznie stwierdziła, że z przygotowaniem herbaty chyba sobie poradzi.

– Zadzwoiłam, bo chciałam porozmawiać.

– Domyślam się. – Pojawił się z dwoma kubkami w odcieniu kanapy i ściany. – Słodzisz? – spytał i usiadł na kanapie, niedaleko Anki.

– Oczywiście. Gorzka budzi u mnie odruch wymiotny.

– U mnie też. Spróbowałem kiedyś herbaty twojego ojca. Była mocna i gorzka.

– Faktycznie, lubił taką.

Uśmiechnęła się delikatnie. Nerwowo przeszukała zasoby umysłu z nadzieją, że znajdzie coś, co mogłaby powiedzieć. Ale nie znalazła. Sięgnęła więc po cukier. Posłodziła herbatę, spróbowała jej i z udawanym podziwem powiedziała:

– No, smakuje świetnie. Jestem pod wrażeniem, że nie przypaliłeś wody.

– Mam wiele zdolności, o których jeszcze nie wiesz.

I znowu zapadła niezręczna cisza. Cisza tylko w konwersacji, bo zza

uchylonych drzwi drugiego pokoju, w którym – jak się domyślała Anka – musiała być sypialnia, dochodziła subtelna i romantyczna muzyka.

– Chciałaś porozmawiać – przypomniał jej, kiedy właściwie kończyła pić herbatę.

– Tak. Przepraszam, zamyśliłam się. Sprawdziłeś już Kapelusznika, prawda? Co ci się udało ustalić?

– Właściwie nic ciekawego. Zachowanie wzorowe. Wychowawca twierdzi, że jest samotnikiem. Nie rozmawia z innymi osadzonymi. Nie identyfikuje się z żadną grupą. Nie wchodzi w konflikty. Jest, a jakby go nie było. Pewny siebie i zdecydowany, ale przestrzegający zasad. Siedzi w celi dwuosobowej, współwięźniowie się zmieniają, ale żaden nigdy nie zgłaszał na niego żadnej skargi. Od miesiąca ma nowego współlokatora.

– Nie wiem skąd, ale on wie, że go sprawdzaliśmy. Dzwonił dziś do mnie.

– Do ciebie? – Wiktor wyglądał na przerażonego. – Mówiłem, że nie powinnaś do niego jechać?! – Siedział na tyle blisko, że ręka, której sekundę temu używał do gestykulacji, opadła prosto na jej dłoń.

– Powiedział, że ktoś zostanie zabity. I że on będzie w to zamieszany. I że mu tego nie udowodnię, nawet jeśli będę się bardzo starała. Mam się zdecydować, czy mu zaufam czy nie. Jeśli tak, to powie mi, jak zatrzymać mordercę.

– Wie o zabójstwie? I będzie zamieszany, siedząc za kratami? Jak?

ROZDZIAŁ 6

Ten program nie ma racji bytu!

– Nie ma racji bytu. Powiedziała upadająca gwiazda stacji, Anna Rogozińska. – Joanna przedrzeźniała Ankę.

– Stać cię chociaż na odrobinę profesjonalizmu? Nie jesteś w piaskownicy, ale w pracy. Wszyscy liczą na merytoryczną rozmowę.

– Ale na jaką merytoryczną? Wszystko było ustalone z pogotowiem. Ewidentnie spieprzyłaś sprawę.

– Ale co było ustalone? Powiedz mi, Joanno, co? Przekazałaś mi, że kamera ma być obecna przy wszystkich czynnościach wykonywanych przez ratowników. A oni wczoraj stanęli okoniem. Artur może zaświadczyć.

Artur pokiwał głową. Nie lubił kłótni. Najchętniej nie wtrącałby się w pyskówki, zwłaszcza te pomiędzy Anką i Joanną. Obie miały ogromne temperamenty i obie chciały mieć ostatnie zdanie. Niestety, Anka była na straconej pozycji, bo swego czasu odtrąciła zaloty Grabowskiego. Joanna była w tym względzie mniej wybredna i od dwóch tygodni redakcja huczała od plotek.

– Nie chcieli mnie nawet wpuścić do karetki z kamerą – potwierdził.

– Może przebudujemy formułę, dostosujemy ją do...

– Przestań. – Joanna po raz kolejny przerwała Ance. – Ty mnie nie denerwuj. Co ja mam powiedzieć Kamilowi? Że spieprzyłaś i teraz stacja ma ponosić koszty twojej niekompetencji?

– Ale jakiej niekompetencji? Nikt nie ma mi nic do zarzucenia!

– Oczywiście! Nikt! Zwłaszcza ty sobie!

– Joanna, o co ci chodzi? Powiedz mi to w końcu prosto w twarz. Wyrzuć z siebie i zacznijmy rozmawiać o tym, co stanowi istotę problemu.

– Ty stanowisz istotę! Namieszałaś, a teraz odwracasz kota ogonem.

– Dziewczyno, przejdźmy do konkretów. Co możemy zrobić w tej sytuacji?

– Artur postanowił zainterweniować.

Stali na korytarzu, bo pokój konferencyjny był zajęty. Grabowskiego nie było w firmie, ale telefonicznie wydał dyspozycje, żeby to Joanna podejmowała wszystkie decyzje związane z programem.

Większość zespołu redakcyjnego widziała tę kłótnię, reszta – obecna w tym czasie w budynku – na pewno mogła ją usłyszeć. Obu kobietom puściły hamulce. Zwłaszcza te związane z zachowywaniem odpowiedniej głośności wypowiedzi.

Korytarz pięknie niósł dźwięk, a Artur krzywił się na myśl o tym, że jest tak blisko epicentrum. Od kilkunastu lat był mężem swojej żony i dobrze wiedział, że w takiej sytuacji najlepszym wyjściem jest skorzystanie ze strategii przeczekania

i oddalenia się w bezpieczne miejsce.

Zdenerwowana kobieta stawiała się zwykle nieobliczalna. Przystawała panować nad sobą, swoimi słowami i rękoma. Dwie zdenerwowane kobiety stanowiły już zjawisko, które mogło siłą równać się z tropikalnym cyklonem.

– Co możemy zrobić? – Anka zagryzła usta. – Co możemy...? Zrezygnować z programu?

– Odpada.

– Zrezygnować z ujęć w terenie? Przebudować wizję programu? Skupić się na ratownikach? Na rozmowach z nimi i na tym, jak opowiadają o swoich wyjazdach?

– Chyba oszalałaś?! Zamiast krwi, brudu i bólu mamy dać widzom beznadziejnych facetów, którzy będą się wymądrzać?

– A jeśli ci faceci to superbohaterowie?

– A widziałaś kiedyś superbohatera w takim kostiumiku? Czerwono-czarne wiszące łańchy. Proszę cię!

– Joanna, może to nie jest do końca zły pomysł? – zasugerował Artur.

– Nie do końca zły, Artur? I co ty pokażesz widzom? Skąd weźmiesz dynamikę obrazu, co? Zastanowiłeś się, czy tylko bezmyślnie bronisz swojej przyjaciółeczki?

– Proponowałbym, żebyś zaczęła liczyć się ze słowami. To, że „przyjaźnisz się” z szefem nie znaczy, że nie wylecisz stąd pierwsza... – nie wytrzymał. Uniósł głos tak, by ją przekrzyczeć.

– Podobno dyskusja miała być merytoryczna. – Joanna zignorowała uwagę Artura. – Jeśli mielibyśmy na poważnie rozważyć zmianę z programu dynamicznego na statyczny, w którym pojawią się jedynie opowieści ratowników, to trzeba by było przebudować wszystkie założenia!

– Może nie ma wyjścia? – Anka rozłożyła ręce.

Artur zauważył, że ruch na korytarzu zamarł. Zwykle koło jedenastej wszyscy maszerowali do kuchni. Zerknął na zegarek. Jedenasta pięć. To tylko potwierdziło jego przypuszczenia. Wszyscy przysłuchiwali się ich kłótni i bali się pokazać w polu widzenia.

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? Najpierw musiałabym zrobić casting na aktorów występujących w roli ratowników!

– Po co ci casting, skoro masz w Poznaniu przynajmniej kilkudziesięciu ratowników?

– Jeśli coś ma się pojawić na ekranie i utrzymać uwagę widza na dłużej niż kilka sekund, to muszą to być jakieś ciacha, a nie zwyczajni faceci. Błysk w oku, dobra grzywka, muskulatura, kształtne usta... Zresztą, co ja ci będę tłumaczyć! Przecież wiesz, że to obraz sprzedaje program! Jak dasz mi jakichś naturszczyków i wymoczków, to zarząd stacji wystrzeli nas na orbitę. Są tam na stanie

jakieś ciacha?

– Ale pomyśl, Joanna, może naturszczyk...

– Nie, nie i jeszcze raz nie! Nie namówisz mnie na zmiany. Nie będę świeciła oczami za ciebie. Ty spieprzyłaś, ty to naprawiaj. A jeśli nie potrafisz, to powiedz, że nie dasz rady. Przekażę to zarządowi.

* *

Przez kilkanaście minut pomieszczenie kuchenne w Primo TV przeżywało oblężenie. Czajnik podgrzewał wodę kilka razy pod rząd, żeby wypełnić wszystkie ustawione kubki. Nikt z nikim jednak nie rozmawiał. Przynajmniej nie głośno. Po kłótni Joanny i Anny po firmie rozniosła się napięta atmosfera.

Anka zajrzała do kuchni dopiero wtedy, kiedy ta opustoszała. Włąła do czajnika świeżą wodę, do kubka wsypała dwie łyżeczki kawy, oparła się o blat i spojrzała w okno.

Na płycie Starego Rynku nic jednak się nie działo. Ludzie stali nieruchomo z uniesionymi w górę głowami. Wszyscy, zarówno ci trzymający aparaty fotograficzne w rękach, jak i normalni przechodnie. Nawet para strażników miejskich i mężczyzna dźwigający ogromne skrzynki.

Zerknęła na zegar wiszący nad lodówką i zdała sobie sprawę, że wszyscy obserwują bodące się poznańskie koziołki. Właśnie wybiło południe.

– Trzymasz się?

Najpierw usłyszała głos Artura, a później poczuła jego dłoń na swoim ramieniu. Westchnęła głośno.

– Tak. Ale nie wiem, jak długo. Wszyscy to słyszeli, prawda?

Kiwnął głową.

– Cholera, nie mogę kłócić się z nią codziennie, bo będziemy stanowiły poważną konkurencję dla koziołków.

– To się nie kłóć. Zrób tak, żeby było dobrze, i nie gadaj z nią, tylko z Grabowskim.

– Ale on się odcina. Jak mam nagrać to pieprzone pogotowie w akcji?!

– Coś wymyślimy.

Czajnik wyłączył się i Anka zalała sobie kawę, a Arturowi coś, co po zetknięciu z wodą zamieniło się w ciecz o zapachu zupy cebulowej.

– Pijesz takie ohydztwo? – Podała mu kubek.

– Jest pyszne. – Wzruszył ramionami. – Może też się skusisz? Od niezdrowych rzeczy poprawia się humor.

– Nie potrzebuję niezdrowych rzeczy, tylko sprytnego wyjścia z sytuacji, żeby zamknąć ryj tej suce.

– Masz mnie, więc nie masz się o co martwić. Zjem zupę, a potem sprawdzę kilka możliwości. Może zamontujemy kamery na stałe w miejscach, w których ratownicy czekają na wyjazdy? Do tego jakąś małą, nierzucającą się w oczy w karetkę i koniecznie taką szpiegowską na tobie. – Roześmiał się.

* *

Marita Lipska, dyrektor Festiwalu Kryminału Granda, wpatrywała się w Wiktora z uśmiechem. Zupełnie jakby przyszła na prywatną pogawędkę, a nie w związku z ewentualnym zabójstwem Błażeja Puchalskiego.

– Tak jakby jesteśmy z pokrewnej branży. Pan oskarża przestępców, a my o nich rozmawiamy podczas festiwalu. Nie chciałby pan wystąpić podczas kolejnej edycji? Myślę, że to mogłoby być interesujące. Zestawienie prawdziwego prokuratora z bohaterem książkowym. Weźmy na to Szackiego. Fakty i mity prokuratorskiej roboty, to byłby ciekawy temat!

– Czy znała pani denata?

– Nie.

– Widziała go pani wcześniej?

– Nie. Po raz pierwszy zobaczyłam go, kiedy leżał obok budynku. Koleżanka przybiegła po mnie przerażona.

– Jaka koleżanka?

– Magdalena Drogoś-Kraszewska, dyrektor literacka festiwalu. Wbiegła do pokoju, w którym pisarze czekają na występy.

– O której godzinie mogło to mieć miejsce?

– Hmm, nie mam pojęcia. To znaczy, wie pan... – Lipska nabrała powietrza, jakby zapowiadał się dłuższy monolog. – My, to znaczy organizatorki, pracujemy nad festiwalem przez cały rok. Jedna edycja się kończy, a my już planujemy kolejną. Dopinamy plan spotkań na ostatni guzik, a później dzielimy się pracą. Jest jej tyle, że te trzy festiwalowe dni zlewają mi się w jeden. Nie wiem, która jest godzina, czy jeszcze przedpołudnie, czy właśnie wieczór. Pamiętam, że siedziałam w pokoju i rozmawiałam z Vincentem Severskim. Czytuje pan Severskiego? To

były oficer wywiadu. Ma facet talent do opowiadania ciekawych historii.

Filtr. Wiktor pamiętał, że zeznania kobiety musi przepuścić przez filtr. Umożliwił jej swobodne wypowiedzenie się, bo przerywanie jej toku myślenia mogło pozbawić go dostępu do informacji, które przypadkiem okazałyby się ważne. Pamiętał jednak, że za pół godziny rozmawiać będzie z drugą organizatorką festiwalu, musiał więc panować nad kierunkiem rozmowy. Jego priorytetem było zadanie wszystkich pytań, z którymi tu przyszedł, i uzyskanie odpowiedzi, które pozwolą mu na dalsze wnioskowanie.

– Czy denat mógł być gościem waszego festiwalu?

– Nie wiem. Teoretycznie tak, bo przecież festiwal szeroko reklamowały poznańskie media. Wie pan, że Granda powstała z zazdrości....

– Świetnie... – uniósł głos. – Myślę, że genezę możemy sobie darować, chyba, że ma coś wspólnego z Błażem Puchalskim?

– Oczywiście, przepraszam, panie prokuratorze. Ale pomyśli pan jeszcze o tym, żeby wystąpić u nas na festiwalu?

* *

– Podobno była pani jedną z pierwszych osób, które zauważyły Błażeja Puchalskiego?

Twarz dyrektora literackiej festiwalu przywoływała Wiktorowi skojarzenia z aktorką filmową. Nie mógł sobie jednak przypomnieć jej nazwiska.

– Na pewno nie byłam pierwsza.

Długowłosa blondynka w okularach z ciemnymi oprawkami była oszczędna w słowach, w przeciwieństwie do swojej festiwalowej koleżanki.

– Ale widziała pani Puchalskiego?

– Nie wiem, czy Puchalskiego. Zobaczyłam mężczyznę, który wzywał pomocy. Chociaż nie. Może wzywała ta kobieta, która stała obok niego? Nie wiem. To działo się zbyt szybko, żebym mogła zarejestrować.

Policjanci bez problemu ustalili, że denat miał przy sobie portfel, a w nim dowód osobisty. Dzięki temu czynności związane z identyfikacją ograniczono jedynie do odczytania danych z dowodu. Błażej Puchalski, lat dwadzieścia trzy, zamieszkały na ulicy Garbary.

– Czyli na miejscu zdarzenia był tylko ranny mężczyzna, kobieta, która wezwała karetkę i pani, tak?

– Tak, w zasięgu mojego wzroku nie było innych osób, ale! Działo się to

przed budynkiem Nowej Gazowni, w środku dnia, podczas trwania festiwalu. Podejrzewam, że było tam więcej osób.

– Rozumiem. Proszę spróbować sobie przypomnieć, czy zanim zobaczyła pani Puchalskiego, widziała pani coś podejrzanego?

– Co pan ma na myśli?

– Nie wiem – powiedział, licząc na to, że kobieta zacznie przeszukiwać zasoby pamięci.

Siedziała wpatrzona w niego, ale niestety z jej oczu wyczytał, że czeka na jego kolejny ruch. Sama nie próbowała nawet wyjść naprzeciw jego oczekiwaniom.

– Może ktoś biegł albo na kogoś wpadł, albo był dziwnie ubrany, albo głośny, albo...

– Nie. Nie widziałam sprawcy – zaprzeczyła szybko.

– A widziała pani tego mężczyznę wewnątrz budynku?

Pokazał jej zdjęcie Puchalskiego. Policjanci ustalili, że mężczyzna z zawodu był fryzjerem i pracował na Chwaliszewie. Jedną z hipotez śledczych zakładała, że stał się przypadkową ofiarą nożownika, którego przyciągnęło wydarzenie kryminalne. Być może sprawcy zależało na medialnej sławie, dlatego wytypował miejsce, a reszta była już tylko i wyłącznie dziełem przypadku.

– Widziałam setki osób – odpowiedziała, nawet nie zerkając na zdjęcie. – Nie skupiałam się na twarzach.

– Proszę spojrzeć.

Zrobiła to w taki sposób, który kazał Wiktorowi włączyć podejrzliwość. Inna z hipotez śledczych mówiła, że Puchalski znalazł się na Grandzie nieprzypadkowo. Spotkał się na festiwalu z kimś, kto później wbił ostrze noża w jego brzuch. Najpierw być może uczestniczyli w spotkaniu autorskim, może spacerowali korytarzami, rozmawiali, a może nawet się kłócili.

– Nie, nie widziałam.

– Rozumiem. Na koniec mam jeszcze jedno pytanie...

– Tak?

Informacja o nadchodzącym końcu przesłuchania zadziałała na Drogoś-Kraszewską rozluźniająco. Pozwoliła dotychczas napiętemu ciału opaść swobodnie na krzesło. Poprawiła włosy i przechyliła głowę.

Wiktor doznał olśnienia. Monika Mariotti! Dokładnie tego nazwiska szukał. Kojarzył aktorkę z kilku seriali i mimo że była brunetką, wydawała mu się niemalże siostrą bliźniaczką kobiety, z którą rozmawiał.

– Co pani powiedziała Lipskiej, kiedy poszła ją zawiadomić o... – zamilkł na kilka sekund. Początkowo chciał wypowiedzieć kilka słów, ale uznał, że nie będzie sugerował odpowiedzi. Wydobył więc z siebie jedno, wyrażające dokładnie to, co chciał powiedzieć: – Zawiadomić o zdarzeniu?

– Zawiadomić? Nie rozumiem.

– Pani Lipska jest dyrektorem. Pomyślałem, że zachowanie hierarchiczności, zwłaszcza w tak nieszablonowej sytuacji...

– Pomyślał pan, że do niej pobiegłam? Nie. Byłam cały czas na miejscu. Sparaliżowało mnie. A kiedy ona pojawiła się obok mnie, spytała, co się stało. Odpowiedziałam, że nie wiem.

* *

Niebieski aparat telefoniczny znajdujący się na szarym korytarzu był jak słońce. Raził w oczy, ale każdy osadzony zerkał na niego z uśmiechem. Czasem dawał ciepło, czasem je kumulował. Zawsze jednak uświadamiał, że istnieje coś jeszcze poza murami więzienia.

Kapelusznik lubił myśleć, że życie osadzonego oddalone jest od normalności tak samo, jak kosmos od leżącego pod gołym niebem Kowalskiego. To, że wyprawy w kosmos nie są dziś na porządku dziennym, wcale nie oznaczało, że nie będą jutro.

Dzisiaj nie potrzebował opuszczać murów więzienia. Właściwie jutro też nie. Było mu tu dobrze. Skupił się na realizacji planu i dzięki temu czas zaczął płynąć szybciej.

Zbliżał się do aparatu telefonicznego. Edek z końca korytarza dawał znaki. Kapelusznik skinął głową na znak rozpoczęcia akcji. Wiedział, że to już ostatni raz. Że zbyt duża częstotliwość wygłupów Edka sprawi, że wychowawca zacznie domyślać się tego, że bierze udział w przedstawieniu.

Kolejny wniosek nasunie mu się sam – mimo że w opinii Kapelusznika nigdy nie grzeszył bystrością. A jak już zrozumie, że rozmowy z Edkiem służą jedynie odciążeniu go od podsłuchiwania rozmów telefonicznych, zacznie dopytywać, kto w tym czasie korzystał z aparatu i w jakim celu.

– Halo?

Głos Anki sprawił, że nagrzana podczas poprzedniej rozmowy słuchawka przestała parzyć Kapelusznika w ucho. Kobieta brzmiała tak miło. Zdecydowanie, a zarazem kobieco.

– I jaka jest twoja decyzja? – spytał, nawet się nie przedstawiając.

– Pomogę ci.

– Grzeczna dziewczynka.

– Kto ma zginąć?

Zadała pytanie, a on na chwilę przestał przyglądać się korytarzowi i miejscu, w którym powinien pojawić się Edek, gdyby ich plan nie wypalił. Odwrócił się do aparatu, zakrył drugie ucho i zamknął oczy. Chciał lepiej ją słyszeć, wyobrazić sobie jej wyraz twarzy i spojrzenie. Czuł w jej głosie napięcie. Odpowiadała krótkimi zdaniami i nie zareagowała na drażniące „grzeczna dziewczynka”.

– Halo? Halo? – próbował wytrącić Rogozińską z przybranej pozy.

– Pytałam, kto ma zginąć.

– Źle formułujesz pytania.

– Odpowiedz, jeśli mam ci pomóc.

– Nie stawiaj mi warunków!

– Jeśli chcesz tak gadać, to gadaj ze służbą więzienną. Z naszej współpracy nic nie wyjdzie.

– Jak miło mi słyszeć, że Anka Rogozińska wróciła do formy. – Roześmiał się. Lubił ją denerwować, drażnić jej umysł, zmuszać do zastanowienia i nieprzemyślanych reakcji. – Jesteś harda jak kiedyś. To dobrze. Powiem ci w zaufaniu, że żałuję, że spotkaliśmy się w niesprzyjających okolicznościach. Twój temperament gwarantowałby nam szczęście w miłości. Szczęście i odnawialną namiętność. Ale koniec tych komplementów. Skup się. Nie wiem nic o ofierze. Wiem, że on będzie się mścił. I zabije.

– Jaki on?

– Muszę kończyć.

– Kto będzie się mścił?

– Dowiesz się w swoim czasie.

– Nie będę czekać!

– Będiesz. Przecież to lubisz...

– Tak ci się tylko wydaje. Skoro chcesz bawić się w te swoje gierki, proszę bardzo. Ale nie ze mną! Rozłączam się.

– Poczekaj!

– Powiedz, kto będzie się mścił.

– Chudy. To będzie Chudy...

* *

Ostatni raz kiedy tak rozemocjonowana stała obok budynku prokuratury, był początek roku. Styczeń lub luty, nie pamiętała dokładnie. Było zimno, stopy

przymarzały jej do podłoża, a kiedy Wiktor w końcu raczył do niej zejść, przywitał ją lodowato. Wszystko pasowało do siebie. Wszystko oprócz niej, rozgrzanej myślami o sprawie dopalaczy, nad którą wtedy pracowała.

Teraz znowu stała w tym samym miejscu, jakieś dwa metry od wejścia do budynku. Obserwowała nowoczesną elewację, przejeżdżające obok samochody i ze złością spoglądała na swoją komórkę.

Od pół godziny próbowała skontaktować się z Wiktorem. Dzwoniła do niego kilkakrotnie. Wysłała parę esemesów. Bezskutecznie. Nie zareagował na żadnego z nich.

Nie mogła usiedzieć w Primo TV, wyłączyła więc komputer i wyszła. Dotarcie ze Starego Rynku do budynku prokuratury okręgowej zajęło jej nie więcej niż kwadrans. Maszerowała energicznym krokiem, ale i tak nie mogła pozbyć się napięcia.

Było jej i gorąco, i zimno. Jesienne słońce zapewniało światło, w którym leżące na ziemi żółto-brązowe liście dobrze wyglądały, ale wiatr nachalnie oplatał ciało dziennikarki chłodem. Tym razem to nie stopy, ale uszy zdecydowały o konieczności podjęcia bardziej radykalnych działań.

Pchnęła drzwi wejściowe i pomyślała, że to chyba najbardziej desperackie zachowanie w jej życiu. Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale była tak nabuzowana, że wyłączyła racjonalne myślenie.

– Muszę zobaczyć się z prokuratorem Braunem. – Podeszła do stanowiska ochrony.

– Ma pani wezwanie?

– Nie, ja... Nie. Nie mam. Ale powinnam być na liście gości, na pewno prokurator przekazał panu dyspozycje, żeby mnie wpuścić – improwizowała.

Ochroniarz nie wyglądał na miłego. Ani ten, z którym rozmawiała, ani pozostali. Wszyscy byli do siebie podobni i idealnie pasowali do tego mroźnego miejsca. Zawsze kiedy zjawiała się w budynku prokuratury, czuła, że rezydują tu klony Królowej Śniegu. Postacie, którym kiedyś wpadł do oka odłamek diabelskiego zwierciadła i dlatego zdecydowali się spędzać większość swojego życia w lodowatej krainie, w której nieznane były jakiegokolwiek uczucia. Nie tylko te ciepłe i serdeczne.

– Nazwisko?

– Rogozińska. Anna Rogozińska.

– Nie mam takiego nazwiska.

– To niemożliwe – kłamała. Teraz nie miała innego wyjścia. Wybrała strategię, której powinna trzymać się do końca. – Proszę sprawdzić jeszcze raz. Jadę z daleka! Muszę zobaczyć się z Braunem. Nie odpuszczę! Muszę!

* *

Winda w prokuraturze jeszcze nigdy nie jechała tak wolno. Wiktor pokonywał kolejne piętra i oddychał głęboko. Telefon od ochrony złapał go podczas wykonywania czynności. Musiał zostawić świadka i wyjść.

Hasło, że na dole awanturuje się Anna Rogozińska, zadziało na niego jak płachta na byka. Kobieta nachodząca prokuratora w miejscu jego pracy, domagająca się spotkania albo – co gorsza! – rzucająca mu się na szyję to byłby świetny temat drwin na najbliższe kilka miesięcy dla całej prokuratury.

Nie zamierzał robić z siebie pośmiewiska. W pierwszym odruchu sięgnął po telefon. Chciał rozwiązać problem, korzystając z nowoczesnych środków komunikacji. Zobaczył kilka nieodebranych połączeń i esemesów, które do niego wysłała. W żadnym nie napisała nic konkretnego, oprócz tego, że muszą pilnie porozmawiać.

Jednak wspomnienie wczorajszej rozmowy – która być może nie kleiła się tak jak wcześniejsze, ale zakończyła się w najciekawszym momencie – sprawiło, że odłożył telefon i wszedł do windy.

Kiedy z niej wyszedł, od razu zauważył spojrzenia pracowników ochrony. Zerkali na niego i tręcili się łokciami, jakby właśnie za chwilę miało nastąpić coś niezwykle ciekawego. Modlił się w duchu, żeby Anka zachowała się rozsądnie i podarowała sobie pocałunek na powitanie.

Pocałował ją wczoraj na pożegnanie. W policzek. Zamiast zastanawiać się, czy nie powinien zrobić tego w usta, powinien wytłumaczyć jej, że wyraźnie oddziela życie prywatne od zawodowego i nie akceptuje poufałości w miejscach publicznych.

– Panie prokuratorze. – Przywitała go, wyciągając rękę.

Uścisnął ją, jednocześnie obserwując Ankę. Uśmiechała się, jakby nic niewyczajnego się właśnie nie stało.

– Pani Anno – odpowiedział wystarczająco głośno, żeby wszyscy go usłyszeli.

– Przepraszam cię bardzo, ale sprawa jest pilna – szepnęła.

– Jestem zajęty.

– Trzy minuty, proszę.

Pchnął ją delikatnie w kierunku windy. Nie miał innego wyjścia. Prowadzenie rozmowy w korytarzu wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem. Ktoś mógł ich usłyszeć. Poza tym sam nie wiedział, jaki będzie temat tej rozmowy.

– Przepraszam za zamieszanie, ale musiałam pilnie z tobą porozmawiać – odezwała się, kiedy wsiedli do windy.

Milczał. Wpatrywał się w podłogę. Kiedy wjechali na odpowiednie piętro, pokonali korytarz i zamknął za nią drzwi do swojego gabinetu.

– Anka, cholera jasna! Co to miało być?!

– Pilna sprawa...

– Cały dzień mam przepełniony pilnymi sprawami.

– Mógłbyś chociaż odebrać telefon.

– Anka, ja tu pracuję.

– A ja niby co? Relaksuję się? Ciekawe gdzie? W pieprzonym Primo TV czy w pogotowiu?

– Jestem w trakcie przesłuchania... Muszę wracać. – Stał przy drzwiach. Nie mógł lekceważyć pracy tylko dlatego, że ona chciała sobie porozmawiać.

– Wracaj, ale jak je skończysz, ustal, czy Kapelusznik siedział kiedyś w celi z Chudym, bardzo cię proszę.

– Z kim?

– Z facetem o pseudonimie Chudy. Kapelusznik wspomniał mi o nim dziś.

Sprawdzisz?

– W wolnej chwili.

– Czyli kiedy?

– Postaram się dzisiaj. Za dwie godziny kończę pracę.

– Świetnie, poczekam na ciebie w knajpie.

– Nie, to nie jest temat, któremu ktoś powinien się przysłuchiwać. Wpadnij do mnie.

* *

Patrycja Gołębiowska wróciła do domu wcześniej, niż planowała. Pamiątki po poprzednich partnerach siedziały w pokoju i zajmowały się sobą. Dwójka starszych odrabiała lekcje, a trzeci rozwał klocki.

Być może powinna je zagadnąć, spytać, co w szkole, czy są jakieś nowe oceny, uwagi albo coś innego, ale właściwie jej to nie interesowało. Tak samo jak brak jej postępów w nauce nie interesował jej matki. Być może u Gołębiowskich było to dziedziczne.

W kuchni usłyszała odgłosy zmywania, zdjęła więc kurtkę i rzuciła ją na

szafkę. Buty zdjęła bez schylania się, pomagając sobie raz jedną, raz drugą stopą. Po cichu podreptała do kuchni z zamiarem sprawdzenia, co się dzieje.

– Co robisz? – spytała, kiedy była dokładnie za plecami Huberta.

Musiała go przestraszyć, bo aż podskoczył. Odwrócił głowę i spojrzał na nią nieobecny wzrokiem.

– Co robię, co robię? Zmywam – odpowiedział zdenerwowany.

Przesunęła się kilka kroków w bok i oparła się o blat. Kupa brudnych naczyń stała w zlewie dokładnie tak samo, jak kiedy wychodziła z domu. Strumień wody leciał tak, jakby nikt nie musiał za niego płacić. Patrycja nie lubiła takiego marnotrawstwa pieniędzy.

Mokre i chude ręce Huberta sięgnęły po talerz. Najpierw zanurzyły go pod strumieniem wody.

– Nigdy nie zmywałeś.

– Jak nie zmywam, to źle, jak zmywam, kurwa, też źle. Zastanów się, kobieto!

– Daj, ja to zrobię lepiej. – Wyrwała mu talerz z ręki. Czowała, że to nie jest dobry moment na stawianie się Hubertowi, ale nie mogła poradzić nic na to, że agresja, nawet w najłagodniejszym wydaniu, budziła w niej wściekłość. – Do miski nalewa się wody z płynem, zanurza te brudne naczynia...

Zamarła. Z bliska zauważyła, że na większości naczyń widniały niewielkie krople zaczerwienionej wody.

– Hubert, co to jest?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami, sięgnął ręką do zlewu i spod stosu talerzy wyjął nóż.

Widziała wcześniej tę drewnianą rękojeść i ostrze, które według niej było stanowczo za duże do wycinania grzybów. Zresztą grzyby nie krwawiły. Nie chciała wiedzieć, czyja to była krew. Człowieka, kota, a może psa?

Zaliczyła wystarczająco dużo facetów, żeby nauczyć się, że muszą mieć swoje męskie tajemnice i męskie zabawy. Inaczej całą swoją samczą agresję zwrócą przeciwko niej.

– Hubert, mówiłam ci już, że mnie to rybka. – Chciała wykazać się tolerancją, ale jednocześnie przypomnieć o zasadach panujących w jej domu. Ostatecznie to było jej mieszkanie, a on nie miał nic poza małym plecakiem, z którym przyszedł do niej prosto z więzienia. – Ale nie myj, kurwa, tego badziewia w zlewie. Pyska mi to potem na wszystkie talerze.

– Należą mi się chyba jakieś przeprosiny?

– Za co?

Anka siedziała po turecku na brzegu szarej kanapy i uśmiechała się niewinnie. Na podwiniętych nogach położyła sobie jedną z kolorowych poduszek.

Wiktor musiał przyznać, że idealnie pasowała do jego mieszkania. Naturalna czerwień jej warg korespondowała z majaczącymi w tle czerwonymi frontami szafek kuchennych, ciało doskonale wkomponowało się w wygodną kanapę, a spojrzenie zdradzało, że z jednej strony jest zrelaksowana, a z drugiej cały czas gotowa do flirtu.

Kilka miesięcy wcześniej przydarzył im się wypadek przy pracy. Siedzieli w samochodzie, rozmawiali o śledztwie i nagle przywarli do siebie ustami. Spontanicznie i bez zastanowienia. Nie pamiętał już, które z nich pierwsze odzyskało kontrolę nad swoim ciałem.

Zapamiętał smak jej ust i spontaniczny powrót do tematu, o którym rozmawiali wcześniej. Jak gdyby nigdy nic się nie stało. Jakby pojawił się niespodziewany błąd oprogramowania. Błąd, którego nikt nie chciał zauważyć.

– Jak to za co? Za twoje zachowanie. Dzisiaj w prokuraturze – dopowiedział z przekąsem.

– No proszę cię, przecież mogłam zrobić ci większą wiochę.

– Zawsze można większą, ale kłótnia z ochroną nie była najlepszym pomysłem.

– Wiktor – przerwała mu – to była tylko mała nauczka. Mam nadzieję, że zapamiętasz tę lekcję i teraz będziesz odpisywać na moje esemesy.

– Nauczka? Śmiesz dawać mi nauczki? Ty? Ty chcesz uczyć mnie? – Roześmiał się. – Mam ci przypomnieć...

Zamilkł, bo uświadomił sobie, że wkroczył na niebezpieczny teren. Nie dość, że tak jakoś naturalnie przysunął się zbyt blisko Anki, to jeszcze niewiele brakowało, a wspomniałby tegoroczne walentynki.

Atmosfera święta zakochanych sprawiła, że dał się ponieść chwili. Kupił czerwoną różę, dołączył do niego małą karteczkę z wyznaniem i zlecił dostarczenie jej Rogozińskiej. Nie zadzwoniła z podziękowaniem. Nie wysłała nawet esemesa. To przypomniało mu, że o wiele bezpieczniejsze jest trzymanie się zasady: „nie ufaj uczuciom”.

– Co u twojego chłopaka? – wydusił z siebie jedyną myśl, którą mógł się z nią w tej chwili podzielić.

– Yyy... – Ankę zamurowało. Spuściła głowę, by po chwili spojrzeć na Wiktora zupełnie inaczej. – Masz na myśli Łukasza? To mój... przyjaciel, nie facet.

– Nie pytałem, kim jest dla ciebie – Wiktor wstał z kanapy i podszedł do okna.

– Ciekawe. Dlaczego więc czuję się jak na przesłuchaniu?

Jej szczerłość go denerwowała. Utrudniała funkcjonowanie według zasad, które wyznawał. Kontrolował swoje zachowanie, emocje i wyrażanie myśli.

– Musisz być w tym dobry.

– W czym?

– W przesłuchiwanie.

– Twój chłopak wie, że igrasz z ogniem?

Nie zamierzał rozmawiać o pracy. W ogóle nie chciał prowadzić tej rozmowy. Był zły na siebie. I na nią. Otworzył okno i wrócił na kanapę. Usiadł jednak na jej drugim, wolnym końcu.

– Mówię ci przecież, że on nie jest mój!

– Pytanie, czy on wie?

– Ale o czym?

Rzeczywiście był dobry w zadawaniu pytań, bo udało mu się wytrącić Ankę z równowagi. Opuściła nogi, odłożyła na bok poduszkę i przyglądała mu się wyczekująco.

– O tym, że masz kontakt z Kapelusznikiem.

– Nie wie i nie musi wiedzieć. Zresztą jest w Paryżu. Zbiera materiał dla tych swoich „Nowości”.

– Zazdrościsz mu?

– Znalazłeś tego Chudego? – Zmieniła temat, ale jej spojrzenie mówiło, że trafił w sedno.

– Wyobraź sobie, że rzeczywiście siedzieli w jednej celi. Niedługo, kilka miesięcy... Chudy został przeniesiony do Kapelusznika z powodu konfliktu w jego poprzedniej celi.

– Siedzieli wystarczająco długo, żeby nawiązać jakąś relację? Może ten Chudy zaczął się zwierzać, co?

– Jedenaście miesięcy. Wystarczająco długo.

– Chudy to ksywka?

– Tak, facet jest chorobliwie chudy. Nazywa się Hubert Rozwadowski. I jest jeszcze coś, co cię zainteresuje.

– Mów, nie przedłużaj! – Znów podkurczyła nogi.

– Chudy skończył odsiadywanie wyroku dwa tygodnie temu.

– To może być on. Muszę to sprawdzić. Adres! Potrzebuję jego adresu! Masz go, prawda?

* *

Otaczała go pustka. Ceglane ściany nadawały wnętrzu undergroundowego charakteru. Podobało mu się to. Sam był niepokorny i wolał żyć w podziemiu. Kiedyś wystarczająco podziemna wydawała mu się mała piwnica, teraz potrzebował czegoś innego – większej przestrzeni, większego rozmachu i większej pustki. Tej ostatniej było tu tyle, że czuł się usatysfakcjonowany. Musiał się nasycić tym uczuciem, zanim zatrzaśnie za sobą drzwi i wróci do frustrująco bezbarwnej codzienności.

Brzdęk. Obcy dźwięk dotarł do niego, kiedy stał skierowany twarzą do ściany. Psychicznie przygotowywał się do martwego ciągu. Zamarł jednak i zaczął nasłuchiwać. Nie był pewien, czy przypadkiem się nie przesłyszał.

Brzdęk. Obejrzał się za siebie, żeby zrobić rozpoznanie. Ceglasta ściana, dwoje drzwi z metalowymi naprożami i wielkie zdjęcie. Delikatny ruch głowy. Oczy skierowane na kolejną ścianę. Pusto. Drzwi wejściowe w stanie takim, jak je zostawił. Zamknięte od wewnątrz na zamek patentowy. Nadal był sam.

Wrócił do sztangi. Nachylił się, przyjmując pozycję wyjściową. Brzdęk. Kolejny pojedynczy dźwięk ni z tego, ni z owego zmienił się w martwy dla ucha ciąg dźwięczących nut.

Znowu się odwrócił. Na stojącym niemalże na środku pomieszczenia filarze wisiał łańcuch. Gdyby nim ruszył, mógłby wydawać z siebie podobne brzmienie. Mógłby, ale wisiał nieruchomo.

Westchnął i pokręcił energicznie głową. Dzwonienie ustało na krótką chwilę. Zakrył więc uszy dłońmi. Dźwięki, które słyszał, nie straciły na intensywności. Zaczął potrząsać głową, jakby chciał wypędzić z jej wnętrza zabłąkaną muchę. Zwykle przynosiło to efekt.

Tym razem nie. Być może powinien się zatrzymać i nad tym zastanowić? Wybuchy nie były obojętne dla jego słuchu. Od ostatniego ignorował sygnały, które do niego docierały. A może nawet bardziej słyszał coś, co do niego nie docierało?

Nie spieszył się jednak z wizytą u laryngologa, bo to, co słyszał, sprawiało, że adrenalina zaczynała krążyć w jego żyłach, a ona była mu teraz bardzo potrzebna. Tęsknił za nią... i za wielkim wybuchem.

* *

– O której zaczynasz dziś dyżur?

– Dyżur?

Anka odebrała telefon idąc, ale przystanęła po usłyszeniu głosu Artura. Dotarła właśnie do zwartego ciągu kamienic w jednokierunkowej części Wierzbicic. Samochód zostawiła na Czajczej, bo nie mogła przecież jechać pod prąd. Szukała numeru czterdzieści dziewięć.

– Tak, dyżur. Przecież masz dzisiaj nockę.

– A tak, dobrze, że dzwonisz, zupełnie bym o tym zapomniała.

Wizja kolejnych dwunastu godzin spędzonych w pogotowiu dawno została przykryta ważniejszymi sprawami. Braun przekazał Ance adres zameldowania Huberta Rozwadowskiego. Kilka cyfr i liter uwolniło w niej energię. Nie zastanawiając się, pocałowała Wiktora w policzek i wybiegła z jego mieszkania.

– Anka, ogarnij się! Joanna tylko czeka na twoje potknięcia.

– Artur, spoko. Idę do czerwonych supermenów dopiero na siódmą. Mam jeszcze – powiedziała i spojrzała na zegarek – więcej niż sześćdziesiąt minut.

– I dobrze, zdążymy się spotkać. Jesteś w domu?

Rozejrzała się. Właśnie stanęła przed brązowymi drzwiami. Po lewej stronie widniała nazwa ulicy i numer, którego szukała.

– Nie. W terenie.

– Gdzie dokładnie? Wyrwałem się z domu tylko na chwilę. Ewelina i tak nie była zachwycona, więc zrobmy to szybko.

– Ale co?

Anka popchnęła drzwi i weszła na klatkę schodową. Przywitał ją zapach gnijących ziemniaków.

– Anka, cholera jasna, ogarnij się! To ja staję na rzęsach, kombinuję, żebyś była zadowolona, a ty utrudniasz!

– Artur, przepraszam, jestem po prostu w innym temacie, dlatego mów do mnie wolno i wyraźnie.

– Mam dla ciebie sprzęt. Kamery do pogotowia.

– Aaaa!!!

Wydała z siebie jedynie krótkie potwierdzenie faktu, że coś kojarzy. Wspinała się właśnie na czwarte piętro kamienicy. Schody były nieznośnie wysokie. Miała już zadyszkę i czuła zmęczenie.

Już tylko jedno piętro dzieliło ją od mieszkania mężczyzny, którego miała powstrzymać przed morderstwem. Była tak podekscytowana, że kwestie kamer, pogotowia czy pracy zawodowej w ogóle jej nie interesowały.

– Nawet nie pytaj, ile dobrych uczynków będzie mnie to kosztowało! – Artur

brzmiał na mocno podekscytowanego.

– Aha.

– Aha? Anka? W czymś ci przeszkodziłem? Dyszysz?

– Dyszę, bo wspinam się na wildecką Czomolungmę.

– Czomo co?

– Nieważne. – Anka stanęła właśnie przed drzwiami. – Pomogę ci w tych uczynkach. Jesteś boski!

– Jestem, jestem. Żona też mi o tym ciągle przypomina. Podrzucę ci kamery teraz, gdziekolwiek jesteś, i wszystko wytłumaczę.

* *

Justyna nakładała właśnie ziemniaki na talerz, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Nie spieszyła się ze sprawdzeniem, kto stał po drugiej stronie. Ważniejsze od przyjmowania nieproszonych gości było nakarmienie rodziny.

Jej dziewięcioletni syn siedział przy stole i wpatrywał się w nią jak w obrazek. Był głodny, zwłaszcza że szkolna stołówka serwowała dziś naleśniki z serem. Dawid nie lubił ani naleśników, ani białego sera.

Za chwilę miał też przyjść Roman, jak zwykle wyczerpany pokonywaniem dystansu, który dzielił Wildę od miejsca jego pracy. Wpadał do domu mniej więcej za pięć osiemnasta.

Być może nie była to dobra pora na obiad, ale właściwie to był jedyny moment w ciągu całego dnia, kiedy mogli usiąść przy stole i przez kilkanaście minut pobyć ze sobą bez pośpiechu.

– Mamo, ktoś puka.

– Słyszę, aniołku.

Ziemniaki polala ciemnym sosem spod wołowiny, którą przygotowywała całe wczorajsze popołudnie. Obok ziemniaków położyła kawałek mięsa i zaczęła kroić go na małe kawałki.

– Nie otworzysz?

– Otworzę. Za chwilę.

– A czemu nie teraz?

– Wiesz co? Masz rację. Otworzę teraz, a ty zacznij już jeść. – Postawiła przed synem talerz i wyszła do przedpokoju.

Przekręciła zamek i nacisnęła na klamkę. Dokładnie w tej chwili

przypomniała sobie, że mąż kazał jej najpierw zerkać w wizjer. Różni ludzie ich nachodzili i nie wszystkim powinna otwierać.

– Dzień dobry.

– Dobry – odpowiedziała od niechcienia.

– Ja do sąsiada, ale chyba nikogo nie zastałam, bo pukam i pukam.

Stojąca przed drzwiami kobieta wyglądała na trzydziestolatkę. Uśmiechała się sympatycznie, ale Justyna nie miała ochoty z nią rozmawiać. Zwłaszcza że, tak jak powiedziała, przyszła do sąsiadów.

– Czego pani ode mnie chce? – spytała.

– Przepraszam, jeśli przeszkodziłam, ale pomyślałam, że skoro już tu jestem, to zapytam... Może tylko nie słyszy pukania, bo tak mi się wydaje, że coś tam słychać, że w mieszkaniu ktoś jest.

Justyna wzruszyła ramionami. Ciągle musiała odpowiadać na te same pytania, chociaż wcale nie miała na to ochoty. Przynajmniej dwa razy w miesiącu ktoś pukał do jej drzwi i w mniej lub bardziej inwazyjny sposób próbował dowiedzieć się, gdzie ukrywa się sąsiad.

– Nie wiem.

– A kiedy widziała pani Huberta ostatnio?

– Przepraszam, ale mam ziemniaki na gazie – skłamała.

– Czy mogłabym panią prosić, żeby zadzwoniła pani do mnie, jak tylko Hubert się pojawi? – Kobieta wysunęła rękę z kartką papieru.

– Nie.

Justyna zatrzasnęła drzwi. Miała zbyt dużo swoich problemów, żeby wikłać się jeszcze w sprawy sąsiadów. Poza tym jej mąż nie byłby zadowolony.

* *

– Dasz sobie radę?

Artur stał na schodach gotowy do zejścia.

– Dam – potwierdziła Anka, chociaż nie była tego taka pewna.

Minęła dziewiętnasta dwadzieścia. Artur zamontował kamery we wszystkich newralgicznych miejscach i mógł wracać do domu. Przed dziennikarką było jeszcze ponad jedenaście długich godzin dyżuru.

Odwróciła się i pchnęła drzwi. Weszła do pokoju, zdjęła z siebie czerwono-czarną kurtkę i usiadła na kanapie. Jej myśli nadal krążyły wokół mieszkania Huberta Rozwadowskiego.

Szczepan siedział przy komputerze i wklepywał dane do programu. Zerkał na kartę zlecenia wyjazdu, którą ręcznie uzupełniało się podczas wizyty u pacjenta, a później z należytą starannością przepisywało dane do systemu. Przed każdym uderzeniem unosił palec mniej więcej na tą samą wysokość, jakieś trzydzieści centymetrów od klawiatury. Zupełnie jakby określała ją jakaś dyrektywa. Podczas pierwszego dyżuru inny ratownik w identyczny sposób dziobał klawiaturę. Jak dzięcioł. Stuk. Stuk. Stuk. Jakby oko miał na czubku palca i musiał je odsunąć od klawiatury, by z odległości zobaczyć rozmieszczenie liter.

– Co robisz?

– Uzupełniam – odpowiedział.

– Po co?

– Bo musi być uzupełnione.

Haribo bawił się pilotem. Zmieniał kanały, na żadnym nie zatrzymując się dłużej niż pięć sekund. Nie wyglądał na kogoś, kto jest zainteresowany znalezieniem propozycji dla siebie. Siedział rozpostarty na fotelu, a nogi miał wyciągnięte przed siebie.

Dziwnie wyglądało zestawienie służbowego munduru i typowo domowej pozycji relaksacyjnej, ale to skarpetki Szczepana sprawiły, że Anka ucieszyła się, że Artur załatwił kamery, a jedną z nich zamontował w jej bluzie.

Pomyślała, że ten widok warty był uwiecznienia. Oto *homo utililis*, człowiek pomocny, w oczekiwaniu na zgłoszenie wyjazdu. W skarpetkach, bez butów, w pozycji sprzyjającej zabijaniu czasu.

– Zobacz, jak im dobrze. Siedzą i się nudzą. – Znajomy głos zabrzmiał w przedpokoju.

Odwróciła się i zobaczyła Miśka i Cygana. Obaj mieli czerwone nosy.

– Ja się nie nudzę. A ty, Haribo?

– Ja też nie.

– Było jakieś ratownictwo?

– Duszności, które okazały się być sześćsetletnią babcią kopącą ćmika za ćmikiem.

– Nosz kurwa! Mówię wam, że czuję się upalony.

– I co jej się zepsuło?

– Widziałeś kiedyś sześćsetletnią babcię, u której coś się jeszcze nie popsuło?

Mężczyźni wnieśli do pomieszczenia nową energię. Nakręcali się wzajemnie. Męski rechot i wygłupy sprawiły, że poczekalnia zmieniła się znowu w pokój kolonijny.

– Ty, a oglądałeś ostatni odcinek „Na sygnale”? – Nawet Szczepan oderwał się od komputera. – Była taka akcja...

Sygnal dźwiękowy przypomniał im, że są w pracy, a nie na spotkaniu

towarzyskim. Anka знаła już ten rytm. Najpierw odzywał się głośny alarm, w biurze na wiszącym na ścianie małym ekranie wyświetlała się czerwona cyfra wyznaczająca zespół do wyjazdu, potem rozległ się dźwięk esemesa, a następnie uruchamiała się drukarka, która wypluwała z siebie kolejny cel wyjazdu.

– Ból głowy, drgawki, kobieta, dwadzieścia osiem lat.

* *

W gruncie rzeczy ciemność nie była najgorsza. Jechali przez śpiące miasto, bez sygnałów, w kodzie drugim. Ratownicy rozmawiali o Lucasie, a Anka przez chwilę przysłuchiwała się, usiłując skojarzyć, który z ich kolegów nosi ksywę Lucas, ale szybko zorientowała się, że chodzi o urządzenie wykonujące uciski klatki piersiowej.

– To tu?

– Dwadzieścia pięć?

– Tak.

– W takim razie tu.

Wysiedli z karetki. Haribo zarzucił na ramię plecak i spytał:

– Jaki numer mieszkania?

Szczepan nie zdążył odpowiedzieć. Drzwi do bloku otworzyły się. Ich oczom ukazał się mężczyzna ubrany w krótkie spodenki oraz mocno rozciągnięty i pognieciony T-shirt. Miał czerwoną twarz i chwiał się, mimo że stał w miejscu. Wyglądał zjawiskowo. Zupełnie jakby ubrał się tak w sierpniu i wyszedł na imprezę, z której do dnia dzisiejszego nie udało mu się wrócić.

– Tutaj, tutaj! – Zamachał do nich. – Za mną.

Anka przepuściła chłopaków przodem. Weszli pewnym krokiem do klatki, ale zatrzymali się na schodach. Wychyliła się, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Mężczyzna stał już w mieszkaniu, przytrzymał otwarte drzwi i zapraszał gości do środka. Korytarz był ciemny, światło dochodziło jedynie z pokoju, ale i tak można było zauważyć stojące pod ścianą butelki po wódce i dwa ujadające psy.

– Proszę najpierw je zamknąć. – Haribo był grzeczny, ale zdecydowany.

– Ale nie, one są łagodne!

„Nie szczekają zbyt łagodnie” – pomyślała Anka, dlatego z ciekawością czekała na ciąg dalszy. Dla lepszych zdjęć ustawiła się tak, żeby kamera mogła

wszystko uwiecznić.

– Proszę wyprowadzić psy do innego pomieszczenia – powtórzył spokojnie Haribo.

– One nie gryzą. Daisy, Alan, spokój!

Anka osobiście nie miała nic przeciwko psom, ale wchodzenie do obcego domu, w nocy, w mundurze, w którym bywali w różnych miejscach i mieli na sobie różne zapachy, wydawała jej się niepotrzebnym igraniem z losem.

– Niech się pan nie boi. – Mężczyzna zaczął głaskać czekające psy, jakby chciał pokazać, że nie ma się czego obawiać.

– Musi pan je zamknąć.

– Ale przecież one nic nie zrobią, nigdy nikogo nie ugryzły.

– Jeśli nie zamknie pan psów, my nie będziemy mogli wejść.

– Co jest, dlaczego nie wchodzi, ona tam przecież ledwo siedzi?! – W korytarzu pojawiła się starsza kobieta.

– Psy mi każą zamknąć!

– No wiesz ty co? Żeby pudła i yorka się bać? Dorośli mężczyźni, co im zrobią takie słodkie, futrzaste przylepy?!

Futrzaste przylepy nadal obszczekiwały przybyłych. Haribo emanował spokojem. Za każdym razem, kiedy się odzywał, prosił o to samo, używając innych słów. Anka obserwowała go z podziwem. Sama już dawno uniosłaby głos.

Stresowała ją dodatkowo świadomość, że w mieszkaniu znajdowała się kobieta czekająca na profesjonalną pomoc. Czekala, być może cierpiała, a mieszkający z nią ludzie woleli dyskutować o psach, tak jakby zamknięcie zwierząt w pokoju na czas wizyty ratowników było największą podłością.

– Albo zamknie pan psy, albo wyniesie chorą, albo my sobie pójdziemy.

– Dobra, niech matka je weźmie. – Mężczyzna w końcu skapitulował.

Starsza kobieta przez dłuższą chwilę patrzyła na niego z pogardą, a potem, przeklinając pod nosem, zniknęła razem z psami.

W końcu mogli wejść do środka. Przekroczyli próg i poczuli smród przetrawionego alkoholu. Szli gęsiego. Pierwszy Haribo, drugi Szczepan, a za nimi Anka. Nie było innej możliwości. Przedpokój był wąski, a z obu jego stron stały stare graty. Jakieś komody, kartony, butelki i buty. Buty były wszędzie. Leżały jedne na drugich.

Z przedpokoju weszli do małego pokoju, w którym stały dwa metalowe, dwupiętrowe łóżka. Przejście między nimi było niewiele większe niż to w przedpokoju. Anka pomyślała sobie, że pewnie nawet według więziennych norm na jednego osadzonego przypadało więcej powierzchni.

– Wynocha mi stąd! – Mężczyzna odezwał się dopiero, kiedy wraz z ratownikami dotarł do miejsca przeznaczenia.

W pokoju znajdującym się bezpośrednio za pomieszczeniem z łózkami

wskaźnik zagęszczenia dzieci przypadających na metr kwadratowy był nie do zaakceptowania, zwłaszcza dla Anki. Lubiła dzieci, ale nie w ilościach hurtowych.

Pięć główek różnych rozmiarów kręciło się wokół leżącej na kanapie kobiety. Pościel była rozbebeszona, a każda powłoczka wydawała się być od innego kompletu. Podobnie jak dzieci. Miały różne kolory włosów, kształty twarzy i oczu.

Szczepan próbował zdjąć plecak, ale nie miał pola manewru. Pokój nie miał więcej niż osiem metrów kwadratowych, a oprócz rozłożonej kanapy i dzieci znajdowały się w nim jeszcze dwa fotele, łóżeczko niemowlaka i szafy ustawione przy najdłuższej ścianie.

Dzieci nie były skore do opuszczenia pokoju. Czwórka z nich uciekła dopiero wtedy, kiedy mężczyzna krzyknął:

– Powiedziałem won! Lekarze przyszli do mamy.

Piąte zostało. Nie miało innego wyjścia. Leżało na brzuszku w łóżeczku i wkładało całą swoją siłę w podnoszenie głowy.

– Co się dzieje? – spytał Szczepan.

– Głowa mnie boli – odpowiedziała obojętnie młoda kobieta. – Mocno.

– Miała pani drgawki?

– Nie wiem. Wymiotowałam. – Wskazała ręką na stojącą przy łóżku miskę.

Była fabrycznie zielona. I pusta. Bez śladu zwracanej treści żołądka.

– A od kiedy boli panią głowa?

– Od kiedy?

– Tak, kiedy zaczęła?

– Rano.

Anka spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Wskazywał dwudziestą pierwszą osiemnaście. Dziecko w łóżeczku nadal walczyło z grawitacją, która ściągała jego głowę w dół. Nie zniechęcało się jednak. Ciekawość, którą budzili u niego ratownicy, była większa niż frustracja. Dziwne było jednak to, że nie wydawało z siebie żadnych dźwięków. Nie przywitało obcych płaczem. Nie domagało się też uwagi matki. Tak jakby wiedziało, że może liczyć jedynie na siebie.

– Co pani brała na ból?

– Bolała mnie rano, tak mocno jakoś. Położyłam się, zdrzemnęłam, a jak się obudziłam, to zwymiotowałam.

– Proszę otworzyć usta. – Szczepan przystąpił do badania.

Kobieta wypełniła prośbę ratownika, wyciągnęła też język. Na jego środku widniał kolczyk. Metalowa kulka w trochę za dużej dziurce.

– Dobrze, skoro bolała panią głowa, to pewnie brała pani jakieś tabletki?

– Tabletki? – Kobieta wyglądała na zdziwioną.

– Przeciwbólowe.

– Nie. Nie lubię tabletek. Są za duże. Jak biorę je do buzi, to zawsze chce mi się wymiotować.

ROZDZIAŁ 7

Paryż jest niesamowity. Żałuję, że cię tu nie ma.

Ance wydawało się, że ciepły głos Łukasza dobiega zza ściany. Przeżrana uniosła się i otworzyła oczy. Siedziała na łóżku, ubrana w pidżamę i przy uchu trzymała komórkę.

Jak przez mgłę pamiętała, że dzwoniła. Nie potrafiła jednak odnaleźć w pamięci chwili, kiedy po nią sięgnęła. Musiała zrobić to automatycznie.

– Aha – wydusiła z siebie, bo nie miała pojęcia, w jakiej części rozmowy się znajdują. Wszystko do tej pory odbywało się poza jej świadomością.

– Spodobałoby ci się tutaj.

Wieża Eiffla, Luwr, katedra Notre Dame, Łuk Triumfalny. Wszystko kojarzyło się jej obrzydliwie romantycznie. Nie miała ochoty na zwiedzanie miasta zakochanych. Nie dzisiaj. Nie jutro. Nie z Łukaszem.

– Tęsknię. – Starał się wypełnić ciszę, która panowała w słuchawce.

Nawet nie siliła się na uprzejmości. Była nieprzytomna i niewyspana. Czowała się wywinięta na lewą stronę. Jakby nagle zamiast grubego naskórka pojawiły się wszystkie zakończenia nerwowe.

Zerknęła na zegarek. Zbliżała się dziewiąta. O siódmej wyszła z podstacji, jakieś pół godziny później resztkami sił weszła do swojego łóżka i padła. W nocy czas płynął zupełnie inaczej. W ciągu dnia ratownicy snuli się po pokojach, żartowali, oglądali telewizję i stanowili ciekawe okazy do obserwacji. W nocy między kolejnymi wyjazdami zamykali się w pokojach i drzemali.

Anka nie chciała zasnąć. Nie widziała sensu takiego działania, jeśli nie było wiadomo, czy kolejny alarm obudzi ją po godzinie, pół czy po pięciu minutach. Chciała być gotowa do ratowania cudzego życia. W każdej chwili. Przeglądała więc książkę, nasłuchiwała odgłosów dochodzących zza ścian i czekała na koniec dyżuru.

– Halo, Anka? Jesteś tam?

– Jestem.

– Dlaczego milczysz?

– Bo śpię. To znaczy spałam, ale mnie obudziłeś.

– Rozumiem, przepraszam. Dzwonię tylko... Tu naprawdę dużo się dzieje. Nie wiem, czy śledzisz relacje telewizyjne? Paryż jest uroczy, ale te patrole, poszukiwanie sprawców, panika wśród miejscowych... Obserwuję to i myślę o tobie. Czowałabyś się tu jak ryba w wodzie.

Westchnęła. Ewidentnie nadawali na innych falach. Wkurzał ją. Nawet bardziej niż zwykle. Pojechał do Paryża relacjonować to, co działo się po

zamachach terrorystycznych. Sam. To nie od niej zależało, że została. Wiedział, że chciałaby tam być i szczuł ją tą paniką. Uderzał w czułe punkty, a później mówił, że tęskni.

Chciało jej się płakać. Ze złości i ze zmęczenia. Sama myśl, że będzie niebawem musiała wrócić do pogotowia na kolejny dyżur, budziła w niej mdłości. Po takiej nocy pragnęła jedynie bezpiecznej pustki wokół, przyjemnej ciszy i snu w ilości nielimitowanej.

– Aniu, nie wrócę, tak jak planowałem. Tak naprawdę nie wiem, ile mi tu jeszcze zejdzie...

– Spoko.

– Na pewno? Nie jesteś na mnie zła? Bo jeśli jesteś, jeśli powiesz, że mam wracać...

* *

– Czy Andrzej Lewandowski mógł mieć jakichś wrogów?

– Wrogów?

Maurycy Gawroński, ratownik z karetki, w której miał miejsce atak nożownika, bujał się razem z krzesłem, na którym siedział. Jego zachowanie sprawiło, że Braun nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w dużym ciele mężczyzny siedzi mały chłopiec. Taki, którego do odpowiedzi wyrwała nauczycielka od historii i z groźnym wzrokiem oczekiwała na podanie odpowiedniej daty.

– Kogoś, kto źle mu życzył – podpowiedział Braun.

Śledztwo toczyło się swoim naturalnym rytmem. Jego celem było ustalenie, kto zaatakował kierowcę karetki i dlaczego właśnie jego, a nie na przykład siedzącego obok Gawrońskiego.

– Wie pan, my jesteśmy ratownikami. – Gawroński się roześmiał. – Działamy na pierwszej linii frontu służby zdrowia. Codziennie spotykamy się z wrogimi spojrzeniami.

– Chodzi mi o konkretne konflikty z pacjentami, przyjaciółmi, kasjerami w sklepie.

– Rozumiem, że mogę pominąć te wszystkie alkoninje, do których jesteśmy wzywani, a którzy zwyczajnie nie chcą naszej pomocy?

– Alkoninje?

– Mam na myśli wielbicieli trunków wysokowych. Tych, którzy śpią na przystankach lub pod drzewami i nie chcą niczego poza spokojem, a do których

jeździmy, bo społeczeństwu wydaje się, że jeśli zadzwonią na dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć to zrobią dobry uczynek.

– Ale nie robią?

– No nie. Dwa tygodnie temu jeden z pacjentów wyskoczył do nas z łapami. Uszkodził mi mundur, koledze twarz. Sprawa jest już na psiarni. Kilka dni temu Zenek z Wildy, nasz stały klient, krzyczał do mnie i Andrzeja, że nas zajebie. To tak z grubsza. Nie zapamiętuję takich głupot, bo straciłbym zapal do pracy.

– Może było coś poza pracą? Sam zeznał pan wcześniej, że napastnik wykazał się dużą determinacją przy zadawaniu pana koledze ciosów nożem. To może wskazywać na celowe działanie, konflikt, który urósł do kolosalnych rozmiarów.

– U Andrzeja? Wątpię. To niespotykane spokojny człowiek.

– A jak mu się układało w życiu prywatnym?

Gawroński przestał się bujać. Zamarł. Krzesło stykało się z podłogą tylko dwoma tylnymi nogami. Pozostałe dwie oraz te należące do ratownika znajdowały się w górze, a ciało Gawrońskiego było nienaturalnie skrzycone.

Braun przyglądał mu się beznamiętnie, w myśli jednak odnotował, że być może zamiast ciekawej sprawy zabójstwa będzie miał kolejną łzawą historię miłosną. Kochanka mordująca nieswojego męża lub – jak ostatnio w Poznaniu – kochanek mordujący kochankę.

– Powiedziałbym raczej, że standardowo – odpowiedział Gawroński. Krzesło z hukiem opadło na ziemię.

– W aktach widnieje, że miał żonę i dziecko.

– No miał. Ale mieszkał u rodziców.

– Dlaczego?

– Bo kilka miesięcy temu rozstał się z żoną.

– A powodem rozstania było...?

Gawroński spojrzał na prokuratora tak, jakby ten zapytał o najbardziej elementarną sprawę. O to, dlaczego jemy ustami, a słuchamy uszami.

– O to powinien pan jego pytać.

– Chciałbym, ale nadal nie ma z nim kontaktu, leży nieprzytomny w szpitalu, a sprawa nie może czekać. Czy Lewandowski gustował w mężczyznach?

– Nie.

– W kobietach?

– No tak, przecież ma żonę – odpowiedział rozśmieszony ratownik.

Braun wzruszył ramionami. Zbyt długo zajmował się wyciąganiem z ludzi niewygodnych informacji, żeby wdawać się w takie rozmowy. Fakt, że mężczyzna miał żonę – ba, nawet to, że sypiał z nią od czasu do czasu! – nie świadczył o tym, że nie był gejem. Prokurator wyczuwał różnicę między dowodem bezpośrednim a poszlaką. Posiadanie żony mogło być przecież jedynie zasłoną dymną.

– Spędzaliście razem dużo czasu. Na pewno mówił panu, dlaczego odszedł.
– Nie mówił – rozpoczął Gawroński, ale widząc wzrok prokuratora dodał: – Nie musiał. Też jestem ratownikiem. I rozwodnikiem. Wiem wszystko, czego wiedzieć bym nie chciał. Łącznie z tym, że żadna kobieta nie chce konkurować z pracą. Żadna, nawet taka, której na początku się wydaje, że da radę. Andrzej kochał swoją Renię. Liczył, że jeszcze do siebie wróca. Dlatego nie chciał dać jej rozwodu. Ale najbardziej na świecie kochał ratownictwo...

* *

– Proszę mi tego nie robić.
– Niech się pani uspokoi. Powtarzam. Musi wziąć pani numerek i poczekać w kolejce, żeby porozmawiać z konsultantem.
– Ale ja nie chcę z kimś innym. Gadam z panem. Jak mam żyć bez gazu?
– Uprzedzaliśmy panią, że niezapłacone rachunki skutkowały będą zaprzestaniem dostarczania gazu do lokalu.
– Ale ja mówiłam, że zapłacę.
Julia Kochanowicz przysłuchiwała się rozmowie pracownika gazowni ze zdenerwowaną kobietą. Nie była może to zbyt pasjonująca czynność, ale dzięki niej czas płynął szybciej. Od ponad czterdziestu minut czekała na swoją kolei. Zdążyła więc obejrzeć sobie wszystkich oczekujących, ale dopiero kiedy na korytarzu znalazła się już na pierwszy rzut oka wyniszczona alkoholem kobieta, uznała, że w końcu wydarzy się coś, o czym będzie mogła napisać na blogu.
– Nie wiem. Nawet jeśli, to nie zapłaciła pani, wobec czego zastosowaliśmy normalną procedurę dla klientów zalegających...
– Niech pan mówi tak, żebym zrozumiała. Bełkocze pan jakieś formułki, których się pan uczył! Nie jestem maszyną, tylko człowiekiem! Nazywam się Gołębowska. Nie miałam pieniędzy, nie mogłam zapłacić. Ale zapłacę!
– Kiedy?
– Za chwilę.
– Dzisiaj? To powinna wziąć pani numerek z sekcji B i podejść do kasy.
– Nie dzisiaj. Ale jutro, może pojutrze. Mój konkubent dostał pracę. Jak tylko dostanie jakąś zaliczkę, zapłacimy to, co chcecie.
– Tłumaczę pani, że powinna podejść pani do maszyny i wziąć numerek...
– To są kpiny! Chcę załatwić sprawę, a pan traktuje mnie jak głupią i odsyła do jakiejś maszyny! Ja pójdę do dyrektora! Na skargę!

- Proszę bardzo.
- Ja, proszę pana, mam dzieci. Jak mam je wykarmić, skoro tak bez słowa odcinacie nam gaz?! To skandal!

* *

Zarwana noc zwiększyła wrażliwość Anki na bodźce, a ponowna wizyta w kamienicy na Wierzbęticach dostarczała jej nowych wrażeń.

Schody nadal były męcząco wysokie, poręcze i tralki drewniane, a stopnice wyłożone płytkami, ale zapach, który przywitał ją już po otwarciu wielkich brązowych drzwi, intrygował. Przez ułamek sekundy myślała, że może to zapach tajemnicy rodem z „Pana Samochodzika”, szybko jednak doszła do wniosku, że dominującą nutą jest smażona cebula, a to nijak nie pasuje do przygód historyka sztuki.

Maszerowała w górę i starała się zidentyfikować mieszaninę, która delikatnie drażniła jej żołądek. Niby mięso, ale jednak nie do końca. Była głodna, ale gdyby ktoś zaoferował skosztowanie potrawy, której zapach ją otaczał, odmówiłaby bez wahania. W tej woni było coś cierpkiego, ostrego i odpychającego.

Zatrzymała się na trzecim piętrze i zapukała do drzwi mieszkania znajdującego się bezpośrednio pod mieszkaniem Chudego.

- Dzień dobry – zagadnęła męzczyznę, który uchylił drzwi.
- Wychylił tylko głowę, ale to pozwoliło jej dojść do wniosku, że wyglądał jak dwudziestokilkuletni Harry Potter. Miał za długie ciemne włosy i okrągłe okulary.
- Mieszkasz pod Hubertem. Chciałam zapytać, czy...
- Nie będę odpowiadać na żadne pytania! – Cofnął się i zmniejszył jeszcze szczelinę między framugą a uchylonymi drzwiami.
- Proszę cię, to dla mnie ważne.
- A dla mnie nie. Ja tam nic nie wiem, i niczego wiedzieć nie chcę.
- Ale chyba słyszysz czasem, co dzieje się u sąsiadów z góry, co? Ktoś chodzi? Rozmawia? Może się kłóci?
- Nie chcesz wiedzieć, czego muszę wysłuchiwać. Kiedyś wszyscy wylecimy w powietrze albo naszą kamienicę opanują śmiertelne wirusy, zupełnie jak w tym hiszpańskim horrorze, w „[REC]”! Widziałem wszystkie części. Jedna straszniejsza od drugiej! Idź stąd, dopóki jeszcze możesz uciec! – Mężczyzna spojrział na Ankę w taki sposób, że poczuła lęk. – Uciekaj, uciekaj! – krzyknął

i trzasnął drzwiami.

Anka została sama. Zapach tajemnicy przestał wydawać się jej nęcący. Powoli zaczynał ją drażnić. W kamienicy – schowanej pomiędzy innymi z pozoru normalnymi nieruchomościami na Wierzbicicach – mieszkali sami dziwni ludzie. Rozwadowski, który dopiero co wyszedł z więzienia. Jego najbliższa sąsiadka, która nie chciała rozmawiać z Anką, i podstarzały Harry Potter, który uwielbiał horrory.

Wdrapała się na czwarte piętro z nadzieją, że tym razem zastanie Chudego i będzie mogła z nim porozmawiać. Stała przed drzwiami i zapukała. Podobnie jak wczoraj, nikt jej nie odpowiedział. Odczekała kilka minut i przyłożyła ucho do drzwi.

Była pewna, że słyszy głosy. Jakby ktoś otwierał okno. Jakby szeptał. Jakby chciał się ukryć. Przed nią.

Nacisnęła na klamkę, nie odrywając ucha od drzwi. Ktoś będący po ich drugiej stronie zaczął piszczeć. Tak przynajmniej zinterpretowała docierające do niej dźwięki.

Znowu nacisnęła na klamkę i całym ciałem zaczęła napierać na drzwi. Wyobrażenia podsuwała coraz dziwniejsze obrazy. Może Chudy zabił już kogoś, kogo miał zabić, i zostawił go w swoim mieszkaniu? A może ten ktoś jeszcze żył?

Ostatnia myśl sprawiła, że w Ankę wstąpiły siły, o których nie miała wcześniej pojęcia. Koniecznie chciała dostać się do mieszkania. Rozejrzała się jeszcze dookoła, chcąc upewnić się, że jest sama na klatce schodowej. Ustawiała się bokiem do drzwi i przystąpiła do ataku. Kiedy jej ciało uderzyło w drzwi, sklejka, która miała zastępować szybę, wypadła, a oczom Anki ukazał się przerażający widok.

* *

Otaczał go bałagan. Pozorny nieład złożony z kabelków i substancji, których teoretycznie nie powinno tu być. Niezbędnik małego bombera – tak zwykł nazywać zawartość biurka. Nie pozwalał nikomu na nim sprzątać, a kosz ze śmieciami stojący pod stołem opróżniał sam.

Kiedyś o tym zapomniał i sprzątaczką niemal nie dostała zawału. Musiała zbyt energicznie zatrząść koszem, coś z czymś się połączyło i – ku jej zaskoczeniu – wybuchło. Nic jej się nie stało, bo przecież ilość materiału wybuchowego była

znikoma. Przestraszyła się jednak tak bardzo, że chciała rzucić robotę. Przekonywał ją trzy dni. W końcu zgodziła się zostać, ale nigdy więcej nawet nie weszła do pokoju ze stołem.

On w otoczeniu materiałów wybuchowych czuł się bezpieczny i idealnie dopasowany do otoczenia. Robił, co chciał. Co sprawiało mu przyjemność. Czasem wygospodarowywał energię na robienie tego, co musiał. Był dorosły, więc akceptował także tą część swojego życia.

Musiał ją jednak równoważyć przyjemnościami, a że bardzo szybko się na nie uodparniał, ciągle szukał czegoś nowego. Wstrząsających doznań, wybuchów emocji i coraz bardziej przesadzonych wyzwań. Tylko one sprawiały, że czuł życie. Serce zaczynało pompować krew z pasją, a nie, jak do tej pory, z przyzwyczajenia, oddech przyspieszał, w brzuchu odczuwał ssanie, a w lędźwiach przyjemne podniecenie.

Był wyznawcą adrenalinizmu. Pieprzonym adrenalinistą uzależnionym od substancji, której dostarczanie było coraz bardziej problemowe. W jego ciele normalnie utrzymywał się taki poziom adrenaliny, że przeciętny Kowalski biegałby po ścianach. Bałby się, uciekał i walczył.

A on siedział przy biurku, bawił się kabelkami i zerkał na rozkładówkę nagiej kobiety przytwierdzoną do ściany. Siedział i czuł głód. Psychiczny, z którym sobie radził, i fizyczny, objawiający się bólem mięśni.

Próbował go ignorować. Wytłumaczyć sobie, że jest dobrze, ale głód adrenaliny był silniejszy od zdrowego rozsądku. I nawet ten głupi plakat uświadamiał mu, że jest z nim źle. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nagie ciało z obrazka usiadło na nim okrakiem, to przesunąłby je jedynie na bok, żeby widzieć, czy dobrze montuje kable.

Seks nie kręcił go tak jak kiedyś. Mógłby nawet zaryzykować stwierdzenie, że w ogóle go nie kręcił. Albo kręcił go na tyle, na ile ekscytujące wydaje się zaspokajanie innych potrzeb fizjologicznych: takich jak jedzenie, spanie czy picie.

Nic go nie kręciło tak jak kiedyś. Nic poza nowymi wyznaniem. Wyznaniem i „matką szatana”. Tak, dla „matki szatana” rzuciłby kable...

* *

– Nagrasz setkę!

Apodyktyczny głos Joanny doprowadzał Ankę do furii. Kobieta szarogęsiła się w redakcji Primo TV, jakby co najmniej była kochanką prezesa wszystkich

prezesów.

– Nie nagram.

– Ooo, to ciekawe! Odmawiasz wykonania polecenia służbowego?

Były same w firmowym pomieszczeniu kuchennym. Anka czekała, aż zagotuje się woda na kawę, Joanna smarowała bułkę dżemem. Miała w ręku nóż. Napięcie wisiało w powietrzu.

– Nie przypominam sobie, żeby coś zmieniło się w naszej hierarchii służbowej. Moim przełożonym jest Grabowski. To, że w łóżku raz jesteś pod Grabowskim, a innym razem na nim, nie znaczy, że możesz wydawać mi polecenia.

– Wiem, że mi zazdrościsz...

– Tobie? Czego? Ogromnej determinacji, która pozwala ci pieprzyć się z tłustym staruchem?

Słowa Anki zawisły w powietrzu, podobnie jak ręka Joanny. Chyba obie nie spodziewały się aż takiej szczerości. Tkwiłyby w ciszy pewnie przez kilka dłuższych chwil, poszukując w głowach odpowiedniej riposty, ale w drzwiach pojawiła się tłusta głowa starucha.

– Pani Joanno, co tu się dzieje? – spytał, siląc się na pozory obojętności.

Anka sięgnęła po czajnik. Nie sygnalizował jeszcze zagotowania wody, ale chciała jak najszybciej opuścić kuchnię.

– Musimy zrobić setkę. Wydelegowałam panią Anię do tego zadania.

– Świetnie, zatem w czym problem? – Grabowski nie patrzył na Ankę.

– W tym, że odmawia wykonania polecenia.

– Pani Aniu, czy to prawda?

Musiała przyznać, że dotychczas nie doceniała dyrektora i jego kochanki. Zachowywali wobec siebie nie tylko pozory obojętności, ale i obiektywności. Przynajmniej on. Udawał, że ma ochotę wysłuchać wersji drugiej strony konfliktu.

– Prawda. To tylko setka, nic skomplikowanego. Przecież nie ma znaczenia, kto to robi.

– Dokładnie. – Grabowski zawiesił głos. – Ma pani rację, pani Aniu. Nie ma znaczenia. Skoro więc nie ma znaczenia, to może to zrobić właśnie pani...

* *

Braun postanowił zrobić wyjątek i odwiedzić Renatę Lewandowską

w naturalnym dla niej środowisku. Szukalski co prawda już z nią rozmawiał, ale Wiktor chciał zrobić to jeszcze raz. Po swoim. Sprawdził więc adres, a kilkanaście minut później zapukał do mieszkania na poznańskich Winogradach.

Żona ratownika walczącego o życie otworzyła mu drzwi i uprzejmie zaprosiła do środka. Wskazała mu nawet miejsce, sama siadając naprzeciw gościa.

Nie wyglądała na specjalnie przybitą. Była umalowana, dość dobrze ubrana, ale na jej twarzy trudno było szukać uśmiechu. Zniknął dokładnie w momencie, w którym Wiktor poinformował ją, że przyszedł porozmawiać o jej mężu, Andrzeju.

– Jak się między wami układało? – spytał.

– Od czterech miesięcy nie mieszkaliśmy razem, więc chyba odpowiedź na to pytanie jest zbędna. – Nawet nie starała się ukrywać obojętności.

Braun nie uważał się za specjalistę od relacji międzyludzkich, tym bardziej od związków, ale rozmiar obojętności wskazywał na to, że narastała od dawna. Nie od czterech czy nawet sześciu miesięcy.

– Rozumiem, że znalazła się pani w trudnej sytuacji, ale prowadzę postępowanie, którego celem jest znalezienie i postawienie w stan oskarżenia napastnika, który usiłował zabić pani męża. Będę więc wdzięczny za pomoc i rzetelne odpowiedzi.

Kobieta chyba nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Uśmiechnęła się nieznacznie i usiadła wygodniej na szarym fotelu.

– Przepraszam. Nie chcę utrudniać panu pracy. Ja po prostu... – Zapowietrzyła się. – Po prostu... ten wypadek uświadomił mi, że miałam rację, że ta robota go zabije.

– Pani Renato, po pierwsze on jeszcze żyje. Po drugie sprawcą nie była wykonywana praca, lecz napastnik. Po trzecie, to chyba nie pani go zaatakowała? Czy się mylę?

Spojrzała na niego zdziwiona. Dokładnie o to mu chodziło. Chciał nią wstrząsnąć i wydobyć z niej cokolwiek, czego mógłby się chwycić. Do tej pory praca nad tą sprawą nie przynosiła żadnych efektów. Napastnik wyglądał tak niecharakterystycznie, że trudno byłoby go zidentyfikować. Nie zostawił w karetce żadnych śladów bytności. Niczego nie dotykał, nie obślinił, nie krwawił. Prokuratura nie miała punktu zaczepienia.

Rozmowę z dyspozytorem prowadził mężczyzna, Wiktor nie wykluczał, że ten sam, który czekał na przyjazd ratowników. To wszystko wyglądało zbyt czysto na przypadkową akcję.

– Nie myli się pan. Nie miałabym powodu, żeby go zabijać, skoro robił to sam. Powoli. Na własne życzenie. Nie dosypiał. Był ciągle zmęczony. Nieobecny duchem, bo myślał o tych swoich reanimacjach, nagłych zatrzymaniach krążenia, które zmieniały się w zgony. Niby siedział obok, niby trzymał za rękę, ale nie było

go ze mną. Żył dramatami innych ludzi, udając, że wcale ich nie zauważa. Oszukiwał siebie, że nie robią na nim wrażenia zaniedbane dzieci. Fruwał nad ziemią, kiedy udało mu się kogoś uratować. Kiedyś próbowałam z nim rozmawiać, tłumaczyć, wskazywać kierunek, przypominać o celach, które w dniu ślubu mieliśmy przed oczami... Zwykle nie prowadziło to do niczego dobrego. On się denerwował. Ja się denerwowałam. W końcu nauczyłam się go nie zauważać. Funkcjonowaliśmy na kilku różnych orbitach. Ja ciągle na tej samej, zbyt nudnej i monotonnej dla niego. On swobodnie przemieszczał się między odrętwieniem, ekscytacją i próbą dopasowania się do mnie.

Wiktor umożliwiał swobodne wypowiedzenie się żonie ofiary. Czasem kiwał głową i starał się zapamiętać pytanie, które chodziło mu po głowie: czy Andrzej Lewandowski lub jego żona mieli romans?

– I niech mi pan jeszcze powie – kobieta nie mogła opanować słowotoku – kto próbował odebrać życie Andrzejowi? Napastnik czy pacjent?

– Nie rozumiem?

– Wie pan, ile razy mojemu mężowi grożono śmiercią? Wie pan, że kiedyś był na takim wezwaniu, z którego wyszedł mokry? Ze stresu?

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Zostali wezwani do mieszkania. Weszli we dwójkę, a tam melina. Ośmiu pijanych facetów. Jeden z nich zamknął za nimi drzwi i przekreślił zamek. Drugi zaprowadził Andrzeja i Maurycego do pokoju, w którym na podłodze leżał nieprzytomny pacjent. Andrzej przystąpił do badania i okazało się, że potrzebny jest jakiś sprzęt z karetki i że musi po niego zejść. Jak tamci to usłyszeli, wkurzyli się i powiedzieli, że nie ma mowy. Że chłopcy są ratownikami i mają ratować ich kumpla, bo inaczej sami stracą życie. To nie były zwyczajne pijackie groźby. Ośmiu facetów patrzyło na ręce chłopaków. Patrzyło i powtarzało: jeśli on umrze, umrzecie również wy.

* *

Staruszka próbowała trafić kluczem do zamka, ale trzęsące się ręce odmawiały współpracy. Na wycieraczkę leżały przepełnione reklamówki.

– Cholera jasna! – niecierpliwiła się. – No dalej!

– Dzień dobry, może ja pomogę? – zaproponowała Anka.

Zgadzał się numer mieszkania i adres, który udało się jej ustalić w rozmowie

z mieszkańcami Wierzbętic. Po tym, co zobaczyła w mieszkaniu Chudego, stwierdziła, że musi znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Pukała do wszystkich sąsiadów, aż w końcu trafiła na starszego pana, chodzącą skarbnicę wiedzy. Wysłuchiwała opowieści o uzależnionym od gier komputerowych chłopaku z trzeciego piętra, o pijaczce z drugiego, o rozwodniku z parteru, aż mężczyzna dotarł do sedna. Kojarzył nie tylko Huberta, ale również jego matkę mieszkającą nieopodal.

– Ty? – Staruszka spojrzała się na nią podejrzliwie.

– Tak, mam na imię Ania i chętnie pani pomogę.

– To zamknij mi te drzwi, dziecko, bo wzrok już nie ten.

Anka sięgnęła po klucz, włożyła go w zamek i dwukrotnie przekręciła, po czym oddała staruszce.

– Dziękuję – odpowiedziała kobieta i zaczęła nachylać się, żeby podnieść z ziemi reklamówki.

– Pomogę – zakomunikowała Anka i, nie czekając na reakcję, podniosła większość siatek.

Zerknęła na nie mimo woli. W środku były wełniane berety, bombki, aniołki zrobione na szydełku i długopisy.

– A ty, dziecko, w którą stronę idziesz?

– W tą samą, co pani.

– Tak? Bo ja najpierw do pasmanterii. Robię dla nich szydełkowe ozdoby na święta. Co roku zamawiają u mnie dużą partię. Potem do sklepu z odzieżą, bo robię też na drutach, a moje berety mają wzięcie.

– Jakoś trzeba sobie radzić, prawda?

– Ty jesteś jeszcze młoda, ale jak będziesz w moim wieku, to sama zobaczysz, że wiązanie końca z końcem jest... trudne.

– Ma pani dziecko lub dzieci? Nie pomagają?

Wyszły już na ulicę i powoli zmierzały w kierunku pasmanterii. Anka postanowiła płynnie przejść do tematu, który ją intrygował. Miała nie więcej niż pięć, może dziesięć minut na to, by wyciągnąć ze staruszki informację o tym, gdzie może znaleźć Chudego.

– Albert czasem pomaga, ale jego żona mnie nie lubi. – Staruszka powoli stawiała kroki. Krzywe płyty chodnikowe utrudniały jej chodzenie.

– Myślałam o Hubercie.

– Hubercie? Znasz, dziecko, Huberta?

Anka uśmiechnęła się nieporadnie, próbując uciec od odpowiedzi. Zaniepokojony wzrok starszej kobiety sprawił jednak, że uznała, że musi coś powiedzieć.

– Hubert mieszka tu zaraz obok. – Pokazała w górę Wierzbętic. Akurat przechodziły przez brukowaną ulicę.

- Mieszkał – poprawiła ją staruszka.
 - Jak to? Czyli już nie mieszka? Nie wrócił z więzienia do siebie?
- Staruszka przystanęła na środku ulicy.

Zielone volvo zatrąbiło, upominając kobiety, że w zadumę powinny wpadać w innym miejscu niż środek jezdnii. Chyba że chcą stać się ozdobą karoserii. Anka złapała staruszkę pod rękę i przeprowadziła na chodnik.

- Jak to wrócił? To on już wyszedł?
- Wyszedł. Nie wiedziała pani o tym?

– Dziecko, ty nie powinnaś się z nim zadawać! Dobrze ci z oczu patrzy, a mój Hubercik nie jest dobrym człowiekiem. Zresztą sama widzisz. Wyszedł z więzienia i nawet z matką się nie przywitał, że nie wspomnę o tym, żeby wpaść i zapytać, czy nie potrzebuję jakiejś pomocy.

- Czyli nie zatrzymał się u pani?

– Tego by jeszcze brakowało... Jestem jego matką, pewnie bym go przyjęła, ale musiałyby żyć na moich warunkach. Nie, nie zniósłby tego. On od dawna się od nas odsunął. Na to, że mnie lekceważył, machnął ręką, ale że Alberta? O jakąś kasę się pokłócili i Hubert się obraził. Całkiem się od nas odciął. Zanim poszedł do więzienia, widywaliśmy się czasem na ulicy czy w sklepie. Myślisz, moje dziecko, że chociaż mi dzień dobry mówił?

- Okropne!

– Tak. Dlatego cieszyłam się, że miał swoje mieszkanie. Dostał je w spadku po mojej siostrze.

- Ale dawno go w nim nie było.

– Jak to nie było? Przecież mówiłaś, dziecko, że wyszedł na wolność. Gdzie miał pójść, jak nie do siebie?

– Tego właśnie chciałam się dowiedzieć. Byłam u niego. Nie ma go tam i na pewno nie było ostatnio. – Anka nie chciała przysparzać zmartwień staruszce, więc przemilczała zastany tam widok.

Kiedy z drzwi na Wierzbicicach wypadła sklepka, jej oczom ukazało się coś, co określiłaby za pomocą oksymoronu. Żywy trup, gorący lód, sucha woda – takie przykłady pamiętała z lekcji polskiego. Dziś tworzyła swoją własną figurę retoryczną, zestawiając ze sobą frazy o przeciwstawnych znaczeniach. Martwe mieszkanie, które żyło.

Anka była tak wzburzona po rozmowie z matką Chudego, że wróciła do samochodu, uruchomiła silnik i pojechała przed siebie.

Nie miała planu – chciała po prostu zniknąć z tego miejsca i zrobić coś, co pozwoli jej chociaż na chwilę zapomnieć o rosnącym niepokoju. Kiedy zaparkowała samochód i rozejrzała się, zorientowała się, że znajduje się na Chwaliszewie, nieopodal mieszkania Wiktora.

Nie zadzwoniła jednak do niego, by uprzedzić o wizycie. Po prostu poszła pod budynek, odczekała, gdy któryś z mieszkańców otworzy drzwi wejściowe na klatkę schodową, i pomaszerowała na trzecie piętro.

– Ania? Co ty tu robisz? – Wiktor zjawił się dokładnie w chwili, w której po raz trzeci próbowała wyciągnąć wnioski z wydarzeń dzisiejszego dnia. – Kiepsko wyglądasz. Coś się stało?

– Nie. To znaczy tak. To znaczy nie. Nic się nie stało, jestem tylko trochę niewyspana. Czekam na ciebie.

– Proszę, wejdź.

Wstała ze schodów na tyle energicznie, że zakręciło się jej w głowie. Zmęczenie, które pojawiło się w nocy, nie ustępowało mimo porannej drzemki. Organizm nie dał się oszukać. W sumie nie miała się czemu dziwić. Dwie godziny przerywanego snu zamiast dziewięciu? To robiło różnicę.

Weszli do środka. Wiktor poczekał, aż zdjęła kurtkę.

– Napijesz się czegoś? Kawa, herbata? – spytał, ale wcale nie czekał na odpowiedź.

Pomaszerował do kuchni, włączył czajnik, po czym zniknął w łazience.

Anka, zamiast usiąść na kanapie, wróciła do kuchni. Chciała przygotować herbatę. Wytypowała szafkę, w której znajdowały się kubki, i ją otworzyła. Trafiała idealnie. Sięgnęła po dwa największe naczynia, ustawiła je na blacie i zaczęła rozglądać się za herbatą. U siebie trzymała ją w drewnianej herbaciarce na blacie. U Wiktora wszystko było pochowane. Jedyne na ścianie między zlewem a płytą grzewczą wisiał komplet noży, nożyczek i tasaków.

– Bingo – wyrwało jej się, kiedy po chwili poszukiwań znalazła słoik z torebkami herbaty.

Uzmysłowiła sobie, że „bingo” to słowo często powtarzane przez Szczepana.

– Mówiłaś coś? – W korytarzu stanął Wiktor.

– Robię przegląd twoich szuflad – zażartowała.

– Właśnie widzę. Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Tak, chciałam się trochę zdołować, że u ciebie wszystko ma swoje miejsce.

– Masz rację. Wszystko. A miejsce gościa jest na kanapie, ja się wszystkim zajmę. Pijesz czarną czy zieloną?

– Czarną.

Była zmęczona i senna. Obrazy z nocnych wyjazdów z ratownikami mieszały jej się z tym, co zobaczyła w mieszkaniu Chudego. Jakby tego było jeszcze mało, siedziała obok Wiktora, który wpatrywał się w nią tymi swoimi oczami. Lubiła jego spojrzenie, ale dzisiaj nie była w stanie go znieść. Jakoś nie mogła pozbyć się pragnienia, żeby wniknąć do środka... Poznać jego myśli, marzenia i obawy.

– Wiktor. – Zmobilizowała resztki sił. – Byłam tam.

– Gdzie? – Pokręcił głową, nie odrywając od niej oczu.

– W mieszkaniu Chudego. Musimy go odnaleźć.

– Poczekaj. Powoli. Sprawdziłaś adres, który ci podałem?

– Tak.

– I nie zastałaś go?

– Nie. Nie było go tam. Rozumiesz? Nie było. I nie chodzi o to, że poszłam, a go akurat nie było. Jego tam nigdy nie było. Zamiast ludzi w mieszkaniu są setki gołębi. Setki, rozumiesz? Tam nawet nie było widać podłogi. Wszędzie są gołębie, ich odchody, jaja, pisklaki i gołębie trupy też. Okropny widok. I smród...

Sama nie wiedziała, czy gorszy był widok gołębic ciał, niemalże zlewających się w jedno, czy może zapach siłą wdzierający się w nozdrza i prowokujący żołądek do gwałtownego wyrzucenia treści pokarmowej.

– To wygląda na prawdziwe zagrożenie epidemiologiczne.

– Wiktor, kurwa, czy ty mnie słuchasz? Problemem nie jest jakaś potencjalna epidemia, ale Chudy. Wyszedł z więzienia i co? Nawet nie pojawił się w swoim domu? Jak myślisz? Dlaczego?!

– Spokojnie, Aniu, spokojnie. – Dotknął jej dłoni.

– Jestem przekonana, że to nie są żarty! – Nie miała w sobie ani grama spokoju. Zabrała rękę i zaczęła gestykulować. – Kapelusznik wie, o czym mówi. Chudy się ukrywa! Nie widzisz, że to celowe działanie? To dlatego omija miejsca, w których policja może go szukać. Wiesz, że nawet nie miał kontaktu z rodziną? Matka mieszka tuż obok, mógłby chociaż jej się pokazać...

– Aniu, w rodzinach panują różne stosunki, a ludzie po odbyciu kary próbują czasem ułożyć sobie życie w zupełnie nowym miejscu.

– Być może masz rację, tak ogólnie, ale ten przypadek jest zupełnie inny. Wiktor. – Spojrzała mu w oczy i położyła rękę na miejsce, z którego ją uniosła. Nadal leżała tam jego dłoń. – Musimy znaleźć Chudego, w przeciwnym razie dojdzie do tragedii. Wiktor, ja czuję, że on coś planuje.

– Każdy coś planuje, nie zawsze musi to być związane z łamaniem przepisów. Może nie wrócił na Wierzbicę, bo nie miał do czego wracać? Starzy znajomi od razu by się do niego odezwali i zaczęli namawiać do złego.

– Wiktor, proszę cię... Pomóż mi.

– Aniu, nie jestem dziennikarzem. Nie mogę opierać się na przeczuciach. Obowiązują mnie procedury.

– Wiktor...

Chciała powiedzieć coś jeszcze. Jeśli „proszę” nie pomagało, byłaby w stanie wydusić z siebie beznadziejne: „błagam”. Ale nagle znalazła w jego oczach coś, co sprawiło, że sprawa Chudego nagle straciła na znaczeniu.

Pochyliła się nieznacznie w stronę Wiktora, a kiedy wydawało jej się, że zrobił to samo, zamknęła oczy i przywarła do jego ust. Były suche, ciepłe i delikatne.

* *

W ciągu kilku minut Wiktor przekonał się, jak bliska jest droga od niewinnego całusa do następujących po nim czynności. Nie wiedział dokładnie ilu, bo stracił rachubę czasu.

Wcześniej wydawało mu się, że ma wszystko pod kontrolą, a nawet jeśli na chwilę się zapomni i znowu poczuje smak ust Anki, to nic takiego się nie wydarzy. Całowali się już przecież raz, w samochodzie, kilka miesięcy wcześniej, i jakoś ta sympatyczna, aczkolwiek krępująca czynność, nie miała ciągu dalszego. Przeszli nad tym do porządku dziennego, zupełnie jakby po prostu wypili razem kawę.

Tym razem jednak zetknięcie się ze sobą ich ust uruchomiło lawinę. Bardzo szybko subtelne i pastelowe w natężeniu pocałunki nabrały intensywnych kolorów.

Błyskawicznie minęli stację „Pocałunki” i pognali dalej. Anka usiadła na nim okrakiem, a on zrozumiał, że jest już za późno na jakąkolwiek kontrolę czy opamiętanie. Zresztą nie miał już na to ochoty.

Jej ciało idealnie pasowało do jego ciała. Było atrakcyjnie zaokrąglone i ciepłe. Chciał sprawdzić, jak bardzo. Dlatego zdjął z niej bluzkę, a później stanik. Wewnętrzną stroną dłoni musnął jej piersi, a ona zareagowała tak, jakby przeszedł przez nią spazm rozkoszy.

Podobało mu się to. Nie była onieśmielona nagością. Nie ukrywała podniecenia. Nie wstydziła się okazywać, że odczuwa ogromną przyjemność. Odchyliła głowę do tyłu i wygięła się, oczekując dalszych pieszczot. Czuł pożądanie. I swoje, i jej. I w tej chwili zrobiłby wszystko, żeby je zaspokoić.

* *

– To było... – odezwała się pierwsza.

Leżeli na kanapie. Po wszystkim. Całkowicie nadzy, zdyszani i zmieszani.

– Wiem – przerwał jej, bo w gruncie rzeczy nie chciał usłyszeć, jakie było to, co przed chwilą zatrzęsło ziemią.

Było cudowne? Wyjątkowe? Warte powtórzenia? A może to była pomyłka, utrata panowania nad sobą, coś, o czym trzeba jak najszybciej zapomnieć?

Nie wiedział, jak się zachować. Dał się ponieść emocjom, w efekcie czego leżał nagi i nie miał pojęcia, czy powinien ubrać się i zacząć rozmawiać o orzeczeniach Sądu Najwyższego, czy może przytulić się do Anki i zadać jakieś pytanie, które pozwoli jej na swobodną wypowiedź.

ROZDZIAŁ 8

Drukarka wypluła z siebie kolejną kartę zlecenia wyjazdu. Dopiero co wrócili na podstację. Chwilę wcześniej realizowali banalne zadanie polegające na przewiezieniu pacjenta z przychodni kardiologicznej do szpitala.

Pacjent zgłaszał dolegliwości, jednak sam nie był pewien jakie. Coś go gniotło, a może uciskało, częstotliwość była trudna do określenia. Kardiolog, który zdecydował o wezwaniu pogotowia, wiedział jednak lepiej. Po przyjeździe ratowników wyrecytował objawy tak książkowe, że trudno było przyjąć je bez drobnego uśmiechu.

Anka nie zdążyła nawet usiąść. Stała najbliżej drukarki, więc sięgnęła po kartkę.

– Kod pilności K1 – odczytała. – Mężczyzna, zachorowanie, zasłabnięcie, omdlenie, przytomny, oddycha.

– Oddycha – powtórzył Haribo i uniósł się niechętnie z kanapy. – To po co mamy jechać? Niech nas wezwą, jak przestanie! – Roześmiał się w swoim stylu. Krótko i ostro, jakby czekał, a nie wyrażał radość.

Szczepan sięgnął po kurtkę. Pierwszy kod nie robił na nim żadnego wrażenia. Wychodził automatycznie. W zależności od cyfry oznaczającej pilność wyjazdu – bez jakiegokolwiek zwłoki lub z nią.

Anka pobiegła do szatni i wyjęła z torebki batona z zamiarem pochłonięcia go w karetkę.

Kiedy wyszła przed budynek, mężczyźni czekali w karetkę gotowej do odjazdu.

– Przepraszam – powiedziała wyraźnie chwilę po tym, jak już usiadła na swoim miejscu i zapięła pasy. – Zdążyliśmy?

– Dopiero wyjeżdżamy.

– Nie. – Roześmiała się. – Chodzi mi o to, czy zmieściliśmy się w minucie.

– My tak. – Zarechotał Haribo.

Ruszyli na sygnale. Szybko pokonali drogi osiedlowe i dotarli do Ronda Rataje. Długie sznury samochodów stały na poszczególnych pasach, czekając na kolejną zmianę sygnalizacji. Paraliż komunikacyjny bezbłędnie wskazywał porę dnia. Oto poznaniacy skończyli pracę i próbowali przedostać się do swoich domów. Przejazd przez rondo w ekspresowym czasie był niemożliwy.

Kartka posuwała się powoli do przodu, karcąc co niektórych kierowców jeszcze bardziej dotkliwym sygnałem dźwiękowym. Auta niechętnie rozjeżdżały się na bok. Wszystkim się spieszyło. I w tej chwili każdy zazdrościł karetkę uprzywilejowanej pozycji.

Dwa metry przed wjazdem na rondo czerwony hyundai zamiast zrobić miejsce dla karetki, zgasł, a kierowca nie mógł go uruchomić.

– Spokojnie – bąknął pod nosem Haribo, jakby chciał uspokoić zestresowanego kierowcę.

Anka nie mogła obserwować twarzy ratowników, ale zastanawiała się, co teraz myśleli. Ciekawa była, czy mężczyźni wizualizują sobie to, co za chwilę nastąpi, czy koncentrują się przed zadaniem. Za kilka minut mieli dojechać na miejsce. Jak zwykle spodziewać się mogli jedynie niespodziewanego.

Jeździła z ekipą karetki od kilku dni i sama dziwiła się swojej reakcji, ale nie była ani zaciekawiona, ani zestresowana. Towarzyszyło jej odrętwienie i wewnętrzne przekonanie, że nie ma się czym ekscytować. Pewnie znowu jechali do przypadku, który nie potrzebował ich pomocy. Do kogoś, kto już dawno czuje się dobrze, a może nawet wcale nie omdlał, tylko słabo się poczuł. Dyspozytorzy powinni dysponować wykrywaczami kłamstw.

– Jak myślicie, co to będzie? – spytała i spojrzała na drogę.

Ulica Baraniaka była przepełniona samochodami. Po lewej stronie widać było Jezioro Maltańskie – miejsce, do którego zmierzali. Pacjent po omdleniu czekał na nich przy torach kolejki wąskotorowej.

Szczepan skorzystał z tego, że akurat nikt nie jechał z naprzeciwka i zmienił pas. Anka odruchowo złapała się siedzenia. Nigdy nie jeździła po Poznaniu z taką butą, chociaż często miała ochotę. Widok zbliżającego się z naprzeciwka samochodu spowodował wyrzut adrenaliny do krwi. To wtedy pomyślała, że być może pośpiech był konieczny.

Miejscem wezwania było Jezioro Malta, okolica uwielbiana przez ludzi kochających sport. Oczyma wyobraźni zobaczyła leżącego na trawniku biegacza, który przygotowuje się właśnie do maratonu.

To znaczy przygotowywał się, trenując morderczo do chwili, kiedy pociemniało mu przed oczami, stracił równowagę, uderzył głową o ziemię i chwilę później stracił przytomność. Ciąg dalszy skojarzeń był już prosty. Po skończonym treningu miał odebrać córkę ze szkoły, a w domu czekała na niego ciężarna żona.

– Zamknięty?

Głos Szczepana sprawił, że wróciła do rzeczywistości. Wjazdu na teren otaczający jezioro bronił szlaban. Biało-czerwona bariera zatrzymała karetkę na jakieś dwie minuty. Tyle zajęło przyciśnięcie znajdującego się przy barierze przycisku oraz odczekanie, aż pojawi się ochroniarz i zlikwiduje przeszkodę.

– To nie macie jakiegoś uniwersalnego pilota? Takiego co otworzy wszystkie? – zdziwiła się.

Strata dwóch minut w sytuacji zagrożenia życia czy zdrowia mogła decydować o czymś istnieniu.

– Nie mamy. Każdy sobie zakłada, jak chce... Bariery, blokady, słupki.

Ruszyli. Po przejechaniu kolejnych metrów zatrzymali się przy kolejnej blokadzie. Ta sama procedura: wciśnięcie przycisku, czekanie, pojawienie się ochroniarza, który jednym ruchem sprawia, że przeszkoda znika.

Anka miała dość. Hałasu syren, który towarzyszył jej od chwili wejścia do karetki, i ludzkiej głupoty. Spojrzała na zegarek. Przed jej oczami ukazały się wymyślone przed chwilą twarze. Chwilę wcześniej uśmiechnięte, teraz zapłakane. Twarze żony i córki mężczyzny, który leżał gdzieś w krzakach, czekając na pomoc, podczas gdy ratownicy niczym Don Kichot walczyli z wiatrakami.

– Jest! – Chwilę później dotarli na miejsce.

Na poboczu leżał mężczyzna. Nie wyglądał na maratończyka.

* *

– Panie kolego. I jak postępowanie w nowych sprawach, które pan prowadzi?

Paweł Szymański pojawił się w gabinecie Wiktora zupełnie bez uprzedzenia, budząc tym samym w Wiktorze zaniepokojenie. Braun nie wiedział jeszcze, co kryło się za koleżeńskim pytaniem, był jednak przekonany, że coś na pewno.

– Na razie wszystko jest w toku. W sprawie poszukiwania sprawcy ataku nożem trwają czynności zmierzające do wytypowania sprawcy. Poszkodowany ratownik nadal jest nieprzytomny. Czekamy na wykaz połączeń z numeru, z którego wzywano karetkę. Wiemy, że telefon był na kartę. Może uda nam się ustalić centrum życiowe sprawcy? Nikt z ludzi mieszkających w okolicy, z której karetka wzięła pacjenta, nie zapamiętał nic niecodziennego. Brak śladów w karetce każe wyciągnąć wnioski, że sprawca wiedział, co robi. Trzeba tam jeszcze wykonać parę czynności, żeby wyczerpać temat, ale jedyne co widać w tunelu... to umorzenie.

– Proszę jednak pamiętać, żeby nie umarzać sprawy pochopnie. Co jeśli szaleniec rzucający się z nożem na ratowników znowu zaatakuje? Media nas pożrą.

– Spokojnie, rozważam przekazanie dyrekcji pogotowia pewnych wytycznych dotyczących zachowania i stroju napastnika, tak, żeby była świadoma zagrożenia. Czy poinformuje swoich ludzi, czy robi coś ponadto... Sama będzie musiała się tłumaczyć, jeśli do czegoś dojdzie.

– Jest to jakieś wyjście. A co ze sprawą denata z Nowej Gazowni? Tam też został użyty nóż?

Naczelnik wydziału siedział przy biurku Brauna i wyglądał jak nauczyciel przepytujący ucznia. Ze skupieniem czekał na odpowiedź, ale nie dlatego, że jej nie

znał – raczej dlatego, że chciał sprawdzić, czy padnie ta poprawna.

– Tak. Mam identyfikację grupową narzędzia. Niestety nie było to nic niestandardowego, zwykły nóż o szerokości ostrza dwadzieścia milimetrów. Każdy z nas pewnie ma podobny w domu. Najdłuższa rana była głęboka na dziewięć centymetrów. Nie wiemy, czy nóż wszedł do rękojeści, trzeba doliczyć trochę na wszystkie warstwy ubrań, które oddzielały ciało od rękojeści. Wiemy, że Puchalski żył jeszcze przez chwilę. Zespół ratowników, który przybył na miejsce, podjął czynności ratownicze z zachowaniem procedur. Oczywiście to jeszcze podsycało zainteresowanie gapiów, bo przecież odbywał się tam akurat Festiwal Kryminału Granda. Zdarzenie zwróciło także uwagę mediów, które jak sępy rzuciły się na świeżą padlinę, i obecnie nie ma w naszym kraju chyba nikogo, kto nie słyszałby o „grandzie na poznańskiej Grandzie” – pozwolił sobie zacytować nagłówek z jednej z gazet.

– Nie raz poradził sobie pan z podobnym zainteresowaniem.

– Oczywiście, nie narzekam. W tej jednak sprawie media, że tak powiem, dodają sprawie nowego wymiaru. Wydaje się, że organizatorki festiwalu nie mogły sobie wymarzyć lepszej promocji. Nawet gdyby sam Nesbø do nich przyjechał, zainteresowanie byłoby mniejsze.

– Przepytywał pan je?

– Tak. Ich zeznania wzajemnie się wykluczają.

– Czyli co? Można dodać je do grona podejrzanych?

– Niekoniecznie. Można przyjąć, że chora wyobraźnia podpowiedziała im kryminalny sposób promocji wydarzenia. Jednak musiałyby się naprawdę mocno napracować, żeby to zorganizować i nie zostawić większych śladów. A śladów na razie nie mamy. Denat nie był miłośnikiem kryminałów, nie ma powiązań między nim a kobietami. Podobno w ogóle alergicznie nie cierpiał książek, tak mówi jego matka. Mieszkał niedaleko miejsca zdarzenia, na ulicy Garbary, i szedł właśnie do pracy na Chwaliszewo. Obracał się w mało ciekawym towarzystwie. Nadal to sprawdzamy. Sprawca był zamaskowany, co ponad wszelką wątpliwość wskazuje na zaplanowaną akcję. Środek dnia, kręcący się ludzie i impreza odbywająca się w Gazowni... To wszystko nie zniechęciło sprawcy, nie sprawiło, że zrewidował swoje plany. Był zdeterminowany. Znał zwyczaje Puchalskiego, wiedział, którądy chodzi do pracy. I z jakiegoś powodu uznał, że musi to zrobić właśnie w tym miejscu.

– Kilkanaście metrów dalej, na Chwaliszewie, miałyby więcej spokoju.

– Teoretycznie tak, ale być może liczył się z tym, że w tamtych rejonach może zostać rozpoznany?

– Czyli sprawa jest rozwojowa. Dobrze, a co z zawiadomieniem o bombie?

– Falszywy alarm, ustalamy dane dowcipnisia, któremu postawimy zarzuty z artykułu dwieście dwadzieścia cztery a kodeksu karnego, od sześciu miesięcy do

ośmiu lat...

* *

– Halo?

Anka odebrała telefon, ale bardzo słabo słyszała rozmówcę. Na kanapie, na której czekała na kolejny wyjazd, siedział też Haribo. Żywo gestykulował i głośno dyskutował z siedzącym na drugim końcu pokoju Szczepanem. Oboje starali się przekrzyczeć telewizor, co było o tyle trudne, że wpatrujący się w niego ratownicy z drugiego zespołu byli żywo zainteresowani akcją filmu i zwiększali głośność za każdym razem, kiedy wydawało się, że głos Szczepana góruje nad głosem telewizyjnego lektora.

– Halo? – Wstała z kanapy i najpierw zakryła drugie ucho dłonią, ale to niewiele dało, więc wyszła z pokoju. W korytarzu znalazła w miarę ciche miejsce.

– Halo? Słabo słyszę.

– Aniu... Martwię się.

Rozpoznała głos Kapelusznika. Tym razem brzmiał jakoś mniej pewnie niż zwykle.

– Co się dzieje?

– Odbiło mu. Naprawdę mu odbiło i przestał się kontrolować. Zabija tych, o których źle mówił. Kiedy siedzieliśmy razem, tłumaczyłem mu, że zemsta nie jest dobrym wyjściem. Na początku nie chciał mnie słuchać, ale z czasem zmieknął. Wydawało mi się, że zrozumiał. Że zrozumiał i zapamięta moje słowa już na zawsze. Aniu, nie mogę już nic zrobić. Nie wiem, co będzie. Nie kontaktuje się ze mną, nie mam więc możliwości przetłumaczenia mu... – Kapelusznik zamilkł, a gdzieś w tle rozległ się zdecydowany głos: „Koniec rozmów”.

– Halo? Jesteś?

– Muszę kończyć.

– Konkrety! Potrzebuję konkretów. Kogo zabił?

– Znajdź go, proszę. Chudy mieszka na Wierzbicicach.

– Wiem. Byłam tam. Nie pojawił się w swoim mieszkaniu.

– Kurwa, on ich wszystkich zabije...

– Kogo jeszcze? – Starła się zachować spokój, wzorując się na obserwowanych od kilku dni ratownikach. Zawsze na początku rozmów z rozemocjonowanymi ludźmi stanowili oazę spokoju.

– Dobra, słuchaj, Chudy miał rachunki do wyrównania z takim jednym.

Nazywał się Lewandowski. Andrzej Lewandowski.

– To jakiś punkt zaczepienia. Za co chciał się zemścić? Halo?

* *

– Nie mów, że obiad sobie robisz?

Szczepan zaczepił krzątającego się po kuchni Zwierzaka.

Pamiętała go. Próbowwała nakłonić go do rozmowy wtedy, gdy napastnik zaatakował ratownika. To Zwierzak był drugim ratownikiem. Nie chciał z nią jednak rozmawiać. Ani wtedy, ani teraz.

Przyglądała się mu od dłuższego czasu, poszukując w myślach sposobu na dotarcie do niego. Wyglądał na najmłodszego z całej ekipy, na pewno młodszego przynajmniej o dziesięć lat od Cygana, z którym stanowił dziś zespół.

Dawno nie widziała tak zarosniętego mężczyzny. Ksywkę miał adekwatną do sterczących brwi, burzy potarganych włosów na głowie i brodzie.

– A pewnie, że obiad.

– Zwierzak, ja cię błagam! – Cygan ostentacyjnie zakrył twarz rękoma. – Ja chcę trochę posiedzieć na dupie. Odpocząć. Weź wyluzuj. Chłopaki, kto jest pierwszy w kolejce?

– Jak to kto? Wy – odpowiedział rozbawiony Haribo.

– Zwierzak, zostaw ten obiad, bo nie ręczę za siebie.

Zwierzak nic sobie nie robił z protestów kolegi. Odsmażał na patelni makaron i właśnie wbijał do niego dwa jajka.

– Pozwól – Haribo zawiesił głos i przysunął się do Anki – że będę przez chwilę Krystyną Czubówną i okraszę komentarzem scenkę rodzajową „z życia ratownika medycznego”.

– Zamieniam się w słuch. Odcinek: „Sprzeczki obiadowe”.

– W świecie ratowników obowiązuje wiele procedur i zasad. Jedna z nich, niepisana, ale najbardziej bolesna, dotyczy obecności ratownika w pomieszczeniu zwanym kuchnią. Jeśli ratownikowi medycznemu zamarzy się cokolwiek ciepłego, nieważne, czy jest to chińska zupka czy dwudaniowy obiad... Jeśli mu się to zamarzy, to znaczy, że przepadł. Ma jednak dwa wyjścia. Zostawić marzenia w sferze marzeń, i podpowiem w tym miejscu, że to wyjście, nawet jeśli wydaje się bolesne, jest wyjściem najlepszym.

Zwierzak wyjął z szafki talerz i wrzucił na niego zawartość patelni.

– Jeśli jednak ratownik medyczny zdecyduje się podążać za marzeniami...

jeśli wejdzie do kuchni i zainwestuje swój czas w przygotowanie tego, co mu się marzy... i jeśli to już będzie pachnące i gorące... i będzie znajdowało się na wyciągnięcie jego ręki, to na pewno nie będzie mógł tego skosztować.

– Bo? – spytała Anka.

– Bo zawsze właśnie w chwili, w której ma zjeść to, co przyrządził, przychodzi informacja o wyjeździe.

Zwierzak usiadł na krześle i załadował pierwszy widelec czegoś, co miało być jego obiadem, do ust.

– Nie zdążysz tego zjeść. – Cygan spoglądał na kolegę z rozbawieniem.

– Zdążę.

Drugi widelec pełen makaronowych glizd trafił do ust Zwierzaka. Dokładnie w tej samej chwili odezwał się alarm, a drukarka wybudziła się z letargu.

– Ha, widzisz?! – Haribo był autentycznie dumny z tego, że rzeczywistość nadążała za jego opowieściami o niej.

Zwierzak przyspieszył z jedzeniem. Cygan podszedł do drukarki.

– Jedziemy w pierwszym.

– Pierdolisz! Przecież mam gorący obiad!

Zwierzak wyrwał kartę wyjazdu, rzucił na nią wzrokiem i oddał ją Cyganowi.

– Do roboty! – Cygan przypiął klipem kartę do swojej sztywnej podkładki do pisania, założył kurtkę i wyszedł.

Zwierzak pobiegł za nim, uprzednio wpakowując sobie do ust jak najwięcej makaronu.

– Masz ochotę? – Haribo zwrócił się do Anki, pokazując na porzucony talerz.

– No chyba żartujesz? Przecież on to zje, jak wróci.

– Zimne?

Wzruszyła ramionami. Nie miała ochoty kontynuować rozmowy. W ogóle nie miała już ochoty kontynuować ani tego dyżuru, ani kolejnych. Odczuwała, że zmęczenie i brak możliwości zaspokajania podstawowych potrzeb fizjologicznych doskwiera jej coraz mocniej, mimo że każdego dnia wydawało jej się, że już osiągnęła maksymalną frustrację.

Coś, co interpretowała początkowo jako powiew tymczasowości, nie było żadnym powiewem, lecz tymczasowością permanentną. Tego nie mogła zaakceptować, zwłaszcza, że w jej głowie kłębiły się myśli. Szczepan wyszedł z pokoju, Haribo rozłożył się na kanapie, a Anka sięgnęła po telefon i wybrała numer Wiktora.

– Cześć.

– Cześć, uprzedziłaś mnie – odpowiedział, nawet nie kryjąc zmieszania. – Chciałem do ciebie zadzwonić, ale mam tu urwanie głowy.

– Ja też. W sensie, też mam urwanie głowy, ale na szczęście jestem w takim miejscu, gdzie wiedzą, co zrobić z urwaną głową... Nieważne. Słuchaj, rozmawiałam przed chwilą z Kapelusznikiem i wiem, że Chudy chciał się zemścić na Andrzeju Lewandowskim. Sprawdź to, proszę.

Odpowiedź Wiktora zagłuszył alarm i mobilizacja ratowników.

– Wiktor, przepraszam, mamy wyjazd. Muszę lecieć. Sprawdź to koniecznie i wpadnij po mnie wieczorem. Kończę o dziewiętnastej.

* *

Wiktor odłożył telefon i skarcił się w myślach, że nie powinien był go odbierać. W napiętym planie dnia nie miał czasu ani na rozmowy prywatne, ani prywatne śledztwa, ani tym bardziej na podejmowanie nowych czynności związanych z prowadzonymi sprawami.

Zerknął do kalendarza. Konwój z aresztu śledczego, ogłoszenie zarzutów w sprawie wymuszeń rozbójniczych, spotkanie z policjantami z CBS do sprawy przemytników tytoniu... Przytłaczały go szczelnie wypełnione rubryki, które przecież nie obejmowały telefonów, które musi wykonać i odebrać. Uzgodnienie z biegłymi terminów badań podejrzanych, rozmowy z rodzinami osób aresztowanych i odpowiedzi na liczne pytania policjantów. Najbliższe wolne pół godziny był w stanie znaleźć za dwa dni. Przynajmniej teoretycznie. W praktyce mogło być jeszcze gorzej.

Wyjrzał przez okno, żeby uspokoić nerwy. Ruch na Solnej dawał mu nadzieję, że nie tylko on żył w takim pośpiechu. Inni ludzie też gonili za wymagowanymi celami, nawet nie zauważając siebie nawzajem. Kierowcy ruszali ze świateł z piskiem opon, zajeżdżając sobie drogę, trąbiąc na siebie i pieszych.

Takie sytuacje, zwłaszcza obserwowane z za okna prokuratury, sprawiały, że Wiktor momentalnie odzyskiwał dystans. Siedział przecież na swoim wygodnym fotelu i przyglądał się wszystkiemu z góry. Tak umiejętnie gospodarował czasem, że było go stać na trzyminutowy przestój w pracy.

– W ekspresowym tempie skończę umorzenie, dzięki czemu zaoszczędzony kwadrans poświęcę na poszukiwanie powiązania Chudego z Lewandowskim.

Postanowienie wypowiedane na głos miało dla niego większą siłę oddziaływania. Bez zbędnej zwłoki przystąpił więc do realizacji. Odwrócił się od

okna i spojrzął na ekran komputera.

Umorzenie wobec niewykrycia sprawcy powinno być umorzeniem wobec mówienia nieprawdy. Trudno wykryć sprawcę, jeśli nawet ofiara udaje, że nic się nie stało.

Obrażenia ciała cudzoziemca ewidentnie wskazywały na pobicie przez osobę lub osoby trzecie. Takiej wersji trzymał się poszkodowany podczas pierwszego przesłuchania, ale chwilę później, kiedy dowiedział się, że będzie musiał wskazać napastników podczas okazania, nagle zmienił wersję i stwierdził, że spadł ze schodów. Sam, nikt się do tego nie przyczynił, tak więc nie może obarczać winą przypadkowych ludzi.

W chwili kiedy ostatnie słowa umorzenia pojawiały się na ekranie, rozdzwonił się telefon.

– Halo? – Wiktor odebrał automatycznie i, jak zwykle, znowu zganił siebie w myślach.

Nie powinien się teraz rozpraszać. Motyw zemsty idealnie pasowałby do prowadzonej przez niego sprawy Lewandowskiego. Pasowałby i popychał sprawę do przodu. Wiktor wiedziałby już, kogo musi odszukać i przesłuchać.

– Cze!

Przez kilka chwil szukał w pamięci usłyszanego głosu. Na szczęście nie musiał długo szukać. Mało kto znał jego numer komórki.

– Stegi? – Obstawiał znajomego z Samodzielnego Pododdziału Antyterrorystycznego Policji, który lubił skracać wyrazy. – Zmieniłeś telefon? Nie wyświetlił mi się twój numer.

– Ach, ta prokuratorska przenikliwość! – W słuchawce rozległ się śmiech. – Dzwonię, bo przyszło kolejne zgłoszenie podłożenia ładunku wybuchowego.

– Ooooo! – Braun wypuścił z siebie powietrze.

– No, jakaś moda, kurwa, czy co? Jedziemy na miejsce, zobaczymy, co i jak.

– Dobra, daj mi znać po sprawdzeniu obiektu.

– Nie ma sprawy. I zapisz sobie mój numer. Przez jakiś czas będę się nim posługiwał.

– Stegi, zgłoszenie przyszło tak jak ostatnio? Mailem?

– Dokładnie.

– A co tym razem niby ma wylecieć w powietrze?

– Redakcja dziennika.

* *

- Nie przeszkadza wam ten hałas?
- Znowu byli w karetce i przepychali się przez zakorkowane miasto.
- Jaki hałas? – Zaśmiał się Szczepan.
- Jak to jaki? Ten. Dzisiaj ciągle jeździmy na sygnale.
- Na gwizdkach, moja droga, na gwizdkach.
- Haribo, nie przeszkadzają ci gwizdki?
- Nie. Ja już ich nie słyszę.

Anka skapitulowała. Być może za krótko udawała ratownika, żeby nabyć umiejętność wyłączania się w takich chwilach. Na początku sygnał dźwiękowy mobilizował ją i cieszył. To on sprawiał, że mogli dotrzeć pod adres wezwania w imponującym tempie. Z każdym kolejnym wyjazdem radość ustępowała jednak miejsca zniecierpliwieniu. Przeszkadzał jej hałas. To on jeszcze potęgował odczucie pośpiechu.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że teraz jadą tak szybko, bo uciekają przed hałasem. Im szybciej dotrą na miejsce, tym szybciej Haribo wyłączy syreny.

- Dokąd my właściwie jedziemy?
- Haribo spojrział na kartę wyjazdu i podał adres.
- Dwadzieścia pięć? – spytała Anka. – Jesteś pewien?

– Tak, a co?

– To adres redakcji gazety, w której pracuje mój znajomy.

– Podczas ewakuacji budynku mężczyzna spadł ze schodów. Może to twój znajomy?

– Łukasz? Nie, co to dla niego jakieś schody. On co najwyżej może teraz wylecieć w powietrze, jest w Paryżu i śledzi doniesienia o zamachach.

– Czyli studiujecie sztukę bomberstwa. Jesteś pewna, że nadal tam jest?

– Tak zakładam, a co?

– Bo na miejsce powinni dojeżdżać już pirotechnicy. Podobno w budynku jest bomba...

* *

Anka siedziała w karetce i czekała na powrót ekipy. Szczepan stał z jednym z policjantów zabezpieczających wejście do kamienicy, a Haribo zmierzał właśnie w jej stronę.

– I co robimy? – spytała, kiedy znalazł się na tyle blisko, by ją usłyszeć.
– Facetowi zepsuła się noga, ale będzie żył.
– Wracamy?
– Jeszcze nie. Wezwaliśmy drugi zespół, żeby zabrał faceta do szpitala, a my zostajemy. Podobno jest osoba, u której wystąpiła reakcja stresowa. Szukają jej. – Zasuwał za sobą drzwi i usiadł na fotelu, na którym zwykle przewozili pacjentów. – Zimno dziś.

– Zimno – potwierdziła i usiadła tak, żeby móc ratownikowi patrzeć prosto w oczy.

Niespodziewanie trafił się moment, który zamierzała wykorzystać do realizacji swojego pomysłu. Miała jednak kilka obaw.

- A jeśli wybuchnie?
- Od tego są chłopaki, żeby jednak nie wybuchło.
- Ale jeśli wybuchnie?
- To zobaczysz, co w praktyce oznacza *triage*.

Uśmiechał się pod nosem, zupełnie jakby opowiadał o zeszłorocznych wakacjach. Im więcej czasu Anka spędzała z mężczyzną, tym bardziej była przekonana, że ksywka „Haribo” niekoniecznie musiała wiązać się z tym, że mężczyzna ciągle coś żuł. Nie przezywano go „Orbit” czy „Żelek”. On rzeczywiście był jak miś Haribo. Zawsze słodki, kolorowy, poprawiał innym humor, zgrywał się, rozśmieszał. Nigdy nie bywał poważny... czarny czy szary.

– *Triage* – powtórzyła i przypomniała sobie, że drugiego dnia dyżuru Szczepan zaproponował jej zwiedzanie karetki. – Ach, już wiem. Segregacja rannych w zależności od stopnia obrażeń oraz rokowania.

- Uczysz się, dziewczyno. Jeszcze będą z ciebie ludzie.

Odpowiedziała uśmiechem i ośmielona reakcją Haribo zdecydowała się przejść na zupełnie inny poziom rozmowy. Kontrolnie przyjrzała się jeszcze dokładnie temu, co było widać za ratownikiem.

Dominowała biel ścian, a nad głową mężczyzny uwagę zwracało coś, co mogło kojarzyć się z akwariami. Błękitne półprzezroczyste fronty szafek podświetlonych od wewnątrz kryły w sobie wszystkie rzeczy, które mogły stać się niezbędne podczas ratowania życia człowieka, od opatrunków po detektor tętna płodu.

W kamerze mogłoby to jednak wyglądać jak małe mobilne oceanarium. Mogłoby, gdyby nie kołnierze ortopedyczne wiszące zaraz pod szafkami. Na pierwszym planie znajdował się jednak człowiek. I to jego chciała pokazać widzom. Do tego celu miała posłużyć ukryta w jej mundurze kamera.

– Myślisz jeszcze czasem o tym, że to, co robisz, jest niebezpieczne? – spytała.

- Dziewczyno, przecież bezpieczeństwo to podstawa. Po przyjeździe na

miejsce zdarzenia pierwsze, co ratownik musi zrobić, to upewnić się, że jest bezpiecznie. Jeśli nie jest, to nie wchodzi. Proste. Jeśli wchodzi na klatkę schodową i czuje ulatniający się gaz, to mam prawo wrócić do kasty i poczekać, aż przyjadą strażacy.

– No dobrze, ale ty mówisz o sytuacjach, które jesteś w stanie zweryfikować na początku. Ale przecież wchodzisz do mieszkań, do obcych ludzi, nie wiesz, co stanie się chwilę po tym, kiedy zamkną za tobą drzwi. Słyszałeś o tym ataku na ratownika?

– Możesz też iść ulicą i cegła spadnie ci na głowę.

– To nie to samo. Czego nie lubisz w swojej pracy?

– Czego? Chyba reakcji ludzi. Jeśli ktoś w sytuacjach prywatnych pyta mnie o to, czym zajmuję się w pracy, to ściemniam albo zmieniam temat.

– Dlaczego?

– Bo jak powiem, że jestem ratownikiem medycznym, to prawie wszyscy reagują tak samo.

– Czyli jak?

– Jaaa, ratownikiem medycznym – Haribo otworzył szeroko oczy – ty to się musisz napatrzeć... Tak to właśnie wygląda, a większość od razu dorzuca pytanie, co najgorszego widziałem w robocie.

– To męczące.

– Tak. Podwójnie. Bo czasem rzeczywiście napatrzę się na ludzkie nieszczęście, ale staram się nie zostawiać tych obrazów w pamięci. Mam swoje życie i staram się przez nie przejść normalnie. – Wykrzywił usta. Po raz pierwszy nie uśmiechnął się, nie zrobił dziwnej miny, tylko wykrzywił usta, jakby jego ciało pozwoliło sobie na chwilę niekontrolowanej szczerości.

– Normalnie? – podchwyciła Anka.

– W miarę normalnie. Na tyle, na ile się da.

– Mogę zapytać, kim jesteś po pracy? Masz żonę, dziewczynę? Dzieci? Hobby?

Haribo spojrział na nią w taki sposób, że przeszły ją ciarki. Wiedziała już, że ciąg dalszy nie będzie miał nic wspólnego z kolorową wersją samego siebie, jaką lansował w pracy. W jego spojrzeniu zauważyła coś przytłaczającego. Mieszanie powagi, odpowiedzialności i oswojonego przez lata smutku.

– Ja... – Haribo zaczął niepewnie. – Po pracy...

Drzwi karetki nagle rozsunęły się, a oczom Anki i Haribo ukazała się uśmiechnięta twarz Szczepana.

– Koniec tego gruchania, gołąbki. Wracamy na podstację. To był fałszywy alarm.

* *

Zmęczenie kumulowało się regularnie – jak wygrana w totolotka. Początkowo między dyżurami w pogotowiu Ance żal było czasu na nadrabianie zaległości w sspaniu. Jednak po kolejnych dwunastu godzinach spędzonych w karetce i na tymczasowej kanapie czuła się już ekstremalnie zmęczona.

Maszerowała przez osiedle otoczona ciemnością i zdała sobie sprawę, że jest tak wyczerpana, że nie potrafi nawet już skupić myśli. Mieszkanie. Jedzenie. Praca w Primo TV. Kapelusznik. Chudy. Wszystko wydawało się być jedynie hasłami, których nie można rozwinąć. Na pewno nie teraz.

Procesy myślowe zostały zablokowane, jakby organizm działał już na rezerwie i automatycznie odłączył działanie innych programów. Pozostało jedynie oddychanie i maszerowanie, a raczej ciągnięcie za sobą nóg.

Pchnęła drzwi wejściowe do klatki i starała się zmobilizować. Już tylko kilka pięter dzieliło ją od łóżka. Sen – tylko on mógł ją teraz uratować. Dwunastogodzinny sen, dla regeneracji ciała i odzyskania równowagi psychicznej. W ciszy i w spokoju, z dala od syren, gwizdków czy kogutów.

Pokonywała kolejne schody. Powoli. Według tego samego rytmu. Zgięcie prawej nogi. Uniesienie jej do góry. Położenie na stopniu. Dostawienie lewej. Wydech. Wdech. Zgięcie lewej nogi. Uniesienie jej do góry. Położenie na stopniu. Dostawienie prawej. Prawa noga w górę. Wydech.

Zbliżająca się nagroda w postaci łóżka, którego rano nawet nie zdążyła pościelić, mobilizowała jej ciało do wysiłku. Również mózg zareagował, wysyłając impuls do jej ośrodka przyjemności. Mogła cieszyć się z tego, że przystąpiła dziś do realizacji swojego pomysłu.

Przez kilka dni, niczym drapieżnik, przygotowywała się do ataku, obserwując pozornie zgraną grupę ratowników i czekając, aż wytypowana ofiara odłączy się od stada. Rozmowa ze stadem nie przyniosłaby oczekiwanego efektu. Śmiech i absurdalne poczucie humoru mężczyzn były według Anki cudownym sposobem na rozładowanie napięcia związanego ze specyfiką pracy. Świetnie bawiła się w ich towarzystwie, ale jednocześnie wiedziała, że taka forma komunikacji nie nadaje się do telewizji.

Potrzebowała innej twarzy ratownika. Prawdziwej i szczerzej do bólu. Pozbawionej maski twardziela, po której spływały wszystkie te brudy związane z wykonywaniem zawodu. Chciała nagrać rozmowy z ludźmi. Wierzyła, że mimo lat spędzonych w pogotowiu w każdym z tych mężczyzn zostało jeszcze coś

ludzkiego. Coś, co ukrywali pod roboczymi maskami.

Dziś udało jej się dopaść Haribo. Na osobności. W niemalże wymarzonych warunkach. Mała, zamknięta przestrzeń stanowiła nie tylko wymarzony kadr rejestrowanej rozmowy, ale przede wszystkim sprawiała wrażenie intymności. Dla niej. I dla widza.

Dla ratownika było to miejsce jego pracy. Oswojone i bezpieczne. Nie wiedział o tym, że w jednym z guzików munduru Anki zamontowana jest kamera. Nie wiedział też, że pod maską Haribo Anka doszukuje się prawdziwego Macieja Majchera. I że zamierza w podobny sposób rozmawiać też z innymi ratownikami, a z ich wypowiedzi zmontować prawdziwy do bólu portret polskiego ratownika medycznego.

– No jesteś, nareszcie! – Męski głos wyrwał ją z zamyślenia tak ostro, że aż podskoczyła przerażona.

ROZDZIAŁ 9

Nie miałem zbyt dużo czasu na ustalenia. – Wiktor nie czekał na zaproszenie. Wszedł do mieszkania zaraz za Anką i kontynuował opowiadanie, jednocześnie zdejmując z siebie buty i kurtkę. – Hubert Rozwadowski pseudonim Chudy był wielokrotnie notowany przez policję, kilkakrotnie odbywał karę więzienia. Przede wszystkim ze sto siedemdziesiąt jeden paragraf pierwszy kodeksu karnego i sto sześćdziesiąt trzy paragraf pierwszy ka-ka.

– Ka-ka? – powtórzyła Anka.

Odwiesiła swoją kurtkę na wolny haczyk i pomaszerowała do pokoju. Wiktor podążył za nią.

– Kodeksu karnego.

– No tak, przepraszam, nie skojarzyłam.

– Sto siedemdziesiąt jeden paragraf pierwszy i sto sześćdziesiąt trzy paragraf pierwszy – powtórzył, czekając na jej reakcję.

Wpatrywała się w niego, ale wyglądała, jakby niewiele kojarzyła. Miał wrażenie, że kiedy mruga, z trudem unosi powieki.

– Jesteś zmęczona? Może przyjdę innym razem?

– Nie. Przecież sama cię zaprosiłam.

– Ciężki dzień?

– Jak to w pogotowiu.

– Dużo mieliście wyjazdów?

– Osiem.

– Coś ciekawego?

Wzruszyła obojętnie ramionami i spytała:

– Co z tymi artykułami z kodeksu karnego?

– Aaa! – Zreflektował się, że przecież Anka nie studiowała prawa i niekoniecznie musi znać odpowiednie przepisy. – Kto, bez wymaganego zezwolenia lub wbrew jego warunkom, wyrabia, przetwarza, gromadzi, posiada, posługuje się lub handluje substancją lub przyrządem wybuchowym, materiałem radioaktywnym i tak dalej, która może spowodować niebezpieczeństwo dla życia lub zdrowia wielu osób albo mienia w wielkich rozmiarach, podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do ośmiu lat – zacytował z dumą. – Oraz sto sześćdziesiąt trzy paragraf pierwszy, czyli kto spowoduje zdarzenie, które zagraża życiu lub zdrowiu wielu osób lub mieniu w wielkich rozmiarach, mające postać, podpunkt trzy, eksplozji materiałów wybuchowych lub łatwopalnych albo innego gwałtownego wyzwolenia energii, rozprzestrzeniania się substancji trujących, duszących lub parzących, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat

dziesięciu.

– Wiktor?

– Tak?

– W ciągu ostatniej doby spałam może z cztery godziny. Mogę prosić o wersję dla blondynek?

– Z akt wynika, że Chudy uwielbia zabawę materiałami wybuchowymi. Miał kilka epizodów. Między innymi podłożył na osiedlu mieszkaniowym ładunek, który eksplodował, raniąc dwóch chłopców. Śledztwo wykazało umyślność zamiaru, a co za tym idzie, uznany został za czyn o charakterze terrorystycznym. Co ciekawe w sytuacji, gdyby ta bomba wybuchła i raniła jedynie psy, zdarzenie uznane zostałoby za atak terrorystyczny i zastosowanie miałyby na przykład artykuł sto sześćdziesiąt pięć kodeksu karnego, ale już bez kwalifikacji zawierającej skutek.

– Wiesz co? – przerwała mu Anka. – Zrobię sobie kawę, chcesz coś?

– Nie, późno już. Wodę lub sok, jeśli masz.

– Znajdę, ale bardzo cię proszę. Może jestem głupia, a może jedynie tak zmęczona, że nie potrafię wychwycić związku. Miałeś sprawdzić powiązania Chudego z Lewandowskim, masz minę jak dumny paw, a opowiadasz mi jakieś głupoty niezwiązane ze sprawą. Co mnie obchodzi, co kręci Chudego?

Pomaszerował za nią do kuchni. Kazał jej usiąść na krześle i sam wszystko przygotował. Oczywiście pod komendę Anki.

– Teraz się skup – poprosił, kiedy podał jej kubek z kawą. – Chudy bawił się materiałami wybuchowymi. Któregoś razu nie zachował ostrożności, prawdopodobnie podczas konstruowania ładunku coś poszło nie tak i zabawka wybuchła mu na stole. Na miejsce przyjechało pogotowie ratunkowe. Pierwszym ratownikiem był Andrzej Lewandowski. To on podejmował decyzje dotyczące postępowania na miejscu zdarzenia.

– Kiedy to było?

– Dwa lata temu. Chudy stracił cztery palce lewej ręki.

– Nie wiem, czy to zasługa kawy czy twojej zmiany strategii, ale w końcu rozumiem, co do mnie mówisz. To mam sens. Kalectwo, a raczej obarczanie kogoś odpowiedzialnością za brak fachowej pomocy, to dobry motyw. Musimy znaleźć teraz tego Lewandowskiego.

– Nie musimy. Już go mam. To znaczy prowadzę sprawę. To ten ratownik zaatakowany w karetce.

– Cholera!

– Dokładnie.

– Ale przecież mówiłeś, że Chudy specjalizował się w ładunkach wybuchowych, a ratownika zaatakowano nożem.

– Wszystko się zgadza.

– Czy to oznacza, że Chudy zmienił sposób działania?

– Nie wiem. Prosiłaś, żebym sprawdził ratownika. Sprawdziłem. Teraz idź spać. Padasz na twarz.

– Wiktor, ja padam? Żartujesz! Sytuacja jest dynamiczna. Padałam kilka minut temu. Teraz czuję, że wstąpiły we mnie nowe siły!

– Aniu, chodź do łóżka.

W świetle wydarzeń ostatnich dni zabrzmiało to dość dwuznacznie. Uśmiechnął się, żeby przykryć zakłopotanie, ale poczuł się jeszcze bardziej niezręcznie. Anka była podekscytowana. Miała zarumienione policzki, a w jej oczach widział błysk. Nawet nie próbował się oszukiwać, że to reakcja na jego bliskość.

Kuchnia nie była duża. Siedzieli na krzesłach oddaleni od siebie o jakieś trzydzieści centymetrów. Widział jej źrenice w najdrobniejszym szczególe.

– Jesteś zmęczona. Pójdę już, odpocznij.

– Wiktor, jeśli to Chudy... Przesłuchiwałeś tego drugiego ratownika?

– Aniu, to część mojej pracy. Nie powinniśmy o niej rozmawiać.

– Nie powinniśmy robić też innych rzeczy – powiedziała w złości.

Wstał, odłożył swoją szklankę do zlewu i skierował się do wyjścia. Poszła za nim. W przedpokoju świeciła się tylko jedna mała lampka. Nie zapalił jednak więcej światła. Nie potrzebował go, by trafić stopami do swoich butów i zarzucić na siebie kurtkę.

– Wiktor, przepraszam. Masz rację, jestem zmęczona. – Anka siliła się na uśmiech. – To towarzyszenie ratownikom mnie wykańcza.

– Tak jak mówiłem. Sen. Jedynie sen jest w stanie teraz cię uratować.

– Obiecuję, położę się zaraz po twoim wyjściu, ale...

– Aniu ... – Upomniał ją wzrokiem, bo domyślał się, jaki będzie ciąg dalszy.

– Niczego ci nie narzucam. Proszę tylko, żebyś pomyślała. Kapelusznik mówił o tym, że Chudy działa według jakiegoś planu. Może jest więcej osób, na których chce się zemścić? Kapelusznik mówił, że on ich wszystkich zabije. On, czyli Chudy.

– Czy ty się słyszysz? Kapelusznik mówił? Mamy opierać naszą wiedzę na manipulacjach jakiegoś więźnia?!

– Dla ciebie jest więźniem. Dla mnie nie. Słuchaj, jeśli Chudy zaatakował ratownika nożem, to powinieneś sprawdzić powiązania między Chudym, a tym denatem spod Nowej Gazowni.

– Dlaczego?

– Bo użyto tego samego noża.

– Skąd wiesz? – spytał przerażony.

– Teraz już wiem.

Zagotowało się w nim. Była tak bezczelnie pewna siebie, że miał ochotę dać

jej nauczkę. Zbliżył się do niej, celowo naruszając intymną strefę. Zatrzymał się jakieś dwadzieścia centymetrów przed jej twarzą. Wiedział, że każdy człowiek wytycza wokół siebie obszar, który traktuje jako tylko i wyłącznie swoje terytorium. W pracy zdarzało mu się naruszać terytorium, by osiągnąć zamierzony skutek.

– Wiesz co? – odezwał się służbowym tonem. – Pójdę już. A jutro porozmawiamy o zasadach, których powinniśmy przestrzegać, jeśli mamy się przyjaźnić.

Odwrócił się i złapał za klamkę, ale odwrócił się jeszcze. Zdecydował się po raz ostatni tego dnia spojrzeć na dziennikarkę, która go denerwowała, i jednocześnie kobietę, która go fascynowała.

Zrobił to i nagle doszedł do wniosku, że mimo iż jest już po godzinach pracy, on nadal zachowuje się jak okropnie sztywny prokurator.

– Pieprzyć zasady – powiedział i przywarł do jej ust.

* *

Od kiedy Wiktor wszedł do mieszkania Anki, bezkarnie wpatrywała się w jego zmysłowe usta, oczy i dłonie. Karmiła ich widokiem bestię, która kotłowała się w jej wnętrzu. Wbijiała pazury w jej podbrzusze, ścisnęła żołądek i z ogromną siłą uderzała w inne organy wewnętrzne.

Miało skończyć się jedynie na patrzeniu. Anka wierzyła w Wiktora. Zawsze był tak bardzo opanowany i beznadziejnie odpowiedzialny. Mogłaby określić go jeszcze milionem innych, okrutnie dorosłych słów również rozpoczynających się na „o”. Mogła, gdyby nie udawała, że ich nie zna.

Obojętność. To było to, które przechodziło jej najszybciej na myśl i pojawiało się zawsze, kiedy się z nim spotykała. Nieważne, co robiła, mówiła czy jak wyglądała. Wiktor Braun zawsze miał wobec niej całkowicie obojętny stosunek.

Nawet ostatnio, kiedy sprowokowała go pocałunkiem i nie potrafiła się zatrzymać. Oddawał wszystko, co dostawał od niej, ale nie dawał niczego z siebie, a po wszystkim wracał do swojej pozy.

Obojętność. Nie tolerowała jej. Nie rozumiała. Czuła się przy niej zagubiona. Nie wiedziała, jak ją interpretować. Brak jakichkolwiek emocji w ich relacji był dla niej jak uderzenie w twarz.

W tej chwili na twarzy czuła jego usta, a za plecami ścianę. Chciała spojrzeć mu w oczy i sprawdzić, czy jedynie stracił kontrolę nad ciałem, czy pożądanie, które właśnie uzewnętrznił, kryło się również w jego głowie, ale nie potrafiła oderwać się od jego ust.

Z jej ciałem działo się coś dziwnego. Jakby wszystkie receptory czuciowe zwariowały i zaczęły toczyć ze sobą walkę o dominację. Przez kilka sekund była jedynie swoimi wargami. To nimi odbierała świat.

Wiktor zrzucił z siebie kurtkę i musnął zewnętrzną stroną dłoni szyję Anki. Jej organizm oszalał. W jednej chwili włączyły się wszystkie kontrolki, zawyły alarmy, a ona sama zagryzła wargi.

Ból. Chciała go poczuć. Jeśli nie mogła liczyć na jego obojętność, powinna liczyć na siebie. Odzyskać kontrolę nad sytuacją i się wycofać. Prowokowała go przecież, chcąc jedynie skruszyć mur. Potraktowała to jako wyzwanie. Nie interesowało jej, co znajdowało się za ścianą...

Przygryzanie ust nie przynosiło efektów. Nadal było jej cholernie dobrze. Właśnie pozbyła się bluzki, a Wiktor po omacku siłował się z paskiem, który przytrzymał jej spodnie. Zdawała sobie sprawę z tego, że to był ostatni moment, w którym mogła zaprotestować. Zatrzymać jego ręce. Obudzić jego rozsądek.

I znowu mogła, ale nie chciała. Odgłos sprzączki uderzającej o podłogę przyniósł jej ulgę. Pomyślała, że już jest za późno. Dłoń Wiktora sunęła po jej ciele. Najpierw musnęła pierś wystającą ze stanika, później sprawiła, że dęba stanęły jej wszystkie mikroskopijne włoski na brzuchu.

Cel podróży był tak jasny, że zanim dłoń przekroczyła granicę wyznaczoną przez górną linię majtek, Anka poczuła przyjemne skurcze. Bestia schowała pazury i puściła żołądek, ale za to rozprostowała skrzydła, przejmując kontrolę nad ciałem Anki. Jej dłonie odwdzięczyły się Wiktorowi tym samym. Kolejna sprzączka uderzyła o podłogę.

– *Just because you feel good... doesn't make you right, oh no!* – Z pokoju dochodził zmysłowy i pełen pretensji głos wokalistki Skunk Anansie.

Ignorowała go. W tej chwili miała gdzieś właściwe postępowanie, kaca i syndrom dnia następnego. Musiała poczuć Wiktora w sobie. Jej ciało domagało się wypełnienia anatomicznej pustki, o której istnieniu boleśnie przypominało.

Bestia zaczynała się niecierpliwic, a początkowo rozkoszne spazmy nasiliły się tak mocno, że przestały być przyjemne.

– Pieprzyć zasady – powtórzyła słowa Wiktora.

Być może na to czekał, bo kiedy to powiedziała, poczuła w sobie jego palec. Mruknęła zadowolona, mimo że wiedziała, że za chwilę zacznie domagać się więcej.

– *Just because you feel good... still want you here tonight, want you.* – Skunk Anansie nadal wygrywał swój utwór zatytułowany „Hedonism”.

Anka nie widziała nic złego w hedonizmie. Czuła się zajebicie. Dostarczali sobie z Wiktorem ogromnej dawki przyjemności i bardzo chciała, żeby mogli powtórzyć to tej nocy przynajmniej jeszcze raz. Złapała więc go za rękę, dokładnie tą, którą trzymał w jej majtkach. Spojrzał na nią pytająco.

Przyjrzała się jego oczom. Było w nich zwierzęce pożądanie, ciekawość drugiego człowieka i coś, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

– Chodź – szepnęła i pociągnęła go w kierunku sypialni.

* *

Otaczały go odgłosy żyjącego dworca. Ludzie spieszyli się, niecierpliwili, stojąc w kolejkach do kas, denerwowali się na automaty biletowe lub po prostu czekali na pociągi.

On siedział pod ścianą, ze słuchawkami w uszach, a na komórce oglądał właśnie film. Może był zboczony, ale lubił takie rzeczy oglądać w publicznych miejscach.

Specjalnie usiadł tak, żeby żadna z kamer miejskiego monitoringu nie mogła zobaczyć tego, co ogląda. Po co siedzący w kantorku faceci mieliby się z niego śmiać?

Gdyby oglądał gorące Azjatki, napalone Amerykanki albo wulgarne Niemki byłby usprawiedliwiony. Każdy mężczyzna pokiwałby głową ze zrozumieniem. Może jakoś by to skomentował, ale i tak chciał sprawdzić, pod jakim adresem znajdzie te chętne i ponętne kobiece ciała.

Jego jednak kręciły o wiele bardziej wybuchowe tematy.

Na ekranie smartfona jakiś nastolatek pokazywał, jak zrobić granat pieprzowy, korzystając z plastikowego jajka po Kinder Niespodziance. Filmik był dodany w tym miesiącu, a miał już kilka tysięcy wyświetleń.

Domorosły bomber prowadził kanał rozpowszechniony wśród miłośników wybuchów. Dzieciaki oglądały, jak z ogólnodostępnych rzeczy zmontować coś wybuchowego, a później próbowały tego w domu, zupełnie nie rozpatrując ryzyka wiążącego się z gwałtownymi reakcjami chemicznymi.

On też śledził filmiki na YouTubie, ale nie po to, żeby dowiedzieć się, jak co zrobić. Sam wiedział wszystko najlepiej, miał za sobą lata doświadczeń, eksperymentów poznawczych i wybuchów, którymi nie jeden piroentuzjasta by się zachwyił.

Wiedział, jak uzyskać materiał wybuchowy, żeby podczas wybuchów osiągnąć różne efekty optyczne lub akustyczne. Znał wszystkie możliwości stworzenia zapalnika. Bezbłędnie lokalizował źródła zasilania, jeśli takie było. Co więcej, wiedział jak je rozbroić. To dlatego wybrał sobie taki, a nie inny zawód.

Podchodził do ładunków wybuchowych jak do wieży zbudowanej z klocków Jenga. Najpierw dokładnie je oglądał, a później ze stoickim spokojem i pewną ręką wyciągał z nich jedną część. Dokładnie tą, która nie tylko nie spowoduje eksplozji, ale i skutecznie ją uniemożliwi.

Właściwie to sam mógłby być gwiazdą YouTube'a. Mógłby, gdyby chciał. Byłby, gdyby mógł. Ale prawdziwi wielbiciel wybuchów musieli pozostawać w cieniu.

On musiał. Zwłaszcza, że już od dawna nie kręciły go takie dziecinne zabawy. Ładunki uruchamiane czasowo, radiowo, chemicznie, ogniowo. Jego konikiem była ostatnio „matka szatana”. Substancja TAPT, której używano w zamachach terrorystycznych.

* *

W Paryżu wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Ulice, przystanki komunikacji miejskiej, bloki. Wszystko. Nawet ludzie sprawiali wrażenie, jakby pochodzili zupełnie z innej planety.

Łukasz wrócił z podróży służbowej późno w nocy, ale mimo to nastawił sobie budzik na szóstą rano. Chciał zdążyć się wykapać, wpaść do sklepu po świeżą bagietkę i fromage, kupić gdzieś po drodze kwiaty i wpaść w objęcia stęsknionej Anki.

Taki miał plan i właśnie podjechał pod blok ukochanej. Przed wyjściem z samochodu sprawdził jeszcze skrzynkę mailową. Przejrzał wiadomości, nadał im odpowiednie priorytety i był gotowy do oderwania się od pracy i w końcu przełączenia się na życie prywatne.

Zerknął jeszcze na klatkę schodową, która prowadziła do mieszkania Anki. Tak dawno tu nie był, że niemalże zapomniał, jak brzydko tu było. Tęsknota podkolorowała wspomnienia.

Przechodząca obok samochodu Łukasza para rozmawiała podniesionymi głosami. Zwrócili jego uwagę, bo kobieta była znacznie wyższa od mężczyzny.

– Nie zapomnij, że dzisiaj Antoś kończy lekcje o czternastej.

– Nie zapomnij, nie zapomnij. Tak, jak to ja bym ciągle o wszystkim zapominał. A kto zostawił ostatnio psa pod sklepem, a sam wrócił do domu?

– Przestań wyrzygiwać mi tego psa! To tylko zwierzę. Poczekał pod sklepem chwilę dłużej, nic się przecież nie stało.

– Jeśli Antoś poczeka chwilę w świetlicy, to też nie umrze.

Łukasz uśmiechnął się pod nosem. Też chciałby mieć takie problemy. Zamieszkałby w końcu z Anką i zamiast umawiać się na spotkania, spieraliby się o podział codziennych obowiązków.

Sięgnął po siatkę z zakupami i kwiaty, a kiedy się odwrócił, zobaczył ukochaną. Wyszła z klatki pewnym krokiem, piękna jak zawsze. Wstrzymał oddech i nawet chciał ją zawołać, ale postanowił przez chwilę tylko obserwować. Wiatr rozwiewał długą puchową kurtkę, odsłaniając biodra i nogi. Jak zwykle miała na sobie dzinsy.

Kilka kroków za nią maszerowała postać, której początkowo nie zauważył. Ciemna sportowa kurtka i spodnie od dresu. Pomyślał, że zaraz za Anką wyszedł któryś z sąsiadów preferujących zdrowy tryb życia.

Ania jednak zatrzymała się na chodniku i odwróciła się w kierunku sportowca. Nie słyszał ich rozmowy, ale widział, że po krótkiej chwili rozmowy przytulili się. Mógł się założyć, że to było pożegnanie. Zerknął na zegarek. Dochodziła siódma.

Był zbyt daleko, żeby widzieć, czy było to jedynie cmoknięcie w policzek czy soczysty pocałunek. Nie miał jednak wątpliwości. Tak zegnali się jedynie kochankowie. Osoby, które spędziły razem noc.

Anka zniknęła w swoim samochodzie, a postać maszerowała w jego stronę. Momentalnie podjął decyzję. Nie mógł tego tak zostawić. Wrzucił zakupy do samochodu, nasunął na głowę kaptur i ruszył przed siebie. Chciał dowiedzieć się, z kim Anka spędziła noc. Musiał zademonstrować swoją siłę i bronić swojej własności.

Schowal ręce w kieszeniach, zacisnął pięści i czekał na najlepszy moment.

Wpatrywał się w chodnik. Widział spodnie dresowe. Prawa, lewa. Prawa, lewa. Były coraz bliżej. Przygotował się do ataku. Wściekłość sięgała zenitu.

Kiedy nogi pojawiły się na jego wysokości, wyciągnął pięść i spojrzał frajerowi prosto w twarz. Rozpoznał go.

Rozpoznał i poczuł się, jakby właśnie przeleciała go cała męska drużyna koszykówki.

– Nie satysfakcjonuje mnie identyfikacja grupowa narzędzia zbrodni. Znam pani umiejętności i wierzę, że jest pani w stanie wydusić z tego coś więcej.

Pracująca w zakładzie medycyny sądowej Jolanta Adamkowska odebrała telefon od Wiktora Brauna w chwili, w której usiadła do drugiego śniadania. Otworzyła pudełko z mieszanką płatków owsianych i przygotowanych w domu owoców i właśnie miała zalać je jogurtem naturalnym.

– Panie prokuratorze, pan wybaczy, ale nie jestem cudotwórcą. – Adamkowska świadomie zrezygnowała z formy „cudotwórczyni”. Nie przepadała za żeńskimi formami zawodów czy funkcji, niemalże tak samo mocno jak za komplementami. – Jeśli chciałby pan dostać więcej, to musi pan zatrudnić jasnowidza, bo wszystkie inne ustalenia będą jak wróżenie z fusów.

– Przykro mi, ale żadnego sędziego nie przekonają zeznania takiego szamana.

– Tak myślałam. – Pokiwała głową. – Chciałam w tym miejscu podkreślić, że naprawdę zrobiłam wszystko, co w mojej nocy. Otrzymał pan papier potwierdzający identyfikację grupową. Mamy szczęście, że ostrze weszło nie tylko w tkanki miękkie. Przy jednym z ciosów dotarło do żebra. Gdyby tak nie było, to nawet grupowa byłaby słaba. Nie wiedzielibyśmy wtedy, czy całe ostrze weszło do środka, trudno byłoby więc wnioskować na temat jego długości. Szerokość oczywiście zostawiła ślady i na ubraniu i na ciele. Ale na temat długości moglibyśmy właśnie wróżyc z fusów.

– Wiedzielibyśmy, że weszło do środka, bo na kurtce denata znajdował się ślad po rękojeści.

– Celna uwaga. Dziękuję. Tylko że to nic nie zmienia.

Nie zamierzała czekać z rozpoczęciem konsumpcji na koniec rozmowy. Zdawała sobie sprawę, że odkładanie jej nie sprzyja zdrowiu. Właśnie mijały trzy godziny od zjedzonego śniadania. Musiała koniecznie i bez zbędnej zwłoki dostarczyć organizmowi kolejnej porcji kalorii. W przeciwnym razie organizm zamiast normalnie funkcjonować uzna, że musi zacząć odkładać tłuszcz. A jego właśnie chciała się pozbyć.

– Pani Jolu. Potrzebuję identyfikacji indywidualnej. Na wczoraj. Mam sprawę, w której użyto noża. Podejrzewam, że to ten sam sprawca. Dookreślenie noża bardzo by mi pomogło.

– Ja wszystko rozumiem. Ale i pan musi zrozumieć, że cechy indywidualne noża widoczne w wielkim powiększeniu mogą odwzorować się jedynie w odpowiednio twardym materiale. Na przykład podczas przecinania kabla, na plastikowej otulinie, miedzianym drucie. Nawet gdyby nam obojgu bardzo zależało, mikroskopijne wyszczerbienia ostrza nie zostawią śladów na ciele. To

zbyt miękka tkanka.

– Ale pani jest najlepszym specjalistą w Polsce.

Nie mogła nie zauważyć, że jako jeden z niewielu prokuratorów szanował jej preferencje językowe. Pozostali zmieniali wszystko, co było tylko możliwe, na formę żeńską. Gdyby usłyszała, że jest najlepszą specjalistką, pewnie zakończyłaby tę nieprowadzącą do niczego rozmowę.

– A pan się dziś uczepił mnie jak dziecko. Nie poznaję pana, panie prokuratorze. Skąd ten chłopięcy upór i entuzjazm?

– Bo nie wierzę, że nie ma żadnego sposobu?

– Niestety sprawca nam utrudnił, bo sięgnął po narzędzie, jakich tysiące. Gdyby nóż miał na przykład indywidualnie połączoną rękojeść z ostrzem i w trakcie ataku pękł, a ostrze zostałoby w ciele... Pan i policja mielibyście dużo łatwiej.

– Sprawcy zawsze utrudniają. Mniej lub bardziej celowo. Ale rozmawiam właśnie z panią, bo liczę na pani ponadprzeciętną wiedzę i inteligencję. Wdzięczny będę więc za inną wizję. Mniej fantastyczną? Ostrze nie pojawi się nagle w ciele, skoro nie było go zaraz po zdarzeniu.

– Gdyby cecha indywidualna noża znajdowała się na ostrzu i ono doszłoby do kości... – zamyśliła się.

– A doszło – wtrącił z nadzieją prokurator.

– I gdyby się na niej zatrzymało – zignorowała go – to już jest szansa. Trzeba byłoby to zauważyć i zabezpieczyć do badań. Potrzebny jest dobry medyk i mechanoskop.

– Rozmawiam z najlepszym medykiem. Na pewno zna pani świetnego mechanoskopa, który tego nie przeoczy.

– Ja tylko gdybam. Mówiłam przecież...

– Niech już pani nie gdyba. – Braun zmienił ton głosu. – Proszę to sprawdzić. Będę wdzięczny. Dozgonnie – dodał po chwili namysłu. – Chociaż nie wiem, czy w branży, w której pani pracuje, takie deklaracje mają jakąkolwiek siłę oddziaływania.

* *

– Salon Glamour, przy telefonie Wojtek, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry. Chciałabym umówić się na ułożenie włosów.

– A dokładnie co chciałaby pani zrobić?

Pytanie sprawiło, że Anka spojrzała krytycznie w lustro. Włosy miała jak zwykle spięte w gładki koński ogon. Powoli orientowała się, że jej fryzura – chociaż praktyczna – już jakiś czas temu przestała być modna. Młode dziewczyny od jakiegoś czasu spinały włosy na czubku głowy. Słyszała nawet w jakimś programie, że kucyk to nie jest żadna fryzura.

– Czy ja wiem? Może loki? Bardziej niż to, co zrobimy, interesuje mnie kiedy. Muszę dziś pięknie wyglądać, a koleżanka mówiła, że po wizycie u was zawsze jest zadowolona. Błażej ją zawsze czesze.

Kłamała, patrząc sobie w oczy. W łazience nie było nikogo. Sprawdziła, zanim wybrała numer salonu fryzjerskiego, w którym pracować miał Błażej Puchalski, mężczyzna zamordowany przy Nowej Gazowni.

Skoro Wiktor upierał się, że ślady po nożu na ciele Puchalskiego i cięcia na Lewandowskim to jedynie poszlaki, musiała sama zatroszczyć się o coś, co uznaliby za dowód.

Dla niej sprawa była jasna. Oczywiście, że w dużym mieście w krótkim okresie czasu mogły powtórzyć się ataki różnych nożowników, ale uważała, że najpierw trzeba sprawdzić ewentualne powiązanie.

Jeśli Kapelusznik mówił, że Chudy chciał zemścić się na Lewandowskim, a ten leżał teraz nieprzytomny w szpitalu po ataku nożownika, to według niej istniało prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że to Chudy go zaatakował. Nożem.

A skoro mężczyzna spod Nowej Gazowni również zginął od ran klutych, a Wiktor nie zaprzeczył, że w tym wypadku użyto innego narzędzia, to być może i jego zaatakował Chudy.

Korzystając ze starych znajomości, ustaliła imię i nazwisko ofiary spod Nowej Gazowni. Wiadomość, że Błażej Puchalski był fryzjerem, dotarła do niej właściwie przez przypadek. Była jednak z siebie dumna. Dysponowała informacjami, które mogła zweryfikować. Informacjami, o które nie musiała prosić Wiktora.

– Cieszę się. Dzisiaj będzie ciężko panią gdzieś ulokować w harmonogramie.

– Bardzo mi zależy...

– No dobrze, to może o czternastej? Albo nie. Niech będzie pani o trzynastej trzydzieści.

– Ale do Błażeja mnie pan zapisuje? Błażeja Puchalskiego?– spytała, chcąc się upewnić, czy wytypowała dobry salon fryzjerski.

Szukała po omacku – na szczęście okazało się, że na Chwaliszewie funkcjonuje tylko jeden fryzjer. Słyszała w materiale Joanny, że denat był właśnie w drodze do pracy. Pieszko, musiał więc pracować gdzieś w pobliżu miejsca zdarzenia.

– Niestety Błażeja dziś nie będzie, ale zastępuje go szef. On jest jeszcze

lepsy. Będzie pani zadowolona.

* *

– Pogotowie ratunkowe, dyspozytor dwieście trzydzieści, w czym mogę pomóc?

– Potrzebuję pomocy.

– Co się dzieje?

– Wybuch... To znaczy nawet nie wiem dlaczego, przecież nie powinno.

Wszystko zrobiłem tak, jak trzeba.

– Proszę powiedzieć, co się stało.

– Nie wiem.

– Dlaczego potrzebuje pan pomocy?

– Krew, bardzo dużo krwi. Z ręki.

– Czy wybuch uszkodził panu rękę?

– Chyba tak. Zawinąłem ją w ręcznik, ale on już jest cały czerwony.

– Jest pan sam, czy ktoś jeszcze ucierpiał?

Wiktor zatrzymał nagranie i spojrzał na stenogram rozmowy przeprowadzonej dwudziestego lutego dwa tysiące dziesiątego roku. To wtedy Hubert Rozwadowski, pseudonim Chudy, bawił się w swoim mieszkaniu materiałami wybuchowymi i w wyniku zaniedbania lub nieuwagi doszło do gwałtownej reakcji chemicznej. Wtedy też zaniepokojony krwawieniem sam zadzwonił pod numer alarmowy i poprosił o pomoc.

Na miejsce przyjechał zespół ratowniczy w składzie: Andrzej Lewandowski, pierwszy ratownik i Piotr Hartel, drugi ratownik. Okazało się, że wybuch pozbawił Rozwadowskiego czterech palców, które zostały przez ratowników zabezpieczone i wraz z ich właścicielem dostarczone na Szpitalny Oddział Ratunkowy.

O wydarzeniu oraz niebezpiecznych substancjach zastanych przez zespół ratowników na miejscu powiadomiona została policja, która przeanalizowała zawartość mieszkania Rozwadowskiego i wraz z prokuratorem postawiła mu zarzut wyrabiania i posiadania bez zezwolenia substancji wybuchowych.

Rozwadowski uboższy o cztery palce lewej ręki, których nie udało się uratować, dostał wyrok, a nagranie, na którym przyznaje się do wybuchu i nieostrożności, zostało zabezpieczone.

– Proszę podać jeszcze numer mieszkania.

– Dziesięć. Mówiłem, Wierzbicice...

– Dobrze, zapisałem, wysyłam karetkę.

Wiktor zatrzymał nagranie i uruchomił drugie, pochodzące sprzed kilku dni. Nagranie poprzedzające wysłanie zespołu, który zabrał pacjenta ze Szczepankowa, a w drodze do szpitala został zaatakowany nożem.

– Państwowe Ratownictwo Medyczne, dyspozytor dwieście pięć. W czym mogę pomóc?

– Halo? Halo? Słabo pana słyszę.

– Państwowe Ratownictwo Medyczne, dyspozytor dwieście pięć. W czym mogę pomóc?

– Mężczyzna zasłabł.

Zatrzymał nagranie. Przy wymawianiu słowa „mężczyzna” głos specyficznie zaszeleścił. Prokurator zanotował sobie ten fakt na samoprzylepnej karteczce i kontynuował odsłuchiwanie. Wiedział, że później wróci do pierwszego nagrania i tym razem nastawi słuch na wyszukiwanie podobnie brzmiących wyrazów czy jakichkolwiek nawet najmniejszych wad wymowy.

Jeśli Chudy rzeczywiście chciał zemścić się na ratowniku, to musiał bardzo dobrze to zaplanować. Najpierw sprawdzić, czy ten nadal pracuje w pogotowiu, ustalić obsługiwany przez niego rejon oraz dokonać zgłoszenia konieczności przyjazdu karetki w odpowiednim momencie. Mając na uwadze usytuowanie podstacji pogotowia względem miejsca, do którego było wezwanie, można by nawet przyjąć, że Chudy nie działał sam. Musiał mieć kogoś, kto zamelduje mu, że karetka o określonym numerze czeka na zgłoszenia na podstacji.

Wiktor chciał ustalić, czy rozmowę z dyspozytorem prowadził sam Chudy, czy ktoś inny, musiał więc porównać głos dzwoniącego ze starym nagraniem głosu Chudego.

Oczywiście mógłby zlecić fonoskopię i poczekać na jej wyniki, ale nie miał czasu. Musiał przynajmniej wstępnie zweryfikować hipotezę śledczą.

– Czy oddycha?

– Chyba tak.

– Proszę pochylić się nad nim i potrząsnąć za ramię, żeby sprawdzić, czy jest jakaś reakcja.

– Nie ma. Musicie przyjechać.

– Jeśli nie ma, proszę sprawdzić oddech. Czy klatka piersiowa unosi się i czy słychać wydychane powietrze.

– Nie słychać. Nie oddycha.

– Proszę ułożyć go na plecach, odgiąć delikatnie głowę do tyłu i sprawdzić ponownie. Oceny dokonujemy przez około dziesięć sekund.

– Nadal nie ma.

Wiktor zatrzymał nagranie. Odszukał w komórce stoper, przygotował się do jego uruchomienia i odtworzył je ponownie.

– Proszę ułożyć go na plecach, odgiąć delikatnie głowę do tyłu i sprawdzić ponownie. Oceny dokonujemy przez około dziesięć sekund.

– Nadal nie ma.

Znowu wstrzymał odtwarzanie. Między instruktą dyspozytora a odpowiedzią zgłaszającego nie minęło więcej niż pięć sekund. Zbyt mało, by ułożyć pacjenta w odpowiedniej pozycji, odgiąć jego głowę i skupić się na obserwowaniu ruchów klatki piersiowej. Chyba że nie było żadnego pacjenta, a rozmowa telefoniczna miała na celu jedynie ściągnięcie pogotowia w odpowiednie miejsce.

Braun coraz bardziej przychyłał się do takiej wersji wydarzeń. Dzwoniący błyskawicznie udzielał odpowiedzi. I nie wyrażał żadnych emocji.

– Proszę o rozpoczęcie uciskania klatki piersiowej i ewentualnego prowadzenia oddechu zastępczego w schemacie trzydzieści do dwóch.

Wiktor pominął instruktą dyspozytora, jak ułożyć ręce i w którym miejscu należy dokonywać ucisków.

– Proszę o przekazanie telefonu komuś innemu – głos dyspozytora brzmiał zdecydowanie.

– Nikogo tu nie ma.

– W takim razie proszę o przełączenie telefonu w tryb głośnomówiący. Jaki jest dokładny adres?

– Szczepankowo, róg Roślinnej. Mężczyzna leży na poboczu.

– Szczepankowo, róg Roślinnej – powtórzył dyspozytor. – Będę z panem na linii do momentu przyjazdu zespołu ratownictwa medycznego. Czy zna pan poszkodowanego? Halo? Halo? Proszę pana? Czy pan mnie słyszy? Halo?

Na tym zakończyło się nagranie. Wiktor nie miał czasu, by zlecić sporządzenie stenogramu rozmowy. Poza tym to nie stenogram był dowodem, którym mógł wesprzeć się w sądzie, ale protokół odtworzenia zapisu dźwięku.

Zanim jednak przystąpił do spisywania protokołu, dla uspokojenia ciekawości odsłuchał po raz kolejny oba nagrania z zamiarem odnotowania punktów wspólnych.

* *

W Primo TV po raz pierwszy od dawna panowała harmonia. Anka poczuła to od razu, kiedy usiadła przy swoim biurku. Wszyscy poruszali się jakoś tak

spokojniej. Beata rozmawiała przez telefon, Irenka stukała w klawiaturę, a Artur wpatrywał się w ekran komputera.

Tęskniła za klimatem dawnego Primo TV, w którym gdy pojawiał się jakiś kryzys, wszyscy mobilizowali siły i biegali nerwowo, ale później rozluźniali się i rozmawiali ze sobą normalnie. Jak ludzie, którzy lubią ze sobą przebywać, a przynajmniej chcą sprawiać takie wrażenie.

– Coś się stało? Jakoś sielankowo tu dziś? – Anka podjechała krzesłem do Ireny.

– Z samego rana było wyładowanie atmosferyczne. Joanna pokłóciła się z Grabowskim. Wyszła z firmy, trzaskając drzwiami. Szef chodził wkurwiony, ale potem odebrał telefon i wyszedł, mówiąc, że już dziś nie wróci.

– Czyli kota nie ma i myszy harcują!

– Czy ja wiem? Mnie tam kot nie przeszkadza, tylko ta wredna czarna mamba. Cholera, Anka, nie wiesz, jak było, kiedy ona przyszła. Z każdym miała jakiś konflikt. Dosłownie z każdym, mówię ci. Wszyscy mamy jej dość i pewnie jakoś udaloby się jej pozbyć, gdyby nie to, że owinęła sobie Grabowskiego wokół palca.

– Powiedziałabym dosadniej, że to raczej ona owinęła mu się wokół...

– Ciii! – Irena położyła palec na ustach. – Lepiej nie mów, bo wiesz – zaśmiała się – że wszystko może być wykorzystane przeciwko tobie.

* *

– Wysoki Sądzie, jestem niewinny. Na miejscu znalazłem się przypadkowo. Przechodziłem obok. Nie miałem złych zamiarów.

Gdyby sędzia mógł wydawać orzeczenia, opierając się na ocenie wyglądu oskarżonego, ta sprawa mogłaby zostać zamknięta w ciągu piętnastu minut. Mężczyzna, który tłumaczył się właśnie z pobicia ze skutkiem śmiertelnym, dostałby przynajmniej pięć lat za sam wygląd.

Tępe spojrzenie, ogolona głowa, przerost tkanki mięśniowej i tatuaż na szyi i części twarzy mówiły same za siebie. Tacy jak on chcieli uchodzić za twardzieli i nigdy nie stronili od sytuacji, w których mogliby zademonstrować siłę i dać upust energii.

– Nie znałem tamtego mężczyzny. Nie chciałem go zabić. Po prostu dostał ode mnie w mordę, bo zasłużył. To miał być taki kuksaniec w bok.

– Dlaczego pana zdaniem zasłużył?

– Bo głodnym okiem patrzył na moją kobietę.

Mężczyzna tłumaczył się, a Wiktor poczuł, że w kieszeni wibruje mu komórka. Normalnie zlekceważyłby to uczucie, ale już przed wejściem na salę rozpraw widział, że Anka próbuje się do niego dodzwonić.

Chciał sprawdzić, czy to znowu ona. Dyskretnie sięgnął pod togę i wydobył ze spodni smartfona.

– Panie prokuratorze, czy ma pan pytania do oskarżonego?

– Oczywiście, Wysoki Sądzie. – Wstał, a komórka z hukiem uderzyła o posadzkę.

Był przecież prokuratorem. Na oczekaniu mógł wymyślić mnóstwo podchwytliwych pytań. W tej chwili jednak miał problem ze skupieniem się.

Na wyświetlaczu znowu zobaczył zdjęcie Anny. Jakoś nie potrafił przestać myśleć o tym, co stało się wieczorem. Sam siebie zaskoczył, stwierdzając, że zasady są po to, by je łamać. Wszystko to, co wydarzyło się zaraz potem, było godne powtórzenia.

Powiedziałby nawet, że regularnego powtarzania. Przynajmniej z jego punktu widzenia. Zdawał sobie jednak sprawę, że w łóżku nie był sam.

Spędził noc z Anką, a ona była kobietą zdecydowaną i do bólu szczerą. Być może nie odbierając od niej telefonu, odsuwał w czasie konieczność przeprowadzenia poważnej rozmowy. Wytlumaczenia motywacji. Przepraszania za brak hamulców. Uzgodnienia zasad dalszego funkcjonowania ich znajomości albo zakończenia.

– Panie prokuratorze.

– Tak, oczywiście. Mówił pan, mówił pan... – Zdał sobie sprawę, że nie wiedział zbyt wiele o sprawie, którą wcisnął mu naczelnik. Wiekowy Jerzy leżał sobie w szpitalu po wylewie, a on musiał ogarniać tematy, których Jerzy nie zdążył zakończyć. – Mówił pan, że głodnym okiem patrzył na pana kobietę. Jak mamy to rozumieć?

Spojrzał groźnie na oskarżonego. Kątem oka wychwycił zdziwienie na twarzy obrońcy. Sam był zdziwiony banalnością swojego pytania, ale musiał zyskać na czasie. Miał gdzieś w aktach listę pytań, które chciał zadać, ale w tej chwili nie mógł jej znaleźć.

W sprawie Anki podjął decyzję, że wyłoży kawę na ławę i poczeka na werdykt. I za wszelką cenę będzie unikał kontaktu telefonicznego. Konieczna była rozmowa w cztery oczy.

– Panie prokuratorze – głos zniecierpliwionego sędziego przypomniał mu, że miał szukać listy pytań.

– O jest. Przepraszam, Wysoki Sądzie, już mam. Mam jeszcze kilka pytań. „Bardziej trafionych” – dodał w myśli.

* *

Kiedy Anka weszła do środka, dwa stanowiska do obsługi klientów były zajęte, a trzecie stało puste. Lokal sprawiał wrażenie czystego. Na ścianie znajdującej się obok wejścia wisiał ogromny obraz przedstawiający piękną długowłosą blondynkę.

Dyskretnie przyjrzała się najpierw klientkom, a potem całej reszcie i z ulgą stwierdziła, że wszystko wyglądało normalnie, współcześnie i europejsko. Trochę obawiała się, że salon fryzjerski tak naprawdę jest zapyziałym zakładem, w którym nadal specjalizują się jedynie w trwałej ondulacji i cięciu na pazia.

– To co robimy?

– Muszę dzisiaj pięknie wyglądać. Może jakieś upięcie? – improwizowała.

Tak naprawdę chciała jedynie wypytać właściciela salonu o Błażeja Puchalskiego. Liczyła, że jeśli dowie się czegoś o ofierze, to może trafi na ślad prowadzący do Chudego.

Wiedziała jednak, że jeśli przyjdzie tu jako dziennikarka i zacznie pytać, otrzyma o wiele mniej odpowiedzi, niż jeśli pojawi się w roli klientki. W damskich salonach fryzjerskich panował zawsze podobny klimat niekończących się ploteczek.

– Z lokami czy bez?

– Z lokami – odpowiedziała, licząc na to, że czas potrzebny na wykonanie tego zadania będzie dłuższy.

Potrzebowała chwili na nawiązanie niezobowiązującej rozmowy, a po pobieżnym omówieniu tematów związanych z pogodą, włosami, trendami i życiem przeszła do tego, co interesowało ją najbardziej.

– Błażeja już nie będzie?

– Niestety nie.

Anka siedziała na fotelu, a fryzjer nawijał jej włosy na prostownicę.

– Szkoda, bo koleżanka bardzo go chwaliła. Ale chyba niedługo u pana pracował?

– No nie, jakieś trzy miesiące, może. Rzeczywiście klientki go chwaliły. Potrafił rozmawiać z kobietami. No i oczywiście miał też umiejętności. Dobrze ciął.

– Ale już nie wróci?

– Nie.

– Po pana twarzy widzę, że nie jest panu przykro. Wyrzucił go pan?

– Nie zdążyłem. Sam odszedł, że tak powiem.

– Nie zdążył pan, czyli jest tak jak zawsze. Bo wie pan, ja też zatrudniam ludzi. W innej branży, ale też usługowej i przyznam szczerze, że to jest już plaga. Nie wiem, czy pan się ze mną zgodzi? Pracownicy oszukują pracodawców, podkradają klientki, zapraszając je do siebie do domu i kusząc niższą ceną.

Mężczyzna spojrział na odbicie Anki w lustrze, jakby chciał się upewnić, czy mówi prawdę. Przewróciła więc oczami tak, jakby rzeczywiście była oburzona tym, że ludzie są skłonni zejść aż tak nisko.

– A w jakiej branży, jeśli można spytać?

– W paznokciach. – Wymyśliła na poczekaniu.

– A zatrudnia pani ludzi z ulicy?

– Czasem z polecenia, ale rzeczywiście raczej z ogłoszenia, a co?

– Ci z ogłoszenia... – Mężczyzna chciał coś jeszcze powiedzieć, ale na stanowisku obok pojawiła się klientka z mokrymi włosami. – Pani Kasiu, już widzę, że kolor wyszedł rewelacyjnie – zagadnął ją.

Kobieta odpowiedziała mu uśmiechem i wróciła do lektury kobiecego czasopisma. Fryzjerka rozczesła jej mokre włosy, a później włączyła suszarkę. Nieprzyjemny szum wypełnił salon.

Mężczyzna, jakby wykorzystując chwilę, przysunął się do ucha Anki i powiedział ze zgrozaniem:

– Ci z ogłoszenia to często złodzieje. Od kiedy Błażej pojawił się u mnie, zużycie wody utlenionej wzrosło czterokrotnie.

– Kradł wodę utlenioną? – Anka nie zrozumiała. – Przecież można kupić ją w każdej aptece.

– Tak, trzyprocentową. W salonach fryzjerskich mamy mocniej stężoną. Do zabiegów stosujemy roztwór nieprzekraczający dwunastu procent, ale w hurtowni kupuję trzydziestoprocentową, do rozcieńczania.

– Czyli że co? Wynosił wodę utlenioną? Po co?

– Ja tam już wolę nie wiedzieć, po co był mu perhydrol. Dobrze, że już go z nami nie ma. Błażeja, oczywiście, bo perhydrol jest. W takiej ilości, w jakiej powinien być.

* *

– Łukasz?

– Nie, kurwa, duch święty.

Odpowiedź zdziwiła Ankę bardziej niż postać, którą zobaczyła na klatce schodowej. Łukasz stał oparty o ścianę przy kaloryferze, w najciemniejszym kącie.

– Co ty tu robisz?

Pytanie wydawało jej się oczywiste. Nie tak dawno dzwonił do niej z Paryża i informował, że zostanie tam dłużej.

– Jak to co? Czekam.

– Na mnie?

– Nie, kurwa. Na niego.

– Nie uprzedziłeś mnie, że wracasz.

Próbowała ignorować jego zachowanie, ale każda odpowiedź wzbudzała w nim coraz większą agresję. Zrobił kilka kroków w jej stronę. Chwiał się delikatnie, a kiedy podszedł bliżej, poczuła, że śmierdzi alkoholem.

– A co, kurwa, miałem telegram wysłać, żebyś zdążyła poupychać wszystkich gachów po szafach?

– Łukasz, jesteś pijany. – Odsunęła się, kiedy próbował złapać jej dłoń.

– Ta, masz coś przeciwko? Upiłem się ze szczęścia. Że w końcu cię zobaczyłem. W jego objęciach.

Zapadła cisza. Anka nie chciała wpuszczać do mieszkania pijanego Łukasza. Nie chciała też tak stać na klatce i pozwalać, by wścibskie sąsiadki miały nieograniczony dostęp do *show*, jakie zamierzał odegrać.

Zrobiła kilka kroków w górę. Łukasz poszedł za nią. Nie poznawała go. Zawsze był spokojny i opanowany. Próbując go usprawiedliwić, złapała się myśli, że może chciał zapisać to, co zobaczył w Paryżu.

– Kiedy przyjechałeś?

– A co? Nie wiesz, od kiedy cię obserwuję, co? I co widziałem, a co jeszcze możesz przede mną ukrywać?

– Łukasz, nie rozmawiajmy w ten sposób. Proszę.

– Co? Pokrzyżowałem ci plany? Jesteś, kurwa, zaskoczona?

Roześmiał się. Psychopatycznie i przerażająco jak filmowy Joker. Jakby czerpał przyjemność z tego, że ją obraża, a ona go przeprasza.

Postanowiła zmienić strategię i zademonstrować asertywność.

– Nie wiem, co cię ugryzło, ale sugeruję zmianę tonu! – Zatrzymała się na półpiętrze, dając mu do zrozumienia całym ciałem, że jeśli nie spełni jej warunków, nie będzie mógł iść dalej.

– W dupie mam twoje sugestie! To dla niego tak się wyfryzowałaś?

Wyciągnął rękę, z obrzydzeniem dotknął jej świeżo ułożonych włosów i znowu się roześmiał.

– Przestań zachowywać się jak dupek! – warknęła i odepchnęła go.

– Bo co? Bo powiesz mi, że zawsze nim byłem?

– Łukasz, kurwa, ogarnij się! Skąd te pretensje? Przecież nigdy ci niczego nie obiecywałam. Przyjaźniliśmy się.

– Przyjaźniliśmy – powtórzył i prychnął lekceważąco.

Stali na schodach i mierzyli się wzrokiem, kiedy zgasło światło. Łukasz złapał Ankę za rękę i pociągnął w stronę włącznika światła.

– Puść mnie! – zaprotestowała.

– Skoro sama mówisz o naszej PRZYJAŹNI – ostatnie słowo wypowiedział z jadem – w czasie przeszłym, to może zakończymy ją z przytupem, co? – Przełożył dłoń na jej biodro, po czym energicznie przysunął Ankę do siebie.

– Przestań!

– Bo co? Nie pieprzyłaś się jeszcze z dwoma facetami jednego dnia?! Nie uwierzę!

Patrzyła mu prosto w oczy. Próbowwała zajrzeć przez nie do środka i odszukać miłego Łukasza, którego znała. Zupełnie nie wiedziała, jak powinna się zachować. Prośby nie przynosiły skutku. Agresja mogła pogorszyć sprawę, ale chyba nie miała innego wyjścia.

Sprawdziła, czy klucze do mieszkania nadal znajdują się w kieszeni kurtki. Schowała je tam przed wyjściem z samochodu.

Nerwowo szacowała czas, którego potrzebowałyby na pokonanie kilkudziesięciu schodów, otwarcie drzwi, zamknięcie ich i przekręcenie zamka. Sześćdziesiąt sekund?

– Wiesz co, Łukasz? – Zdecydowała się po raz ostatni podjąć próbę załagodzenia sytuacji. Wiedziała, że jeśli to nie pomoże, pozostanie jej ucieczka... lub poddanie się temu, co wymyśli jego ogłupiony działaniem alkoholu umysł. – Lubię cię, dlatego proponuję: idź teraz do domu. Prześpij się. Porozmawiamy jutro, dobrze? Zadzwoń, spotkamy się wypoczęci i rozwiążemy wszystkie problemy. Porozmawiamy na spokojnie.

Odsunął ją od siebie. Zinterpretowała to jako dobry znak. Zdążyła zrobić dwa kroki w tył, kiedy on ruszył. Chciał koniecznie wejść na piętro, ale zatrzymała go.

– Przepuść mnie.

– Łukasz!

– Czyli co? Nie wpuścisz mnie dzisiaj, bo, kurwa, pewnie ten pieprzony prokurator czeka już na ciebie nago? Dałaś mu klucze? Tak szybko? A może pieprzyłaś się z nim już wtedy, kiedy spotykałaś się ze mną? Odpowiedz! Spójrz mi, do kurwy nędzy, w oczy i odpowiedz!

– Wiktor nie ma nic wspólnego z tym, co...

– Patrz mi w oczy! – Złapał jej twarz w obie ręce i przechylił tak, by na niego patrzyła.

– Zostaw mnie! Śmierdzisz. Ile wypięłeś?

– Ty też śmierdzisz. Jedziesz kłamstwem na kilometr. To tylko mój znajomy z młodości, sztywny prokuratorzek... Tak, Łukaszku, jesteś dla mnie ważny – przedrzeźniał ją. – Wciskałaś mi kity, a ledwo wyjechałem, to wskoczyłaś mu do łóżka. I co? Myślałaś, że się nie wyda?

Przez chwilę siłowali się nie tylko spojrzeniem. Anka włożyła całą energię w to, żeby oderwać jego rękę od swojej twarzy. Walczył. Dopiero trzaśnięcie drzwiami i odgłosy kroków sprawiły, że odpuścił.

Nastolatek minął ich na schodach i zbiegł na parter. Dziennikarka wykorzystała tę chwilę na oddalenie się od pijanego Łukasza. Teraz dzieliło ich już pięć schodków. Miała coraz większe szanse na ucieczkę. Tak jej się przynajmniej wydawało.

– Idź sobie.

– To przestrzeń publiczna i będę stał tu tak długo, jak mi się będzie podobało. Myślałem, że jesteś wyjątkowa. Że mam niesamowite szczęście. Pomyliłem się. Jesteś zwykłą szmatą. Z kim jeszcze mnie zdradzałaś? Przyznaj się!

– Chciałam ci przypomnieć, że nie byliśmy parą, tylko przyjaciółmi.

– Tak to się teraz nazywa, kurwa? Przyjaciółmi?

I znowu zaczęli wspinać się po schodach. On chciał się zbliżyć, a ona trzymała dystans. Kiedy dotarła do ostatniego schodka, zatrzymała się. Pomyślała, że jedynym sposobem pozbycia się Łukasza jest zepchnięcie go ze schodów.

– Mogłem zrobić dla ciebie wszystko. Byłem na każde zawołanie. A ty? Wykorzystałaś mnie i moje dobre intencje! To koniec! Słyszysz?! Koniec!

– Krzycz, proszę, krzycz. Zaraz sąsiedzi wezwą policję. Może noc na izbie wytrzeźwień da ci do myślenia.

– Ja już sobie wszystko cudownie przemyślałem. Chujowo razem wyglądaliście tam przed klatką. Nie pasujecie do ciebie. On znudzi się twoim ciałem i puści cię w trąbę. Sama tego chciałaś. Nie dzwoń wtedy do mnie. To koniec, Anno. Koniec z nami. Żałuję, kurwa, że... – zamilkł, a jego twarz zrobiła się wściekle czerwona.

– Że co? No powiedz. Nie krępuj się.

– Żałuję, naprawdę bardzo żałuję, że cię uratowałem...

– Żałujesz? I o tym myślałeś przez cały dzień? Kurwa, Łukasz! Powinieneś się leczyć. Co ty sobie wyobrażasz? Ocaliłeś moje życie, ale czy to oznacza, że mam obowiązek ofiarować ci siebie w podziękowaniu? Myślałeś, że teraz już zawsze będę należała do ciebie?

Nie powinna była tego mówić. Pomyślała o tym jednak dopiero wtedy, gdy Łukasz rzucił się na nią, pokrzykując:

– To już koniec! Kurwa, to koniec, Anno.

* *

Po trzech godzinach spędzonych w sądzie Wiktor nie miał siły nawet zerkać na dzwoniącą komórkę. Zawsze tak było. Kiedy nie mógł rozmawiać, wszystkim nagle przypominało się, że jest niezbędny, i dzwonili z taką częstotliwością, jakby kilka wypowiedzianych przez niego słów mogło zmienić losy świata.

Po wyjściu z sądu zwykle oddzwaniał, ale nieprzespana noc i natłok obowiązków sprawiły, że chociaż pozbył się niewygodnych spraw i togi, doszedł do wniosku, że nie jest w stanie oddzwonić do wszystkich. Najpierw musiał napić się mocnej kawy, a dopiero później zalogować się z powrotem do życia.

Do kolejnych czynności miał dobry kwadrans, wbiegł więc do bufetu znajdującego się w budynku sądu i poprosił o kawę na wynos. Być może bufet nie serwował najlepszej kawy w mieście, ale przy takich ograniczeniach czasowych Braun podejmował decyzję automatycznie.

Nie roztrząsał już z pietyzmem, czy lepsza jest byle jaka kawa teraz czy późniejsza palona z najlepszych ziaren w przepięknym kubku. Wiedział, że „późniejsza” mogła nigdy nie nadejść.

Po kilku łykach kawy dotarł do przejścia dla pieszych. Czerwone światło wymusiło na nim chwilę bezczynności. Postanowił ją zagospodarować. Przełożył papierowy kubek do dłoni, w której trzymał teczkę, a prawą ręką sięgnął po telefon.

Dokonał szybkiej weryfikacji nieodebranych połączeń. Wytypował trzy osoby, do których powinien pilnie oddzwonić. Reszta mogła poczekać. Zanim zaczął oddzwaniać, zerknął kontrolnie na sygnalizację. Chciał się upewnić, że nadal może bezkarnie stać.

Nadal świeciło się czerwone. Wrócił więc wzrokiem do komórki. Nie zdążył jednak jej dotknąć, gdy na ekranie pojawiło się zdjęcie Anki Rogozińskiej, a sekundę później z głośników popłynęła muzyka.

– Znowu? – burknął pod nosem. Na przejściu był sam, więc mógł sobie na to pozwolić.

Anka próbowała się do niego dodzwonić już dziesiąty raz w ciągu ostatnich czterech godzin. Początkowo dzwoniła raz na godzinę, ale w ciągu tej ostatniej nie robiła chyba nic innego, tylko wybierała jego numer. Irytowało go to i źle wróżyło na przyszłość.

Skoro nie odbierał telefonu, to znaczyło, że nie mógł rozmawiać. Przecież był w pracy.

Zauważył to już wcześniej. Anka zatracala się w swoich prywatnych śledztwach i angażowała się w pracę w stopniu większym niż niezbędny. Nie raziło go to. Przynajmniej kiedyś. Sam uważał, że jeśli praca przynosi radość i dostarcza pozytywnej energii, to jest to raczej realizacja pasji niż praca czy pracoholizm.

Nawet wczoraj, w łóżku, nie leżała jak jego wcześniejsze partnerki, grzecznie czekając na to, co on zrobi. Sama nadawała tempo. Zmieniała pozycje. Zatrzymywała się nagle w połowie ruchu, sprawiając, że pragnął jej jeszcze bardziej. I bezwstydnie domagała się więcej, jeśli odwdzięczał jej się tym samym. Nie kryła zaangażowania. Ofiarowała mu nie tylko swoje ciało, ale również wrażenie, że nikt nigdy wcześniej nie dostarczył jej tyle przyjemności co on.

Ta myśl podniecała go nawet dzisiaj, tylko że przebywając sam na sam ze swoim rozognionym ciałem, zauważał coraz więcej minusów ich relacji.

Zerknął na zegarek. Do kolejnej czynności zostało mu dosłownie kilka minut, a światło właśnie się zmieniło. Z zielonego na czerwone. Żeby nie przeoczyć kolejnej zmiany świateł wyłączył telefon i napił się kawy. Była już zbyt letnia.

* *

- Co się stało?
- Uderzyłam się.
- O co?
- O ścianę.

Wszyscy spojrzeli na ścianę, którą wskazała. Ślady krwi pochodzącej najprawdopodobniej z jej rozciętego łuku brwiowego utworzyły abstrakcyjny malunek na wysokości wzroku.

- Sama się uderzyłam? – spytał jeden z ratowników.
- Sama – potwierdziła.

Patrycja Gołębiewska wielokrotnie miała do czynienia z pogotowiem ratunkowym. Wiedziała, że wdawanie się w dyskusje nie ma najmniejszego sensu. Co z tego, że ona będzie tłumaczyła, że słabo się poczuła, nogi jej się pomyliły, potknęła się, sama nie wie o co, i uderzyła twarzą w ścianę, jak i tak ratownicy wiedzą swoje. Po obrażeniach szacują siłę uderzenia i wiedzą, co się stało.

I co ma im wmawiać, że jeździła po mieszkaniu na wrotkach i siłą rozpędu wpadła na ścianę? Że wcale jej nikt nie popchnął? Świadomie rezygnowała z tłumaczeń. Ratownicy domyślali się, co się stało, ale nic nie mówili. Ona

wiedziała, co się stało, ale udawała, że nie wie.

Na tym opierał się współczesny świat. Na udawaniu. Na unikaniu prawdy. Nikt nie chciał jej przecież słyszeć. I jeszcze na oszczędzaniu czasu. Nie dyskutowała z ratownikiem, żeby jak najszybciej opatrzył jej rany, sprawdził, czy tym razem nic poważnego się nie stało i żeby odjechał. Chudego nie było w domu, a mógł wrócić w każdej chwili z roboty i wkurzyć się, że podczas jego nieobecności doszło do kłótni.

– Coś panią boli?

– Głowa. I słabo mi się zrobiło.

Ratownik położył ręce na głowie i zaczął ją macać, a Patrycja w tym czasie obserwowała siedzącego w kącie Ryśka.

Wyglądał na zainteresowanego tym, co się wokół niej dzieje. Wyciągał szyję, jakby chciał widzieć więcej, i nadstawiał uszu. Chyba musiało mu na niej zależeć. Kiedyś na jakiejś imprezie powiedział jej, że ją kocha.

Dzisiaj to powtórzył. Wypili kilka piw, a potem przypomniała sobie, że mieszka teraz z Chudym i Rysiek nie powinien przychodzić podczas jego nieobecności. Nie chciała awantur i scen zazdrości. Poprosiła, żeby sobie poszedł.

To jej zrobił. Scenę miłości. Najpierw uderzył nią o ścianę, a potem w brzuch. Rozplakała się, a najstarszy syn zareagował tak, jak go uczyła. Zagarnął wszystkie dzieci do małego pokoju, zamknął się w nim i zadzwonił po pogotowie.

– Ile dzisiaj było alkoholu? Halo? – Ratownik oczekiwał odpowiedzi.

– Co?

– Pytam, ile wypła pani dziś alkoholu.

– Ja? Nic. Prawie nic. Już się dobrze czuję. Możecie sobie iść.

* *

Pierwszy rozległ się alarm, a później telefon gdzieś za ścianą. Nie mogła zignorować tych dźwięków. Siedziała na obskurnej kanapie i nieprzytomnym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń.

Komputer, telewizor, wyświetlacz, drukarka. Rozpoznawała kształty, ale potrzebowała chwili, żeby połączyć je z miejscem. Kanapa, książka, ciemność za oknem.

Zerknęła na zegar. Była pierwsza pięćdziesiąt cztery. Środek nocy, a ona odbywała właśnie swój kolejny dyżur. Musiała zasnąć. Dałaby sobie uciąć głowę,

że kilka minut po pierwszej czytała jeszcze książkę.

– Anka, wstawaj! – Haribo wszedł do pokoju.

Był gotowy do wyjścia. A przecież godzinę temu, kiedy wrócili z ostatniego wyjazdu, poszedł spać.

– Co tym razem? – spytała i zaczęła zawiązywać buty.

– NZK. Osiemdziesięcioletnia kobieta. Jedziemy w pierwszym.

Sześćdziesiąt sekund na wyjazd w nocy wydawało się Ance wynikiem nie do osiągnięcia. Czuła, że czas reakcji jej organizmu wydłużył się kilkukrotnie. Wiązanie butów wydawało się czynnością wysokiego ryzyka. Sznurowadła plątały się, a konieczność pośpiechu wszystko dodatkowo komplikowała. Do tego założenie kurtki, trafienie dłonią w rękaw. Wyjście. Najpierw drzwi, potem schody, potem wejście do karetki.

– NZK u osiemdziesięciolatki? – W korytarzu usłyszała głos Szczepana. – Uuuu, Pana Boga karetką nie przegonisz.

Anka jeszcze mocowała się z kurtką, a Haribo wraz ze Szczepanem stali w korytarzu i popędzali ją spojrzeniami. Godzinę temu widziała Szczepana przemykającego korytarzem w stronę łazienki. Miał na sobie jedynie skarpetki, gacie i koszulkę.

– Jak ty się ubrałeś?

– Normalnie. – Wzruszył ramionami i poszedł przodem.

– Chodzi mi o to, że tak szybko. – Pobieгла za nim.

– Po prostu nie musiałem się zastanawiać, w co się ubrać. – Zachichotał.

– Nie rozumiem. – Chociaż już jechali karetką na sygnale, Anka nadal nie ogarniała rzeczywistości. Potrzebowałyby dużo czasu, żeby nauczyć się błyskawicznie budzić na zawołanie o każdej porze nocy.

– Żart, to był żart. Lata praktyki i optymalizacja ruchów. Spodnie i buty ułożone obok wyra tak, żeby w nie tylko wskoczyć.

– Chłopaki, nie wiem, jak wy to ogarniacie, ale jestem pod wrażeniem. Gdyby ktoś kazał mi być ratownikiem tak na zawsze i musiałabym spać... to nie wiem. Nie widzę tego. Może wyrobiłabym się w czasie, ale spodnie miałabym założone odwrotnie, rozporciem do tyłu, buty: lewy na prawej nodze, kurtki mogłabym zapomnieć, że o czapce nie wspomnę. Raczej to ja potrzebowałabym pomocy, niż byłabym w stanie jej udzielać. I na pewno opierdzieliłabym ostro wszystkich, którzy wzywają nas do byle czego. Bólu głowy, który jest tylko bólem głowy, albo do...

– Dziewczyno, zawsze jak jesteś nieprzytomna, to tyle gadasz? – przerwał jej Haribo.

– Nie. Ale nie jestem nieprzytomna. Nie spałam. Jedynie jedno oko mi się zamknęło.

– Się nie przejmuj – Szczepan włączył migacz i zjechał z głównej drogi

w osiedlową – gdybyś już musiała być ratownikiem, to nawet jeśli raz byś zapomniała kurtki i czapki, i bez nich zaliczyłabyś wyjazd do wypadku drogowego podczas deszczu lub śnieżycy, to gwarantuję ci, że zapamiętałabyś, żeby następnym razem je zabrać.

– Jaki numer?

Podjechali pod blok, w którym każda klatka oznaczona była innym numerem.

– Dziewięćdziesiąt pięć.

– Tu jest dziewięćdziesiąt dwa, to jeszcze kawałek.

Przestrzeń między blokiem a trawnikiem była szczelnie wypełniona samochodami. Haribo musiał zaparkować karetkę, ale miejsce, które przed blokiem zwanym „deską” zarezerwowane było dla samochodów uprzywilejowanych, było zastawione. Ktoś tak bardzo spieszył się do domu, że zapomniał, że koperta, na którą wjazd zablokował, nie powstała z powodu widzimisie administratora budynku, ale na wypadek pożaru czy konieczności ratowania ludzkiego życia.

– Jak myślicie – Anka nagle poczuła się ożywiona. – NZK, czyli co? Tym razem będziecie mieli co robić? Chciałabym w końcu zobaczyć, jak ratujecie ludzkie życie.

– Też bym chciał. – Roześmiał się Haribo.

– Nagłe zatrzymanie krążenia to może być wszystko. Od akcji, która powinna ci się spodobać, po najmniejszą głupotę.

– Właśnie, jechałem kiedyś na NZK do czteromiesięcznego dziecka – wtrącił się Szczepan.

– I co? Przeżyło?

Wysiedli z karetki, pokonali drzwi wejściowe i zaczęli wchodzić po schodach.

– Ta, i dziecko, i matka.

– A czemu matka?

– Bo miała szczęście, że byłem dla niej tylko nieuprzejmy. Dotarliśmy na miejsce zmobilizowani na maksa, a okazało się, że dziecko sobie normalnie śpi. Oddycha. A matce wydawało się, że przestało.

Anka nie zdążyła skomentować, bo na trzecim piętrze otworzyły się drzwi, a jej oczom ukazała się zapłakana kobieta w średnim wieku.

– Proszę, proszę, moja mama nie żyje! – łkała.

Była w koszuli nocnej i miała czerwoną zapuchniętą twarz. Musiała wcześniej płakać, ale teraz po jej policzkach nie ściekały już żadne łzy. Otworzyła drzwi najszerzej, jak się dało, i czekała, aż próg przekroczy pierwszy ratownik.

Emocjonalna reakcja kobiety sprawiła, że Anka się cofnęła. Wspomnienie szarpaniny z Łukaszem oraz luźna rozmowa w karetce sprawiły, że przyznała kobiecie w myślach order największej panikary tego miesiąca.

To nie było jej pierwsze NZK i wiedziała, że zwykle to pojęcie stosowane jest na wyrost. Do mieszkania wchodzili właśnie wyszkoleni ratownicy, matka kobiety była więc od tej chwili w dobrych rękach.

– Jak długo to już trwa?

– Jakieś pół godziny, dwadzieścia minut? Nie wiem, może trochę więcej. Miała trudności z oddychaniem, ale... Boże, czy ona nie żyje?

Anka pojawiła się ostatnia w pokoju, w którym na łóżku leżała pacjentka. Mężczyźni przystąpili już do działania. Szczepan położył na ziemi defibrylator, zwany przez ratowników pieszczotliwie „telewizorem”, uniósł koszulę nocną pacjentki i przyłożył do jej ciała łyżki.

– Boże, Boże, czy ona żyje?

– Spokojnie.

– Mama od ponad roku nie wstawała już z łóżka.

– Dobrze, zaraz wszystko sprawdzimy. Spokojnie, proszę się odsunąć. – Szczepan dbał o to, by zdenerwowana kobieta nie utrudniała im pracy.

Nie było to łatwe, gdy w małym pokoju stały cztery osoby. Siłą rzeczy wszyscy utrudniali sobie poruszanie. Anka wycofała się więc do przedpokoju, jedynie jej głowa została w pokoju. Chciała przynajmniej mieć na oku to, co się tam działo.

– Asystolia. – Szczepan odczytał wskazania monitora.

Anka zerknęła na jego twarz. Pamiętała z przyspieszonego szkolenia, które przeprowadził jej drugiego dnia, że nie wszystko poddaje się defibrylacji. Szczepan był skupiony. Przykleił elektrody do ciała, zwiększył cechę na monitorze, zmienił odprowadzenie, sprawdził zapis. Następnie sprawdził źrenice, osłuchał serce i powiedział:

– Kończymy.

– O Boże. – Kobieta znowu zaczęła szlochać. – Nie żyje?

– Niestety.

– I co teraz, Boże, co teraz? Nie żyje. Mama nie żyje. Umarła. Co ja mam zrobić?

Powtarzała te same pytania i chodziła w kółko, na przemian ukrywając twarz w dłoniach i ją odkrywając. Nie panowała ani nad swoimi emocjami, ani nad ciałem, które otrzymało właśnie ładunek energii niedającej się spożytkować.

– Co mam zrobić? – Kobieta stanęła przed Anką.

Reakcja tej kobiety była dla Anki zupełnie nowym doznaniem. Jeździła z ratownikami od kilku dni, ale po raz pierwszy nie mieli nawet szans, żeby wygrać pojedynek ze śmiercią.

Nie to jednak najbardziej zajmowało jej myśli. Na kanapie leżało ciało staruszki. Kobiety, która miała osiemdziesiąt lat na to, by zrealizować swoje plany, wychować dzieci i zadbać o siebie. Kobiety, która miała już prawo umrzeć.

Kobiety, która nie budziła w niej żadnych emocji.

– Co mam teraz zrobić? Boże, mama nie żyje. Muszę zadzwonić do siostry.

– Spokojnie. – Szczepan powoli wypowiadał kolejne zdania. – Gdzie możemy usiąść?

Kobieta zaczęła się rozglądać wokoło.

– Nie, nie tu – zaprotestował, widząc jej reakcję. – Możemy gdzieś indziej? – Spojrzał znacząco w stronę sąsiedniego pokoju.

– Tak – przytaknęła, ale wyglądała na nieobecnych myślami.

– To chodźmy. Usiądziemy i wszystko pani wytłumaczę.

Tembr głosu ratownika był niższy niż zwykle. Mężczyzna wręcz promieniował spokojem. Ruchy jego ciała, gestykulacja, wyraz twarzy i głos, to wszystko dawało niezwykły efekt. Z jednej strony ogromnego dystansu, z drugiej szacunku do uczuć córki zmarłej kobiety.

Anka pomyślała sobie, że Szczepan mógłby dorabiać po godzinach w szkole jogi. Gdyby kazał zamknąć jej oczy i wczuć się w swój oddech, a potem mówiłby o spokoju i wewnętrznej równowadze, na pewno by ją odnalazła.

* *

– Cześć. To ja.

– Hubert?

– Dokładnie.

– Czego znowu chcesz?

– Przestań, kurwa, z tym „znowu”. Dzwonię do ciebie z dobrej woli. Chcę się pogodzić, a ty wyjeżdżasz z tą swoją beznadziejną gadką.

– Z dobrej woli? Zawsze potrafiłeś mnie rozśmieszyć. Jest jeszcze ktoś, kto nabiera się na te twoje manipulacje?

– Przestań. Zapomnijmy o wszystkim.

– Ta, napijmy się i zapomnijmy, co? Jak zwykle na mój koszt?

– Skoro mówisz o pieniądzach... Chcę ci oddać wszystko. Co do grosza. Spotkaj się ze mną. Byłem ostatnio u ciebie, ale byłeś w pracy. Gadałem tylko z twoją żoną.

– Ty mi oddasz. Znowu świetny żart. Słuchaj, jest środek nocy, nie będę tracił czasu na beznadziejne rozmowy.

– Poczekaj, nie rozłączaj się. Wyszedłem z więzienia. Zmieniłem się. Mam pracę i kobietę. Pożyczyłem od niej kasę. Zwrócę ci wszystko co do grosza.

Zaczynam nowe życie i nie chcę mieć wrogów. Ani długów.

– Chcesz kupić sobie czyste sumienie?

– Nawet jeśli, to chyba na tym nic nie stracisz. W końcu jesteś moim bratem.

Nie spałoby ci się spokojniej, gdybyś wiedział, że między nami już wszystko gra?

– Nigdy nie będzie grało.

– Ale przynajmniej mogę oddać ci to, co twoje. Reszta zależy od ciebie.

* *

– Tym razem nie wygraliśmy wyścigu ze śmiercią.

– Nie zawsze możemy wygrać. Czasem w zmaganiach z nią jesteśmy bez szans.

Wrócili na podstację. Haribo poszedł prosto do łóżka, a Szczepan zatrzymał się na schodach i wyciągnął papierosy.

– Palisz?

– Nie.

– Nie wkurza cię to, że nie zawsze wam się udaje?

Byli sami. Otaczała ich ciemność i cisza. Osiedle już dawno zasnęło. Tylko w kilku oknach paliło się światło. Szczepan stał obok lampy zainstalowanej na elewacji. Był bardzo dobrze widoczny, dzięki czemu Anka miała pewność, że materiał, który nagrywa kamera ukryta w jej mundurze, będzie nadawał się do emisji.

– Cieszy mnie, jak wygramy z kostuchą.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Nie? Jakie zatem było pytanie?

– Czy nie wkurza cię to, że nie zawsze udaje wam się uratować człowieka?

– Wkurza mnie... Najbardziej wkurza mnie... – Szczepan zaciągnął się papierosem, a po dłuższej chwili wypuścił dym nosem.

Mniej więcej w tym samym czasie Anka wydychała powietrze i zauważyła, że z jej ust także ulatuje coś podobnego do dymu. Nie czuła, żeby było jej zimno. Nadal była rozemocjonowana po wizycie.

– No? Dawaj, co cię wkurza?

– Wkurza mnie ludzka głupota. To, że ludzie wzywają nas czasem do przysłowiowego bólu dupy albo bezdomnego, któremu to, że przyjedziemy i na niego popatrzemy, w niczym nie pomoże. Nie rozwiąże jego problemów lokalowych ani nie sprawi, że człowiek ten pójdzie do lekarza. I że realizujemy te

wszystkie wyjazdy, a dokładnie w tej samej chwili może zabraknąć karetki dla kogoś, kto naprawdę potrzebuje pomocy.

– Śmierć? Czy ona cię jeszcze rusza?

Znowu zaciągnął się papierosem i spojrzał jej prosto w oczy. Nie potrafiła zinterpretować tego spojrzenia.

– I co mam ci powiedzieć?

– Jak to co? – Roześmiała się nerwowo. – Prawdę.

– Nie moglibyśmy funkcjonować w tym zawodzie, gdybyśmy nie dystansowali się od wszystkich okropnych rzeczy, które zmuszeni jesteśmy oglądać.

– My, my, my. Nie wiem, czy jesteś tego świadomy, ale kiedy próbuję rozmawiać z którymś z was, wszyscy zasłaniaacie się podmiotem zbiorowym. My tak myślimy, my tak robimy, to czujemy, a tego nie. Nie wmówisz mi, że jesteście dokładnie tacy sami. Obserwuję was przecież.

– I co widzisz?

– Że każdy z was nosi maskę. Nie zrozum mnie źle. Nie oceniam tego. Każda branża przywdziewa maski. Twoja, moja... Każda. Ale wasza maska jest tak gruba. Przyglądając się wam pobieżnie, można stwierdzić, że płacą wam za to, że jeździe szydzić z cudzego nieszczęścia.

– A co? Myślisz, że tak nie jest?

Cwaniacki uśmiech, który pojawił się na twarzy Szczepana, był znakiem dla Anki, że nie jest jeszcze gotowy na prawdziwie szczerą rozmowę. Nie mogła jednak zrezygnować z szansy. Byli sam na sam, a panujący wokół klimat sprzyjał budowaniu dobrych stosunków.

Szczepan powoli dopalał papierosa.

– Kilkakrotnie podczas ostatniego wyjazdu powtórzyłeś: „spokojnie” – zmieniła temat – chociaż wydawało mi się, że jest to słowo, którego ratownicy unikają.

– Bo działa jak zaklęcie. Złej wróżki.

– To znaczy?

– Jeśli życzysz komuś spokojnej zmiany, to wiadomo, że się najeździ do sraczek, porodów i innych psujących się ludzi. A jeśli spokojnej nocy, to pewnie nawet oka nie zmruży.

– A sen?

– Co z nim?

– Potrafisz zasnąć wszędzie?

– Tak.

– Jakość snu w domu a na podstacji jest taka sama?

– Nie. W domu śpię spokojniej, a sam sen jest głębszy.

– Spokojniej, ale nadal czujnie?

– Chyba nie. Jak śpię w domu, to nic mnie nie rusza. Awantury za ścianą, biegające dzieci, kot łążący po głowie. Ale dźwięk pracującej drukarki budzi mnie od razu.

W zasięgu ich wzroku pojawiła się karetka. Ratownicy z drugiego zespołu wracali z wyjazdu. Anka szacowała, że nie zostało jej więcej niż cztery pięć minut szczerzej rozmowy. Zaryzykowała więc i zadała ostatnie pytanie.

– Śniesz czasem?

– Mam sny, ale w pracy rzadko kiedy one są fajne. Zwykle działam pod presją czasu, gonię kogoś albo uciekam, walczę z kimś albo ratuję ludzi. Sny zwykle są bardzo realne. – Karetka parkowała właśnie na swoim miejscu. Szczepan wyrzucił peta i przydepnął go butem. – Idę spać. I tobie też radzę...

* *

– Idę spać i tobie też radzę. Nie wiadomo, ile razy tej nocy będziemy wyjeżdżać. Zregeneruj się, kiepsko wyglądasz.

Słowa Szczepana długo jeszcze rozbrzmiewały w głowie Anki. Zwierzak i Cygan napili się wody, opowiedzieli jej o wyjeździe do omdlenia w Domu Pomocy Społecznej i poszli spać.

Została na kanapie. Z książką w rękę. Ale historia opowiadana przez autora zupełnie jej nie wciągała. Czowała, że jest bardzo zmęczona. Z jednej strony czas reakcji na wydarzenia się wydłużył, z drugiej zwiększyła się wrażliwość, z jaką patrzyła na świat.

Tymczasowość pomieszczenia zaatakowała ją ze zwielokrotnioną siłą. Tym razem jednak uznała, że stare kanapy, fotel i krzesła idealnie pasują do tego miejsca. Podkreślają jego charakter i uprzedzają nowo przybyłych:

– Jestem tu od dawna i być może niebawem mnie już tu nie będzie. Przynajmniej nie powinno, bo przecież za chwilę się rozwalę. Tymczasowo jednak stoję. A jeśli ty zostaniesz tu na dłużej, gwarantuję, że też zostaniesz zassany przez dziurę tymczasowości.

Chwilowo miała wolne. Najgorsze było jednak to, że nie wiedziała jak długo. Czułaby się o wiele bardziej komfortowo, gdyby mogła gospodarować swoim czasem. Gdyby dostała harmonogram wizyt planowych podczas dyżuru. Wiedzialaby wtedy, że do kolejnego wyjazdu zostało jej na przykład pięć minut. Albo sto pięćdziesiąt pięć.

Niepewność nie nastrojała jej pozytywnie. Zwłaszcza, że była połączona ze

zmęczeniem.

– Zregeneruj się, kiepsko wyglądasz.

Słowa Szczepana wracały jak bumerang. Nawet jeśli miałyby wyglądać jeszcze gorzej niż kiepsko, nie wyobrażała sobie, żeby położyć się na kanapie z zamiarem zaśnięcia. Wstała więc z kanapy, podeszła do okna, otworzyła je i w poszukiwaniu nowego źródła energii zaczerpnęła kilka wdechów zimnego powietrza.

Musiała uporządkować myśli.

Z Łukaszem rozstała się w ogromnej złości. Pchnęła go, ale na szczęście nie spadł ze schodów. W ostatniej chwili złapał się poręczy, a Anka w tym czasie uporała się z zamkiem. Drzwi zatrzasnęła mu dosłownie przed nosem. Przez dłuższą chwilę wykrzykiwał coś, co Wiktor pewnie nazwałby groźbami karalnymi, ale starała się tego nie słuchać.

– Wiktor – przypomniała sobie o mężczyźnie, z którym spędziła noc.

Spędzić noc to były idealnie wysmakowane i pojemne słowa, w których starała się ukryć zmysłowy maraton. Oboje zachowywali się jak narkomani na głodzie. Na tak ogromnym, że pierwsza dawka nie przyniosła ukojenia. Jedyne rozbudziła apetyt. Po szczytowaniu zasnęli przyjemnie zmęczeni, ale koło trzeciej w nocy obudził ich krzyk dochodzący z zewnątrz. Wystarczyło wtedy, że spojrzeli na siebie i okazało się, że nie mogą od siebie oderwać. Nie tylko oczu, ale i rąk.

Bała się ponownego spotkania z Wiktorem. Chwili, w której spojrzył mu w oczy. Obawiała się, że gdy do tego dojdzie, przez jej biodra znowu przejdzie bolesny skurcz, a ciało zacznie skomleć: „dotknij mnie, dotknij”.

Z drugiej strony równie mocno martwiła ją myśl, że staną naprzeciwko siebie, a ona nie poczuje nic. Całkiem obojętne, mocno letnie i bezsmakowe nic.

Ponownie tego dnia wybrała jego numer, a kiedy nie odebrał, zdecydowała, że zostawi mu wiadomość. Nie miała wyjścia. Musiała zmierzyć się ze swoim strachem. Prędzej czy później.

Z takich alternatyw zawsze wybierała „prędzej”. Zwłaszcza, że tym razem miała ważny pretekst do spotkania. Rozmowa z właścicielem salonu fryzjerskiego przyniosła nowe i ważne informacje, które musiała zweryfikować.

– Wiktor? – Starła się, żeby jej głos brzmiał najnormalniej na świecie. – Odezwij się do mnie. Proszę. Nie śpię. Jestem na dyżurze w pogotowiu. Słuchaj, rozmawiałam z kimś... Mam kilka wątpliwości, które może rozwiąże jedynie rozmowa z Kapelusznikiem. Jadę do niego. Jutro. Przycisnę go. Słuchaj, chciałabym, żebyś ze mną pojechał. Bez względu na wszystko... – Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymała. Wiktor nie lubił mieszania interesów i życia prywatnego. – Po prostu czułabym się bezpieczniej, gdybyś mógł mi towarzyszyć.

ROZDZIAŁ 10

Otaczała go pustka. Tak przynajmniej lubił myśleć. Na poligonie czuł się lepiej niż u siebie w domu. Przestrzeń pozbawiona zabudowań, drzew i ludzi dawała mu duże pole do popisu. Mógł detonować wszystko, co tylko chciał.

Musiał przyznać, że polska rzeczywistość uległa znacznej zmianie. Kiedyś ładunki wybuchowe używane były przede wszystkim przez zwalczające się grupy przestępcze. Teraz mieli do czynienia z gówniarzami, którzy chcą się zabawić, z psycholami, którzy szukają wrażeń lub sławy, i z terrorystami.

Zwykle w sytuacjach pełnego skupienia przypominały mu się złote myśli, a raczej smutne prawdy pirotechników. Nie wstydź się myśleć, myśleć możesz wiele razy, a pomylić się tylko raz. Nawet zabezpieczona bomba może wybuchnąć. Bomba przestaje być niebezpieczna dopiero po detonacji.

Ta, którą właśnie umieścił w specjalnie wykopanym dole, za chwilę miała stać się bezpieczna. Nie mógł już doczekać się tego błysku, huku i gwałtownego wydzielenia się znacznej ilości gazu.

Rozłożył w kilku miejscach kostki pirotechniczne, spiął je i przyczepił do kabla. Był skupiony i spokojny. Tym razem zachował wszelkie środki ostrożności. Za chwilę miało nastąpić to, co najbardziej lubił.

Ciekawił go efekt. Zamknął materiał w małym pojemniku, specjalnie, żeby zwiększyć ciśnienie. Wiedział, że prędkość spalania rośnie wraz ze wzrostem ciśnienia. Pokombinował też trochę z proporcjami i dał więcej reduktora. Tym razem chciał zobaczyć dym. Dużo więcej dymu. Więcej niż ostatnio.

– Stegi, na co czekasz? – głos Rudiego przypomniał mu, że nie jest na poligonie sam. – Detonujemy?

Kiwnął głową. Wiedział, że jeśli eksperyment się uda, to następnym razem na warsztat weźmie siłę rażenia.

* *

– Tu jesteś! – Anka wpadła do Primo TV z takim impetem, że niemal przewróciła regał, który właśnie minęła.

Był środek tygodnia, godzina dziewiąta dwanaście. Artur zrobił sobie kawę i przystąpił do nadrabiania zaległości z wczoraj. Chciał się z nimi uporać, zanim

zostanie zarzucony zadaniami na dziś.

– Jestem tu. A gdzie miałbym według ciebie być o tej porze?

– Nie wiem. Nawet nie chce mi się myśleć. Nie wiem, gdzie miałabym cię szukać. Szukać, gdyby cię tu nie było...

Artur odwrócił wzrok od komputera. Anka cedziła zdania, jakby ktoś wyssał z niej całą energię. Wyglądała też nienajlepiej. Miała czerwone i podkrążone oczy oraz zapuchniętą twarz.

– A szukałabyś mnie, bo...?

– Bo? – powtórzyła, jakby nie zrozumiała pytania.

– W jakim celu? Anka, ty się dobrze czujesz?

– Dobrze. To znaczy, czuję się tak, jakbym przyjechała tu prosto z nocki w pogotowiu.

– A przyjechałaś?

– Nie, no coś ty.

Nawet jeśli jej słowa miały wyrazić oburzenie, to ani twarz, ani reszta ciała na to nie wskazywały.

– Dlaczego ci nie wierzę?

– Zawsze jesteś podejrzliwy.

– Anka, mnie przecież nie oszukasz. Wyglądasz dziś dość kiepsko. Dlaczego? Coś się stało?

– A ty zawsze tak wyglądasz. To znaczy zawsze wyglądasz kiepsko.

– Dziękuję – odpowiedział uśmiechem. – Wiesz przecież, że nie wyprowadzisz mnie z równowagi. Co jest? Spałaś dziś?

– Byłam w domu.

– Spałaś?

– Nie zdążyłam. Zamiast przed siódmą skończyliśmy zmianę chwilę przed ósmą. Masakra.

– A w nocy spałaś?

Pokręciła głową.

– Słuchaj, potrzebuję cię.

– Mam się wyspać za ciebie? Dobra, nie ma sprawy.

– Nie. Chciałabym, żebyś pojechał teraz ze mną.

– Zaraz, zaraz! Czy ja dobrze słyszę?

Do Artura najpierw dotarł głos Joanny, a później dopiero ją zobaczył. Weszła do pokoju i podbiegła do Anki.

– Nigdzie go nie zabierzesz, on zaraz jedzie ze mną! – wrzasnęła tak głośno, że Anka wykrzywiła twarz.

– Nic mi o tym nie wiadomo! – zaprotestował.

– To już ci wiadomo. Zbieraj się. Jedziemy. Materiał priorytetowy dla stacji. Na bank będzie emisja w wieczornych informacjach.

Nie zamierzał się ruszać. Nie chciał być narzędziem w rękach Joanny. Czuł, że w tym wszystkim chodzi nie tylko o wykonywanie obowiązków służbowych, ale o prywatną wojnę między Joanną a Anną.

– Ale...

Rogozińska próbowała coś powiedzieć, ale została zagłuszona przez Joannę. Po chwili w pokoju pojawił się Grabowski.

– Co to za krzyki? Pani Anno, znowu urządza pani awantury?

Anka przewróciła oczami. Artur odpowiedział jej mrugnięciem.

– Ja? Awantury? Ależ skąd. Przyszłam prosić dziś jedynie o dzień urlopu.

– Urlop? Bez uprzedzenia? Chyba sobie pani żartuje! – Grabowski zareagował z taką złością, jakby przynajmniej poprosiła go o podwyżkę. Znaczną podwyżkę.

– Na żądanie. Przysługuje mi przecież! Poza tym w interesie Primo TV jest to, żeby mi go udzielić. Zwłaszcza, że dziś w pogotowiu mieliśmy pacjenta z bardzo niebezpieczną chorobą zakaźną. Jeśli mnie zaraził, to znaczy, że ja będę zarażać was. Może więc jednak lepiej, żebym dostała dziś wolne i poszła się przebadać?

* *

Artur zrozumiał jej sarkazm i nawet odprowadził ją do drzwi. Zapewne chciał dopytać, w czym miałby jej pomóc, ale nie miał okazji. Joanna nie odstępowała go ani na krok, jakby bała się, że Anka ukradnie jej najlepszego operatora.

Tak się składało, że Rogozińska akurat nie potrzebowała specjalisty z kamerą, ale kierowcy. Z krwi i kości, któremu mogła zaufać i przy którym czuła się bezpiecznie. Wiktor był w pracy, Łukasz odpadał, bo nie spełniał kryterium bezpieczeństwa, a Artura zabrała Joanna.

Anka nie miała więc wyjścia. Musiała zrobić to sama, chociaż zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest to rozsądne.

Na stacji benzynowej zatankowała do pełna i kupiła największą dostępną kawę. Nie była kawoszem, ale dziś potrzebowała ogromnej dawki kofeiny. Wiedziała, że dwugodzinna podróż będzie monotonna, a nie chciała zasnąć za kierownicą. Na dobrą sprawę mogłaby zasnąć nawet teraz. Na stacji benzynowej.

Wróciła do samochodu i w chwili, w której opuszczała stację, poczuła się,

jakby wylatywała w kosmos. Była przerażona, ale i podekscytowana.

Czerwony citroën włączył się do ruchu, a kilkanaście minut później minął granice Poznania. Z głośników samochodowych wydobywał się głos radiowego didżeja Jurka:

– Agnieszka pisze, że wypła już trzy kawy i nadal nie może ogarnąć tego dnia. Ewelina skarży się, że boli ją życie. Kochani! Mnie też boli, ale czy to jest powód, żeby się smucić? Może zwyczajnie nadszedł czas, by polubić ten ból? No właśnie, a teraz zagramy utwór z jedenastego miejsca naszej listy przebojów. „Sucker for pain”! To co? Zaśpiewajmy razem, że jesteśmy łasi na ból.

– *I torture you. Take my hand through the flames.*

Anka od razu rozpoznała głos amerykańskiego rapera. Wiedziała, że po subtelnym *intro* pojawi się rytm, który zawsze wprawiał ją w bardzo dobry nastrój. Sprawiał, że miała ochotę kiwać się na prawo i lewo. Powoli i zmysłowo. Zrobiła głośniej.

– *I wanna chain you up. I wanna tie you down.*

Chcę cię przykuć. Chcę cię związać. Nie identyfikowała się ze słowami, które śpiewała, ale nie mogła oprzeć się, by ich nie powtarzać. Nie znała się na muzyce, odbierała ją zawsze intuicyjnie, ale uważała, że „Sucker for pain” był przykładem utworu przemyślanego. Zróżnicowane wokale idealnie przegryzały się przez muzykę i stawały się kolejnym instrumentem służącym do przekazywania emocji.

Emocje. Z radiodbiornika wyływało mnóstwo emocji. Szaroburych, smolistych – idealnie oddających jej samopoczucie. Anka była tak zmęczona, że nie stać jej było na nic ponad spokój. Organizm korzystał z rezerw energii, automatycznie wyłączył więc obszary zużywające jej zbyt wiele. Radość. Złość. Podniecenie.

– *You don't know me...*

Mijała kolejne miasto na drodze do Rawicza i poruszała głową w rytm muzyki. Gdyby miała uzupełnić fonię obrazem, zdecydowałaby się na scenę, w której stoi na środku zniszczonej hali, naprzeciwko przystojnego mężczyzny w garniturze. Patrzy mu prosto w oczy. Uśmiecha się bezczelnie i z ogromnym spokojem wyrzuca z siebie słowa, które jak pociski przecinają przestrzeń dzielącą ją od mężczyzny:

– Mam w dupie, co o mnie myślisz. Taka już jestem. Nieważne, co powiesz, nieważne, co zrobisz... Taka jestem i wcale się tego nie wstydzę.

Szczerść. W kontaktach międzyludzkich to ona miała dla Anki największe znaczenie. Najbardziej komfortowo czuła się w towarzystwie ludzi, wobec których mogła być stuprocentowo szczerą.

– *I'm just sucker for pain. Just sucker for pain. Sucker for pain. For pain. Pain.*

Chciała zatrzymać w sobie jak najwięcej aury tego utworu. Spokój, dystans, beczelna pewność siebie i opanowanie. Wiedziała, że za kilkadziesiąt kilometrów to wszystko okaże się niezbędne.

* *

- Żałuj, że cię nie było!
- To była świetna akcja!
- Wszyscy wpadli w panikę!
- Wszyscy, łącznie z tobą.
- A czy ja mówię, że nie?

Kinga i Baśka, koleżanki z redakcji „Nowości”, przekrzykiwały się, opowiadając o fałszywym alarmie. Łukasza bolała głowa. Wczoraj zdecydowanie przesadził z alkoholem. Nie potrafił jednak inaczej poradzić sobie z najgorszym dniem jego życia.

– Wyobrażasz to sobie? Sekretarka połączyła rozmowę z szefem. Szepnęła Kindze, że dzwoni jakiś policjant. Po chwili szef wyszedł ze swojego pokoju. Był blady jak ściana. A wiesz przecież, że to trudne, bo biega na solarium chyba dziesięć razy częściej niż ja do kosmetyczki. No w każdym razie szef wyszedł i poprosił o uwagę. Akurat gadałam z kumpelą przez fejsa. Oderwałam się niechętnie i co słyszę? Proszę państwa o spokój. W naszym budynku najprawdopodobniej znajduje się bomba. Musimy się ewakuować.

– Właśnie! – wtrąciła Kinga. – A później to już było tak jak w filmach. Nie wiem, po co była prośba o spokój. Wszyscy zaczęli panikować. Nie było wiadomo, co robić. Zapisywać pliki? Zabierać co cenniejsze rzeczy? Uciekać bez zastanowienia?

– No ale o co takie halo? – Łukasz wzruszył ramionami. – Nic się przecież nie stało. Emocjonujecie się, jakby... nie wiem. W Paryżu byłoby to nie do pomyślenia.

– Ale Łukasz, zrozum! Nagle dowiadujesz się o bombie. – Baśka wstała od komputera i zaczęła opowiadać z takim zaangażowaniem, jakby przeżywała to wszystko na nowo: – Za chwilę może cię nie być. Owszem, pojawiają się luźne myśli, że być może to fałszywy alarm, ćwiczenia albo jakiś głupi żart, ale rozglądasz się wokoło i widzisz, że wszyscy uciekają. Paniką zarazasz się chyba jeszcze szybciej niż kiedyś cholera.

– Przesadzacie dziewczyny. Prawdziwa panika to była w Paryżu. Tam

naprawdę ginęli ludzie.

– Ta – zachnęła Kinga.

Miała już dość ignorancji i zadufania kolegi. Znana była z tego, że zawsze mówiła to, co ślina przynosiła jej na język – zatem i tym razem nie ograniczała się. Wydęła usta, obniżyła głos i – naśladowując mimikę Łukasza – powiedziała:

– W Paryżu, Paryżu...

Baśka roześmiała się głośno, ale karcące spojrzenie Łukasza kazało jej się powstrzymać od ciągu dalszego. Nie zadziało jednak na Kingę, która nie zamierzała odpuścić.

– Łuki, co ten Paryż z ciebie zrobił? Wróciłeś z kilkudniowego wyjazdu i stałeś się nie do wytrzymania. Wydaje ci się, że zjadłeś wszystkie rozumy? To uważaj, czas zejść na ziemię. Jeśli nie zauważyłeś, jesteś już w Polsce. Z nami. A my nie damy ci się tak szarogęścić.

– A ty myślisz, że co? To, że przeżyłaś ewakuację spowodowaną tym, że ktoś zostawił na klatce schodowej reklamówkę z pustym kartonikiem od butów, czyni cię cudownie ocalałą? Przecież ekscytowanie się tym jest ekstremalnie głupie. Zupełnie jakbyś podniecała się, że dziś właśnie jest promocja jogurtów w sklepie na rogu. Za opakowanie zapłacisz jedynie złoty dziewięćdziesiąt dziewięć, a nie dwa trzydzieści.

– Wiesz co? – Kinga zawiesiła głos. – Nie wiem, kiedy stałeś się zarozumiałym dupkiem.

– Ja za to wiem, kiedy ty zostałaś głupią cipą.

– Każdą kobietę, której nie udało ci się przelecieć, nazywasz głupią cipą?

– Hola, hola, drodzy państwo! – Baśka zdecydowała się interweniować.

Łukasz i Kinga siedzieli przy swoich biurkach i zza ekranów swoich komputerów obrzucali się wzajemnie wściekłymi spojrzeniami. Wydawało się, że jeśli jedno z nich wstanie, to drugie wykorzysta okazję i rzuci mu się do gardła.

– Przypominam wam, że jesteście w pracy. Możecie mieć odmienne zdania, ale na Boga, zachowajcie przynajmniej pozory kulturalnej konwersacji.

– Na mnie nie patrz, to on zaczął. – Kinga odwróciła głowę.

– W Paryżu takie rzeczy dzieją się naprawdę, w Polsce jedynie gówniarze robią sobie jaja, a niedopchnięte panienki się tym ekscytują.

Baśka podeszła do biurka kolegi i usiadła na blacie. Lubiła go, ale dzisiaj rzeczywiście przesadzał. Z Paryżem, z brakiem wyczucia i empatii.

– Łuki, wyluzuj.

Nachyliła się w jego kierunku tak, żeby nikt nie słyszał, co ma mu do powiedzenia, ale zapach, który wydzielalo jego ciało, sprawił, że musiała się cofnąć. Przetrawiony alkohol wydobywał się wszystkimi gruczołami potowymi, a z ust Łukasza śmierdziało gorzałą. Dopiero teraz zauważyła, że jest pijany. Jego oczy były przekrwione, a źrenice rozszerzone.

- Imprezowałeś wczoraj? – spytała szeptem.
- I wczoraj, i dziś, i jutro.
- Łuki, co się dzieje? Imprezy, podenerwowanie, nazywanie nas niedopchniętymi panienkami... to przecież nie w twoim stylu. To Paryż cię tak zmienił czy...?
- Co cię to, kurwa, obchodzi?! Być może przyszedł czas na zmiany. Za dobry byłem. Dla was wszystkich.

* *

- Chciałam porozmawiać z osadzonym.
- Nazwisko.
- Rogozińska.
- Nie mamy takiego.
- Anna Rogozińska. Jestem dziennikarką i byłam już u was. Mam zgodę na widzenia od prokuratora.
- Z kim widzenie?
- Marcin Nowak. – Anka podała imię i nazwisko Kapelusznika.
- Chwilę, muszę sprawdzić. Dowód osobisty proszę.

Strażnik zamknął okienko. Ance nie pozostało nic innego jak czekanie. Zerknęła na listę pytań, które zapisała sobie w nocy, podczas dyżuru. Od czwartej do szóstej nie mieli żadnego wyjazdu, wykorzystała więc ten czas na zebranie myśli związanych z Chudym i Kapelusznikiem.

Jeśli to Chudy zabił Błażeja Puchalskiego, to musiał mieć motyw. Nie wiedziała jednak jaki. O to chciała zapytać Kapelusznika. Trudno było znaleźć powiązanie między Chudym a Puchalskim – dzieliło ich właściwie wszystko.

Fryzjer mówił, że Błażej był młodym chłopakiem skupionym na sobie i imprezach. Chudy był recydywistą, dopiero co wyszedł z więzienia i przynajmniej teoretycznie powinien obracać się w zupełnie innym środowisku.

Błażej kradł z salonu perhydrol. Anka wyczytała w internecie, że czysty nadtlenek wodoru jest niedostępny w sprzedaży ze względów bezpieczeństwa. Trzydziestoprocentowy roztwór stosowany we fryzjerstwie może być wykorzystywany również do produkcji barwników organicznych, do oczyszczania kości z tkanek miękkich, ale również do oczyszczania dywanów z trudnych do usunięcia plam czy czyszczenia starych monet.

Szczególnie jednak zaintrygowały ją względy bezpieczeństwa. Poszperała na

różnych forach internetowych i dotarła do informacji, że perhydrol może być używany również jako pełnoprawny odczynnik chemiczny także do produkcji materiałów wybuchowych.

Uznała to za jedyny ślad łączący Błazeja z Chudym. Jeden dysponował odczynnikami chemicznymi w ilości nielimitowanej, a drugi kochał wybuchy.

Za drzwiami najpierw słychać było kroki, a później szczepek otwieranych drzwiczek. Za kratami pojawiła się roześmiana twarz strażnika.

– Rzeczywiście, zgoda... była. Jednorazowa.

– Ale ja pana bardzo proszę.

– Nie ma zgody, nie ma wejścia.

– A jeśli zadzwonię do prokuratora?

– I tak pani nie wejdzie.

– Zrobię z panem wywiad. Nie chciałby pan się zobaczyć w Primo TV?

– Żegnam.

– Proszę! To sprawa życia i śmierci. Jeśli nie porozmawiam z osadzonym, to zginą ludzie. On wie coś, co może zapobiec tragedii.

– Niestety. Nawet gdyby miała pani zgodę, to się nie da. Osadzony ma karę. Przebywa w izolatce. Nie ma mowy o widzeniu, nawet gdyby pod drzwiami pojawił się sam papież.

* *

– Przeanalizowaliśmy bilingi mężczyzny wzywającego karetkę.

Braun spojrział na Wagnera, policjanta kryminalnego, z którym wielokrotnie współpracował, i starał się odczytać z jego twarzy ciąg dalszy. O wiele łatwiej było mu się z nim komunikować niż z jego nowym partnerem, Jakubem Szukalskim, którego poznał przy okazji ataku na ratownika.

Zaatakowany Andrzej Lewandowski nadal był nieprzytomny i nie mógł pomóc im w śledztwie. Jego żona zaczynała się niecierpliwić i wypowiadać się w telewizji, co oczywiście nakręcało niebezpieczną dla prokuratury i całego śledztwa machinę medialnego zainteresowania.

Braun wykonywał swoją pracę zawsze z takim samym zaangażowaniem. Nie potrzebował motywacji w postaci kamer, obserwujących każdy jego ruch. Zwłaszcza, że sprawca nadal przebywał na wolności i – jak można było się domyślać – śledził doniesienia medialne.

– Dobra, nie stopniuj mi tu napięcia. Co masz?

Wagner sięgnął do teczki, wyjął z niej jedną kartkę i położył na biurku.

– Tym razem nie było dużo do analizowania. – Wiktor roześmiał się i wziął ją do ręki.

Zwykle po ustaleniu numeru telefonu sprawcy i uzyskaniu danych od operatora telefonii komórkowej na jego biurku pojawiał się plik dokumentów, których analiza wymagała poświęcenia sporej ilości czasu.

– No nie.

– I jakie wnioski?

– Karta aktywna jest dopiero od trzech tygodni. Oczywiście niezarejestrowana. Używana sporadycznie. Na pewno nie był to jedyny numer, z którego korzystał sprawca. Dzisiaj ludzie bez przerwy gadają przez komórki, a tu tylko kilka połączeń. Jasne jest, że sprawca kupił ten numer z zamiarem wykorzystania go w jednym, określonym celu. Siedem dni przed telefonem na pogotowie zupełnie czysto. Zero połączeń.

– A te wcześniejsze?

– Wszystkie z jednego miejsca.

– Czyli co? Możemy założyć, że mamy jego centrum życiowe?

– Wszystko na to wskazuje.

– W takim razie nie ma na co czekać. Trzeba facetowi spojrzeć prosto w oczy.

* *

Dzięki telefonicznej interwencji Wiktora Ance udało się sforsować drzwi do zakładu karnego. Siedziała więc na krześle u dyrektora więzienia, ale satysfakcja z dokonania czegoś, co kilkanaście minut temu wydawało się niemożliwe mieszała się z poczuciem porażki.

Postawiła Wiktora przed faktem dokonanym. Poinformowała go esemesem, że stoi przed bramami więzienia i że musi do niego wejść. Oddzwonił i zaprotestował, bo przecież zawsze mówił jej o tym, że nie może nadużywać kontaktów i władzy.

Nie uszanowała tego. Nalegała. W końcu uległ. Wyczuła w jego głosie kapitulację i coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, czy było warto. W ciągu kilku minut rozmowy telefonicznej maksymalnie wyeksploatowała ich relację prywatną. Wykorzystała to, co budziło się między nimi. Zaprzepaściła

budzące się zaufanie.

– Jest mi przykro, ale mimo protekcji nie będzie pani mogła rozmawiać z Nowakiem. Odbywa właśnie karę. Proszę przyjechać za dwa dni.

Dyrektor nie wyglądał na kogoś, komu kiedykolwiek mogło być przykro. Miał zmęczoną twarz, która wyglądała jak zaschnięta skorupa. W ogóle wyglądał tak, jakby kilka lat temu zastygł na tym fotelu.

– Rozumiem, chciałam jednak zapytać o Huberta Rozwadowskiego. Siedział razem z Kapelusznikiem, ale niedawno wyszedł. Czy istnieje jakaś możliwość, żeby obaj mężczyźni nadal mieli ze sobą kontakt? Nie wiem, jakiś ukryty telefon komórkowy w celi Kapelusznika? Cokolwiek?

Mężczyzna westchnął tak ciężko, jakby liczył, że przytłoczy reakcją Ankę i wycofa ona najpierw swoje pytanie, a później swoje ciało z jego gabinetu. Odczekał kilka sekund, jakby dając jej szansę na ucieczkę, a później odezwał się tonem wyrażającym zniecierpliwienie i lekceważenie:

– Szanowna pani, osadzeni mają kilka możliwości kontaktowania się ze światem zewnętrznym. Ukryty telefon komórkowy jest jednak najgłupszym pomysłem. Personel Zakładu dysponuje wykrywaczami częstotliwości GSM, co w praktyce oznacza, że wszystkie pomysły polegające na ukrywaniu w celach telefonów komórkowych są błyskawicznie dekonspirowane.

– Skoro nie komórka, to co? – Udawała, że nie zauważyła lekceważenia. Rozmówca ewidentnie chciał ją stłamsić. – Przecież rozmawiałam z Kapelusznikiem kilka razy.

– Jak to co? Zwyczajny telefon. Mamy na korytarzu aparat. Korzystanie z niego jest oczywiście ograniczone regulaminem, ale co do zasady, w określone dni i w określonych godzinach osadzeni mogą odbywać rozmowy telefoniczne.

– I nikt tego nie kontroluje?

– Szanowna pani, znajdujemy się w zakładzie karnym. – Skarcił ją wzrokiem. – Tutaj, co do zasady, wszystko podlega kontroli.

– Czyli rozmowa odbywa się w obecności strażnika?

– Pani nie rozumie. Osadzony ma możliwość przeprowadzenia swobodnej rozmowy, ale jednocześnie wychowawca ma możliwość monitorowania wszystkich rozmów i w przypadku, gdyby schodziły one na zły tor albo zawierały niebezpieczne treści, może podjąć odpowiednie kroki.

– Jakie kroki?

– Nie przygotowała się pani zbyt dobrze na wizytę u nas, przed kolejną polecam lekturę kodeksu karnego wykonawczego. Szkoda mojego czasu na tłumaczenie pani jak krowie na rowie.

– Odpowiednim krokiem będzie na przykład... – Anka nie mogła dać zbić się z pantałyku.

– Interweniowanie.

– W takim razie chciałabym się dowiedzieć, kto podsłuchiwał rozmowy, które prowadził ze mną Kapelusznik. Podać panu konkretne daty i godziny, w których się odbywały?

Dyrektor znów westchnął ciężko i sięgnął po herbatę. Zarówno szklanka, jak i biurko pamiętały jeszcze lata osiemdziesiąte.

– Dlaczego jest pani tak wrogo nastawiona? Przecież poszedłem pani na rękę, zapraszając panią do swojego gabinetu.

– Cieszę mnie fakt, że możemy rozmawiać i zdaję sobie sprawę z tego, że wszędzie, zapewne i w zakładach karnych, pewne sprawy mogą odbywać się za plecami szefów. Problem leży w tym, że u pana też dzieje się coś niedobrego. Od kilku dni wydzwania do mnie Kapelusznik i informuje, że Chudy zabija kolejnych ludzi.

– Aha. – Dyrektor odstawił szklankę na spodek i spojrzał na Ankę wyczekująco. Informacja najwyraźniej nie wywarła na nim żadnego wrażenia. – Proszę mówić dalej.

– Któryś z pana ludzi nie dopełnił swoich obowiązków. Nie interweniował, mimo że słyszał o Chudym, o zabijaniu i o tym, że ktoś jeszcze zginie. Nie interweniował. Dlaczego? Dlaczego nie zrobił kompletnie nic, żeby zapobiec śmierci niewinnych ludzi?

– Dramatyzuje pani.

– A pan lekceważy niekompetencję swoich ludzi. Stawia mnie pan w nieprzyjemnym położeniu. Będę musiała wspomnieć o tym prokuratorowi Braunowi. To on prowadzi sprawę zabójstwa, o które najprawdopodobniej oskarżony będzie Chudy, a Kapelusznik, jeśli uda się potwierdzić podejrzenia, może odpowiadać za współudział. Jak pan się będzie wtedy tłumaczył? Prokuratorowi i mediom?

– Obiecuję pani, że wyjaśnię sprawę – zadeklarował nieprzekonany dyrektor.

Anka była pewna, że nie tyle musiał wyjaśnić sprawę, co uzgodnić z personelem wspólną wersję. Na pewno istniały sposoby odwrócenia uwagi wychowawcy podczas rozmów telefonicznych i dzięki temu uniknięcia kontrolowania niewygodnych rozmów. Sposoby, o których nikt nie chciał mówić publicznie. Ani osadzeni, ani tym bardziej wychowawcy. Jedni nie chcieliby się dekonspirować, drudzy uchodzić za niekompetentnych.

– Czy możecie państwo sprawdzić – kontynuowała Anna – do kogo oprócz mnie dzwonił Kapelusznik?

– Zobaczmy, co się da zrobić. Dziękuję za spotkanie. Będziemy w kontakcie. – Dyrektor wstał zza biurka i wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Jeszcze chwilę. – Anka nie chciała wychodzić. – Czy dobrze się domyślam, że rozmowa telefoniczna to jedyna forma kontaktu osadzonego ze światem zewnętrznym?

– Osadzony ma jeszcze możliwość pisania listów. – Mężczyzna cofnął rękę, ale już nie usiadł.

– Listy przechodzą przez cenzurę?

– W zasadzie tak. Chyba że to listy urzędowe. Powinno być pani wiadomo, że osadzeni mają prawo wysyłać listy do prawników, adwokatów, sądu czy radców prawnych. Bez ograniczeń, bez cenzury i na koszt państwa.

– Cudownie. Czyli dlatego dostałam list zaadresowany do kancelarii prawnej...

– Słucham?

– Nie, nieważne. Czyli rozmowy i listy. A osobiście? Prowadzicie listę odwiedzających?

– Oczywiście.

– Proszę w takim razie sprawdzić, czy Chudy wrócił tu ostatnio jako gość. To bardzo ważne. Ja poczekam. Uprzedzam, że nie wyjdę stąd, dopóki nie ustalę, czy Chudy i Kapelusznik nie utrzymują ze sobą kontaktu.

– Ma pani osobliwe poczucie humoru. Zwykle każdy, kto do nas trafia, odgraża się, że zaraz wyjdzie. A pani pierwsza grozi, że tu zostanie. Proszę bardzo, mogę nawet znaleźć dla pani jakieś łóżko.

Dyrektor uśmiechnął się nieznacznie.

– Nie, dziękuję. Muszę wiedzieć czy Chudy i Kapelusznik utrzymują ze sobą kontakt. Bo teoretycznie jeden z nich jest w izolacji, ale...

– Jeśli pani pozwoli to wejdę w słowo. W zasadzie izolacja jest izolacją, ale... – Dyrektor zawiesił głos, usiadł na krześle i spojrzał na Ankę zupełnie inaczej niż wcześniej. Jakby do tej pory traktował ją jak głupiutką blondynkę, która znalazła się w jego gabinecie przypadkowo, ale właśnie zauważył w niej inteligentnego człowieka. – Wyobrażenia społeczeństwa na temat izolacji więźniów są w zasadzie lekko nieaktualne.

– Co pan ma na myśli?

– Oprócz rozmów telefonicznych są jeszcze widzenia na żywo, jeśli więc Nowak zgłosił Rozwadowskiego jako swojego partnera na listę odwiedzających, to może go mieć na żywo w każdą niedzielę.

– Tylko że wtedy zostałby ślad, wszyscy wiedzieliby, że się spotkali, a znając Kapelusznika śmiem twierdzić, że zadbał o bezpieczeństwo.

– W takim razie jeśli nie telefon, widzenie czy list to pozostaje internet. A dokładniej Skype.

– Że co?

– Skype – powtórzył dyrektor. – Taki komunikator internetowy. To nowość, w końcu świat idzie do przodu, a zakłady karne nie mogą stać w miejscu. Osadzeni mają możliwość zapisywania się na rozmowy na Skypie.

– Pan chyba żartuje? Mogą rozmawiać w czasie rzeczywistym z kim tylko

im się zechce?

Anka miała już przed oczami uaktualnioną reklamę komunikatora: rozmawiaj za darmo z rodziną, przyjaciółmi i z przestępcami. Przerząła ją ten kierunek postępu w więziennictwie. Bała się, że za rok czy dwa lata w więzieniach pojawi się stałe łącze albo kawiarenki internetowe a odsiadywanie kary będzie dla wielu osadzonych niczym wyjazd na obóz. Kumple, trzy posiłki dziennie, siłownia, internet. Życ, nie umierać.

– Nie do końca, z kim się im zachce, bo personel może odmówić bandycie rozmowy z innym bandytą. Rodzinie nie odmówi.

– A myśli pan, że to jakiś problem rozmawiać z innym bandytą przez rodzinę? Wystarczy, że bandyta usiądzie tak, żeby nie obejmowała go kamera z komputera.

– Podczas rozmowy obecny jest funkcjonariusz, który pilnuje, żeby nie obrała niewłaściwego kierunku.

– I to wszystko załatwia? – Spojrzała na niego z wyrzutem. – Nieważne, bardzo proszę o prześledzenie kontaktów Kapelusznika, to znaczy Nowaka, ze światem zewnętrznym. Jeśli pozostaje w kontakcie z Chudym, to muszę go namierzyć. To znaczy nie tylko ja, ale i prokurator. Chudy jest podejrzewany o popełnienie kilku przestępstw...

* *

Wykorzystując krótką chwilę w przerwie między czynnościami oraz chcąc zagłuszyć negatywne emocje, które pojawiły się po rozmowie z Anką, Wiktor postanowił, że sprawdzi mieszkanie razem z Wagnerem.

Wiedział, że to nie było konieczne. Kryminalny świetnie radził sobie sam albo w duecie ze swoim partnerem Szukalskim, ale wyjątkowo dziś Braun uznał, że takie doznanie jest mu niezbędne. Nie zważając więc na protesty policjanta, wpakował się mu do samochodu i pozwolił zawieźć się na Dębiec.

Kiedy wysiadł na ulicy Orzechowej, nie wiedział, czego się spodziewać. Niskie bloki i łysiejące drzewa nie zapowiadały niczego wybitnie wstrząsającego. Na pierwszy rzut oka ulica wyglądała na zamieszkaną przez pokolenie emerytów. W zasięgu wzroku naliczył ich sześciu i zaczął się zastanawiać, czy to właśnie tu ukrywa się Chudy.

Klatka schodowa była czysta, a na drzwiach z numerem cztery, które

stanowiły cel ich wędrówki, widniała również wizytówka z nazwiskiem.

– B.J. Rosińscy? – odczytał ja na głos.

Wagner wzruszył ramionami i zapukał do drzwi.

Wiktor wstrzymał powietrze. Czasem w jego prokuratorskim życiu, dokładnie tak jak dziś, pojawiały się chwile, w których chętnie zrzuciłby sztywny garnitur i konieczność dbania o szczegóły. Wpadłby do mieszkania podejrzanego z całą grupą chłopaków, powalił wszystkich obecnych w środku na ziemię, pohukiwałby groźnie i zaprezentował zdecydowanie samczą siłę, a także inne typowo męskie cechy.

– Dzień dobry, policja. – Wagner zaprezentował odznakę mężczyźnie, który otworzył drzwi. – Mamy kilka pytań. Możemy wejść?

Mężczyzna nie zastanawiał się ani chwili. Na hasło „policja” zareagował wycofaniem. Otworzył drzwi szerzej i pozwolił wejść Wagnerowi i Braunowi do środka.

– To może zapraszam do pokoju. – Mężczyzna wskazał drzwi na lewo. – Nie będziemy tutaj tak stali.

Braun był rozczarowany. Wszystko szło nie tak, jakby sobie tego życzył. Do mieszkania weszli w cywilizowany sposób, zaproszeni przez tłustego młodego mężczyznę, który na pewno nie był Chudym.

– Ma pan dowód osobisty?

– Mam. Dać?

Wagner kiwnął głową, a chwilę później trzymał w dłoniach kawałek plastiku. Wiktor stał z boku i obserwował. Mieszkanie było zagracone, a mężczyzna stanowczo zbyt otyły jak na swój wiek. Wyglądał jak chodząca reklama rzeźnika. Jego palce były jak serdelki, policzki jak soczysty kawał szynki, a uda jak baleron.

– Paweł Rosiński.

– Zgadza się.

– Notowany?

– Nie!

– I zapewne chciałby pan, żeby tak zostało? – Wagner zachowywał powagę, ale Wiktor znał go tak długo, że wiedział, że policjant świetnie się bawił kosztem przepytывanego.

– Tak. Panowie, o co chodzi?

– Gdzie był pan dwunastego października?

– Pewnie w pracy, ale w ciągu dnia. Ale o co chodzi?

– O telefon – odpowiedział enigmatycznie Wagner.

– Telefon?

– Tak.

– O mój telefon?

– Tak.

– A dokładniej? Powie mi pan coś więcej?

– Panie Pawle, ja mogę powiedzieć panu wszystko, tylko po co? O wiele lepiej dla pana będzie, jeśli to pan mi wszystko powie. Pan prokurator – Wagner wskazał Brauna – na pewno zinterpretuje pana zachowanie na korzyść, co wpłynie na zakończenie postępowania.

– Ale co mam mówić?

– Mam tu bilingi. – Wagner wyjął z kieszeni bilingi i odczytał z nich datę oraz numer telefonu, pod który wykonane zostało połączenie. – Dzwonił pan?

– Tak, to numer mojej dziewczyny.

– Zamieniam się w takim razie w słuch.

– Ale co? – Rosiński zdenerwował się. – Mam opowiedzieć, o czym gadaliśmy? Przecież to nasze intymne sprawy. Mogę zapalić ćmika?

– Za chwilę. Najpierw wyjaśnienia. Dzwonił pan i co? Po pogotowie też pan dzwonił?

– Po jakie pogotowie?

– Dwa tygodnie później.

– Dwa tygodnie później to ja nawet nie miałem tej karty. Wystawiłem ogłoszenie, że sprzedam. Potrzebowałem kasy. Zadzwoił jakiś leszcz i ją opchnąłem.

– Jaki leszcz?

– Nie wiem.

– Nazwisko?

– Nie znam. On dał mi kasę, ja mu kartę. Spotkaliśmy się na Dębcu.

– Jak wyglądał? – Wiktor nie mógł się nie włączyć.

– Normalnie. – Rosiński wzruszył ramionami, ale po chwili dodał: – Chociaż nie. Był chudy. Przerażliwie chudy.

* *

Chociaż światła Citroëna rozcinały ciemność, to Anka i tak niewiele widziała. Gdyby tylko mogła się skupić, policzyłaby, od ilu godzin nie spała. Zmęczenie z rana spotęgowała jeszcze wizyta w Rawiczu. Naczelnik był do niej źle nastawiony i resztkami koncentracji i sprytu walczyła o to, by zmienić jego podejście.

Ostatecznie nie zadała Kapelusznikowi nurtujących ją pytań, ale dostała przynajmniej coś na otarcie łez. Obietnicę sprawdzenia połączeń wykonywanych przez Kapelusznika i przesłania wniosków do prokuratora Brauna.

Z coraz większym trudem obserwowała drogę. Od ponad godziny wszystko wyglądało tak samo. Zaczynała wątpić, czy w ogóle zbliżała się do Poznania.

Oczy podpowiadały jej, że równie dobrze mogła jechać samochodem po wielkiej bieżni. Dookoła wszystko wyglądało tak samo – a może raczej za sprawą wszechogarniającej ciemności w ogóle nie wyglądało? – a oświetlony asfalt wydawał się być jak czarna bieżnia, po której biegła, kiedy sporadycznie odwiedzała siłownię. Kręcił się sam, w przeciwnym kierunku niż koła jej samochodu.

W końcu poczuła, że senność zaczyna z nią wygrywać. Najpierw uchyliła okno, by zimne powietrze postawiło ją na nogi, a później zaczęła zmieniać stacje radiowe. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy usłyszała głosy kłócących się ze sobą polityków.

– Pan chyba raczej żartować!

– Ja? A co wy zrobiliście, pytam się co?

– Rządziliśmy krajem zgodnie z zasadami. Wy wszystkie zasady macie głęboko w... poważaniu.

Polityka i zimne powietrze miały być sposobem na przetrwanie. Oba bodźce ją denerwowały, oba miały uchronić przed zaśnięciem.

W oddali majaczyły już światła miasta, a przykryte ciemnością Rataje wydały się Ance tak atrakcyjne, jak kobieta w czarnej sukience i diamentowych kolczykach. Też mieniły się delikatnymi światłami, dochodzącymi z niezastłoniętych okien. I dawały Ance obietnicę, że już za kilka minut znajdzie się w łóżku.

* *

– Mogę wejść?

Widok Anny Rogozińskiej zdziwił Wiktora. Nie spodziewał się zobaczyć jej przed swoimi drzwiami. Nie dziś. Nie o tak późnej godzinie.

– Prawdę mówiąc, właśnie miałem się położyć – starał się mówić normalnie.

Nie było to jednak takie proste. Język plątał mu się w ustach, a stężenie alkoholu w jego krwi nagle jakby wzrosło. Klatka schodowa zawirowała. Takie przynajmniej odniósł wrażenie.

– Wpuścisz mnie?

Nie odpowiedział, ale odwrócił się i zostawił drzwi otwarte. Odsunął się od nich na odległość, która pozwoli jej wejść do środka, ale jednocześnie zatrzyma w holu. Nie chciał, żeby zobaczyła, że przy ławie stoi wódka. Za wszelką cenę musiał uniknąć konieczności tłumaczenia się z powodów, które zapijał w samotności.

– Dzwoniłam i dzwoniłam.

– Wiem.

– Nie odbierałeś.

– Nie mogłem.

– Nie oddzwaniałeś.

– Nie miałem czasu.

Patrzyła na niego z wyrzutem. Nie wiedział, czy zorientowała się już, że jest pijany, czy jeszcze nie. Starał się zachować odpowiednią odległość, żeby nie poczuła zapachu.

– Przestań taksować mnie wzrokiem. W końcu odebrałem. Chyba o to ci chodziło... – Zachwiał się.

– Wiktor...

– Idź już, muszę położyć się spać.

– Dzwoniłam, bo chciałam z tobą pogadać! – Anna nie ustępowała.

– A ja nie oddzwaniałem, bo nie chciałem z tobą rozmawiać.

– Dlaczego?

Alkohol zwykle wzmagał w nim obojętność, ale tym razem trudno było mu ją w sobie odnaleźć. Przedpokój nie był wcale tak duży. Anka znajdowała się niemalże na wyciągnięcie rąk. Na tyle blisko, że wiedział, że nie może tak dłużej stać.

Wszystko wokół się kręciło, a w pokoju czekała na niego butelka wódki. Chciał opróżnić ją i położyć się do łóżka. Niestraszne było mu to, co będzie potem. Karuzela po zamknięciu oczu, poczucie beznadziejności czy mdłości i ból głowy po przebudzeniu. Wiedział, że wszystko będzie mniej bolesne od tej chwili.

– Dlaczego? Wiktor, dlaczego nie chciałeś ze mną rozmawiać?

Siłą woli próbował ustabilizować obraz, który tańczył mu przed oczami. Martensy, dzinsy, rozpięta kurtka i twarz. Zaczerwieniona i zmęczona twarz. Gdyby zobaczył taką dziewczynę gdzieś na ulicy, nawet nie zwróciłby na nią uwagi.

– Nie mogę rozmawiać z tobą na tematy związane z prowadzonymi przeze mnie sprawami – odpowiedział, przyjmując służbowy ton. – Powtarzam ci to w kółko, a ty i tak ciągle starasz się to wykorzystywać. Że już nie wspomnę o dzisiejszym popołudniu. Jak mogłaś w Rawiczu powoływać się na moje nazwisko? Jak ja mam się z tego wytłumaczyć przełożonym?

– Zostaw to dzisiejsze popołudnie. Przepraszam cię za nie i chętnie ci wszystko wytłumaczę, ale później. Są ważniejsze tematy. Naprawdę myślisz, że dzwoniłabym do ciebie tyle razy tylko po to, by wyciągnąć jakieś tajne informacje?

Anka po raz pierwszy zachowywała się tak, jakby chciała pokazać mu swoje zaangażowanie. Jej oczy, dłonie, ciało, wszystko mówiło: „jestem tu i chcę rozmawiać szczerze, bo bardzo zależy mi na naszej relacji”. Nie uśmiechała się. Nie żartowała. Była nieznośnie poważna.

Najgorszy był jednak ton jej głosu. Braun nie potrafił doszukać się w nim pewności siebie, którą zawsze promieniowała. Jej sympatycznie kobiecy i drżący głos zdradzał, że przysłała do niego bezbronna. Weszła do jego mieszkania naga, całkowicie odsłonięta, dobrowolnie narażając się na to, że każde jego słowo może być ciosem.

– Wiktor?

– No co? To jest bez sensu, Anka. Ja powiem: tak, tak myślę. Ty zaprzeczysz. Spojrzysz mi w oczy, zaczniesz mnie całować... Zrobisz wszystko, żeby tylko odwrócić moją uwagę od spraw najważniejszych.

– Głupi jesteś...

– A ty mądra. I cwana.

– Wiktor, co się dzieje? Powiedz mi.

– Nie mogę z tobą rozmawiać.

– Nie chodzi mi o pracę. Zapomnijmy na chwilę o prokuratorze i dziennikarce. Porozmawiaj ze mną normalnie, jak mężczyzna z kobietą.

– Nie mogę! Zrozum mnie Anka! Tym bardziej nie mogę. Idź już.

* *

Nie dyskutowała z nim. Nawet nie zamknęła za sobą drzwi. Wyszła, wróciła do samochodu i pojechała do domu. Kolejne czynności wykonywała automatycznie, racjonalnie wydając resztki energii.

Była zła na siebie, że prosto z Rawicza zamiast do domu zdecydowała się pojechać do Wiktora. Że zamiast zaplanowanego, niezobowiązującego spotkania zapragnęła szczerzej rozmowy. Że rewelacyjny seks zinterpretowała jako to „coś” magicznego, czego szukała.

Zaparkowała samochód, weszła do klatki schodowej, pokonała schody i otworzyła drzwi. Dopiero kiedy je za sobą zamknęła, poczuła się bezpiecznie.

Włączyła radio znajdujące się w kuchni i skierowała się prosto do łazienki. Nawet nie zajrzała do sypialni. Musiała zmyć z siebie porażki dzisiejszego dnia.

Odkręciła ciepłą wodę, zrzuciła z siebie ubrania i weszła do wanny. Zamknęła oczy i przełączyła się na odbiór otoczenia pozostałymi zmysłami. Woda powoli zalewała jej ciało, a do uszu dochodziło przyjemne, mocne brzmienie gitar i głos zbuntowanej wokalistki.

– „To cała ja. To właśnie ja. Królowa łez. Królowa strat”.

Nie akceptowała nowego wcielenia Chylińskiej. Ledwo zdążyła uwierzyć w poprzednie, to ta znowu przepoczwarzyła się w rockowego babochłopa.

– „Chciałam pokochać cię, ale nie wiem jak”.

Pożałowała, że włączyła radio a nie którąś z płyt. Muzyka miała ją zrelaksować, a nie wiercić dziurę w jej zmęczonej głowie. Nie lubiła „Królowej łez”, ale nie chciało jej się wychodzić z wanny, by zmienić stację. Miała nadzieję, że to już ostatnia porażka, którą niósł ze sobą kończący się dzień.

Zamknęła oczy i wciągnęła powietrze nosem. Zatrzymała je chwilę w sobie, po czym pozbyła się go ustami. Kolejny wdech i wydech pomogły jej uspokoić myśli związane z Wiktorem.

Miała dość wszystkiego. Kapelusznika, Chudego, Wiktora, Joanny i dwunastogodzinnych dyżurów w pogotowiu. Marzyła jedynie o relaksie. Zapach lawendy rozpychał się w jej nozdrzach, mięśnie zareagowały na ciepłą wodę rozluźnieniem a chwilę po tym pojawiła się senność.

Po raz pierwszy od dawna nie odebrała jej jako intruza, lecz jako zapowiedź przyjemnych chwil. Była w domu i w końcu mogła sobie pozwolić na sen. Musiała tylko wyjść z wanny.

Woda sięgała jej już do ramion. Zakręciła kran, a głos Chylińskiej wydał się głośniejszy i przepełniony pretensjami:

– „Jak mam otworzyć się na ten ból i strach? Rozpadnie się mój cały świat. Nie umiem, nie chcę, wolę tak... Już wolę nie czuć nic”.

Anka też nie chciała. Nie chciała słuchać o dylematach, z którymi sama musiała się zmagać. Nie chciała czuć strachu, niepewności i frustracji. Nie umiała czekać spokojnie na rozwój wypadków. Woląca nie czuć nic. Nosić maskę zimnej suki.

Ugięła kolana i położyła się na dnie wanny, kryjąc głowę pod wodą. Nie chciała słuchać, czuć, myśleć. Nie chciała chcieć... Wynurzyła się, by zaczerpnąć powietrza, i w tej chwili poczuła na ramieniu czyjąś chłodną dłoń.

ROZDZIAŁ 11

Łukasz?!

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale głos uwiązał jej w gardle. Łukasz stał tuż obok wanny, wycierał w spodnie moką dłoń i nie odrywał wzroku od ciała Anki.

– Dobrze wyglądasz – odezwał się w końcu tonem, którym równie dobrze mógłby podrywać przypadkową kobietę spotkaną w barze.

– Co ty tu robisz? – spytała z pretensją.

Nie odpowiedział. Zamiast tego wpatrywał się w nią, uśmiechając się delikatnie pod nosem. Jeśli miałyby uzupełnić wikipediową definicję „niepoczytalności” o fotografię, to zrobiłaby zdjęcie Łukaszowi.

Wyglądał jak osoba, która nie jest w stanie rozpoznać tego, że przekracza granice. Jak osoba, którą podkręcają emocje, która nie ma świadomości tego, co się dzieje i która w tej chwili zdolna jest do wszystkiego.

– Przestraszyłeś mnie. – Tym razem odezwała się spokojnie.

Instynktownie czuła, że musi zachowywać się tak, żeby go nie prowokować. Ukryła więc przerażenie i złość. Przynajmniej na tyle, na ile potrafiła. Rozejrzała się po łazience. Gdyby doszło do jakiejś przepychanki, nie miała większych szans. Pomieszczenie było małe. Nie mogła przebiec obok Łukasza.

Nadal siedziała naga w wannie, a on się jej przyglądał. Nie wiedziała, czy chce ją posiąść czy utopić.

– Przestraszyłem cię? – Roześmiał się. – A co? Nie mów, że pomyślałaś sobie, że odbiorę ci życie. W sumie skoro mi je zawdzięczasz, to mam prawo zrobić z nim, co zechcę!

– Łukasz, proszę cię, przestań. Porozmawiajmy.

– Rozmawiaj, jeśli masz taką potrzebę.

– Ale nie tu. – Pokazała na wannę. – Chciałabym wyjść, ubrać się.

Wcale nie chciała z nim rozmawiać. Zależało jej na opuszczeniu łazienki. W mieszkaniu było więcej przestrzeni. Tam mogła się bronić.

– To wychodź – wycodził, nie odrywając oczu od jej nagich ramion.

– Możesz wyjść z łazienki?

– Nie mogę.

– Proszę. Przecież nie ucieknę ci oknem...

– Nie uciekniesz, to prawda. – Znowu się roześmiał.

– Jesteś na mnie zły?

– Anka, nie pierdol i nie baw się w psychoanalizę. Trochę na nią za późno. Masz ochotę wyjść z wanny, wychodź.

– Dobra, ale odwróć się – zażądała i spojrzała na lustro znajdujące się za

Łukaszem. Nawet gdyby odwrócił się do niej plecami, i tak zobaczyłby jej nagie ciało. – Albo nie. Zakryj oczy.

– Nie mam pięciu lat. Widziałem już nagie kobiety. Myślisz, że twoje ciało zrobi na mnie jakieś wrażenie?

Bezczelny śmiech ponownie wypełnił łazienkę. Anka nie miała wyjścia. Musiała wyjść z wanny i odzyskać panowanie nad sytuacją. Najspokojniej, jak potrafiła, sięgnęła po ręcznik i wstała, patrząc Łukaszowi prosto w oczy. Nie mogła pozwolić sobie nawet na ułamek sekundy nieuwagi.

Poczucie zagrożenia przepędziło senność. Czują się jak na polowaniu. Wiedziała, że jest ofiarą i że drapieżnik na razie tylko ją obserwuje, ale wcześniej czy później zaatakuje. Musiała być wtedy gotowa. Gotowa do obrony. Do zmiany ról. To ona była przecież drapieżnikiem.

– Co ty tu robisz? – powtórzyła pytanie, kiedy poczuła się pewnie. Owinięta w ręcznik stała w przedpokoju. Z włosów kapłała jej woda.

– Przyszedłem.

– Po co?

– Bo chciałem.

– Jak tu wszedłeś?

– Dałaś mi klucze. Kiedyś.

– Oddaj mi je i wyjdź – wycodziła przez zęby.

– Nie przyszedłem tu po to, żeby ci je oddawać.

– A po co? Łukasz, po co tu przyszedłeś, do cholery?

– Chciałem zobaczyć, jak się z nim pieprzysz.

– Wyjdź. Natychmiast.

– Co? Głupio by ci było...

– Wyjdź – przerwała mu. – Mówię ci, wypierdalaj stąd. Naprawdę jestem w stanie wiele rozumieć. Ostatnio, po tym, jak czekałeś na mnie zalany w trupa, chciałam ci jeszcze zaproponować przyjaźń, ale dzisiaj wiem, że to byłaby pomyłka. To koniec. Łukasz, to koniec naszej relacji. Wynoś się stąd i nigdy nie wracaj.

– Jeszcze będziesz mnie błagała na kolanach, żebym wrócił. Kiedyś... Ale proszę, skoro sama tego chcesz! – Rzucił kluczami w jej stronę. – Wyjdę i nigdy mnie już nie zobaczysz. Ale najpierw powiem ci, że zdradzając mnie, podjęłaś najgłupszą decyzję swojego życia. Zostawiłaś mnie i dałaś się skusić na wykrochmaloną koszulę i prokuratorski garniturek. Jaka ty jesteś głupia! Głupia jak gaska! Wiktor Braun ma żonę, jeśli więc myślisz, że ułożysz sobie z nim życie, to się mylisz! Ha, zdziwiona jesteś? O tym prokurator zapomniał ci powiedzieć? Dobrze ci tak!

* *

Pomieszczenie, w którym prokuratorzy i adwokaci spotykali się z osadzonymi, było całkowicie neutralne. Nie miało nawet więziennego klimatu, ale Braun odczuwał energię tego miejsca. Zdawał sobie sprawę z tego, że to na tej małej scenie rozgrywało się wiele dramatów.

Dzisiaj to on był aktorem, który musiał dać przedstawienie. Czekał na swojego jedyne go widza. Zamierzał zmieniać twarze, zaskakiwać zwrotami akcji i dawkować informacje tak, by widz się zagubił.

Obejrzał się za siebie, gdy usłyszał odgłos otwieranych drzwi.

– Osadzony Marcin Nowak – zakomunikował funkcjonariusz wprowadzający Kapelusznika.

– Dziękuję, poradzimy sobie sami – powiedział tak, jakby chciał pozbyć się uprzejme go kelnera i wrócić do miłej pogawędki z kumplem.

Intrygowała go motywacja Kapelusznika. Dlaczego odezwał się do Anny? Dlaczego to ją prosił o pomoc? Ufał jej czy chciał ją wykorzystać? Nie były to jednak pytania, które powinien zadawać, zwłaszcza na początku ich rozmowy.

– Witaj ponownie. Pozwól, że się przypomnę. Braun. Wiktor Braun, prokurator.

– Jakże mógłby zapomnieć człowieka, który wpakował mnie za kratki? Co tym razem? Bo chyba nie ponowna chęć zapuszkowania mnie?

Braun uśmiechnął się tak, jakby nie zrozumiał aluzji. Wiedział, że ma do czynienia z człowiekiem inteligentnym. Dlatego jeśli chciał z nim wygrać, to przez chwilę musiał udąć, że dał się wciągnąć w jego grę.

– Jest pan w posiadaniu informacji dotyczących spraw, które prowadzę.

– Jestem w posiadaniu? Pięknie to brzmi, ale niestety jest to sprzeczne z prawdą – Kapelusznik wydawał się dobrze bawić.

– Siedział pan w celi z Hubertem Rozwadowskim, pseudonim Chudy. Co pan może mi o nim powiedzieć?

Braun czekał na odpowiedź, ale osadzony nie zamierzał jej udzielić. Przez chwilę patrzyli na siebie, a później Kapelusznik zaczął przyglądać się otaczającym ich ścianom.

– Proszę odpowiadać na moje pytania. – Braun zachowywał spokój.

– Odpowiadać? Ale czy to jakiś quiz czy teleturniej? Jeśli gramy o milion, to mam prawo wybrać sobie kategorię?

– Ma pan prawo do udzielenia wyjaśnień. Ja wybieram kategorie i pytania,

pan odpowiada.

– A nagroda?

– Nie wystarczy panu satysfakcja ze współpracy z organami sprawiedliwości?

– A jak pan myśli?

Braun uznał, że to najlepszy moment na zmianę kostiumu.

Przestał grać uprzejmego czarodzieja rozdającego na prawo i lewo uśmiechy i spojrzenia z serii: ja również nie wiem, co się stało, a stał się kłuszącą ironią zmija. Gadem, który powoli podpełza do ofiary, a następnie wbija w nią kły jadowe.

– Dobra, cwaniaku, skończ te gierki. Wiem, że jesteś w posiadaniu informacji i że chcesz zapobiec temu, co zrobi Chudy.

– Skoro pan prokurator tak wszystko wie, to po co wyciągnięto mnie z izolacji na rozmowę z panem? Nie lubię ani stosunków, ani kar przerywanych.

– A ja nie lubię ciebie i tego, że zawracasz głowę Ance Rogozińskiej. Ale mimo to jestem tu i wyciągam do ciebie rękę. Oferta ważna jest tylko teraz. Za kilka minut będzie już nieaktualna. Ty powiesz mi, co planuje Chudy i gdzie go znaję, a ja może też będę miał coś dla ciebie.

– Jeśli nagrodą będzie Anka, to mogę iść na taką współpracę.

* *

Anka starała się ostrożnie i bezszelestnie przemykać korytarzami Primo TV, ale mimo to usłyszała za swoimi plecami głos, którego bardzo chciała dziś nie słyszeć.

– Jak tam?

Nie mogła odmówić Joannie Semczuk wycucia. Zawsze wiedziała, gdzie coś się działo i gdzie mogła się pojawić, by wywołać konflikt.

– W porządku.

– Podziwiam dobry humor i pewność siebie. Obejrzałam materiał z twojego pierwszego dnia w pogotowiu. Sorry, ale tam nawet nie ma co zmontować. Masakra jakaś.

Masakrą było życie Anki od kilku, a może nawet kilkunastu dni. I kiedy wydawało się jej, że za chwilę nastąpi chwila odprężenia, masakra natężyła się, potęgując złe samopoczucie.

Wczorajsza wizyta Łukasza skończyła się jedynie bardzo głośnym trzaśnięciem drzwiami, ale strach i niepewność, którą zostawiła, nie opuszczała Anki przez całą noc. Drzemała, zamiast spać głęboko i obudziła się zmęczona, ale za to z myślą, że koniecznie musi wymienić zamki. To, że Łukasz oddał jej klucze, nie znaczyło przecież, że nie zdążył sobie dorobić drugiego kompletu.

– Pierwsze dni zwykle należą do trudnych. – Anka siliła się na uprzejmość. Nie chciała kłócić się z Joanną. Nie dziś, nie teraz. Teraz musiała jak najszybciej skończyć tę rozmowę i uciec. Najchętniej do domu. Do łóżka. Senność znowu dawała o sobie znać. – Sama dobrze wiesz, że wszyscy nowi muszą oswoić się z kamerami, żeby zacząć zachowywać się swobodnie.

– Swobodnie? – Joanna wydeła usta i podniosła głos: – Ty w ogóle czytałeś wytyczne programu? Miało być ratownictwo, a nie odwiedziny u starych, jęczących ludzi!

Jak na złość mniej więcej w połowie jej wypowiedzi na korytarzu pojawił się Grabowski. Wszystko zapowiadało, że przelotne „jak tam?” zakończy się kolejną kłótnią, w której będzie interweniował.

– Pani Anno, pani wejdzie do mnie – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Joanna, ciebie też poproszę.

Kobiety pomaszerowały za nim potulnie. Pierwsza do gabinetu weszła Joanna i nieproszona zajęła miejsce. Anka zamknęła za sobą drzwi i również usiadła na krześle. Grabowski przyglądał jej się przez chwilę z miną troskliwego ojca, a później opadł na swój fotel znajdujący się za biurkiem i zapytał:

– Czy jest pani przekonana, że to, co pani kręci, zmierza w dobrym kierunku?

– Tak.

– I potwierdza pani, że czytała wytyczne programu?

– Tak.

– I jak do tego dojdzie, to pani będzie tłumaczyła się przed zarządem?

– Tak. Dlaczego pan pyta?

– Widziałem materiał z pierwszych kilku dni. – Teatralnie zawiesił głos. – I mam ogromne wątpliwości co do realizacji naszych zamierzeń.

Dopiero w tej chwili Anka zorientowała się, że uczestniczy w kolejnym przedstawieniu, o którym nikt jej nie uprzedził.

– No właśnie – wtrąciła Joanna. – To samo mówiłam koleżance. Przecież tego nie da się oglądać. Bezsensowne wyjazdy, dziwni pacjenci, nieuzasadnione interwencje. Nie takie były wytyczne. Miało być ratownictwo. Zagrożenie ludzkiego życia.

– Ale tak właśnie wygląda system ratownictwa medycznego.

Anka nawet nie próbowała się bronić. Zastanawiała się jedynie, jaki był cel odegrania przed nią takiej scenki. Grabowski i Semczuk nagle zaczęli się martwić

o powodzenie programu? Nie była aż tak nieprzytomna i niewyspana, żeby w to uwierzyć.

– Pani Anno, ale kogo interesuje system? Nas, jako telewizję, interesuje karetka. Duży głośny samochód niosący pomoc potrzebującym.

– Proszę nie zapominać, że w samochodzie siedzą ludzie. To oni w razie konieczności użyją głowy, skojarzą objawy i uruchomią odpowiedni sprzęt.

– Ludzie? – Joanna się roześmiała. – Chyba nie mówisz o tych oszołomach, którzy bez przerwy szydzą z cudzego nieszczęścia?

* *

– Pani Anno, to pani program i to pani ponosi za niego pełną odpowiedzialność. Jeśli jednak mogę coś podpowiedzieć, oczywiście z dobrego serca i z sympatii, którą zawsze panią darzyłem... Jeśli nie jest pani w stanie nagrać dobrego materiału na mieście, podczas wizyt, może warto byłoby odwiedzić dyspozytornię, w której odbierane są te wszystkie telefony wzywające pogotowie?

Słowa Grabowskiego rozbrzmiewały w jej głowie długo po tym, jak wyszła z jego gabinetu. Poprosiła Artura o przygotowanie kamery i wyruszyli w misję zleconą przez szefa.

Dyspozytornia ukryta była za dębieckim cmentarzem, w miejscu, w którym – jak się Ance wydawało – nie było już nic poza pustką. Kiedy dojechali, okazało się, że istniało tam jednak kilka zabudowań, a wśród nich ukrywał się budynek z wyczuloną na obcych ochroną, upierdliwym recepcjonistą i labiryntem korytarzy.

W asyście ochroniarza dostali się do pokoju, w którym na ekranach komputerów pojawiały się wcześniej zweryfikowane przez dyspozytorów przypadki wymagające interwencji zespołów ratowników medycznych.

– Nigdy nie unikniemy sytuacji, w których ratownictwo medyczne interweniować będzie w sytuacjach błahych, staramy się jednak wyeliminować te zupełnie bezsensowne. W ciągu dnia dyspozytorzy odbierają około pięciuset połączeń, z czego pogotowie wyjeżdża około trzysta razy. – Starszy mężczyzna opowiadał o specyfice zawodu, a Anka zerkała to na kamerę, to na Artura, to na rozmówcę.

Mogła sobie na to pozwolić, bo była poza kadrem. Artur zapragnął ujęcia „eksperckiego”, czyli takiego, w którym mężczyzna będzie wypowiadał się, zajmując trzy czwarte ekranu. Resztę miało wypełniać tło, podkreślające profesjonalizm eksperta. Monitory, monitory i jeszcze raz monitory.

Rozmówca początkowo protestował, bo nie mógł pozwolić sobie na całkowity brak kontroli nad przychodzącymi wezwaniami. Od niego zależało, czy potwierdzi zgłoszenie, a zespół karetki otrzyma wezwanie, czy też nie. Ostatecznie jednak zgodził się na krótki wywiad, pod warunkiem, że jego obowiązki na kilka chwil przejmie kolega.

Artur nie protestował, ale po jego minie Anka widziała, że nie jest zadowolony i że czeka, aż to nieudane ujęcie się skończy i będzie mógł upamiętnić coś bardziej zadowalającego jego gust.

– A co z pozostałą dwusetką połączeń?

– Czasem to żarty, pomyłki, zwykle jednak nieuzasadnione próby wezwania.

– Nieuzasadnione? – Anna podchwyciła słowo, które właściwie idealnie pasowało do większości wyjazdów, w których brała udział.

– Zmieniono prawo, ale nikt o tym nie poinformował społeczeństwa. Ludzie nadal myślą, że w karetce jeżdżą lekarze, którzy wypisują recepty i stawiają diagnozy. Tak więc Kowalscy dzwonią po karetkę, a kiedy przyjeżdżają ratownicy medyczni, Kowalscy mają ich jedynie za kierowców i są zdziwieni, że nie ma wśród nich lekarza. A ratownicy są dobrze przygotowani do wykonywania swojej pracy. Ratownictwo medyczne ma nieść pomoc w sytuacjach bezpośredniego, nagłego stanu zagrożenia życia lub zdrowia, a nie stanowić przychodnię na kółkach. Ratownik może podać już samodzielnie prawie pięćdziesiąt leków. Wie pani, że po Poznaniu jeżdżą tylko cztery karetki eski, na których pokładzie znajduje się lekarz. Pozostałe dwadzieścia karetek to zespoły pe, ratownictwo podstawowe. Nieważne jednak, kto przyjedzie, ratownik czy lekarz. Pacjent i tak nie dostanie recepty, nie ominie kolejki u lekarza rodzinnego czy specjalisty.

* *

Teresa Stanisławska siedziała na dywanie obok Kacperka, którego owszem kochała, ale jej uczucie było nieco silniejsze, kiedy wnuczek bywał u niej sporadycznie, na krótko i pod opieką swoich rodziców.

Dziś otrzymała od córki poważne zadanie – zająć się dwuletnim chłopcem. Zgodziła się, nie dlatego, że nie miała innego wyjścia, ale naiwnie myślała, że to będzie miły czas. Cztery godziny spędzone z jedynym wnuczkiem na grach i zabawach.

Kacperek ani myślał skupiać się na jednej zabawie. Biegał po mieszkaniu

i dotykał wszystkiego, co mógł dotknąć. Teresa nie nadążała z okrzykami typu: „Uważaj!”, „Ostrożnie!”, „Bo spadnie!”, „Nie ruszaj!”.

Uspokoił się, dopiero kiedy zauważył książkę z kolorowanymi antystresowymi. Teresa dostała ją od przyjaciółki z klubu seniora. Nie bardzo rozumiała modę na tego typu rozrywkę, ale nawet kupiła sobie komplet kolorowych pisaków.

Spróbowała, ale trzymanie się linii i bezmyślne ruchy dłoni zamiast relaksować stresowały ją jeszcze bardziej. Kiedy jednak Kacperek przysiadł w końcu przy stole i zaczął przeglądać kolorowaną, ucieszyła się.

– To kolorowanka dla dorosłych.

– Czemu?

– Bo dorośli też muszą mieć coś do zabawy. Ale jeśli chcesz, Kacperku, to babunia pozwoli ci ją pokolorować. Chcesz?

– Tak.

– Dobrze. To wybierz sobie obrazek. Który ci się najbardziej podoba?

Chłopiec pobieżnie przejrzał zawartość i wrócił do wzoru, który wydawał się jej najbardziej skomplikowany. Z dumą pomyślała, że to musi być syn jej córki, i że zamiłowanie do wyzwania na pewno odziedziczył po swojej matce, a nie po ojcu, którego od chwili, w której pojawił się na zapoznawczym obiedzie, uważała za prostaka.

– To babunia da ci też pisaki. – Podąła wnukowi opakowanie. – Tylko musisz pamiętać, żeby kolorować nimi trochę inaczej niż kredkami. Nie można ich za mocno naciskać, bo się zepsują.

Teresa nie zdążyła dokończyć zdania, a pierwszy pisak uległ zniszczeniu. Kacperek zrobił dokładnie tak, jak wytłumaczyła mu, że nie powinien robić. Nie zdążyła skarcić wnuka, bo zadzwonił telefon.

– Halo?

– Cześć, Teresko, idziesz na dzisiejsze zajęcia w klubie?

– No właśnie nie jestem pewna, czy się wyrwę – Teresa wychodząc z pokoju rzuciła okiem na wnuczka.

Chyba nikt wcześniej nie dał mu do ręki pisaków, bo był nimi zafascynowany. Brał zatyczki do buzi, a pisakami mazał po kolorowance. Chciała mu zwrócić uwagę, żeby nie wkładał ich do ust, ale pomyślała, że w gruncie rzeczy przecież nie umrze od odrobiny brudu. Zwłaszcza, że nie dotykał ich nikt inny, poza nią.

– Jestem już, Haneczko, musiałam wyjść z pokoju. Bo wiesz, córka podrzuciła mi dziś Kacperka, nie chciałam, żeby słyszał. Bo on niby mały jest, ale już na tyle duży, że może coś tam zapamiętać i potem powtórzyć to swojemu ojcu. Nieważne. Jeśli odbiorą go na czas, w co niestety śmiem wątpić, to przyjdę.

– To dobrze, dziś mają odbywać się zajęcia ze zdobienia zeszytów.

– Zadzwoń, jak będę wychodziła. Jeśli oczywiście wszystko pójdzie po mojej myśli i jeśli przeżyję wizytę tego diabełka. Powiem ci, że ja nie wiem, czy w ogóle go wychowują, czy pozwalają mu tak latać samopas...

Teresa pozbyłaby się jeszcze kilku tematów, które leżały jej na wątrobie, ale usłyszała, że Kacperk wyjada z siebie dziwne dźwięki.

* *

W przestronnej sali, w której przebywali dyspozytorzy, panował niesamowity klimat. Jeśli Anka mogłaby porównać to ze znanymi sobie wcześniej miejscami, bez zastanowienia stwierdziłaby, że dotarła właśnie na prestiżowe zajęcia jogi.

Wokół niej krążyła pozytywna energia, a spokój przepływał przez jej ciało, sprawiając, że sama zaczynała go odczuwać. Gdyby miała ze sobą matę, rozłożyłaby ją w rogu i zwinęła swoje ciało w asan zwany dzieckiem.

Wszyscy dyspozytorzy wyglądali jak oazy spokoju. Każdy z nich siedział rozłożony na wygodnym krześle przy dużym biurku. Każdy miał wyciągnięte przed siebie nogi, a stopy w skarpetkach oparte na szafce, biurku lub podłodze, w zależności od upodobań ich właściciela. Obok każdego dyspozytora leżały, jak można było się domyślać, jego własne buty.

Anka pomyślała, że to zabawne, że w ciągu kilku sekund dyspozytorzy medyczni są w stanie udzielić konkretnych wskazówek, jak ratować życie człowieka, ale gdyby w budynku, w którym pracują wybuchł pożar, to najpierw musieliby odszukać swoje buty, potem je założyć i zasznurować, a dopiero później pomyśleć o ewakuacji.

– Anka. – Wyciągnęła rękę do młodego mężczyzny, przy którym miała właśnie usiąść.

– Grzegorz. – Uścisnął jej dłoń, nawet nie ruszając się z krzesła. – Trzymaj. – Podał jej słuchawki z mikrofonem. Podobne miał na uszach.

– Długo tu pracujesz? – spytała, kątem oka widząc, jak Artur z pasją przystąpił do filmowania pomieszczenia.

– Pięć lat.

– I jak jest?

– Normalnie.

Wzruszył obojętnie ramionami, więc Anka uznała, że musi bardziej się

postarać, żeby zachęcić go do zwierzeń.

– To duża odpowiedzialność. Wiesz, pomagać ludziom przez telefon...

– Mamy taki ulubiony żart. – Uśmiechnął się. – Ile można zarobić w pogotowiu? Od dwóch do trzech... lat. A premia? Jeśli dostaniesz wyrok w zawiasach.

Anka chciała coś odpowiedzieć, ale właśnie usłyszała dźwięk przychodzącego połączenia. Grzegorz dotknął myszki, a po chwili Anka usłyszała głos.

– Państwowe Ratownictwo Medyczne, dyspozytor dwieście piętnaście, w czym mogę pomóc?

Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy to głos Grzegorza. Nawet spojrzała na jego twarz, żeby się upewnić. Poruszał ustami, brzmiał jednak jakoś inaczej. Z jego tonu zniknęły luz i radość.

– Mój wnuk się zakrztusił – drżący, kobiecy głos, który usłyszała w słuchawkach, zdradzał nerwowość. – Odwróciłam się jedynie na sekundę, nie wiem, co się stało, przecież go pilnowałam. Bawił się pisakami. To znaczy kolorował. Nie wiem, co mu się stało.

– Czy wnuk jest przytomny? – Grzegorz mówił wolno i wyraźnie. Znacznie obniżył ton i nadał swoim wypowiedziom mnóstwo spokoju.

Anka pomyślała, że gdyby coś stało się w jej otoczeniu, gdyby korzystała z numeru alarmowego, spanikowana i zestresowana, to chciałaby właśnie rozmawiać z kimś takim. Z kimś, kto pozwoli jej chociaż na chwilę uwierzyć, że najgorsze już minęło, że pomoc jest w drodze i że wszystko ma pod kontrolą. Ktoś. Ona lub on – nieznajomy człowiek tkwiący gdzieś tam przy telefonie.

– Odwróciłam się przecież tylko na chwilę. Nie zostawiłam go bez opieki. Mówiłam też, żeby nie brał tych zakrętek do buzi.

– Rozumiem, proszę się uspokoić i odpowiadać na moje pytania. Czy wnuk jest przytomny?

– Tak.

– Czy oddycha?

– Tak, ale jakby nie mógł zaczerpnąć powietrza. Boże, przecież to była tylko sekunda. Nie mogłam przewidzieć, że...

– Proszę usiąść, przełożyć sobie wnuka przez kolano i uderzyć go pięć razy otwartą dłonią między łopatkami, tylko nie z całej siły, żeby dziecku nie zrobić krzywdy. Po tym zabiegu proszę sprawdzić, czy dziecko łatwiej oddycha. W międzyczasie proszę podać mi państwa adres.

Dopiero teraz zauważyła, że podczas rozmowy z kobietą Grzegorz uzupełnia w programie komputerowym informacje, to zaznaczając myszką kolejne pola, to wklepując dane ręcznie.

– Przyjaźni czternaście przez sześćdziesiąt osiem.

– Czternaście, mieszkanie sześćdziesiąt osiem – powtórzył Grzegorz i rozpoczął wprowadzanie adresu, pod który miał wysłać zespół ratowników medycznych. – Tak, proszę uderzyć w plecy, między łopatki.

– Chwileczkę...

Anka słyszała, że kobieta odkłada telefon na bok. Próbowwała rozpoznać stłumione dźwięki, które docierały do jej uszu, ale nie mogła. Były zbyt ciche i zniekształcone. Miała jednak nadzieję, że babcia przyłoży się do zadania i sprawi, że dziecko wypluje to coś, co utrudniało mu oddychanie.

Dobrze wiedziała, że zanim ratownicy pojawią się na miejscu, minie kilka minut.

– Już.

– Jest poprawa? – Stoicki spokój Grzegorza był godny pozazdroszczenia.

– Nie płacz, Kacperku, babcia robi tylko to, co jej pan każe. Nie, nadal ma trudności z oddychaniem.

– Spokojnie. Przyjąłem zgłoszenie, karetka już do pani jedzie. Czy dziecko na coś choruje?

Dyspozytor zadawał kolejne pytania, a Anka przyglądała się jego twarzy. Powoli docierało do niej, dlaczego w tym pomieszczeniu panował zupełnie inny klimat niż na podstacji. Ratownicy byli dynamiczni, gotowi do działania w każdej chwili. Nawet kiedy siedzieli, oczekując na wyjazd, unosila się nad nimi energia. W powietrzu było czuć ich chęć działania oraz to, że oczekiwanie było dla nich koniecznym stanem przejściowym.

Dyspozytorzy byli spokojni, wyciszeni i opanowani. Jedyne, co mogli zrobić po odebraniu połączenia, to zarazić spokojem, wyciągnąć ze zdenerwowanego rozmówcy jak najwięcej informacji i poinstruować go, jak powinien postępować.

– Jestem już. Zespół dojechał na miejsce. Będą naprawiać to dziecko.

– Zawsze tak musisz rozmawiać? Do czasu przyjazdu?

– Gdyby dziecku się polepszyło, to mógłbym odbierać już inne zgłoszenia. Oczywiście wcześniej informując babcie, że musi obserwować wnuczka, a jeśli jego stan zacznie się pogarszać, to ma niezwłocznie dzwonić na dziewięć dziewięć dziewięć.

* *

Zmiana strategii przyniosła oczekiwany efekt. Kapelusznik miotał się przez

chwilę, ale w końcu zrozumiał powagę sytuacji. Wiktor miał okazję poznać go podczas procesu sądowego, który zakończył się wyrokiem skazującym. Wiedział już, jak zagrać, żeby wygrać.

– Rozalia Pankowska. – Kapelusznik podał w końcu jakąś konkretną informację.

– Słucham?

– Rozalia Pankowska.

– Co z nią?

– Chudy zarzekał się, że jak wyjdzie, to ją zabije.

– Mówił to samo o Andrzeju Lewandowskim? – Wiktor nie chciał tracić czasu na rozmowy o osobach, które go nie interesowały.

Do zamknięcia sprawy dotyczącej zaatakowanego ratownika potrzebował motywu, świadka lub dowodu i zatrzymania Chudego.

– Tak, powtarzał, że go zajebie. Przepraszam pana prokuratora za słownictwo, ale to cytat był.

– Dlaczego chciał go zabić?

– Lewandowskiemu już nic nie pomoże, z całym szacunkiem do pracy, którą pan wykonuje, powinien skupić się pan na rzeczach ważniejszych. Chudy ma teraz na celowniku Rozalię Pankowską.

Braun się zjeżył. Zwykle śmieszyły go próby wskazywania mu przez oskarżonego czy jego rodzinę wytycznych postępowania, ale tym razem nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Kapelusznik jest dobry w tym, co robi. Być może właśnie dlatego Anka tak bardzo się zaangażowała w sprawę.

– Skąd pan to wie? – spytał od niechcienia.

– Wiem.

– Skąd?

– Spędziliśmy wystarczająco dużo czasu, żeby się poznać. Wiem, że jeśli powiedział, że zabije, to zabije.

– Dlaczego chciał zabić ratownika?

– Z zemsty. Tak samo jak Rozalię Pankowską.

– Kim jest ta kobieta?

– Była jego konkubina. Chudy mówił, że to przez jej zeznania go wsadzili i że jak już wyjdzie, to powyrywa chwasty, które zrujnowały mu życie.

– Kogoś jeszcze miał na myśli?

– Nie. Tylko tę dwójkę.

– Wróćmy zatem do konkubiny Chudego. Jakie ma wobec niej plany?

– Chce ją zabić.

– Jak?

– Nie wiem. Mówił, że zrobi to tak, że nikt nie będzie mógł dojść do tego, że to było zabójstwo.

– Jak mam rozumieć pana wypowiedź? – Wiktor doskonale wiedział, o co chodzi, ale chciał, żeby oskarżony użył innego słowa.

– Wspominał, że zainscenizuje samobójstwo.

– W jaki sposób?

– Nie zwierzał mi się. Po prostu czasem gadaliśmy, a on się odgrażał.

– Dobrze, a może wie pan, dlaczego Chudy chciał zemścić się na ratowniku?

– Mówił, że to przez niego nie ma palców, że ratownik powinien je jakoś lepiej zabezpieczyć, żeby potem lekarze mogli mu je przyszyć.

– Czy Chudy zwierzał się panu z jeszcze innych planów? Czy istnieje jeszcze ktoś, na kim mógłby chcieć się zemścić? – Braun powtórzył pytanie, które zadawał wcześniej, zmieniając trochę jego kontekst. Chciał sprawdzić, czy zarówno reakcja, jak i odpowiedź będą takie same.

Nie same słowa świadczyły o prawdomówności, ale również sposób, w jaki były wypowiedziane. Towarzysząca im mimika, gesty, spojrzenia.

– Nie. Tylko ta dwójka.

– Czy mówi panu coś nazwisko Puchalski? Fryzjer Błażej Puchalski?

– Nie, a powinno? Od dawna nie korzystałem z usług fryzjera.

– Dlaczego odezwał się pan do Anny Rogozińskiej? Czemu miałyby przeszkodzić w zamiarach pana kolegi spod celi?

– Bo wiem, że na nią zawsze mogę liczyć. Nie wiem, czy pan prokurator potwierdzi moje zdanie, ale ona zawsze się angażuje w sprawy... a mnie na tym zależało.

– Dlaczego?

– Bo siedziałem z Chudym i wiem, że w gruncie rzeczy to nie jest zły facet. Nie chcę, żeby zrealizował swoje plany. Nie chcę, żeby musiał tu wrócić.

– Gdzie mogę go znaleźć?

– Chudego?

– Przecież o nim rozmawiamy.

– Nie wiem. Gdybym był na waszym miejscu, obstawiłbym mieszkanie tej jego konkubiny. Ona mieszka na ulicy Nadolnik. Prędzej czy później on się tam zjawi. Gwarantuję to!

* *

– I jak? – spytała Anka, kiedy wyszli z budynku, w którym znajdowała się dyspozytornia.

Zmierzali wolnym krokiem w kierunku samochodu. Artur był rozemocjonowany.

– No, powiem ci, że na początku myślałem, że kicha, ale jak już przeszliśmy na tę drugą salę, na której można było zaobserwować dyspozytorów przy pracy, to już poczułem ogień. Mam dużo ciekawych ujęć. To było jak pole pełne kontrastów, nie wiedziałem, co pierwsze chwycić. Spokój na twarzach tych facetów czy to, co wpisują w te swoje komputery. NZK, zawał, upadek z wysokości...

– NZK, czyli nagłe zatrzymanie krążenia.

– Podziwiam ich. Prowadzą rozmowy z tak rozemocjonowanymi ludźmi, a sami są spokojni jak skały.

– Gwarantuję ci, że to kwestia przyzwyczajenia, chociaż oczywiście też pewnych predyspozycji.

– I jak fajnie się wszyscy ożywili, jak jeden z nich zauważył, że już jest południe, a nie było żadnego zgłoszenia ze szkoły.

– Nooo, i te opowieści o zgłoszeniach wigilijnych. To musi być śmieszne, że siedzą w najbardziej rodzinny dzień w roku w robocie i odbierają telefony od tych przejeżdżonych kapustą i grzybami. Dobra, wsiadaj – Anka otworzyła samochód – podrzucę cię do Primo TV.

– To ty nie wracasz do firmy?

– Nie, jak mam patrzeć na mordę Joanny, to dziękuję. Poza tym mam jeszcze jedną rzecz do załatwienia na mieście – Anka przemilczała fakt, że kilka minut wcześniej odebrała telefon od Kapelusznika.

* *

Przemek z Emilem piątą godzinę wpatrywali się w monitory i nie bardzo nawet chciało im się ze sobą gadać. Ludzie tłumnie oblegali centrum handlowe. Dzieci biegały po sklepach. Pary kłóciły się ze sobą. Mężczyźni oglądali się za nieswoimi kobietami, a kobiety przystawały przy wystawie sklepu jubilerskiego.

Nawet w nieprzyjemnej kanciapie zwanej biurem monitoringu czuć było atmosferę zbliżających się świąt, wszystko za sprawą stoiska z bombkami i ozdobami świątecznymi, które często pojawiało się na jednym z ekranów.

– Ty, Emil, pa... Kolejne doładowanie.

– Że co?

– No pa... – Przemek zmienił widok na jednym z ekranów i zamiast

pokazywać widok z czterech kamer, ochroniarze mogli obserwować już tylko to, co działo się przed jedną z nich. – Facet kupił sobie doładowanie do komórki.

Przemek manewrował kamerą. Na ekranie ukazało się najpierw męskie ramie, potem dłoń i karteczka papieru. Mężczyzna, którego obserwowali, stał twarzą do kamery, a drugą ręką wyciągał właśnie z kieszeni komórkę.

– To co, Emil? Robimy zakłady? Kto pierwszy wprowadzi kod doładowania komórki? On czy ja?

Obraz na ekranie zaczął robić się coraz większy, a oczom ochroniarzy ukazały się liczby i litery.

– Ani on, ani ty, ale ja – Przemek sięgnął po swój telefon, ale nie zdążył wprowadzić kodu, bo telefon się rozdzwonił.

– Halo – odezwał się chłodno. – Aha. Tak. Rozumiem. Wdrażamy procedury.

– Co jest? – Emil spojrział na kolegę wzrokiem żądnym wrażeń.

Liczył na konieczność obserwowania podejrzanego o kradzież małodłata albo cyganki, która czyha na niespodziewających się niczego klientów.

– Kurwa! – jęknął Przemek, gdy odłożył telefon.

– Co jest?

– Dzwonił dyrektor. Właśnie odebrali maila z informacją, że w centrum handlowym podłożono bombę.

* *

Rudi stanął w przejściu między kuchnią a pomieszczeniem służącym im jako siłownia. Przez chwilę przyglądał się niczego nieświadomym kumplom, aż w końcu powiedział:

– Właśnie przyszło wezwanie.

– Oooo! – Stegi nawet nie wykazał zainteresowania. Leżał na ławeczce skośnej i właśnie miał rozpocząć kolejną serię wyciskania sztangi.

– Gdzie tym razem? – spytał Rudi.

– Misja Galeria Malta.

– Znowu galeria? – Stegi puścił sztangę. – Nie macie wrażenia, że mamy dzień świra?

Nikt mu nie odpowiedział, ale wszyscy myśleli tak samo. Byli różni i jednocześnie do siebie podobni. Jak rodzina. A może nawet i więcej. Zwłaszcza

jeśli uwzględni się teorię, że z rodziną dobrze wychodzi się tylko na zdjęciach.

Stegi i jego koledzy z Samodzielnego Pododdziału Antyterrorystycznego Policji unikali co prawda zdjęć i innych aktywności uwieczniających ich twarze, ale wiedzieli, że mogą na siebie liczyć. Zawsze stawiali się niezwłocznie na realizację, nawet gdy byli już teoretycznie po pracy. Realizacje miały dla nich najwyższy priorytet, po którym długo, długo nie było nic innego.

Razem przeżywali sukcesy, razem opijali porażki i razem radzili sobie z normalnym życiem. Łączyła ich nie tylko praca i pasja, ale tak samo nieznośne jak i przyjemne uzależnienie od adrenaliny.

– Ciekawe, czy tym razem jedziemy do torby z jabłkami, reklamówki z papierami czy do jednej wielkiej pustki?

– Dobra, Rudi, już nie marudź. Nieważne, do czego jedziemy, okaże się na miejscu. Ważne, że coś się dzieje.

* *

Ulicę Nadolnik Anka kojarzyła właściwie tylko z dwóch rzeczy.

Po pierwsze z nowego bloku socjalnego, do którego kilka dni po oddaniu go do użytku wprowadziło się ponad pięćdziesiąt problemowych rodzin.

Po drugie z zabytkowego młyna, który od czasu do czasu płonął, ale jakoś nie chciał spłonąć, co musiało chyba budzić frustrację inwestora, któremu marzyło się stworzenie na jego miejscu studenckiego kampusu.

Tym razem miała możliwość zobaczenia na własne oczy tego wszystkiego, o czym zwykle słyszała w materiałach koleżanek i kolegów z Primo TV. Zaparkowała samochód, wysiadła i rozejrzała się.

Zdziwiła ją liczba nowych bloków między starymi, dwupiętrowymi kamieniczkami. Nie sądziła, że ktokolwiek zarabiający tyle, żeby zaciągnąć kredyt hipoteczny, będzie miał ochotę i odwagę tu zamieszkać.

Przemykała między kolejnymi blokami, szukając konkretnego numeru. W rozmowie telefonicznej, którą odbyła, wychodząc z dyspozytorni, Kapelusznik podał jej adres kobiety Chudego i nalegał, żeby ją odwiedziła, jeśli chce zapobiec kolejnemu zabójstwu.

Chciała, chociaż coraz słabiej. Potrzebowała sukcesu i snu. Nie mogła jednak zlekceważyć tak istotnej informacji. Chciała ją tylko zweryfikować, a potem się zdrzemnąć.

– A pani do kogo?

Wystarczyło, że przystanąła przy bloku, a siedząca na murku kobieta od razu ją zaczepiła. Miała rozpiętą kurtkę, mimo że na dworze hulał zimny wiatr. Meteorolodzy prognozowali załamanie pogody, a termometr w Citroënie pokazywał, że było pięć stopni powyżej zera.

– Szukam znajomej.

– A po co?

– Muszę oddać jej pieniądze – wymyśliła na poczekaniu Anka.

– To pani mi je da, a ja jej przekażę.

– Nie, ja muszę sama.

– A komu?

– Koleżance. Mieszka tu, pod piątką. – Anka wskazała klatkę z numerem podanym przez Kapelusznika.

Kobieta wstała z murka, splunęła na ziemię i podeszła do Anki.

– Pani mi da, ja przekażę – powiedziała dużo ciszej niż wcześniej.

– Pójdę sama.

– Lepiej niech pani nie idzie.

– Dlaczego?

– Bo jej nie ma w domu. Pani, ja tu wiem wszystko o wszystkich. Siedzę na murku i obserwuję, a później, jak trzeba, to sprzedaję, to co wiem.

Anka zrozumiała sugestię. Sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła trzy monety.

– Mam tylko pięć złotych. – Nie zdążyła wypowiedzieć ostatniego słowa, a monety zniknęły z jej dłoni.

– Rozalia jest nieszczęśliwa. Facet ją rzucił. Kilka miesięcy prowadziła się z takim jednym penerem, co mieszka dwa bloki dalej, tam w stronę młyna. Najpierw u niej sypiał, potem właściwie już nie wychodził, no chyba że do sklepu po piwo. We wrześniu chyba się odkochał, bo się wyprowadził. I powiem pani, że dobrze, bo gość urządził awantury. A u nas w bloku mamy dość swoich awantur. Nie trzeba nam gościnnych występów. Po tym wszystkim mało ją widuję. Przestała wychodzić z chaty i w sumie się nie dziwię, bo znowu zaufała kretynowi, wyruchał ją i zostawił. A wszyscy mówili jej, że to chuj jest i ma się z nim nie prowadzać.

* *

– Jest pani pewna?

Chuj okazał się być roslým brunetem o wyrazie twarzy goryla i inteligencji

jaszczurki. Tak przynajmniej Anka oceniła jego zdolności intelektualne po krótkiej i mało zadowalającej rozmowie. Dotarła do niego dzięki dobrze zainwestowanemu banknotowi przedstawiającemu Mieszka Pierwszego.

– Tak, proszę otworzyć – nalegała.

Skoro pochwalił się jej, że w jego posiadaniu nadal znajdują się klucze do mieszkania byłej konkubiny, musiała wykorzystać okazję. Nawet jeśli Rozalia miała depresję i udawała, że nie ma jej w domu, klucze rozwiązywały problem zamkniętych drzwi.

Po ich otwarciu będzie zmuszona do zamienienia z Anką przynajmniej kilku zdań. Tyle wystarczyło, żeby powiedzieć o niebezpieczeństwie grożącym jej ze strony Chudego.

– Ale jeśli tylko wyszła na zakupy i wróci, i zacznie mnie jebać, to wszystko zrzucę na panią.

– Proszę bardzo. Biorę na siebie całą odpowiedzialność. Niech pan otwiera.

– Nadal nie kumam, po co to pani.

– Niech pan otwiera.

Klucz znalazł się w zamku, a chwilę później drzwi stanęły przed Anką otworem.

– A nie mówiłem, że to syfiara?

Mężczyzna spojrział na Ankę tryumfująco, jakby odór, który przywitał ich w przedpokoju, był okolicznością usprawiedliwiającą jego negatywny stosunek do byłej konkubiny.

– Pani Rozalio? – Anka zatkała nos i weszła do środka.

Musiała porozmawiać z kobietą.

Zajrzała do pierwszego pokoju. Panował w nim względny porządek. Centralne miejsce zajmował duży, płaski telewizor. Na ławie stał kubek z czymś przypominającym herbatę.

– Jak zwykle bety rozpięzione w chuj – mężczyzna podążył za nią.

Przeszła do drugiego pokoju. Na rozłożonej wersalce leżała skotłowana pościel, a wokół łóżka stało kilka talerzy z niedojedzonymi kanapkami, butelki po coli i jedna po wódce.

– Pani Rozalio? – Anka zatrzymała się przed drzwiami do łazienki.

Zapukała. Mężczyzna w tym czasie wszedł do kuchni i – jak gdyby nigdy nic – zajrzał do lodówki.

– Pani Rozalio? Jest tam pani? Zapukam jeszcze raz i wejść.

Policzyła w myślach do dziesięciu, zapukała i nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły. Denerwujący zapach nasilił się, a Anka poczuła, że treść żołądka podchodzi jej do gardła. Z trudem opanowała odruch wymiotny.

– Pani Ro...

Łazienka była mikroskopijna. Nie musiała do niej wchodzić, żeby zobaczyć

ją całą. Szarą umywalkę, krzywo zamontowaną szafkę wiszącą, nadpękniętą muszlę klozetową i ciało. Obrzydliwie nabrzmiałe, wypełniające niemal całą wannę.

* *

– Halo?

Braun odebrał telefon. Nie chciał, żeby Anka czekała. Zebrał się w sobie i zdecydował, że powinni porozmawiać o obecnej sytuacji wprost i szczerze. Porozmawiać o wzajemnych obawach, oczekiwaniach i innych ograniczających ich sprawach.

– Halo? Wiktor?

– Witaj, Aniu. Cieszę się, że dzwonisz.

– Wi–ktor – dukała. – Wi–ktor...

– Wiem. Czekaj, ja pierwszy. Być może telefon to nie najlepszy sposób, ale nie powinniśmy odkładać tej rozmowy na później. Powinienem cię przeprosić za...

– Wiktor, ja tu mam zwłoki!

– Zawaliłem, przyznaję – powiedział z rozpędu, ale zatrzymał się, analizując w myślach słowa Anki. – Zwłoki? Jakie, do cholery, zwłoki?

– Kobiety.

– Anka, w co ty się znowu wpakowałaś?!

– Dzwonił do mnie Kapelusznik i podał namiary na kobietę Chudego, która jest w niebezpieczeństwie. Miałam ją ostrzec. Wiktor, spóźniłam się. Ona leży w wannie. Wygląda jak balon.

– Dzwoniłaś po policję?

– Jeszcze nie.

– Cholera jasna, Anka!!! Co jeśli będą analizować twoje bilingi i wyjdzie im, że najpierw zadzwoniłaś do mnie...

– Nie wyżywaj się na mnie i przestań myśleć ciągle tylko o swoim tyłku! Stoję w mieszkaniu nad zwłokami. Co mam robić?

– Dzwon na policję. Wsiadam w samochód i jadę do ciebie. Trzymaj się. Gdzie jesteś?

ROZDZIAŁ 12

Już po?

– Już – prychnęła Anka.

Przesłuchujący ją przez ponad godzinę policjant zadawał jej równie bezsensowne pytania. Dlaczego znalazła się w tym mieszkaniu? Co chciała zrobić? Co łączyło ją z więźniem, który do niej dzwonił? Dlaczego w pierwszej kolejności zadzwoniła do prokuratora Brauna?

Tłumaczyła w kółko to samo, aż w końcu sama zaczęła się mylić. Pytania zlewały się jej w jedno, a głowa bolała od odpowiedzi. Kiedy wyszła w końcu z pokoju przesłuchań, zobaczyła czekającego na korytarzu Wiktora. Jego pełne troski spojrzenie przelało czarę goryczy.

– Wyobraź sobie, że w ogóle nie musiałabym tu być, gdybyś pofatygował się na ten Nadolnik! Przecież Kapelusznik prosił cię o to.

– Aniu, musimy porozmawiać.

– Porozmawiać? Kurwa, Wiktor, masz wybiórczą pamięć! Byłam u ciebie ostatnio. Nie chciałeś rozmawiać.

– Teraz już chcę.

– Ach tak. To cudownie. Ale ja już nie chcę.

– Nie zachowuj się jak dziecko!

– Nie będziesz mówił mi, jak mam się zachowywać!

– Ciii – syknął.

Rozejrzała się wokoło. Komisariat nie był może najlepszym miejscem do przeprowadzania takich rozmów. Mijający ich mężczyźni nawet nie udawali, że się im nie przyglądają.

– Dobra, czekaj. – Wiktor zbliżył się do Anki. – Jeszcze raz. To był ciężki dzień, masz prawo być zniecierpliwiona. Proszę, porozmawiajmy. Napijemy się kawy? Piwa?

– Nie.

– Nie, bo nie?

– Nie, bo... – Szukała argumentu, który mógłby odwołać się do prokuratorskiej logiki.

Spojrzała na zegarek i przypomniała sobie, że o osiemnastej trzydzieści powinna pojawić się na podstacji. Właśnie minęła osiemnasta.

– Jestem spóźniona.

– Umówiłaś się z kimś?

– Tak, z bezdomnymi, chorymi i potrzebującymi pomocy.

– W takim razie przyjdź do mnie, jak skończysz. Będę czekał.

- Skończę o siódmej rano. Mam nockę w pogotowiu.
- To jednak nie. Będę już wtedy w pracy. W takim razie to ja przyjdę do ciebie. Jutro, po mojej pracy. O szesnastej. Albo nie, bliżej siedemnastej.

* *

Wrócili właśnie z wyjazdu. Anka zauważyła, że Szczepan idzie ostatni, zwolniła więc i, kiedy wystarczająco oddalili się od Haribo, spytała:

- Możemy pogadać na osobności?

Stanęli przy lampie. Szczepan oparł się o ścianę. Anka ustawiła się jak zwykle tak, żeby kadry rejestrowane przez ukrytą kamerę były jak najszersze.

– Zastanawiałam się. Większość z was, ratowników, mówi, że zawód, który wykonujecie utrudnia utrzymanie satysfakcjonujących związków.

- Zgadza się.

– Mówicie, że przez pracę rozpadają się wasze małżeństwa.

- No i?

– Masz żonę?

Szczepan pokiwał głową i dodał:

- Byłą.

– No właśnie. Zastanawia mnie jednak, na ile to, co mówicie, jest prawdą, a na ile jedynie usprawiedliwieniem? Takim wybielaniem rzeczywistości? Przecież mnóstwo ludzi wykonuje angażującą i stresującą pracę, która równocześnie jest ich pasją. Wydaje mi się, że oni muszą się po prostu bardziej napracować, żeby pokazać tej swojej drugiej połówce, że jest ważniejsza od pracy. Tłumaczenie, że wskaźnik rozwodów wśród ratowników jest wysoki i dlatego mi się nie udało, jest pójściem na łatwiznę.

Prowokowała. Przeczytała w jakimś artykule branżowym, że ratownikami medycznymi często zostają osoby, które nie potrafią żyć rodzinnie. Wybierają zawód, w którym cały czas jest się raczej dalej niż bliżej partnera.

– Nie wiem, jak jest u innych. U mnie nie dało się pogodzić funkcjonowania rodziny i moich ciągłych dyżurów. Byłem zmęczony i podobno obojętny emocjonalnie... Zresztą co ci będę mówić. Pracujesz z nami już trochę i sama widzisz, że gdybym nie był tu obojętny, to wracałbym do domu i ryczał w poduszkę. Nawet jeśli na początku założysz sobie, że będziesz zmieniać maski, żeby w domu być chodzącą wrażliwością, a do pracy zakładać zbroję, to i tak

prędzej czy później ci się wszystko pomiesza.

– Powiedziałaś „ciągłych dyżurów” z przekąsem – zauważyła Anna.

– Tak je nazywała moja była. Jak wiesz, większość z nas pracuje na dwa etaty, żeby kasa, którą zarabiamy, w sumie dawała nam normalną pensję. Bieganie od pracy do pracy wkurzało moją żonę, jej tolerancja nagle zaczęła maleć. Szybko zaczęła mieć pretensje. Wszystko się posypało, kiedy zaczęła wymagać ode mnie zmiany pracy na taką, w której będę pracował i zarabiał normalnie.

– Brak akceptacji dla twojej pasji?

– Ogólny rozpiżdziel. Tak, z jednej strony brak akceptacji mojej pasji, z drugiej pytania, gdzie jest ta pasja, skoro ciągle chodzę sfrustrowany...

– Nie myślałeś o tym, żeby jednak rzucić pracę a nie rodzinę?

– Nie rzuciłem rodziny. To żona ode mnie odeszła.

– Pierdolenie. Nie masz sobie nic do zarzucenia?

Westchnął i spojrzał na nią tak, że wiedziała, że nie odpowie na jej pytanie.

– Nie wyobrażam sobie siebie w innej pracy. Gdzie miałbym pójść? Do korporacji? Umarłbym tam!

Anka była jednak zadowolona. Godziny spędzone z ratownikami owocowały budzącym się zaufaniem i tym, że mogła poruszać z nimi coraz intymniejsze tematy. Jej tajny plan gromadzenia materiałów do zupełnie innego programu nie tylko nabierał kolorów, ale nadawał też sens nadludzkiemu wysiłkowi, który wkładała w te dyżury.

– Pozostając trochę w temacie. Żeby efektywnie wykonywać swoją pracę, nauczyłeś się kontrolować swoje potrzeby. Sen na zawołanie. Jedzenie?

– Też na zawołanie. Zwykle maksymalnie dwa razy dziennie.

– No właśnie. – Uśmiechnęła się, bo to potwierdzało jej teorię, że ratownicy marginalizowali swoje potrzeby, żeby być efektywnymi w pracy. – A co z seksem?

– Seks jest fajny, ale znam bardziej ekscytujące rzeczy.

* *

Anka przestała liczyć wyjazdy już kilka dyżurów temu. Powtarzalność zachowań polegających na wychodzeniu z podstacji, wsiadaniu do karetki, wychodzeniu z niej, udzielaniu w najlepszym razie pomocy oraz powrót na podstację zaburzały rzeczywistość. Zmieniali się jedynie ludzie, do których jechali, ale – podobnie jak reszta ratowników – nie zapamiętywała ich twarzy.

Światła karetki rozcinały właśnie ciemność panującą na Katowickiej, ale Anka przed oczami ciągle miała ten sam widok: wannę, a w niej blade, pomarszczone, napuchnięte ciało. Jak dojrzała purchawka bliska wybuchu. Miejscami oddzielający się od ciała naskórek i oczy... wybałuszone tak mocno, że sprawiały wrażenie, że za chwilę wypadną z oczodołów.

Było już dobrze po północy, a karetka zmierzała na Szpitalny Oddział Ratunkowy. Szczepan i Haribo jak zwykle siedzieli z przodu, a Anka wraz z pacjentem z tyłu. Tym razem towarzyszył jej mężczyzna w średnim wieku z zaburzeniami psychicznymi. Mogła odwrócić fotel i siedzieć twarzą do pacjenta, a tyłem do kierunku jazdy, ale chciała uniknąć interakcji. Obecność pacjenta stresowała ją. Szczególnie że mężczyzna cały czas mówił do siebie.

– Chłopaki, nigdy nie myśleliście o tym, że igracie z ogniem? W środku nocy zgarniacie z ulicy takiego... – W razie gdyby pacjent miał ją usłyszeć, zrezygnowała z dosadnego określenia i ściszyła głos: – I zamknęci w karetce jedziecie z nim do szpitala?

– Nie mów, że tak cię zestresowała obecność Zulupappy.

– Zestresowała? Nie. Po prostu zastanawiam się, czy to jest bezpieczne? Mało ostatnio słyszy się o podobnych sytuacjach?

* *

– Nie musiał się pan prokurator fatygować. – Jolanta Adamkowska wyglądała na zaskoczoną.

Widzieli się z samego rana podczas sekcji zwłok Rozalii Pankowskiej.

– Musiałem – rzucił lakonicznie Braun. – Mam jeszcze kilka pytań.

– Nie mógł pan zadzwonić?

– Nie.

Zdawał sobie sprawę, że mógłby być bardziej uprzejmy. Mógłby, jak to mężczyźni zwykle mieli w zwyczaju, zażartować, że wolał przyjść osobiście i się z nią zobaczyć. Albo bardziej wylewny – i wytłumaczyć, że nie przyszedł, broń Boże, jej sprawdzać, ale jest coś, co nie daje mu spokoju.

Mógł. Cenił jednak swój czas i nie chciał go marnować na niepotrzebne tłumaczenia. Adamkowska tak czy siak musiała udzielić odpowiedzi na wszystkie jego pytania. Nieważne było dla niego to, czy uważała go za upierdliwca, bezczelnego buca czy zarozumialca.

– Zatem proszę pytać. – Kobieta odsunęła od siebie pojemnik z sałatką

i położyła dłonie na stole, przy którym siedziała.

– Powiedziała pani, że ofiara się utopiła. – Braun zajął miejsce naprzeciwko niej.

– Zgadza się. Płuca zostały zalane wodą, co skutkowało niedotlenieniem, następnie nieodwracalnym uszkodzeniem centralnego układu nerwowego i zgonem.

– Rozumiem, ale skąd twierdzenie: „się”?

– Na ciele nie było śladów mogących świadczyć o tym, że ktoś jej pomógł.

– A jeśli stwierdziłbym, że jednak było inaczej?

– A jeśli kategorycznie zaprzeczyłabym pana stwierdzeniu?

– To bym się upierał.

– Spytałabym wtedy, na jakiej podstawie opiera pan swoje przekonanie.

– Jeśli pyta mnie pani o medyczne podstawy, to pani musi znaleźć coś, co przekona sąd.

– Ale o czym?

– Że ktoś pomógł jej umrzeć.

– Z całym szacunkiem, panie prokuratorze, ale kiedyś był pan ostrożniejszy.

Zwykle pytał pan o dowody, teraz każe mi je tworzyć?

Adamkowska wróciła do jedzenia, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że właśnie zakończyli rozmowę.

– Pani Jolu. – Nie zamierzał wychodzić, zanim nie osiągnie zamierzonego celu. – Proszę tylko, żeby przyjrzała się pani ofierze jeszcze raz. Dokładnie. Mam świadka, który twierdzi, że ktoś groził Pankowskiej i że chciał ją zabić tak, żeby nie został żaden ślad.

– Gdyby ją topił, to na ciele widzielibyśmy siniaki, zadrapania... Sam pan widział. To nie była filigranowa kobietka, ale wielka baba. Z ledwością mieściła się w wannie. Sprawca musiałby stoczyć z nią walkę, zanim zanurzyłby jej głowę pod wodą. I musiałby jeszcze ją tam utrzymać.

To był właśnie szczegół, który nie zgadzał się Braunowi. Po rozmowie z Kapelusznikiem sprawdził wszystko bardzo dokładnie. Nazwisko Pankowskiej znalazł w aktach dotyczących Rozwadowskiego. Jej zeznania były kluczowe. Bez owijania w bawełnę opowiedziała o pirotechnicznych upodobaniach i praktykach swojego partnera.

Chudy miał więc motyw. Chciał się zemścić. Braun nie mógł sobie jednak wyobrazić, jak do tego doszło. Rozwadowski nie bez powodu nosił pseudonim Chudy. Miał sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i wyglądał jak najcieńsza, spieczona i zaszuszone frytka.

Trudno byłoby sobie wyobrazić sytuację, w której szkielet obciążony jedynie skórą mógł poradzić sobie z walczącą o życie kobietą, która ważyła przynajmniej dwa razy tyle co napastnik.

- Pani Jolu, musi być jakiś sposób.
- Tak, oczywiście. Otumanienie ofiary. Wykluczyłam to już. Ofiara była czysta. Zero alkoholu, zero tabletek nasennych czy innych środków odurzających. Jeśli miałabym powiedzieć, co się stało, to stawiałabym na to, że zasłała albo zasnęła...
- A ja będę trzymał się swojej wersji. Ktoś ją zabił i upozorował utopienie?
- Nie mógłby tego zrobić, nie zostawiając śladów na ciele.
- No to ją utopił.
- Panie prokuratorze, ta rozmowa naprawdę nie ma sensu. Mówiłam już, ale powtórzę. Ostatni raz – podkreśliła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Gdyby ją utopił, to zostawiłby ślady na ciele.

* *

Otaczał go hałas. Stegi siedział w nieznacznym oddaleniu od wejścia do Galerii Malta i obserwował kręcących się dookoła ludzi.

Jedni wchodzili do środka, inni wychodzili. Dyskutowali ze sobą, śmiali się lub rozmawiali przez telefon. Ktoś krzyczał, jakieś dziecko płakało. A on siedział i czuł rozpierającą dumę. Oddychał nią i mimo że tkwił na ławce, to właściwie czuł, jakby się nad nią unosił.

Był tu wcześniej, ale nikt nie mógł go teraz rozpoznać. Wtedy miał zakrytą twarz. I czuł się jak Bóg. Ludzie biegali jak mrówki, którym ktoś rozwalil mrowisko. Panikowali, nawet gdy stali już za policyjnymi taśmami. A on był spokojny. Lubił takie sytuacje. Wszyscy wychodzili z budynku, a on niczym bohater wchodził do środka.

Większość już zapomniała o policyjnej akcji. Skupili się na sobie, swoich telefonach i rzeczach, które chcieli kupić. Nawet nie zdawali sobie sprawy, że takie skupiska ludzi są idealnym miejscem dla psycholi.

Ten dzisiejszy akurat zawiadomił policję o bombie, której nie podłożył. W podejrzanym torbie znajdowała się atrapa. Widocznie chciał zobaczyć, jak służby mobilizują się, żeby ratować społeczeństwo.

Spojrzenie Stegiego przykuły dwie nastolatki. Wyglądały jak klony. Miały czarne włosy, bordowe usta i identyczne kurtki.

– Ty, słyszałaś, podobno saperzy zabrali stąd dziś bombę. – Usłyszał piskliwy głos jednej z nich. – Widziałam foty na insta.

Nie cierpiał, kiedy ktoś nazywał jego i kolegów z sekcji minersko-pirotechnicznej saperami. Dziennikarze nie mogli jednak przyswoić pojęcia „policyjny pirotechnik”. Zupełnie jakby nie pojmowali różnicy między „pirotechnikiem” a „piromanem” i bali się, że w pisanych tekstach lub nagrywanych materiałach użyją błędnego słowa.

* *

– Aneczko, mówiłaś, że nie mam się denerwować, ale co włączę telewizję, to skacze mi ciśnienie!

– Cześć, mam. Miło, że dzwonisz. Coś w serialu poszło nie tak?

Renata Rogozińska nie wychwyciła złośliwości. Była tak zaaferowana informacjami o bombie podłożonej w Galerii Malta, że nie mogła opanować drżenia rąk. Znała tę nazwę, bo Anka często wspominała, że wpada do Malty na zakupy.

– W serialu? Jakim serialu? Kochanie, ja tu o prawdziwym życiu mówię! Na pewno słyszałaś! Boże, czasami jesteś flegmatyczna jak twój świętej pamięci ojciec! Ledwo z życiem uszłaś, a mówisz, jakbyś właśnie co się obudziła. Bomba! Kolejna bomba!!! Wczoraj Paryż, dzisiaj Poznań. Czy jutro będą Pobiedziska?!

– Mam, czy ty aby trochę nie przesadzasz? Komu chciałoby się podkładać bombę w Pobiedziskach?

– Jak to komu? Zamachowcom. Tym samym co w Paryżu i Poznaniu.

– Bomba w Paryżu była kilka dni temu, a o Poznaniu nie słyszałam.

– Jak to nie słyszałaś? Powinnaś mieć przecież informacje z pierwszej ręki! Pracujesz przecież w mediach!

– Ale nie mam. Jaka bomba?

– Pokazywaliście, że ewakuowano centrum handlowe.

– Czekaj, sprawdzę w necie. Przez te dyżury w pogotowiu nie jestem na bieżąco.

Anna zamilkła, a Renata wypełniła ciszę opowiadaniem o perypetiach sąsiadki dokarmiającej bezpańskiego kota i o nowej, zupełnie niepasującej do ich wiejskiego sklepu ekspedientce. Zbliżała się do punktu kulminacyjnego, kiedy Anka się odezwała:

– No dobra. Widzę. Centrum ewakuowano, ale przecież to atrapa była, nie bomba. Fałszywy alarm. Ktoś sobie zrobił jaja.

– Mówię ci, że to była prawdziwa bomba! Pewnie ci, no, saperzy, czy jak im

tam, sobie z nią poradzili, dzięki temu Poznań uniknął eksplozji... Ale o tym to już nie powiedzą w telewizji, bo nie chcą siać paniki!

* *

Budynek prokuratury okręgowej sprawiał wrażenie regału z równo poustawianymi książkami. Nie przypadkowymi, lecz stanowiącymi jedną długą serię. Anka obserwowała go z samochodu. Zatrzymała się na chwilę na przystanku autobusowym i miała nadzieję, że uda jej się odjechać, zanim pojawi się na nim jakiś autobus.

Właśnie minęła szesnasta, kiedy Wiktor miał skończyć pracę. Zawsze działał zgodnie z harmonogramem, liczyła więc na to, że dziś też tak będzie. Wpatrywała się skoncentrowana w wyjazd z parkingu i czekała na samochód Brauna.

Kiedy się pojawił, wyłączyła radio, które nagle zaczęło jej przeszkadzać, i ruszyła za mężczyzną.

– Wiktor Braun ma żonę... Wiktor Braun ma żonę.

Mimo że początkowo starała się lekceważyć słowa Łukasza, poprzedniej nocy przebiły się one nawet przez wspomnienia napuchniętych zwłok i nie pozwoliły jej zmrużyć oczu.

Z jednej strony wiedziała, że nie powinna mu wierzyć. Powiedział to w złości, być może wymyślił na poczekaniu. Z drugiej – chciała mieć pewność. Coś w Wiktorze jej nie pasowało. Zwykle mężczyźni reagowali na nią zupełnie inaczej.

Po nocy pełnej zmysłowych doznań odsunął się całkowicie, jakby zdał sobie sprawę, że przekroczył granicę, której przekraczać nie powinien. I to właśnie Ankę najbardziej niepokoiło. Gdyby był wolny, to nie żałowałby namiętnego seksu i nie chciałby zbyt długo czekać na kolejny. Przyszedłby do niej tego samego dnia wieczorem i znowu zostałyby na noc. No chyba, że Łukasz miał rację. Wiktor był żonaty.

– Cholera! – jęknęła.

Samochód Wiktora po przejechaniu dwóch skrzyżowań zwolnił i na alei Wielkopolskiej zasignalizował zamiar skrętu w prawo. Anka musiała błyskawicznie podjąć decyzję, co robić dalej.

Nie mogła skrócić za Wiktorem, bo wszystko wskazywało na to, że próbuje wjechać na jedną ze stojących przy drodze posesji. Żeby zaparkować po drugiej

stronie ulicy, musiała objechać znajdujący się na jej środku szeroki pas zieleni. Bała się, że na ten manewr straci zbyt dużo czasu, a Wiktor zniknie jej z oczu.

Nie miała jednak wyboru. Gdyby zatrzymała się po tej samej stronie ulicy, Wiktor zauważyłby jej samochód. Minęła skręcającego Wiktora i z piskiem opon zawróciła przy pierwszej lepszej okazji. Zatrzymała się na chodniku, włączyła światła awaryjne i nie wychodząc z samochodu, próbowała odnaleźć mężczyznę. Jego samochód stał już za bramą, a on sam właśnie z niego wysiadał.

– Czyżby to był jego dom? – spytała na głos i w myślach sama sobie zaprzeczała.

Wiktor podszedł do drzwi wejściowych. Nie zapukał do nich, nie zadzwonił. Jak domownik nacisnął klamkę i wszedł.

* *

Po dwudziestu minutach Wiktor wyszedł. Trzasnął drzwiami, wszedł do samochodu i odjechał. Anka zacisnęła zęby. Chciała konfrontacji, potwierdzenia domysłów. Wiedziała, że nic innego nie ma sensu.

Przebiegła przez ulicę, podeszła do drzwi i zapukała. Długo nikt jej nie otwierał, więc nacisnęła klamkę. Kilka sekund później była już w środku.

Na białej ścianie naprzeciwko wejścia znajdowała się oświetlona tablica z napisem „Rosa”. Pod nią stały cztery zielone krzesła i stół, na którym leżało kilka gazet. Nie przyglądała się im, ale zeszło z niej trochę napięcia.

Wnętrze było chłodne i nijakie – jednoznacznie świadczyło o tym, że to była siedziba jakiejś firmy a nie dom, w którym żona czekała na Wiktora z obiadem.

– Dzień dobry. – Na korytarzu pojawiła się młoda dziewczyna. – W czym mogę pomóc?

– Dzień dobry. Ja... – Anka zamilkła. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. – Chciałam zapytać o Wiktora, był tu przed chwilą.

– Ma pani na myśli pana Brauna?

– Tak. Polecał mi to miejsce. Czy on... przychodzi tu często?

– Pan Wiktor?

– No właśnie. Odwiedza swoją żonę. Czy mogę do niej wejść?

– Przykro mi, ale nie praktykujemy odwiedzin z ulicy.

– Ja wiem, zawsze trzeba umówić się na spotkanie z wyprzedzeniem, ale może uda się pani dokonać cudu? Bardzo mi zależy. Jestem znajomą Wiktora...

– Spotkanie? – Dziewczyna zmarszczyła czoło i spojrzała na Ankę, jakby oszalała. – Jeśli pan Braun wyrazi zgodę na wpisanie pani na listę odwiedzających, to oczywiście nie widzę przeszkód. Tymczasem jednak...

– Odwiedzających? To pani Braun nie jest szefową tego całego – Anka omiotła spojrzeniem – ośrodka?

Przed wejściem Anka nie zauważyła żadnej tabliczki informacyjnej, jedynie już w środku logo „Rosa”. Wnętrze było na tyle nijakie, że równie dobrze mogło być salonem kosmetycznym, jak i kliniką medycyny estetycznej.

– Nie. Szefem naszego hospicjum jest doktor Paluch.

* *

Kapelusznik leżał na pryczy i wpatrywał się w sufit. Nowy wypuszczał z siebie powietrze rytmicznie, wydając przy tym krótkie i pobudzające wyobraźnię dźwięki. Gdyby Kapelusznik miał zamknięte oczy, mógłby pomyśleć, że chłopak załatwia właśnie mokre widzenie z panną. Oczywiście w celi, zamiast w specjalnie przeznaczonym do tego pokoju.

Wiedział, że to niemożliwe, ale zerknął kontrolnie w bok. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby sobie popatrzeć. Ciało Nowego unosiło się i opadało nad podłogą – niestety nie było pod nim kobiety.

Mężczyzna musiał wyczuć na sobie jego wzrok, bo rzucił:

– Może też byś chciał popompować?

– Gdybym chciał, to bym to zrobił. Zajmij się sobą!

– Myślałem, że leżysz i się nudzisz.

– Leżę i myślę. Ale co ty, kurwa, wiesz o myśleniu? To funkcja niedostępna dla takich jak ty.

Nowy nie odpowiedział, a Kapelusznik wrócił do obserwowania sufitu i rozmyślań.

Musiał przyznać, że pomyśleli z Chudym o wszystkim. Właściwie to on pomyślał, a Chudy po prostu trzymał się planu. Najbardziej dumny był ze sposobu, w jaki Chudy miał upozorować nieszczęśliwy wypadek w domu Rozalii.

Wiedział, że narcystyczny Chudy ma problem z ogarnianiem szczegółów, nie da więc rady usunąć wszystkich śladów walki z większą od niego kobietą. Dlatego odszukał w swojej pamięci rewelacyjny sposób na utopienie człowieka. Czytał o nim w jakiejś książce.

Wystarczyło złapać osobę leżącą w wannie za kostki i gwałtownie pociągnąć je do góry. Nie było to jednak zwykłe utopienie. Tajemnica sukcesu tkwiła w „gwałtownie”.

Woda nagle i szybko wypełniająca gardło i nos powodowała uszkodzenie nerwu błędnego, najdłuższego z nerwów czaszkowych, a co za tym idzie, nagłą utratę przytomności. Dlatego ofiara nie walczyła.

W tym sposobie było coś jeszcze, co działało na korzyść Chudego. Nieważne były dysproporcje pomiędzy ofiarą i napastnikiem. Kapelusznik pamiętał o tym, że czytał o eksperymencie, w którym napastnikiem była kobieta, a pozorowaną ofiarą świetnie wyszkolony antyterrorysta, który dobrze wiedział, co go za chwilę spotka.

Kiedy jednak został pociągnięty gwałtownie za kostki, a jego głowa znalazła się pod wodą, nie miał szans nawet na uchwycenie dłońmi brzegów wanny. Momentalnie stracił przytomność i gdyby nie obecność na miejscu eksperymentu lekarza, nie wróciłby już do świata żywych.

Rozalia Pankowska nie miała żadnych szans.

* *

Wiktor był gotowy do rozmowy. Nie mógł dłużej jej unikać. Pchnął drzwi do klatki Anki i, zamiast skorzystać z windy, pomaszerował po schodach. W jednej ręce trzymał wino, a w drugiej komórkę. Długo zastanawiał się, czy przypadkiem nie kupić kwiatów, ale ostatecznie zrezygnował.

Kiedy stanął przed drzwiami prowadzącymi do mieszkania Rogozińskiej, wziął trzy głębokie oddechy.

– Niech się dzieje, co chce – bąknął pod nosem i nacisnął na dzwonek.

Jako że nie odnotował żadnej reakcji, zapukał, po chwili powtórzył czynność. Dopiero za trzecim razem usłyszał zbliżające się kroki, a potem ujrzął Ankę.

Miała na sobie czarne legginsy i koszulę w czerwono-czarną kratę. Rozpuszczone włosy były w nieładzie, ale dodawały jej prawdziwości.

– Jestem. – Starał się przykryć zdenerwowanie uśmiechem. – Przepraszam za spóźnienie.

– W dupie mam twoje spóźnienie! – krzyknęła, a Wiktor dopiero teraz zauważył, że ona również trzymała w ręku wino. – Nie chce mi się z tobą gadać – dodała, po czym zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

ROZDZIAŁ 13

Nie chciał odejść spod jej drzwi. Dzwonił i pukał jak szalony. Przyglądała mu się przez wizjer i po raz pierwszy widziała go takiego. Jakby z ciała obojętnego prokuratora Brauna wyskoczył energiczny młodzieniaszek, który nie miał zamiaru zostać spławionym.

Wzięła jeszcze kilka łyków wina i otworzyła drzwi.

– Oszukałeś mnie! – Nawet nie starała się zachować spokoju.

Nie czekał na zaproszenie. Wepchnął się do jej mieszkania, jakby bał się, że zanim się odezwie, drzwi znowu zamkną mu się przed nosem.

– Nieprawda.

– I co? Znowu będziesz czepiał się słówek, próbując zrobić ze mnie głupka?

Okłamałeś mnie!

– Ja? Ania, chyba za dużo wypijaś. Uspokój się, usiądźmy i porozmawiajmy.

Mógł mieć rację. Prosto z hospicjum wróciła do domu, z szafy wyjęła butelkę wina, otworzyła ją i zaczęła opróżniać w takim tempie, jakby lekarz zalecił jej szybkie uzupełnienie płynów. Chodziła z butelką do łazienki i do sypialni, w której przebrała się w domowe ciuchy, co chwilę biorąc solidnego łyka.

– Wolalabym załatwić to na stojąco.

– Ale co?

– O, jak miło, że przyniosłeś wino. Żona nie chciała przyjść z tobą?

– Żona? – Nie wyczuł sarkazmu.

– Tak, twoja żona.

Spojrzał na nią tak, jakby chciał zweryfikować, czy wie, czy jedynie blefuje. Wytrzymała jego wzrok i się nie rozpląkała. Była zła przede wszystkim na siebie, ale skoro się napatoczył, to mogła wyżyć się na nim.

Wyglądał na zakłopotanego, ale mimo to odstawił butelkę z winem na podłogę i zdjął z siebie kurtkę.

– Skąd o niej wiesz? – odezwał się wreszcie.

– Nie od ciebie...

– Nie zdążyłem ci o niej powiedzieć. Zaraz wszystko ci wyjaśnię.

Wybuchła śmiechem. Bezcelnie i głośno chciała dać mu do zrozumienia, że korzysta z tak beznadziejnie wyświechtanych tekstów, że znajduje się dużo poniżej poziomu, który ona jest w stanie zaakceptować.

Zamiast zareagować, przyglądał się jej, jakby czekał na kolejny jej ruch. Wykonała go. Uniosła butelkę z winem i wypija kilka kolejnych łyków.

– Wiktor, nie rozśmieszaj mnie. To jakaś choroba debilnych facetów? Amnezja wybiórcza? Jeśli chcą zaliczyć panienkę na boku, to zapominają

wspomnieć, że mają żonę?

– Wiesz co? Nie pij już więcej.

Odpowiedziała mu śmiechem. Zanim skończyła, zabrał jej butelkę. Był trzeźwy, więc miał lepszy refleks.

– Usiądź. – Chwycił ją za rękę i zaprowadził do salonu.

Nie wyrywała się. Zaskoczył ją tym, że potraktował ją jak małą dziewczynkę. Przysiadła na ulubionym, głębokim fotelu. Zasłony w czarno-czerwone pasy wydawały się falować. Przyglądała im się przez chwilę.

Wiktor wyszedł do kuchni, ale wrócił, zanim zdążyła coś jeszcze powiedzieć. W rękę trzymał kieliszek. Wypełnił go winem. Usiadł na kanapie i jednym haustem opróżnił zawartość kieliszka.

– Nie powiedziałem ci o Marcie, bo to dość skomplikowana i bolesna historia. Musiałem uporządkować myśli, przeanalizować zdarzenia z ostatnich dni i podjąć decyzję.

– Nie mówiąc o niej, już ją podjąłeś.

– Anka, przestań wbijać mi szpile! Wysłuchaj, a dopiero potem oceniaj, dobrze?

Kiwnęła głową.

– Poznałem się z Martą na ostatnim roku studiów. Była dwa lata niżej. Zaczęło się od rozmów, wspólnej nauki, potem przyszła przyjaźń, a na końcu fascynacja seksualna. Zaraz po studiach podjęliśmy decyzję o ślubie. To było zbyt szybko. I dla mnie, i dla niej. Ale wtedy jeszcze wydawało nam się, że jeśli znajdziesz kogoś, kto jest ci bliski, to musisz potwierdzić swoją miłość małżeństwem. Nieważne. Po niespełna roku wspólnego życia wiedziałem, że to była pomyłka. Przyjaźń wypaliła się jeszcze szybciej, niż się pojawiła. Wzajemna fascynacja zniknęła. Nie wiem, czy przypadkiem nie w dniu ślubu, kiedy oboje zadeklarowaliśmy sobie, że nie opuścimy się aż do śmierci. Może w tak młodym wieku brak tej niepewności sprawił, że przestaliśmy czuć ogień? Nie wiem. W każdym razie żyliśmy razem. Minął kolejny rok. Kłótnie o podział codziennych obowiązków szybko przeistoczyły się w kłótnie o wszystko. Nie wytrzymałem. Poprosiłem o rozwód. Nie chciałem tak żyć. Szczęśliwym możesz być tylko z kimś, kto dodaje ci siłę, kto daje wiatr w żagle... Ona tego nie rozumiała. Wolą, żebyśmy tkwili w tym, co mamy. Dla niej rozwód był życiową porażką i problemem kategorii „co ludzie powiedzą?”. Po pierwszej rozprawie rozwodowej wracała do domu pieszo. Na jednym z przejść została potrącona przez samochód. To było pięć lat temu, ale nadal tkwi w mojej pamięci. Jesienią... zawsze o tej porze roku wracają wyrzuty sumienia. Bo przecież gdybym nie nalegał na rozwód, to mogłaby nadal normalnie żyć.

– Przykro mi.

– Nigdy nie odzyskała przytomności. Jej rodzice czekają na cud, a mnie

dręczy poczucie winy. To dlatego formalnie nadal jest moją żoną. I odwiedzam ją regularnie. W końcu kiedyś się przyjaźniliśmy... Tego wymaga ode mnie zwykła ludzka przyzwoitość.

* *

Wiktor zastanawiał się, czy tak wygląda szczęście absolutne? Po kosmicznym seksie, który wyniknął jakoś tak naturalnie na zakończenie szczerzej rozmowy, leżeli w łóżku i przytulali się. Gładził rękę, którą Anna położyła na jego torsie, i czuł bliskość między nimi.

Właśnie urozmaicali ją tematami, które były ciekawe dla obu stron. Dyskutowali o Chudym, jego motywach i fizycznych predyspozycjach, które uniemożliwiały mu dokonanie czynu zasugerowanego przez Kapelusznika.

– Wiktor, wiem, że uznasz to za głupie... bo przecież Kapelusznik to wielokrotny morderca i w gruncie rzeczy powinno się mieć do niego bardzo ograniczone zaufanie... jeśli w ogóle. Ale ja mu wierzę. Jego wersja wydaje mi się wiarygodna. To bardzo inteligentny facet, w życiu którego zabrakło uczuć wyższych. On potrzebował miłości i przyjaźni. Nie dostał ich. Być może teraz w więzieniu poznał Chudego i naprawdę zaangażował się w ich relację? Może teraz martwi się o przyjaciela i zależy mu na tym, żeby uchronić go przed sobą samym?

– Nawet jeśli przyjmiemy, że tak może być, to może być to tylko jedna z hipotez. Niech więc będzie, że kieruje nim zemsta. Zabił konkubinę, bo go pograżyła. Zaatakował ratownika, bo wydawało mu się, że przez jego niekompetencję stracił palce.

– Brzmi to sensownie. A co z tym trupem z festiwalu kryminału?

– Nie znalazłem nic, co łączyłoby go z Chudym. Rozwadowski i Puchalski. Recydywista i fryzjer. Zupełnie inne środowiska. Prawie dwadzieścia lat różnicy wieku.

– Czekaj! – Anka uniosła się nagle, jakby dokonała właśnie jakiegoś odkrycia. Usiadła po turecku i zagryzła wargi.

Brak skrępowania, który zwykle go onieśmielał, nagle zaczął działać jak afrodyzjak. Miał ją na wyciągnięcie ręki. Nagą i piękną. Potarganą i naturalną. Pachnącą jeszcze miłosnym uniesieniem.

Strumień światła dochodzący z nocnej lampki podkreślał jej kształty.

Zadziornie sterczące piersi, które mógłby schować w swojej dłoni. Wcięcie w pasie, wyglądające tak, jakby specjalnie zostało stworzone po to, by trzymał na nim ręce, podczas gdy jej biodra falują na nim. I połączenie szyi z ramionami. Wiedział już, że właśnie tam znajduje się niesamowicie wrażliwy fragment ciała Anki, który wystarczy musnąć opuszką palca lub językiem, żeby uruchomić w niej funkcję zmysłowego „turbo doładowania”.

– Kurczę, że na to wcześniej nie wpadłam! Ty mówisz: recydywista i fryzjer. Faktycznie nie widzę związku, ale spójrz na to inaczej. Bomber i fryzjer.

– I?

– Skup się! Bomber? Wybuchy, zabawa materiałami pirotechnicznymi, bomby. Fryzjer? Nożyczki, suszarka, fryzury, farbowanie. A czym farbujesz włosy?

– Nie wiem, Anka, ja się nie farbuję.

– Byłam w zakładzie fryzjerskim w którym pracował Puchalski. Właściciel wspominał, że jak Puchalski zaczął u niego pracować, nagle zaczął ginąć jeden ze składników niezbędnych do farbowania włosów. Woda utleniona.

– Co ma woda utleniona do bombera?

– A właśnie że ma! Bo to nie jest taka zwyczajna, z apteki. W salonach kupują bardziej stężoną. Perhydrol.

– Perhydrol? – powtórzył Wiktor i sam usiadł. – Cholera! Używa się go na przykład przy produkcji inicjujących wybuchowych nadtlenków. To mamy związek bombera z fryzjerem. Chudy kupował u Puchalskiego niezbędne substancje.

– To byłoby jakieś wytłumaczenie. – Anka sięgnęła po komórkę. – Perhydrol... perhydrol – powtórzyła. – Google podpowiada, że perhydrol jest składnikiem modnej wśród terrorystów bomby chemicznej o nazwie „matka szatana”.

– Kurwa – jęknął Braun. Wizja tego, co mogło się wydarzyć, jeśli Anka miała rację, sprawiła, że jego rosnące podniecenie seksualne właśnie zostało schowane do zamrażarki.

* *

Kapelusznik wiedział, że to będzie ich ostatnia rozmowa. Powoli wybrał numer Anki Rogozińskiej.

– Halo?
– To już koniec...
– Halo?
– To koniec, Anno.
– Kapelusznik? To ty? Dobrze, że dzwonisz. Muszę wiedzieć, gdzie znajdę Chudego. Rozumiesz? Powiedz mi cokolwiek, co ułatwi mi pracę.
– Jest jeszcze jedna osoba, którą zabije. Tego jestem pewien.
– A może którą zabił? Mamy ciało i podejrzewamy, że to Chudy jest sprawcą. Masz z nim jakiś kontakt? Wiesz, gdzie mógł się zadekować?
– Zabije jeszcze jedną osobą. Dzisiaj. Jestem tego pewien. Omówiliśmy wszystko. Nieświadomie. Tak tylko teoretyzowałem, bo pytał, jak najlepiej pozbyć się tego i tego. Opowiadałem mu, a on to teraz realizuje. Dzisiaj zasadzi się na ostatnią ofiarę. Nie znam nazwiska. Wiem, że to będzie w centrum handlowym Posnania.
– Skąd wiesz, że właśnie dzisiaj?
– Mówiłem już, omówiliśmy wszystko. Nawet tę datę. Mogłabyś słuchać mnie uważniej. Nie mam zbyt dużo czasu. Chudy będzie dziś w Posnaniu, wyślij tam kogoś. Policję... kogoś...
– Dobra, sprawdzę to.
– Nie, ty tam nie idź. Słyszysz?! Nie możesz! Obiecuj, proszę. Omijaj dziś Posnanię szerokim łukiem. Tam naprawdę będzie niebezpiecznie.
– Dlaczego?
Rozłączył się. Dokładnie w chwili, w której miał to zrobić. Dobrze wykonał swoją część zadania. Reszta była w rękach Chudego.

* *

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam! – Anka wpadła zdyszana na podstację.
– Nie gadaj, tylko się przebieraj. Właśnie mamy wyjazd.
– W pierwszym?
– Gdyby był w pierwszym, to byś została i szorowała za karę kibel. W drugim. Za chwilę widzę cię w kaście.
– A do czego jedziemy – spytała, biegnąc do szatni.
– Kobieta upadła na torach tramwajowych – głos Szczepana dogonił ją, kiedy zdejmowała kurtkę.

Jeszcze nigdy w tak szybkim tempie nie pozbywała się ubrań. Bluza i dżinsy trafiły zwinięte na półkę, a ona już wciągała na siebie mundur. Bluzę i kurtkę zapinała już w drodze do karetki.

– Jestem.

Haribo ruszył i kontynuował opowieść o perypetiach pewnej uroczej i mocno zakręconej staruszki, która pojawiła się podczas jego ostatniego dyżuru i bardzo szybko zmieniła się w demona.

– A propos staruszek – wtrącił Szczepan – to pamiętam taką sytuację. Wychodzimy z bloku po interwencji i mijamy siwiuteńką kobietę, która nas zagaduje. A że panowie tacy cudowni, że tak pomagają, że szybko przyjeżdżają i w ogóle. Dziękuję jej uprzejmie za te wszystkie komplementy, a ona nagle chwytą mnie za rękaw. Synku, pyta, a u kogo teraz byliście? Tłumaczę więc uprzejmie, że nie możemy powiedzieć. A ona nagle wyjeżdża na mnie z ryjem: „a idź ty szmaciarzu jeden!”.

– Standard. – Haribo roześmiał się. – To chyba jesteśmy na miejscu. Tylko że jakoś nie widać kobiety leżącej na torach tramwajowych.

– Spójrzcie w prawo, tam jest jakaś. I nawet macha – zauważyła Anka.

W istocie – po prawej stronie, niemalże na krawężniku oddzielającym chodnik od dwupasmowej jezdni stała kobieta, która, wpatrując się w karetkę pogotowia, machała energicznie.

– Myślisz, że to nasza? Nasza miała leżeć na torach. – Uśmiech nie schodził z twarzy Haribo.

– Nasza, na bank. Nie tylko nie leży, ale niemal wbiega na ulicę. Spójrzcie, zaraz potrąci ją samochód i będziemy mieli co robić.

– Nie. – Anka włączyła się w rozmowę. Spędziła z chłopakami na tyle dużo czasu, że udzielił się jej ich sposób odreagowywania nie zawsze przyjemnej rzeczywistości. – To na bank nie ta babka.

– Widzisz tam jakąś inną?

Nie zdążyła odpowiedzieć. Haribo zjechał na prawo i zatrzymał karetkę na chodniku. Kobieta podbiegła do samochodu.

Szczepan przeszedł z kabiny kierowcy na tył karetki, sięgnął po rękawiczki i otworzył boczne drzwi.

– Dzień dobry, to ja was wzywałam.

– Co się stało? – spytał.

Anka obserwowała u obu ratowników tę samą cechę. Podczas rozmów z pacjentami zakładali maskę spokoju i dystansu. Ktoś, kto ich nie znał, mógłby pomyśleć, że byli pozbawieni empatii.

– To ja dzwoniłam, ale teraz chciałam zadzwonić, żeby was odwołać.

– No ale już jesteśmy. – Do Szczepana dołączył Haribo. – Spokojnie, niech pani powie, co się stało?

– Biegłam i przewróciłam się na torach. Z ręki okropnie leciała mi krew, pomyślałam, że coś się uszkodziło. Ale teraz już przestała, więc zupełnie bez sensu przyjeżdżaliście.

– Niech pani pokaże tę rękę.

Spokój w głosie Szczepana był imponujący. Anka, słysząc takie tłumaczenia, zdenerwowała się, trzasnęła drzwiami karetki i odjechała z piskiem opon. Gdzieś w innym miejscu Poznania na interwencję ratowników mogło czekać duszące się dziecko, a oni właśnie tracili czas na rozmowę z kobietą, która potrafiła wezwać karetkę, ale nie potrafiła jej odwołać.

– To tylko otarcie naskórka. Założę pani opatrunek. Gdyby coś się z tym działo, proszę pójść do lekarza rodzinnego.

* *

– Masz w sobie coś takiego, co sprawia, że zamiast się nasycać, ciągle czuję głód.

Wiktor odczytał na głos wiadomość, którą otrzymał właśnie od Anki, i pomyślał, że czuł dokładnie to samo. Jeśli miałby edytować jej wypowiedź, dodałby do niej: „coraz większy głód”.

Dopiero co się rozstali i każde poszło do swojej pracy, a on już marzył o tym, żeby ten dzień się skończył, żeby mogli znowu wziąć się w objęcia. Powinien skupić się na analizie nowych materiałów dowodowych, ale postanowił najpierw poświęcić kilka minut na przyjemności.

Sięgnął po telefon i wybrał numer Anki. Chciał ją przynajmniej usłyszeć

– Witaj, Aniu.

– Cześć, przepraszam, ale właśnie jedziemy do pacjenta, nie mogę więc długo...

– Nie ma sprawy. Chciałem ci tylko życzyć dobrego dnia.

– Dzięki. A właśnie. Podobno Chudy pojawi się dziś w Poznaniu.

– Skąd wiesz?

– Od Kapelusznika. Dzwonił. Muszę kończyć, pa.

Nie odpowiedział jej, ale jego mózg zaczął pracować.

Chudy miał pojawić się dziś w Poznaniu, w podobno najbardziej znienawidzonej przez poznaniaków galerii handlowej. Braun nie musiał wykazywać się doskonałą błyskotliwością, żeby uznać, że to nie może być przypadek. Że Chudy, bomber-recydywista, nie zaplanował przecież wizyty

w centrum, żeby sobie coś kupić.

Wiktor sięgnął znowu po telefon i wybrał numer znajomego antyterrorysty.

– Cześć, Braun z tej strony. Słuchaj, czy mi się wydaje, czy ostatnio w Poznaniu uaktywnił się jakiś bomber?

– Ktoś się uaktywnił, nie wiem czy bomber, czy jedynie pojebany żartowniś. Mieliśmy trzy zgłoszenia w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

– Niech zgadnę... Wszystkie dotyczyły centrów handlowych?

– Tak, a co?

– Mam takiego jednego bombera z Poznania. Wyszedł dwa tygodnie temu.

* *

To nie był najbardziej udany dzień w życiu posterunkowego Marciniaka. Najpierw zaliczył kłótnię z ojcem, potem wpadł w poślizg i o włos nie zatrzymał się na zderzaku jadącego przed nim samochodu, a teraz jeszcze miał dyżur z Mateuszem. Nie zamierzał się do niego odzywać. Nie po tym, kiedy ich ostatnia rozmowa dotycząca polityki zakończyła się bezczelnym stwierdzeniem Mateusza, że Marciniak jest głupi.

Marciniak siedział więc przy biurku i sprawdzał maile. Jego zadaniem była wstępna segregacja przychodzących wiadomości. Klucz, według którego działał, był prosty. Ponad osiemdziesiąt procent z tego, co przyszło, powinno trafić do kosza, a pozostałe dwadzieścia powinien przejrzeć i rozesłać do komórek, które mogły odpowiednio zareagować.

Nadawca podpisujący się jako „Goździkowa” donosił o tym, że sąsiadka urządza w mieszkaniu libacje alkoholowe z udziałem elementu przestępczego, a jednostkę policji uprasza się o zrobienie z tym porządku.

Wiadomość nie posiadała jednak ani adresu libacji, ani adresu zamieszkania Goździkowej. Kobieta regularnie i anonimowo donosiła na sąsiadów. Jeden nie sprzątał po psie. Drugi kupił sobie drogi samochód prosto z salonu. Trzeci, a właściwie trzecia, jęczała rozkosznie co noc, co według Goździkowej ewidentnie świadczyło o tym, że pracuje w agencji towarzyskiej.

Mail wylądował w koszu, jak kilka innych zatytułowanych: „informacja”, „donos”, „coś ważnego”. Marciniak wciskał *delete* automatycznie. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy przeczytał: „matka szatana”. Uśmiechnął się pod nosem i zdecydował, że zanim usunie, zapewni sobie codzienną dawkę rozrywki.

Pojęcie „matka szatana” uruchomiło lawinę skojarzeń. Moherowa babcia donosi o sąsiadującej z nią diabelskiej rodzinie, odprawiającej dziwne rytuały lub o matce, która nie jest w stanie okiełznać swojego syna, łobuza? Marciniaka zżerała ciekawość.

– Ty, Mateusz, przyszedł mail od kolejnej popierdolonej baby. Przeczytać? – Dopiero kiedy zadał pytanie, przypomniał sobie, że miał nie rozmawiać z kolegą. Było jednak już za późno na kolejną zmianę zdania.

– Czytaj. – Policjant nawet nie oderwał oczu od swojej komórki.

Marciniak kliknął na tytuł, a po dwóch sekundach jego oczom ukazała się krótka wiadomość.

– Matka szatana pochłonie dziś setki niewinnych żyć – przeczytał na głos.

– Matka szatana? Tak jest tam napisane?

– No tak. Matka szatana pochłonie setki niewinnych żyć. Matka szatana! – Zaśmiał się. – Moja sąsiadka też wszędzie widzi szatanów.

– Kurwa, debilu! Matka szatana to przecież substancja wybuchowa! Dzwon do chłopaków z bomb squadu.

* *

Dotarli na kolejne miejsce wezwania. W podziemnym przejściu pod Trasą Katowicką zauważyli grupę ludzi.

– Tutaj! Tutaj, panowie! – ktoś krzyknął.

Na ziemi leżał mężczyzna, a dwóch młodych chłopaków klęczało przy nim. Jeden z nich uciskał klatkę piersiową nieprzytomnego.

– Uciskajcie dalej, będziemy mówić wam, co robić.

Anka najpierw przystanęła z boku, a później odsunęła się na tyle, żeby ukryta kamera mogła zarejestrować jak największy kadr. Nieprzytomny zadbany mężczyzna leżał na ziemi obok sportowej torby, z której wypadły adidas i bidon.

Ratownicy uwijali się, jakby właśnie wstrzyknęli sobie adrenalinę i jeszcze dodatkowo wypili kilka energetyków. Zebrali wywiad i realizowali czynności według procedur. Szczepan wkłuwał się w żyłę pacjenta, a Haribo szykował się do intubacji.

Kiedy uznała, że pięknie filmowa sytuacja została uwieczniona, uświadomiła sobie, że pośpiech kolegów mógł świadczyć tylko o jednym. Właśnie trafił im się przypadek stuprocentowego ratownictwa. Obserwowała prawdziwą walkę o życie.

– Mogę coś zrobić? – Chciała pomóc, ale jednocześnie nie absorbować sobą żadnego z ratowników.

– Możesz przytrzymać kropłówkę. Albo nie. Znajdź jego telefon komórkowy i zadzwoń do kogoś bliskiego. Jak się połączysz, to przekaz mi telefon.

– Jak „znajdź”? – Poczula się bezradna.

– Anka, kurwa, facet na pewno ma przy sobie telefon. Musimy dodzwonić się do rodziny, to jedno z obowiązkowych kryteriów zakwalifikowania faceta na ECMO!

Zacisnęła zęby. Trzęsły jej się ręce, ale wiedziała, że musi działać szybko. Przeszukała kieszenie nieprzytomnego i znalazła smartfona. Jednym ruchem dłoni odblokowała go i przeszła do książki telefonicznej. Pierwszą pozycję zajmowała AAAAŻonka. Wybrała numer.

– No cześć! – odezwał się kobiecy głos.

– Dzień dobry, pogotowie ratunkowe. – Anka zawahała się. Nie wiedziała, jak się zachować. Czula instynktownie, że najgorszą rzeczą, którą może teraz zrobić, jest sprawienie, że żonka wpadnie w panikę. Postanowiła więc przekazać informację pozbawioną emocji: – Prowadzimy właśnie resuscytację pani męża.

– Słucham? To głupi żart!

– To nie żart. Bardzo proszę, żeby pani się skupiła i odpowiedziała na pytania. Walczymy o życie pani męża. Znaleźliśmy go w przejściu podziemnym. Przekazuję...

– Jak to o jego życie? – Drżący głos kobiety świadczył o tym, że powoli zaczynała rozumieć, co się dzieje. – Nie pozwólcie mu umrzeć! On tylko poszedł na siłownię. Pierwszy raz. Chciał wziąć się za siebie po czterdziestce!

* *

Za jego plecami koledzy prowadzili ożywioną dyskusję, której nie chciało mu się słuchać. Siedział przed komputerem i ze słuchawkami na uszach oglądał film z ostatniego szkolenia.

Wyglądało to dość imponująco. Ostre wejście. Drzwi wypadają z zawiasów i spadają na ziemię. Grupa czarnych wchodzi do środka. Jest ich ośmiu i działają tak, jakby stanowili jeden organizm.

Nie ma niepotrzebnych ruchów. Nie ma wahania ani chwili zastanowienia. Działają według schematu, który ćwiczyli setki razy. Wszystko po to, by być

gotowym na tę jedną realizację. Na którą wszyscy czekali i o której mogliby opowiadać, gdy już siądą przy piwie. Oczywiście w swoim gronie, wyselekcjonowanych i najtwardszych zawodników z Poznania.

– Stegi! – Za zniekształconym dźwiękiem poszło szturchnięcie, które kazało mu zdjąć słuchawki.

– Czego chcesz?

– Kończ projekcję, wyjazd mamy.

– Wyjazd?

– Jedziemy po bombę. – Roześmiał się Rudi.

Zawsze jechali po bombę, a wracali z niczym.

– Świetnie. Co tym razem? Torba z truskawkami? Zapomniany bagaż? Czy musimy posprzątać po jakimś bombogłupku?

– Stegi, to nie sezon na truskawki. Podobno matka szatana.

– Prawdziwa czy przybrana? – Nie mógł powstrzymać się od żartów. – Skąd mamy zgłoszenie? Znowu z maila?

– Ta.

– Obstawiam tego samego bombera, co ostatnio. Ktoś się ewidentnie nudzi. Ciekawy jestem, kiedy CBS go dopadnie. Na miejscu zastaniemy gównem, a nie matkę szatana.

– Dobra, nie filozofuj! Jeśli tym razem to prawdziwe zgłoszenie, to z Poznania zostanie gównem.

* *

Droga do szpitala na Grunwaldzkiej ciągnęła się w nieskończoność – tak przynajmniej wydawało się Ance, kiedy przebijali się karetką przez miasto.

Każdy samochód, każde światła sprawiające, że Haribo musiał zdejmować nogę z gazu, powodowały, że Anka chciała krzyknąć. Przecież jechali na gwizdkach, byli słyszalni z daleka. Wszyscy uczestnicy ruchu powinni zrobić im wolne miejsce i czekać, aż przejadą, a nie szukać odpowiedniego miejsca dopiero wtedy, gdy karetka znalazła się za ich plecami.

Z tyłu kasty Lucas uciskał klatkę piersiową pacjenta. Respirator piszczał od czasu do czasu. Szczepan sprawdzał sprzęty, mówił, że coś się z czymś kłóci.

Kiedy na wysokości skrzyżowania z Wierzbęciami Anka spojrzała do tyłu, Szczepan miał w ręku strzykawkę i usiłował trafić igłą w małą ampulkę. Stał na

wyprostowanych nogach, ale kolebał się w każdą stronę. Igła zbliżała się do małej ampułki i już wydawało się, że w nią wejdzie, ale nierówność drogi sprawiała, że karetka podskakiwała raz za razem, a ratownik wraz z nią. Próbował więc od nowa, zupełnie nie zrażając się nieudaną próbą.

– Co jest? – spytała.

– Nic, według czasu muszę nabrać jeszcze adrenaliny.

Gdyby nie fakt, że brak adrenaliny mógł oznaczać dla pacjenta koniec życia, film zatytułowany „Taniec z igłą”, rejestrowany właśnie przez kamerę ukrytą w jej mundurze, mógłby stać się hitem internetu.

* *

Joanna siedziała w samochodzie Grabowskiego i popijała kawę, którą kupił jej w fast foodzie. Zatrzymywali się w tym samym miejscu codziennie. Nigdy nie wchodzili do środka. Wizualnie Grabowski nie był osiągnięciem, którym mogłaby pochwalić się, siadając z nim przy jednym stoliku w McDonalddie. Nie mieścił się w przedziale mężczyzn, z którego zwykle dobierała partnerów.

Był zdecydowanie za niski, zbyt okrągły, zbyt obleśny i zbyt statyczny. Najchętniej siedziałby w domu, oglądał telewizję, dyskutował o konkurencyjnych programach i polityce, której Joanna nie rozumiała.

Rozumiała jednak, że droga na szczyt wymaga poświęceń. Założyła więc, że jeśli stacją prowadzącą na szczyt jest Grabowski, to musi zacisnąć zęby i dać z siebie wszystko.

– Dziś piątek, ostatni dzień dyżuru Anki Rogozińskiej w pogotowiu.

– I ostatni dzień jej medialnego życia.

– Pięknie to sobie wymyśliliśmy i zrealizowaliśmy. Jestem z nas dumna.

– Jak szefostwo Primo TV zobaczy, co nagrała, to wyrzuci ją na zbity pysk. Tak ich nakręciłeś, że czekają na чудо! Tymczasem przeżyją rozczarowanie...

– Wiesz, Joasiu, trochę przesadzasz. Może nie rozczarowanie, bo ten jej materiał nie jest najgorszy, ale na pewno spodziewali się czegoś innego. Poza tym nie oszukujmy się, rola Anki w tym wszystkim jest tak nikła, że bez problemu można ją wyciąć. W karetce zwykle siedziała cicho. Nie wchodziła w żadne interakcje z pacjentami, a szefostwo chciało przecież coś, w czym prowadząca będzie aktywnie uczestniczyć.

– A ty zamiast jej to przekazać, utrudniłeś jeszcze sprawę, buntując tego

dyrektora z pogotowia.

– Proszę, nie przypominaj mi o tym. Do dziś mam kaca po tamtym chlaniu. Obawiam się jedynie, że kiedy Rogozińska dowie się, że nie zrealizowała planu, bo nie została w niego wtajemniczona, to zacznie gryźć i kopać. I że nam się oberwie.

– Nie przejmuj się, Kamil. Poradzisz sobie. Ja zresztą też. Będzie słowo przeciwko słowu. Poza tym ty możesz wykazać, że jej teksty o złej woli są wyssane z palca. Kilka osób z redakcji potwierdzi, że okazywaliśmy Rogozińskiej wsparcie. Naszą ostatnią rozmowę słyszeli prawie wszyscy, nawet ten jej przydupas, Artur.

* *

– Panie prokuratorze, mamy coś.

Szukalski nabrał tyle powietrza, jakby zamierzał wygłosić długą mowę. Braun nie mógł mu na to pozwolić.

– Mów – warknął.

Oczekiwał jedynie lakonicznej wymiany informacji. Dlatego wolał współpracować z kryminalnymi, których zdążył już tego nauczyć. Wegner miał na głowie coś innego i poinformował Brauna, że w prokuraturze pojawi się złotousty Jakub.

– W mieszkaniu Rozalii Pankowskiej znaleźliśmy paluchy Rozwadowskiego...

– Chwila – przerwał mu. Dla zasady, by pokazać, że on tu decyduje o ilości czasu przeznaczanego na wypowiedź. Szukalski nie był głupi, podobnie jak inni kryminalni powinien szybko nauczyć się, żeby jasno i lakonicznie artykułować swoje myśli. – Czyli dziennikarka, która znalazła ciało Pankowskiej, miała rację, próbując przekonać nas, że Chudy odwiedził denatkę?

– Tak. Co więcej, denatka przechowywała kilka jego rzeczy. Pewnie jak poszedł za kratki, to zebrała jego graty i schowała do kartonu. Świeże paluchy są tylko na tej drewnianej skrzynce. – Kryminalny podał prokuratorowi zdjęcia.

Wiktor zaczął je przeglądać. Zatrzymał się na ujęciu, które przedstawiało otwartą skrzynkę. Wyglądała trochę jak opakowanie ekskluzywnych sztućców, z tą różnicą, że jej wnętrze nie było wyłożone satynowym materiałem. Było po męsku surowe. Każdy egzemplarz noża miał w niej osobne miejsce, a ostrza nie stykały się ze sobą.

– Co to za noże?

– Składane. Opinel Inox. Tak jak widać, drewniane trzony. Na każdym

łączeniu głowni z trzonem wygrawerowany jest numer. Na przykład numer sześć oznacza, że głownia ma sześć centymetrów, osiem...

– Stop! – Wiktor musiał interweniować. – Za dużo słów, za mało informacji! Przed naszym kolejnym spotkaniem proszę porozmawiać z Wegnerem i dopytać go o to, na jakich zasadach odbywa się komunikacja pomiędzy mną a śledczymi. Zrozumiał pan?

– Tak, ale...

– Wracając do sprawy! Z tego, co widzę na zdjęciu, noże ułożone są po kolei. Sześć, siedem, osiem, dziewięć. Jest miejsce na dziesiątkę, ale noża brak, ostatnia jest jedenastka.

– Dobrze pan widzi.

– Jak pan to zinterpretuje?

Jakub Szukalski nie odpowiedział, lecz spojrzał w kierunku drzwi, jakby po głowie chodziła mu myśl dotycząca ucieczki.

– Panie kolego, wystarczy ruszyć głową! Pan jest śledczym, nie ja!

Braun zadał Szukalskiemu ostatni cios. Był przekonany, że ich dalsze stosunki służbowe będą układały się po jego myśli.

– Noża nie ma, bo go zabrał? Albo zgubił? Albo sprzedał?

– Radziłbym najpierw zweryfikować pierwszą myśl. – Wiktorowi było łatwiej. Dysponował może nie tyle większą wiedzą, co świadomością, że Chudy miał motyw, żeby zaatakować ratownika i fryzjera. – Skoro wśród noży Chudego brakuje jednego, akurat takiego, którego długość ostrza idealnie pasuje nam do identyfikacji grupowej w sprawie zabójstwa Puchalskiego oraz ataku na ratownika, to trzeba zrobić wszystko, żeby doprowadzić do mnie Chudego. Muszę z nim porozmawiać i sprawdzić, czy to nie on jest sprawcą pozostałych zdarzeń.

– Z całym szacunkiem, panie prokuratorze, ale wyczerpaliśmy już wszystkie możliwości. Chudy zapadł się pod ziemię.

– No właśnie. To jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, że ma coś na sumieniu. Ale mam dla pana dobrą wiadomość. Podobno dziś Chudy ma się pojawić w Poznaniu. Niech pan to sprawdzi.

* *

Haribo i Szczepan wyglądali, jakby ukończyli maraton. Anka przyglądała się im od początku akcji i była przekonana, że w ciągu ostatnich dwóch godzin zużyli

zasoby energetyczne, których zwykły człowiek nie jest w stanie zużyć nawet przez tydzień.

Najpierw byli skupieni, a kiedy okazało się, że czynnie uczestniczą w ratowaniu ludzkiego życia, wstąpiły w nich siły, o których istnieniu nie miała pojęcia. Naspidowani dążyli do osiągnięcia celu – ustabilizowania pacjenta i jak najszybszego dostarczenia go do szpitala.

Na oddziale zdali pacjenta, a w korytarzu Anka minęła się z jego żoną. Spojrzała w jej zapłakane i pełne miłości oraz nadziei oczy. Opuściła głowę. Nie chciała okazywać emocji. Pamiętała, że serce jest przecież tylko sercem. Organem, który wyjęty z klatki piersiowej z resztkami aorty i tętnicy wygląda odpychająco i nie ma nic wspólnego z czerwonymi serduszkami rysowanymi przez dzieci. Nie posiada też zdolności do wyszukiwania, utrzymywania czy odrzucania miłości.

Dopiero wtedy zrozumiała, dlaczego ratownicy to robią. Dlaczego godzą się na wszystkie niedogodności, złośliwości i nieuzasadnione wyjazdy. Ludzkie życie było tego warte. A pacjent, którego zostawili w szpitalu, miał dzięki nim duże szanse, żeby przeżyć.

– I jak? – Haribo wyszedł na zewnątrz i zagadnął Ankę.

Siedziała na schodach. Celowo po powrocie na podstację nie weszła do środka. Chciała, żeby zimny wiatr zmroził jej rozedrgane emocje. Najchętniej zdjęłaby z siebie kurtkę i spodnie, i pozwoliła sobie na poczucie, że zimno wkuwa się w jej ciało i wnika nawet do organów wewnętrznych.

– W porządku. To było coś...

Po raz pierwszy z bliska przyglądała się, jak ratuje się człowieka.

– Kasta ogarnięta, sprzęt uzupełniony. – Szczepan wyszedł z karetki i zdjął rękawiczki.

– Dokumenty też. To co? Zgłaszam dyspozytorowi, że jesteśmy gotowi do kolejnego wyjazdu?

Spojrzała na Haribo. Po raz pierwszy nie zauważyła, żeby cokolwiek żuł. Może nawet na to nie miał siły.

– Zgłaszaj. – Szczepan kiwnął głową.

Haribo zniknął w kaście. Po dwóch minutach wychylił się jednak i zawołał:

– Jedziemy, Pleszewska jeden. Szczepan, wejdiesz do biura po kartę?

Niemalże w tym samym momencie odezwała się komórka, którą Szczepan miał w kieszeni spodni.

Anka weszła do kasty, ale nie kryła swojego oburzenia.

– Teraz? Tak szybko? Przecież dopiero co skończyliście!

– Nie, później. Możesz sobie wpisać to w harmonogram jutrzejszych wyjazdów. Ktoś zadzwonił i powiedział, że jutro koło południa będzie się źle czuł.

– No dobra, nie musisz się ze mnie nabijać! Myślałam, że po takiej akcji będziecie mogli odpocząć.

– Odpocznimy na emeryturze. – Szczepan trzasnął drzwiami. – Jedziemy.
– Do czego tym razem? – spytała.
– Policjant zasnął podczas wykonywania obowiązków.
– Na Pleszewskiej? Co tam jest?
– Centrum handlowe. Dyspozytor powiedział, że policja jest na miejscu, bo dostali zawiadomienie o podłożeniu bomby.
– Bomby?

Anka poczuła, że pas bezpieczeństwa, który zapięła kilka minut temu, nagle zaczął cisnąć ją w klatkę piersiową.

– Bomby? – powtórzyła i zamknęła oczy.

W jej umyśle panował bałagan, ale mimo to bezbłędnie wyciąga z niego kolejne, pozornie niezwiązane ze sobą informacje.

Panikę matki, która opowiadała o podłożeniu bomb w poznańskich centrach handlowych. Fakt, że Chudy był bomberem, że ma dziś pojawić się w jednej z galerii i że Kapelusznik kazał jej omijać właśnie tę galerię, czyli dysponował wiedzą, że coś się w niej dziś wydarzy.

Otworzyła oczy i zanim sięgnęła po telefon, spojrzała przed siebie. Przez przednie okno karetki widać było już rozłożysty budynek z częściowo przeszkloną elewacją oraz wielkie logo Poznania przypominające jajniki.

– Pleszewska jeden to Poznania? – wyartykułowała pytanie, na które nie chciała usłyszeć odpowiedzi. – Nie powinno mnie tu być – szepnęła i dodała w myślach, że skoro tu jest, to na pewno w ściśle określonym celu. Musi zapobiec tragedii.

* *

– Wiktor, jestem przekonana, że to Chudy podłożył bombę!
Braun właśnie wychodził z prokuratury, ale słowa Anki sprawiły, że wstrzymał nie tylko oddech, ale niemalże zatrzymał się w pół kroku.

– Jaką bombę? – odpowiedział pytaniem.

Wciąż miał nadzieję, że Anka blefuje. Być może coś usłyszała, coś sobie dopowiedziała i próbowała teraz na nim sprawdzić prawdziwość wydedukowanych wniosków.

Kiedy kilkanaście minut temu Stegi uprzedził go, że za chwilę ruszy z chłopakami do Poznania, podobno zmierzyć się z matką szatana, Braun połączył fakty, poprosił sekretarkę o zorganizowanie za niego zastępstwa w sądzie,

zadzwoił do Wegnera i Szukalskiego i umówił się z nimi w okolicach Ronda Rataje.

– Jak to jaką? Tą w Poznaniu. Nie słyszałeś, że znaleziono tam bombę?

– Słyszałem – odpowiedział i ruszył przed siebie – tylko nie wiem, skąd ty o tym wiesz. Mediów jeszcze nie ma na miejscu.

– Wiem, bo dostaliśmy wezwanie.

– Dostaliście? Kurwa, Anka! Ty dziś jeździsz w pogotowiu?

Odezwał się chyba zbyt głośno, bo kobieta, która go właśnie mijala, spojrzala na niego w wyrzucie. Skierował się na parking. Niezależnie od przebiegu rozmowy z Anką musiał jak najszybciej przemieścić się tam, gdzie spodziewał się znaleźć Chudego.

Podejrzał, że kręci się gdzieś w okolicy centrum handlowego i czeka na możliwość delektowania się efektami końcowymi swojej pracy. Wszyscy bomberzy lubili wybuchy. Kochali to poczucie sprawstwa i bycia bogiem.

– Jeżdżę, ale to nie jest ważne. Wiktor, słuchaj, to wszystko idealnie do siebie pasuje. Bomba i Chudy, wszystko w jednym miejscu. On to zaplanował, ten wybuch! I Kapelusznik o tym wiedział, dlatego mi powiedział.

– Anka, proszę cię, trzymaj się od tego z daleka. Nie wychodź w ogóle z karetki. To nie jest zabawa. Jeśli wiemy, że Chudy tam dziś był, to raczej przychyliłbym się do wariantu, że tym razem policjanci pirotechnicy będą mieli co robić. Aniu, nie może cię tam być. To niebezpieczne. Obiecuj mi, że nie przekroczysz policyjnych taśm.

– Obiecuję, jeśli podasz mi przynajmniej jeden konkretny argument.

– Perhydrol... Pamiętasz? Ten, który Puchalski wynosił z salonu fryzjerskiego, mógł zostać użyty do przygotowania właśnie tej bomby.

* *

Mimo że temperatura powietrza nie przekraczała pięciu stopni, Stegiemu zrobiło się już gorąco. Nakładał na siebie kolejne elementy składające się na kombinezon antyodłamkowy i zastanawiał się, czy bardziej woli je zdejmować czy zakładać.

Zrzucanie ciężaru było przyjemne, zwłaszcza, że cały strój ważył około pięćdziesięciu kilogramów. Narzucanie go na siebie – nie, ale towarzyszył temu sympatyczny dreszcz emocji. Ekscytowało go to, co wydarzy się za chwilę.

– Rozmawiałem właśnie z dyrektorem – zameldował spokojnie Rudi. – Ewakuowano wszystkich klientów. W środku, ale w zupełnie innym skrzydle, jest jeszcze dwóch pracowników ochrony, zabezpieczają materiały z monitoringu, za chwilę będą wychodzić.

– Do czego zmierzam?

– Czarna torba sportowa, taka na ramię. Leży podobno przy wystawie sklepowej jubilera. Wchodzisz tymi drzwiami, idziesz prosto i skręcasz w lewo.

– To zaczynajmy, żebyśmy mogli skończyć i pójść na piwo. Dawaj!

Rudi usłyszał hasło, sięgnął do samochodu po hełm i wcisnął mu go na głowę.

Stegi był gotowy do drogi. Otaczały go już tylko stłumione dźwięki i specyficzny zapach gumy. Tak pachniał kombinezon, który miał go chronić przed odłamkami, nadciśnieniem, wysoką temperaturą czy falą uderzeniową. Przynajmniej w teorii.

* *

– Co pani tu robi?

Mina pracownika monitoringu była bezcenna. Zupełnie jakby nagle jakiś olbrzym złapał go za ramiona i przeniósł z ciemnego biura wyposażonego w monitory do zakładu dla psychicznie chorych. Zamiast podglądać ludzi na ekranach stanął twarzą w twarz z kobietą o szaleńczym spojrzeniu.

– Kto panią tu wpuścił? – powoli pytanie. – Przecież nikogo nie powinno tu być. Ja też już wychodzę.

– Sama się wpuściłam – odpowiedziała Anka i dopadła do monitorów.

Po zaparkowaniu karetki krzyknęła jedynie do chłopaków, że zaraz wraca i pobięła przed siebie. Towarzyszyła jej jedna myśl.

Nie dotyczyła ona siły wybuchu, potencjalnego niebezpieczeństwa czy odpowiedzialności. Wszystkie puzzle właśnie złożyły się w jedną całość. To Chudy podłożył w Poznaniu matkę szatana, a tylko ona mogła go powstrzymać.

– Musi mi pan pomóc. Mnie i policji. Musimy go znaleźć. Widział go pan? To on podłożył bombę.

Podadła ochroniarzowi swój telefon komórkowy, na ekranie którego widniała pociągła twarz mężczyzny. Zrobiła to zdjęcie w mieszkaniu Wiktora. Akta sprawy same jej się napatoczyły w ręce, a w nich było zdjęcie Chudego, zrobione mu w zakładzie karnym.

– Musimy opuścić budynek. – Próbował wstać z krzesła, ale mu to uniemożliwiła.

– No właśnie, dlatego szkoda czasu na kłótnie. Im szybciej to sprawdzimy, tym szybciej stąd wyjdziemy. To bomber-recydywista! – Potrząsała telefonem. – Niech mu się pan przyjrzy! Szuka go policja i prokuratura. – Była w amoku. Wiedziała, że właśnie nadeszła chwila największej mobilizacji. Na ekranie, na dwóch ujęciach pojawiła się postać przypominająca astronautę powoli zbliżającego się do czarnej torby. – Musimy go znaleźć. Może pan cofnąć... – zamilkła, bo uświadomiła sobie, że przecież nic nie przyjdzie jej z tego, że zobaczy, że to Chudy wniósł bombę na teren centrum handlowego. Ona musiała znaleźć go teraz. Znaleźć i oddać w ręce policji. – Ma pan jakieś kamery skierowane na zewnątrz? – spytała, bo w głowie zaświtała jej nowa myśl.

* *

Jeśli ty widzisz bombę, to bomba widzi ciebie. Stegi znał tę zasadę i przypominał sobie o niej zawsze wtedy, kiedy przystępował do działania. Teraz też.

Każdy kolejny krok zbliżał go do tajemniczej torby. Z podobną chodził na treningi. Też była czarna i miała boczne kieszenie zapinane na pomarańczowe zamki.

Widział torbę, ale jeszcze nie miał pewności, czy zawiera obiecywaną matkę szatana, inne materiały wybuchowe czy może atrapę bomby.

Priorytetem w tej chwili było sprawdzenie, co jest w środku. To dlatego niósł ze sobą planszetę elektroniczną. Musiał położyć ją na tyle blisko torby, żeby zrobiła jej zdjęcie rentgenowskie. Wygenerowany na planszecie obraz przetwarzany był elektronicznie i wyświetlany na ekranie komputera.

Dzięki niemu Rudi mógł ocenić, z czym mają do czynienia.

Stegi życzył sobie, żeby to nie była matka szatana. Pamiętał, że to substancja tak wrażliwa na zmiany w otoczeniu, że zwykłe poruszenie może skończyć się tragicznie. Nie tylko dla osoby próbującej ją usunąć, ale również dla tych, którzy ją przygotowują. Widział kiedyś jednego bombera, któremu matka szatana urwała głowę.

* *

– Dlaczego nas wyprosili?

Eleonora z żalem przyglądała się pustemu budynkowi. Musiała porzucić trzy pary koszul, które wybierała przez pół godziny, i wziąć udział w ewakuacji. Wszyscy wybiegali, to też wybiegła. Nie mogła jednak pozbyć się myśli, że to wszystko to ściema. Zaplanowana akcja marketingowa albo co.

– Bo podobno miało być niebezpiecznie – odpowiedziała jej starsza kobieta.

– Miało? A widzi pani coś tu niebezpiecznego?

– Nie wiem. Policji przyjechało trochę i ci, no, saperzy też.

Rzeczywiście, jak na marketingową ściemę to trochę za dużo policjantów kręciło się w okolicy. Samochód policyjnych pirotechników wyglądał imponująco. Eleonora pomyślała, że musi znaleźć taki zabawkowy model i kupić go chrześniakowi na Gwiazdkę.

– Ale to skandal i łamanie praw człowieka, trzymać tak nas z boku, jak zwierzęta! Za jakąś taśmą! – Tym razem zagadała młodszą dziewczynę. Szukała bratniej duży, z którą będzie mogła porozmawiać sobie o niedoli trzymanyh na dworze klientów Poznani.

– Nikt nie każe pani tu być – burknęła dziewczyna. – Może sobie pani iść do domu.

– Kiedy właśnie nie mogę! – Eleonora się nie poddawała. Nerwowo przestępowała z nogi na nogę i próbowała złapać z dziewczyną kontakt wzrokowy. – Obiecałam mężowi, że kupię mu krawat. Ten jeden konkretny, co sobie upatrzył. Ja muszę tam wejść. No niech pan zobaczy, przecież nic się nie dzieje. Wskoczyłabym tylko i tak szybciotko pobiegłabym do sklepu. Bez tłumów załatwiłabym wszystko w pięć, no może piętnaście minut.

– Przepraszam, może pani się tak nie kręcić? – Męski głos dobiegał gdzieś z tyłu.

– Że co? – Odwróciła się.

– Czy może stać pani w jednym miejscu? Bo kręcę filmik na YouTube'a, a pani ciągle wchodzi mi w kadr.

* *

– Halo?

– Wiktor?!

– Ania? Gdzie jesteś?

– Wiktor, widzę go! Słyszysz, widzę! On tu jest! – mówiła szybciej i głośniejsz niż zwykle.

Komunikat, który mu przekazała, zmroził go jeszcze bardziej niż podczas ich poprzedniej rozmowy. Dojeżdżał właśnie do Ronda Rataje. Musiał je jednak objechać, żeby skręcić w odpowiednią ulicę.

Zamierzał wydać dyspozycje Wegnerowi i Szukalskiemu, zabrać ze sobą Anię i odjechać. W chwili zagrożenia życia nie liczyło się nic innego.

– Gdzie go widzisz? Miałaś przecież siedzieć w karetce.

– Ale jestem w centrum, w pokoju ochroniarzy. Widzę go na monitoringu. Stoi w drugim rzędzie gapiów. Przed głównym wejściem. Czarna kurtka, bluza z kapturem, wygląda dokładnie tak samo jak na zdjęciu. Chuda i niezadowolona twarz. Kiedy będziesz? Ja mogę dobiec do niego za jakieś pięć minut.

– Jesteś w środku? Kurwa, Anka! – Puściły mu nerwy. Gwałtownie zmienił pas, usłyszał z tyłu trąbienie. Przyspieszył jeszcze i wjechał na chodnik. – Oszalałaś? Tam jest bomba. Miałaś trzymać się z daleka!

– No tak, ale musiałam coś sprawdzić. Nieważne. Będę u niego za pięć minut.

– Nie podchodź do niego, kurwa, nie podchodź! Zostaw to mnie.

– Kiedy będziesz?

– Za dwie minuty. Posłuchaj mnie uważnie – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. Uznał, że nadszedł stan wyjątkowy i musi przejąć dowodzenie. – Zostawisz teraz ten monitoring i najkrótszą drogą, omijającą oczywiście miejsce, w którym jest ta pieprzona bomba, wyjdiesz z budynku. Ja właśnie parkuję. Wychodź z budynku. Natychmiast!

– Ale jeśli zaczniesz uciekać, muszę mieć możliwość zobaczenia...

– Bez dyskusji. Nie pomożesz mi, jeśli za chwilę wylecisz w powietrze.

* *

Otoczała go pustka. W galerii handlowej nie było żywej duszy. Gdyby nie kombinezon, który utrudniał mu poruszanie, mógłby wykorzystać okazję i przejść

się po sklepach. Bez przepychania się przy kasach, bez kolejek do przymierzalni, bez konieczności ocierania się o innych ludzi.

– I co? – Stegi z niecierpliwością czekał na informacje od Rudiego.

Słyszał w uchu jego regularny oddech i czekał na coś więcej.

– Jeszcze chwila.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność.

Zdjęcie rentgenowskie mogło jednak pokazać, czy w torbie znajdują się białe kryształki TAPT czy coś innego. – Luz. To jednak nie matka szatana, tylko tradycyjny materiał z radiowym zapalnikiem.

Odetchnął z ulgą. Od piwa z kumplami dzieliło go tylko jedno zadanie. Wyniesienie torby z budynku.

* *

Chudy stał w tłumie. Był z siebie zadowolony. Nie dość, że wszystko świetnie zaplanował, przewidział możliwe warianty rozwoju sytuacji i zemścił się na tych, którzy nie powinni z nim zadzierać, to znowu czuł się jak podniecony gówniarz.

Dawno, dawno temu, taki poziom ekscytacji towarzyszył mu, kiedy wychodził z nowo poznaną dziewczyną z dyskoteki i wiedział, że za chwilę ściągnie z niej majtki i ją przeleci.

Teraz stał w miejscu, obserwował policyjnych pirotechników i czuł to samo podniecenie. Wiedział, jaki będzie ciąg dalszy. To on był panem sytuacji. W kieszeni trzymał przycisk, którego użycie gwarantowało wybuch. Błysk. Huk. Dym. Zapach. Panikę.

Kochał to. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu tego brakowało w zakładzie. Starał się tłumić w sobie potrzeby. Uczył się spokoju i opanowania. Kapelusznik był jego guru. Właściwie był tak wspaniały, że poradziłby sobie sam, ale skoro tamten chciał pomóc... Głupi by był, gdyby nie skorzystał.

Chociaż nie! Powinien być uczciwy wobec siebie. Bez pomocy Kapelusznika trudno byłoby mu ogarnąć te wszystkie beznadziejne szczegóły. Zanim zorganizowałby największe bum w swoim życiu, mogliby go znowu wsadzić za kratki.

Ale nie złapali, ani nie wsadzili. I nie wsadzą. Za to niebawem będzie musiał podziękować Kapelusznikowi.

* *

Ponad dziewięćdziesiąt procent wezwań zespołu policyjnych pirotechników było nieuzasadnionych, dlatego Stegi korzystał z nielicznych sytuacji, w których mógł stanąć oko w oko z prawdziwym i tajemniczym materiałem wybuchowym.

Rudi przekazał mu dane pochodzące z analizy zdjęcia rentgenowskiego. Oszacowali gęstość i ewentualną siłę rażenia ładunku schowanego w torbie, ale obaj doskonale zdawali sobie sprawę z dwóch rzeczy.

Po pierwsze mimo ich doświadczenia i wiedzy opierali się jedynie na szacunkach, a torba nadal mogła zawierać w sobie niespodziankę.

Po drugie kombinezon, wysięgnik z manipulatorem i inne gadżety nie byłyby w stanie uchronić go przed wybuchem. Owszem, w jakimś stopniu ograniczyłyby negatywne skutki. Nie chciał się jednak przekonywać w jakim.

Powoli i ostrożnie ruszył ponownie w stronę torby. Wysięgnik z manipulatorem na kilka minut znowu stał się przedłużeniem jego ręki. Czarne przyciski pozwalały na sprawne złapanie torby.

– Mam ją – zameldował.

Teraz pozostało już tylko umieszczenie torby w „beczce”, czyli przyczepie do przewozu materiałów wybuchowych.

Chwila, w której wysięgnik zbliżał się do „beczki”, była zawsze momentem, w którym wspominał dziewięćdziesiąty szósty rok. To wtedy na stacji benzynowej na Ostrobramskiej w Warszawie znaleziono podejrzany pakunek. Prześwietlenie wykazało, że to może być bomba. Zajął się nią policyjny pirotechnik, Piotr Molak. Gdy podchodził do ładunku, ten eksplodował. Obrażenia, jakich doznał, były tak dotkliwe, że nie udało się go uratować.

Stegi wstrzymał oddech. Od skutecznego zakończenia akcji dzieliły go już tylko centymetry. Beczka czekała na przyjęcie wstępnie zabezpieczonej torby. Potem mogło działać się już wszystko.

* *

Chudy miał podziękować Kapelusznikowi w konkretny sposób. Rozmawiali o tym wielokrotnie. Uzgodnili szczegóły. Nie mógł go zawieść. Nie chciał. Przyjaźnili się.

Czekał więc. Tak jak obiecał.

Spokojnie obserwował, jak przyjeżdżają policyjni pirotechnicy. Nie śpieszyli się. To też była zasługa dopracowanego planu.

Kilkakrotnie w ciągu ostatnich dni zawiadamiał policję o podłożeniu bomby. Wszystko po to, by uspić czujność odpowiednich służb. Na pierwszą mobilizację stawili się bardzo szybko. Na drugą – trochę wolniej. Dojazd do galerii Malta zajął im jeszcze więcej czasu.

– Musisz przyzwyczać ich do tego, że pośpiech nie ma znaczenia, bo i tak na miejscu nie zastaną bomby.

Tak mówił Kapelusznik. Chudy przyzwycząił więc pirotechników, że we wskazanych w mailach miejscach czekają na nich zawsze jedynie atrapy bomb. Dbał przy tym o zachowanie anonimowości podczas wysyłania maili oraz o brak śladów na atrapach. Nie mógł dać się złapać.

Teraz stał kilkadziesiąt metrów od wozu policyjnego i obserwował pirotechnika wychodzącego przez szklane drzwi. Na wysięgniku wisiała ukryta w torbie bomba.

Chudemu zaczęły pocić się ręce. Nie mógł zrezygnować z takiego wybuchu. Miał jedynie kilkanaście sekund na podjęcie ostatecznej decyzji. Wybrać wybuch czy lojalność wobec przyjaciela?

Ta cała zabawa w przedłużanie czasu reakcji policji była niezbędna, żeby Kapelusznik ściągnął do Poznania Annę Rogozińską. Chudy obiecał, że zdetonuje bombę dopiero wtedy, gdy zobaczy kobietę w zasięgu eksplozji.

Nerwowo rozglądał się wokoło, szukając blond włosów i twarzy, którą pamiętał. To było podziękowanie, które był winien przyjacielowi.

– W końcu! – krzyknął z radością, gdy ją zauważył.

Biegła wzdłuż centrum, dokładnie w stronę przyczepy pirotechnicznej i zaparkowanej niedaleko niej karetki pogotowia. Dokładnie w tej samej chwili z rozkoszą nacisnął pilota, którego trzymał w kieszeni. Pierwszego, bo drugiego zostawił sobie na później.

ROZDZIAŁ 14

Stłumiony huk dotarł do Anki, kiedy znajdowała się na wysokości karetki pogotowia. Rozejrzała się wokoło i zauważyła, że z przyczepy pirotechnicznej unosi się dym. Nie wiedziała, czy to normalna procedura detonacji niebezpiecznych materiałów, czy może bomba wybuchła zbyt szybko, zanim policjanci zdążyli zamknąć ją szczelnie w przyczepie.

Nie miała jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Wybuch oznaczał dla niej jedno – Chudy nie miał powodu, by dłużej sterczeć w tym samym miejscu, a ona nie mogła pozwolić mu odejść.

Bała się, że jeśli tak się stanie, to nigdy go nie odnajdą. Minęła ratowników i skierowała się w stronę gapiów. Musiała jak najszybciej dotrzeć do drugiego rzędu. Nie wiedziała jeszcze, co robi, kiedy złapie Chudego za kurtkę, ale wiedziała, że znalazłaby go w tłumie nawet bez zdjęcia.

Wyróżniał się. Nie miał pociągłej twarzy, lecz raczej chorobliwie chudy ryj. Zupełnie jakby uciekł z oddziału, na którym beznadziejne przypadki anoreksji czekają na śmierć.

Nawet obszerna kurtka nie dodawała mu objętości. Wisiała na nim jak na strachu na wróble, a nogawki dżinsów wyglądały, jakby wypełnione były jedynie powietrzem. Jeśli Hubert Rozwadowski kiedyś był chudy, to musiało to być dawno temu.

Dotarła do ciągu daszków imitujących długi przystanek autobusowy. Od Chudego dzieliło ją kilkadziesiąt metrów. Wtedy usłyszała głos zdenerwowanego Wiktora.

– Anka! Ankaaa!

Zatrzymała się i odwróciła. W tej samej chwili Braun do niej dobiegł i wziął w ramiona.

Przytulenie nie trwało dłużej niż kilka sekund, ale i tak poczuli się niezręcznie. Najpierw ona, a później on. Odsunął się od dziennikarki, jakby przypomniał sobie, że powinien zachowywać pozory obojętności i zawodowy chłód, ale nadal nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Nic ci nie jest? Wybuch...

– Wiktor, on tam jest! – Wskazała w stronę mężczyzny w czarnej kurtce.

– Jest? – powtórzył, jakby zupełnie nie był w temacie, jakby zapomniał, po co tu przyjechał.

– No, Chudy! On tam jest!

* *

Na wyraźne polecenie prokuratora aspirant Małecki ruszył z partnerem w stronę wskazanego mężczyzny. Mieli go zatrzymać i doprowadzić do czekającego na boku Brauna.

Małecki nie lubił prokuratorów. Ciągłe mieli jakieś pretensje albo dyspozycje. Ubierali się w garnitury, udawali lepszych i mądrzejszych, a brudną robotę zrzucali na nich, zwyczajnych policjantów. Tak jakby bali się pobrudzić albo zapocić.

– Dzień dobry.

Wystarczyło, żeby Małecki zatrzymał się przy mężczyźnie, a już wywołał spustoszenie. Ludzie zaczęli odsuwać się od chudzielca, jakby nagle zauważyli, że jest trędowaty.

– Dobry – odpowiedział piskliwym głosem.

– Pan pójdzie z nami. Mamy parę pytań.

– Do mnie? To jakaś pomyłka.

– Spokojnie. Jeśli to pomyłka, to zaraz ją wyjaśnimy. – Małecki był spokojny, ale w razie czego złapał mężczyznę za ramię tak, żeby przypadkiem mu się nie wywinął.

Nie zamierzał gonić go w tłumie gapiów.

– Panowie, ale to pomyłka!

– Idziemy! – Pchnął go w kierunku prokuratora.

Mężczyzna ustąpił. Nie miał zresztą wyboru. Był chudy i niski, nie miał więcej niż metr sześćdziesiąt. Był więc z cztery razy lżejszy niż Małecki. Nie miał z nim szans.

Przeszli kilkanaście kroków, wzdłuż alei Niemena, i nagle Małeckiego ogłuszył huk.

* *

Anka nie potrafiłaby odtworzyć kolejności wydarzeń. Wpatrywała się

w policjantów prowadzących Chudego i kiedy zaczęła odczuwać satysfakcję – bo przecież to dzięki niej ujęto niebezpiecznego przestępcę – stało się coś, czego się nie spodziewała.

Nie wiedziała, czy najpierw pojawił się błysk, a potem huk, czy odwrotnie. Pewna była jedynie tego, że zaraz po nich zaczęła się panika.

Policjanci i Chudy zniknęli z pola widzenia, a ludzie, którzy dotychczas stali za taśmami, nagle zaczęli biec we wszystkie możliwe strony. Z ludzkich krzyków wylawiała pojedyncze słowa:

– Boże!

– Mamo!

– Ratunku!

W takim chaosie trudno było zorientować się, gdzie nastąpił wybuch. Spojrzała kontrolnie na swoje ciało. Ręce i nogi miała na miejscu. Dotknęła twarzy rękoma, a później na nie spojrzała. Nie było na nich krwi. Odetchnęła z ulgą. Nic się jej nie stało.

– Pomocy, moja noga... ratunku! – jęczał ktoś, kogo nie widziała.

Nie wiedziała, co robić. Biec do Chudego i pilnować, żeby nie wykorzystał zamieszania i nie uciekł? Starać się zapanować nad tłumem? Uciekać?

Wiktor złapał ją mocno za rękę, jakby chciał się upewnić, że nadal stoi obok niego. Spojrzała mu prosto w oczy i zobaczyła w nich przerażenie. Nie patrzył na nią. Nie szukał wzrokiem odpowiedzi na pytanie, co się stało. On wiedział. Wpatrywał się w jeden punkt i cały czas ścisnął ją za rękę. Stała na palcach i spojrzała w kierunku, w którym wydawało jej się, że patrzy on.

Mniej więcej w połowie odległości pomiędzy nimi a taśmą oddzielającą gapiów na chodniku leżały trzy osoby. Najpierw jej wzrok padł na dwóch całych we krwi policjantów. Jeden próbował usiąść, ale przychodziło mu to z trudem. Drugi rozglądał się, jakby próbował przypomnieć sobie, gdzie się znajdował. Obok nich leżało ciało mężczyzny z rozerwanym bokiem. Na płyty chodnikowe wyciekła krew.

Dopiero wtedy dotarło do niej to, że do wybuchu nie doszło w centrum handlowym, ale znacznie bliżej. I że rozerwany bok może oznaczać jedynie, że Chudy, po którego sama chciała pobiec, musiał mieć na sobie drugą bombę.

– Anka! – Haribo złapał ją za ramię tak mocno, że aż syknęła z bólu. – Do roboty! Jesteś nam potrzebna.

Spojrzała najpierw na mundur Haribo, potem na swój. Rażący czerwony kolor, szarawe odbłaski i czarne wstawki w miejscach najszybciej ulegających zabrudzeniu przypomniały jej, że przyjechała jako członek zespołu ratunkowego.

– Co mam robić? – zademonstrowała swoją gotowość do działania.

Nie bezinteresownie oczywiście. Błyskawicznie skojarzyła, że tylko dzięki temu podejdzie do rannych policjantów i sprawdzi, czy Chudy żyje. Im byli bliżej

poszkodowanych, tym bardziej uświadamiała sobie, że jest ich więcej. Wybuch uszkodził dachy znajdujące się z jednej strony alei, a odłamki raniły kilka osób stojących za taśmą.

– Szczepan rozmawiał już z pierwszym dyspozytorem, zespoły są w drodze. Trzymaj zestaw do triage! Załóż kamizelkę. Ja oceniam stan każdego poszkodowanego, ty nakładasz opaski. Sprawdzam czy chodzi, czy oddycha, oceniam oznaki krążenia i to czy spełnia proste polecenia – tłumaczył Haribo, gdy podchodzili do leżących. – Pomoc w pierwszej kolejności to czerwona opaska. Ten, który może poczekać na pomoc, dostaje żółtą. Zielona jest dla tych, którzy przeżyją niezależnie od czasu udzielenia im pomocy, a czarna dla tych, którzy są martwi. Zobacz, Szczepan już działa. Ten już ma opaskę. – Wskazał na ciało leżące obok policjantów. – Czarna. Wygląda na to, że to ten facet musiał mieć ładunek na sobie.

Anka zerknęła na opaskę a później na zmasakrowane ciało. Nie chciała przyglądać się fragmentom rozerwanego człowieka. Chciała mieć jedynie pewność, że to Chudy.

* *

Karetki pogotowia w pierwszej kolejności zabrały rannych policjantów. Dopiero wtedy Braun wraz z Wegnerem i Szukalskim stanęli nad zwłokami.

Na pierwszy rzut oka wszystko się zgadzało. Wątła postura, a przynajmniej to, co z niej zostało oraz czarna kurtka i bluza z kapturem, o których wspominała Anka.

– No to mamy go. Trzeba uznać, że gościu zakończył występy w najlepszym stylu – zażartował Szukalski. – Ale przynajmniej ułatwił nam pracę. Dzięki takiemu zakończeniu poprawimy sobie statystykę. I my, i pan prokurator.

– Wegner? – Braun starał się ignorować Szukalskiego, bo nie widział sensu wdawania się z nim w dyskusje.

– Tak?

– Kiedy będą technicy?

– Już powinni dojeżdżać.

– W pierwszej kolejności musimy mieć potwierdzoną tożsamość denata.

– Spokojnie, chłopaki będą mieli Morpho, więc raz dwa sprawdzimy jego paluchy.

* *

Beata Rozwadowska zdziwiła się, kiedy w drzwiach swojego mieszkania zobaczyła umundurowanych policjantów. Był już późny wieczór. W pierwszej chwili pomyślała, że może znowu ktoś włamał się do sąsiadów z góry i policjanci przepytывali wszystkich na okoliczność tego, czy przypadkiem nie widzieli nic podejrzanego.

Jednak tym razem wszystko odbywało się zupełnie inaczej. Policjanci poprosili ją o ubranie się i udanie się z nimi na komendę. Próbowwała dowiedzieć się, o co chodzi, ale oprócz dziwnych spojrzeń i wymijających stwierdzeń, że wszystkiego dowie się na miejscu, nie wyciągnęła z nich nic, co by ją satysfakcjonowało.

Ubrała więc kurtkę, zamknęła za sobą drzwi i ostatecznie pozwoliła się zaprowadzić do pokoju przesłuchań, w którym już czekali na nią obcy mężczyźni.

– Prokurator Wiktor Braun. – Jeden z nich ukłonił się uprzejmie.

Drugi wyburczał swoje nazwisko pod nosem. Usłyszała jedynie „Jakub, wydział kryminalny”.

– Coś się stało? – spytała.

– Dziś przed południem miał miejsce wybuch, jest jedna ofiara śmiertelna. Chcielibyśmy, żeby spojrzęła pani na zdjęcie. – Policjant kryminalny wyjął z kieszeni komórkę. – I potwierdziła tożsamość mężczyzny.

* *

– W tej robocie nie ma nic pewnego, oprócz tego, że niebawem nadejdzie zmiana. Jeśli więc jedziesz do pacjenta, możesz się spodziewać wszystkiego, a jeśli wracasz na podstację, to może oznaczać, że wcale do niej nie dojedziesz. Albo jeśli siadasz na kanapie, to nawet nie zdążysz się na niej wygodnie usadowić, a znowu będziesz musiał biec.

Od akcji przed centrum handlowym minęło kilka godzin, a Anka nawet nie

miała czasu porozmawiać o niej z Wiktorem. Ratownicy dziś wyjątkowo źle się czuli. Nie licząc ratownictwa w przejściu podziemnym i akcji przy centrum handlowym, wyjeżdżali jeszcze dziesięć razy.

– Wiem, przekonałam się o tym na własnej skórze. Dzięki chłopaki! Miło było mi z wami jeździć.

Była osiemnasta trzydzieści pięć. Anka stała w drzwiach biura. Za dwadzieścia pięć minut kończyła ostatni w swoim życiu dyżur w pogotowiu. Ta świadomość budziła w niej mieszane uczucia.

Z jednej strony radość, bo wyzwania zawodowe z branży ratownictwa medycznego nie były żywiołem, w którym czuła się dobrze. Z drugiej strony wiedziała, że jak już odeśpi tygodniowe zaległości, to będzie jej brakowało tej specyficznej atmosfery – mieszaniny tymczasowości, spokoju, szybkich reakcji, zmienności wyzwań i chłopiących żartów.

– Twoja mina nigdy nie potwierdzała, że było miło. – Roześmiał się Haribo. Leżał na kanapie z wyciągniętymi nogami. – Zwłaszcza gdy wieźliśmy pacjenta do szpitala.

– Bo to zupełnie nie mój klimat. Nie zrozumcie mnie źle. Podziwiam, że robicie to, co robicie... Ale ja bym tak nie mogła. Nawet gdyby płacili mi kokosy. Pacjent, nie pacjent... każda obca osoba pakowana przez was do karetki naruszała moją strefę bezpieczeństwa. Poza tym jestem w stanie zrozumieć niesienie pomocy potrzebującym, ale te wszystkie wyjazdy do ludzi, którzy was nie chcą, plują wam w oczy, wypominają, że za ich pieniądze żyjecie, musicie więc zrobić to i tamto... Podziwiam determinację niesienia pomocy.

– Przyzwyczaiłabyś się.

Chciała zaprotestować, ale nie zdążyła. Alarm oznajmił konieczność wyjazdu. Szczepan zerknął na komórkę, Haribo na zegarek, a Anka najpierw na jednego, a później na drugiego.

– No to rozbiłaś bank. Twój ostatni wyjazd. Uraz głowy, silnie krwawi, przytomna, oddycha, kobieta, lat trzydzieści...

* *

– Pani spojrzy. – Policjant podsunął Rozwadowskiej pod nos ekran, na którym wyświetlone było zdjęcie twarzy mężczyzny. – Czy zna go pani?

Zerknęła najpierw na prokuratora, a potem niechętnie na komórkę. Sfotografowany mężczyzna miał zamknięte oczy, zbolałą minę i czerwono-brunatne

plamy na twarzy.

– Zna go pani? – powtórzył prokurator.

– Znam. – Kiwnęła głową, nadal nie rozumiejąc, o co chodzi. – To mój mąż, Albert. Czy jemu coś się stało? Skąd macie to zdjęcie?

– Czy pani mąż interesował się materiałami wybuchowymi?

– Nie! Dlaczego pan pyta?

– Proszę odpowiadać, a nie zadawać pytania.

– Mój mąż nigdy nie miał nic wspólnego z wybuchami! On nie, ale Hubert, jego popieprzony brat, tak. Wiedziałam, że tak będzie.

– Jak? – Mężczyźni spytali niemalże jednocześnie.

– Że spotkanie z bratem bomberem to zły pomysł. Umówili się dziś w Poznaniu.

* *

Drzwi otworzył im chłopiec. Nie miał więcej niż dziesięć lat. Najpierw w szparze między framugą a krawędzią drzwi pojawiła się jego głowa, a później, kiedy zobaczył, że na korytarzu stoją ratownicy medyczni, zamknął je, żeby po chwili szeroko otworzyć.

– Mama jest tam. – Pokazał ręką w prawą stronę.

Weszli do mieszkania. Na końcu korytarza znajdował się mały pokój. W jego centralnym punkcie wisiał wielki telewizor. Na ekranie pojawiały się szpitalne obrazy, ale nikt nie poświęcał im uwagi. W kącie siedziały przestraszone dzieci. Jedno raczkujące, a drugie w wieku szkolnym. Chłopiec, który otworzył ratownikom drzwi, podszedł do rodzeństwa i je przytulił.

Między kanapą a kaloryferem leżała zakrwawiona kobieta. Ściana i żółtawy kaloryfer także nosiły ślady krwi.

– Proszę pani?

– Przewróciłam się – powiedziała głośno, kiedy zobaczyła pochylającego się nad nią Szczepana.

– Spokojnie. Jak się pani nazywa?

– Patrycja Gołębiewska.

– Czy wie pani, gdzie się znajduje?

– Tak, w domu.

– Co panią boli?

– Głowa.

Kobieta z trudem odpowiedziała na pytanie. Haribo zdjął z pleców plecak i założył rękawiczki. Szczepan zbadał kobiecie głowę, odcinek szyjny, sprawdził reakcję źrenic.

Anka podeszła do dzieci. Najmłodsze mogło mieć dziesięć miesięcy. Wszystkie wyglądały na przestraszone, ale najstarszy chłopiec starał się panować nad emocjami.

– Czy coś się wam stało? – Anka kucnęła przy nich.

– Nie – odpowiedział chłopiec.

– Na pewno?

– Mama się przewróciła – powtórzył słowa kobiety.

Nie musiała patrzeć mu prosto w oczy, żeby wiedzieć, że kłamie. Kobieta nie mogła się przewrócić. W tak małym pokoju musiałaby upadać kilkanaście razy na kaloryfer i prostopadłą do niego ścianę, żeby nabawić się takich obrażeń. Zresztą blizna na jej policzku i zrastający się łuk brwiowy świadczyły o tym, że już częściej „wpadała” na przeszkody.

* *

Braun był wściekły. Wyszedł wraz z Szukalskim z pokoju przesłuchań tylko po to, by wydać mu kategoryczne polecenie:

– Za pięć minut chcę mieć u siebie nagrania z monitoringu z centrum handlowego, na których obecny jest denat.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale! Jeśli bracia spotkali się w Poznaniu, to znajdziemy ich na nagraniach. Może nawet stali razem w tym tłumie. Muszę wiedzieć, dlaczego dziennikarka się pomyliła, dlaczego nie zauważyła prawdziwego Chudego? Dlaczego wskazała Alberta? Pięć minut! – krzyknął i wrócił do Rozwadowskiej.

Dla rozładowania napięcia trzasnął drzwiami.

Tak naprawdę nie chodziło mu o wyjaśnienie przyczyny pomyłki Anki. W tej chwili musiał myśleć o sobie. Potrzebował dobrego argumentu, którym posłuży się podczas rozmowy z przełożonym. On, prokurator okręgowy, wysłał dwóch policjantów po człowieka, który był chodzącą pułapką. Dlaczego? Bo kobieta, z którą sypiał, powiedziała mu, że ten mężczyzna jest Chudym? Nie sprawdził tego. A powinien chociaż mu się przyjrzeć.

– Proszę kontynuować – zachęcił Rozwadowską, która była bardziej oburzona tym, że Hubertowi nic się nie stało niż tym, że jej mąż umarł.

– Mówiłam mężowi, żeby nie szedł. Przypominałam, że zawsze kontakty z Hubertem kończyły się dla nas problemami. No ale uparł się, że przed pięćdziesiątymi urodzinami chce wyjaśnić z bratem wszystkie wcześniejsze spory. Ustaliliście, jak to się stało? Hubert miał ze sobą bombę?

– Ładunek wybuchł na pani mężu. Podejrzewamy, że mógł go mieć na sobie.

– Nie! Nie! Na pewno nie. Skurwieli! Na pewno mu ją włożył do kieszeni albo schował w paczce. Miał oddać Albertowi pieniądze, o które dawno temu się posprzeczcza.

– Pani mąż zawsze był tak bardzo podobny do Huberta?

– Tak, trudno było ich rozpoznać. Obaj chudzi, bladzi z niebieskimi oczami. Albert był starszy, ale dobrze się trzymał. W młodości dla jaj ubierali się w te same ciuchy i wtedy nawet ja miałam problem z ustaleniem, który jest który. Potem Hubert zaczął się tatuować, a Albert nie, więc latem bez trudu można było ich odróżnić. Ostatnio, to znaczy po wyjściu z paki, Hubert przyszedł do nas, to znaczy do męża, ale męża nie było w domu. Ja z nim rozmawiałam. Udawał, że się zmienił, to znaczy nie w sensie fizycznym, ale wiem pan, opowiadał, że się zakochał, że jest innym człowiekiem, że ma kobietę i chce ułożyć swoje stosunki z rodziną.

– Mówił coś więcej o tej kobiecie?

– Panie prokuratorze. – W drzwiach pojawiła się głowa Szukalskiego. Wyglądał na zadowolonego. – Mam już nagrania.

– Chwileczkę – burknął i wykonał gest sugerujący, że Szukalski ma zniknąć za drzwiami. Kiedy to zrobił, zwrócił się do kobiety: – Przepraszam, proszę odpowiedzieć.

– Mówił, że to prawdziwa miłość. Że kobieta jest piękna, mądra i cudowna, i że z taką na pewno ułoży sobie życie. On zawsze miał skłonność do koloryzowania, więc przyjąłabym za pewnik jedynie to, że znalazł sobie jakąś babę.

– A konkrety jakieś? Nazwisko, imię, adres?

– Mówił tylko, że ma na imię Patrycja, że ma trójkę dzieci i że mieszkają razem w jej mieszkaniu gdzieś na Wildzie. Pokazał mi też jej zdjęcie. Nie wiem, w którym miejscu ona miała być piękna... zwykła zużyta alkoholiczka z blizną na twarzy.

Nie wiedział, co powiedziały bachory, ale przecież kazał im trzymać mordy zamknięte na kłódkę. Patrycja ryczała, że coś jej się stało w głowę, i błagała, żeby wezwać pogotowie.

Ustalili więc wspólną wersję i pozwolił najstarszemu dzieciakowi zadzwonić po pomoc, chociaż nie uważał tego za konieczne.

Owszem – uderzył ją, ale przecież nie mocno. Kilka razy, bo jak już uderzył raz, to nie mógł się zatrzymać. Normalnie nie miał problemów z agresją, ale wydarzenia dzisiejszego dnia sprawiły, że nie potrafił utrzymać nerwów na wodzy. Wrócił z centrum handlowego do domu, usiadł przed telewizorem i nagle wszystko zaczęło mu przeszkadzać.

Biegające dzieci. Gadająca kobieta. Chciał ciszy. Musiał posiedzieć w spokoju i zastanowić się nad tym, co się stało.

A stało się przecież dużo. Zjechał się jego misternie ułożony plan. Miał dziś zobaczyć wielki wybuch. Zamiast niego oglądał kręcących się po mieszkaniu ratowników.

– Był pan świadkiem tego, co się stało? – Jeden z nich zrobił kilka kroków w jego stronę.

– Tak, potknęła się o dywan, niezdara z niej. Uderzyła się i zaczęła się skarżyć na ból głowy. Powiedziała, że przejdzie, ale uznaliśmy, że lepiej po was zadzwonić.

Ratownik wysłuchał tego, co mężczyzna miał do powiedzenia, i wrócił do wypełniania dokumentów.

– Teraz powoli usiądziemy. – Drugi zajmował się Patrycją.

Tylko ta ratowniczką przyglądała mu się jakoś dziwnie. W pierwszej chwili pomyślał, że to solidarność jajników, i że za chwilę pewnie oskarży go o pobicie Patrycji, ale nie. Przyglądała mu się długo, aż w końcu zauważył w jej oczach coś, jakby błysk.

Najpierw błysk, a później charakterystyczny uśmiezek. To po nim ją skojarzył. Napatrzył się przecież na te rysy, oczy, usta i nos. Znał tę kobietę, chociaż nigdy wcześniej nie widział jej w mundurze ratownika. To musiała być ta dziennikarka, której zdjęcia pokazywał mu Kapelusznik. Ta, przez którą zbyt późno zdetonował dziś bombę.

– Proszę zatrzymać!

Szukalski wykonał polecenie prokuratora.

– Widzi pan?

Na ekranie ukazały się trzy postaci. Z lewej strony stała kobieta w szarej czapce, w środku chudy mężczyzna w czarnej kurtce i czarnej bluzie, ze śmiesznie przekręconym na bok kapturem.

– Widzę denata.

– A obok denata?

– Mężczyzna...

Szukalski zawahał się. Braun wyjął z akt zdjęcie Chudego i zbliżył je do monitora.

– Oczy! Niech pan patrzy na te oczy. Podkrążone niebieskie oczy.

– Obaj mężczyźni je mają. Identyczne.

– Dokładnie, i denat, i ten stojący po jego prawej stronie, ale... – Braun wiedział już wszystko. – Tylko denat ma widocznie zapadnięte policzki. U tego drugiego czapka z daszkiem i broda na drwala utrudniają identyfikację. Ja rozumiem, że teraz jest taka moda, ale niech pan zwróci uwagę... Czy byłoby nadużyciem, gdybym stwierdził, że ten osobnik celowo zmienił swój wygląd? Zakrył policzki, ukrył mogącą zdekonspirować go chudość.

– Wygląda raczej na grubego. – Szukalski wskazał na okrągły brzuch wypełniający koszulę wystającą z niedopiętej kurtki.

– Niby tak, ale brzuch duży, a nogi cienkie. Ręce chyba też. W dzisiejszych czasach charakteryzacja to nie problem. W której kieszeni wybuchł ten ładunek?

– W prawej.

– Czyli po tej, po której stał Chudy. Ładunek był na tyle mały, że mógł zmieścić się w kieszeni. Rozwadowska wspomniała, że podejrzany mieszka z jakąś Patrycją na Wildzie. Trójka dzieci. Kobieta z blizną na policzku...

– Już wrzucam to na bęben i zobaczę, co wyjdzie.

* *

– Proszę wyciągnąć przed siebie ręce, złapać moje i ścisnąć je najmocniej, jak tylko się da.

Szczepan przeprowadzał badanie neurologiczne. Kobieta wydawała się być

oszołomiona.

– Piła pani dziś alkohol? – spytał Haribo.

– Nie.

– A pan? – zwrócił się do stojącego w drzwiach chudego mężczyzny.

– Dlaczego ja? – oburzył się. – Przecież ja się nie przewróciłem.

– Pytam, czy spożywał pan dziś alkohol?

Anka wpatrywała się w mężczyznę już długo, ale nadal nie mogła uwierzyć swoim oczom. Chudy zmartwychwstał? Przecież wydawało się jej, że widziała na monitorze te zapadnięte policzki i bladoniebieskie oczy. Widziała czarną kurtkę i bluzę z kapturem, a potem zmasakrowane ciało.

– Hubert niczego nie pił. – Kobieta stanęła w obronie partnera, a Anka zyskała pewność. Odwróciła się tyłem do mężczyzny, spojrzała Haribo w oczy i niemalże bezgłośnie szepnęła:

– Policja.

Haribo skrzywił się, dając jasno do zrozumienia, że to nie jest sytuacja, w której wezwanie policji przyniosłoby jakiś efekt. Rozmawiali o tym w drodze na Kilińskiego. Problem ze zgłoszeniem przemocy domowej polegał na tym, że to poszkodowana musiałaby sama złożyć zawiadomienie na policję. Jeśli więc od początku ich wizyty twierdziła, że obrażenia są następstwem przypadkowego potknięcia się, nie można było liczyć na to, że pojawienie się policjantów cokolwiek zmieni w jej zeznaniach.

Chciała zaprotestować, że nie chodzi jej o zgłaszanie przemocy, a o zatrzymanie Huberta Rozwadowskiego. Nie miała jednak możliwości zrobić tego w taki sposób, żeby nikt oprócz ratowników jej nie usłyszał.

– Proponujemy pani przejazd do szpitala w celu dalszej diagnostyki. – Szczepan zapiął plecak.

To był znak, że za chwilę opuszczą mieszkanie. Z kobietą lub bez niej. Anka nie mogła do tego dopuścić.

* *

– Nie, nie, nie ma takiej możliwości! – Patrycja zaprotestowała na tyle głośno, że siedzące w kącie dzieci zaczęły płakać.

– Jest pani pewna? Tutaj nie naprawimy pani głowy. Powinna pojechać pani do szpitala.

– Nie, nie mogę, panowie. Zostanę. Nie zostawię dzieci.

– Jedź, kochanie. – Chudy odezwał się najłagodniej, jak tylko potrafił. – Przecież ja z nimi zostanę. Dziećmi się nie przejmuj. Twoje zdrowie jest najważniejsze.

Chciał jak najszybciej pozbyć się ratowników z mieszkania. Dziennikarka wpatrywała się w niego tak, jakby wiedziała, że jest mordercą. Nie wiedział, jak go znalazła, ale jej świdrujące spojrzenie podpowiadało mu, że musiał zacząć działać.

Najgorsze jednak było to, że akurat takiego wariantu obrotu spraw nie omówił z Kapelusznikiem. Był zdany tylko na siebie.

– Zostaję.

– W takim razie poproszę panią o podpis na odmowie wyjazdu do szpitala.

Ocecił sytuację. W rogu pokoju siedziały dzieci, na kanapie Patrycja. Jeden z ratowników dawał jej do podpisania dokumenty. Drugi był już gotowy do wyjścia. Podobnie jak dziennikarka.

Zaraz będą koło niego przechodzić. Rozważył możliwość ucieczki, ale wtedy usłyszał:

– Tak się panu przyglądam i przyglądam, ale mam wrażenie, że jest pan, panie Hubercie, bardzo podobny do swojej matki. Szkoda, że nie odwiedził jej pan po wyjściu z zakładu karnego.

Tego już było za wiele.

Przez tą głupią dziennikarkę musiał czekać z detonacją bomby. To przez nią nie zobaczył, jak elewacja centrum handlowego rozpada się na małe elementy, jak zakrwawieni ludzie biegają, szukając pomocy, jak policjanci uzmysławiają sobie, że nie mają żadnych szans w starciu z nim.

Zamiast ogromnego wybuchu w centrum handlowym mógł jedynie usłyszeć ten spowodowany przez ładunek, który niepostrzeżenie wsunął do kieszeni kurtki brata. Mały huk jeszcze bardziej rozbudził apetyt na porządną wybuch.

Teraz musiał to sobie odbić. Ścisnął w ręce, którą trzymał za plecami, najbardziej poręczny nóż Opinel'a i przystąpił do działania. Kapelusznik miał rację. Ta kobieta była zła i zasłużyła na śmierć.

* *

Kiedy Szczepan usłyszał, że Anka prowokacyjnym tonem zwraca się bezpośrednio do damskiego boksera, zwiększył czujność. Nie wiedział, o co chodziło z tym zakładem karnym, ale czuł w powietrzu rosnące napięcie.

Mężczyzna stał oparty o framugę drzwiową i nerwowo uderzał pięścią w udo. Był niski, chudy i skoncentrowany na Ance. Musiała trafić w jego czuły punkt, bo po chwili zastanowienia ruszył do ataku. W prawej, dotychczas niewidocznej dłoni, trzymał nóż.

Szczepan zobaczył ostrze i zareagował instynktownie. Zanim sięgnęło ciała Anki, kopnął rękę mężczyzny. Siła, z jaką to zrobił, sprawiła, że nóż upadł na ziemię, a wąty mężczyzna zachwiał się. Był od niego przynajmniej dwa razy mniejszy. Szczepan wykorzystał to i pchnął go jeszcze, pozbawiając równowagi. Kiedy napastnik upadł, ratownik nogą odsunął od niego broń.

Dzieci tłoczące się w rogu zaczęły płakać, a poszkodowana, która do tej pory miała problem z poruszaniem się, próbowała wstać z kanapy i rzucić się na ratunek swojemu partnerowi.

– Spokojnie! – Haribo ją zatrzymał. – Pani zostanie na miejscu. Do czasu przyjazdu policji. – Leżysz i się nie ruszasz! – Szczepan warknął do mężczyzny. – Wszystko w porządku? – spytał Ankę.

Kiwnęła głową. Nie wyglądała na przestraszoną. Wręcz przeciwnie – wyglądała, jakby z tego, co się właśnie stało, wyciągnęła ładunek pozytywnej energii.

– Nie, panowie, nie ma sensu dzwonić po policję.
– Nie? A przecież lubisz dużą publikę? – nadal prowokowała mężczyznę.
– Ja?
– Zgromadziłeś przed Posnanią tłumy... Wszyscy czekali na wybuch. Coś jednak poszło nie tak? Dałeś ciała i bomba nie wybuchła.
– Nieprawda! Nie dałem ciała! Wszystko przez ciebie!
– Tylko nieudolne sukinsyny zwalają swoje błędy na innych.
– Nie popełniłem żadnego błędu. Bomba była gotowa. Ustaliliśmy jednak z Kapelusznikiem, że nie zdetonuję jej, dopóki nie pojawisz się w polu jej rażenia. Powiedział, że cię tam ściągnie i że na pewno będziesz chciała zapobiec wybuchowi!

* *

Anka nie wiedziała, ile miała czasu na swobodną rozmowę z Chudym. Lada chwila mogli pojawić się policjanci. Kamera w jej mundurze rejestrowała jego odpowiedzi, chciała więc wyciągnąć z niego, ile się dało.

– Zaatakowałeś ratownika w karetce. To miała być zemsta. Jak trafiłeś na tego, którego chciałeś zabić?

– Normalnie, najpierw trzydniowa obserwacja podstacji. Ustaliłem, którą karetką jeździ interesujący mnie gość. Potem zapłaciłem kilka złotych dzieciakowi z Rataj. Miał stać przed podstacją i dać mi znak, kiedy właśnie ta karetka zostanie sama. Zadzwoiłem wtedy na pogotowie i podałem swoją lokalizację. Wiedziałem, że przyślą do mnie wolny zespół z Rataj.

– Dlaczego chciałeś go zabić? Przecież dzięki niemu udało się uratować twoją dłoń.

– Według ciebie tak wygląda uratowana dłoń?! – Wyciągnął przed siebie i rozprostował dłoń, którą dotychczas trzymał zwiniętą w pięść.

Wyglądała jak dziecięca rękawiczka z jednym palcem

– Skurwiel mógł uratować palce, ale mu się nie chciało. Tak się Chudego nie traktuje. Gościu musiał dostać nauczkę.

– Nauczkę? Zaatakowałeś go nożem podczas jazdy. Karetka wpadła w przejście dla pieszych. Zginęła niewinna dziewczyna. Jesteś z siebie zadowolony?

– Ten nóż, co go wtedy myłeś? To była ludzka krew? – Poszkodowana uniosła się energicznie z kanapy, ale złapała się za głowę i opadła z powrotem na kanapę. Haribo podszedł do niej, a dzieci tłoczące się w rogu znowu zaczęły płakać.

– Spokojnie – odezwał się, ale Anka go nie słyszała.

Była też obojętna na płacz dzieci. W tej chwili liczył się jedynie Chudy i to, co miał do powiedzenia.

– Tym samym nożem zaatakowałeś fryzjera... Dlaczego?

– Bo to mój ulubiony nóż. Dobrze leży w ręce.

– Ale dlaczego fryzjera? To jedyna ofiara, o której nie wspominał twój przyjaciel Kapelusznik.

– Bo o nim nie wiedział. To zdarzyło się poza planem. Miałem przyrządzić matkę szatana. Potrzebowałem dużo perhydrolu. Kupowałem go u tego gościa. Chciałem rozpieprzyć to całe centrum. Przecież piękne wybuchy nie są zarezerwowane tylko dla Paryża. Ale ten skurwiel próbował być bardziej cwany niż ja. Najpierw mi go sprzedał, zabrał kasę, a potem powiedział, że chce jeszcze trzy razy tyle za to, że nie powie psom, że jestem terrorystą. Musiałem zrezygnować z użycia matki szatana. Nie mogłem ryzykować, że zamkną mnie przez niego. Zrobiłem inną bombę, ale dla zmyłki i zapewnienia większego zamieszania zawiadomiłem policję o podłożeniu matki szatana.

– Nie musiałeś zabijać fryzjera.

– Musiałem. Chudego się nie szantażuje. Śledziłem go, znałem drogę z domu do pracy. Zaatakowałem przy budynku, przy którym było dużo ludzi. To

Kapelusznik nauczył mnie planowania. Przemyslałem wszystko w domu. Obgadałem sam ze sobą, tak jak kiedyś obgadywaliśmy ofiary z Kapelusznikiem. Samemu trudno było mi ogarniać szczegóły, ale postarałem się. Kapelusznik byłby ze mnie dumny. On jest w tym mistrzem. Wie, co kto pomyśli, wie, jak zostawić jak najwięcej śladów, które nie będą prowadziły do sprawcy. Wie, że jak tropów będzie zbyt dużo, to policjanci się zgubią albo odpuszczą.

– A Rozalia? Twoja kobieta?

– Była kobieta. Największa pomyłka mojego życia. Wydała mnie psom. Musiałem jej za to zapłacić. Przyszedłem do niej z kwiatami. Niby z podziękowaniami, że dzięki niej moje życie się zmieniło. Uwierzyła... Głupia była. Mieliśmy pójść do łóżka, ale poprosiłem ją, żeby najpierw się wykąpała. Sposób na utopienie pozorowane na nieszczęśliwy wypadek podpowiedział mi Kapelusznik. Gdybyś chciała się kiedyś kogoś pozbyć, to rozmawiaj z nim. On jest mega w te klocki. Wystarczyło, żebym złapał Rozalię za kostki i gwałtownie pociągnął je do góry.

W korytarzu pojawili się policjanci, a to oznaczało koniec prywatnej rozmowy z Chudym.

– A Kapelusznik? – Anka zadała ostatnie pytanie. – Po co to wszystko było, te jego telefony i udawana troska?

– Taki był plan. Długo go dopracowywaliśmy. Zgodził się mi pomóc pod warunkiem, że zginiesz w ostatnim wybuchu. On chyba cię lubi, ale z drugiej strony ma ci za złe, że żyjesz. Mówił, że dawno temu oszukałaś śmierć i że powinnaś przestać oszukiwać. Ja po wyjściu na wolność musiałem trzymać się planu po to, żeby Kapelusznik wiedział, co kiedy nastąpi, i żeby mógł cię informować, niby z wyprzedzeniem, a jednak po fakcie. Zaangażowałaś się, tak jak planował... tylko że znowu oszukałaś śmierć.

* *

– W końcu jesteście.

Na podstacji przywitała ich kolejna zmiana. Misiek i Pudzian wyglądali na rozbawionych. Anka zerknęła na zegarek.

– Już się zastanawialiśmy, czy nie położyć się spać, bo może zabalujecie całą noc.

– A bal był, żałujcie, że bez was. – Szczepan zamiast pomaszerować prosto do szatni usiadł na krześle.

Nie śpieszyło mu się do domu, mimo że od ponad godziny powinien być już o ile nie w domowych pieleszach, to przynajmniej w prywatnych ciuchach.

– Co mieliście?

– Przemoc domową. Trzydziestolatka ze wstrząśnieniem mózgu trafiła do Cegielskiego, dzieci na szczęście zostały pod opieką babci, a facet...

– Pijany?

– A gdzie tam. Trzeźwy na maksa.

– Trzeźwy, ale poszukiwany przez policję. Anka go rozpoznała.

– Serio?

– Serio. Bomber-recydywista. Niedawno wyszedł z paki, ale zaraz do niej wróci, postawią mu zarzut trzech morderstw i ataku na ratownika.

– Rzucił się na was?

– Z nożem. Nie na mnie tylko na Ankę, i to nie był jego pierwszy raz. To on zaatakował Andrzeja w karetce.

– No to rzeczywiście się u was działo...

– Złapali go dzięki naszej dziennikarce. – W korytarzu pojawił się Haribo. Miał już na sobie džinsy i kolorową kurtkę. – Dobra, to ja zmykam. Dziś Antosia ma ósme urodziny, a ja jestem jak zwykle spóźniony.

– To leć, oczywiście. Panowie, pięknie dziękuję za to, że dopuściliście mnie do swojego świata. To był dla mnie trudny, ale ciekawy czas. Zabieram dzisiaj kamery, od jutra znowu będziecie żyć bez cenzury.

– Jakiej cenzury? Zapomniałem o kamerach już pierwszego dnia! – Roześmiał się Szczepan.

– To dobrze, bo mam do was jeszcze jedno pytanie. Zawsze miałam na sobie ukrytą kamerę. Podczas naszych prywatnych i bardzo osobistych rozmów rejestrowałam wasze odpowiedzi. Jeśli zaprotestujecie, to oczywiście nie użyję tego, co się nagrało... ale jeśli mi zaufacie... wyjdzie z tego świetny materiał. Proszę...

* *

– Biegły rozmawiał z jednym i z drugim. Powiedział, że to ciemna triada osobowości. Makiawelizm, subkliniczny narcyzm i subkliniczna psychopatia. Daje to w obrazie brak empatii, bezdusność, egoizm, przedmiotowy stosunek do ludzi i tendencje do manipulacji interpersonalnej i eksploatacji partnerów. Chudy, narcystyczny sukinsyn, którego kręćą wybuchy, trafił do celi Kapelusznika,

paranoika, który godzinami słuchał o podnietach Chudego, aż w końcu postanowił wykorzystać jego popęd. Niekoniecznie przeciwko niemu. Bardziej na swoją korzyść. Zgodził się pomóc Chudemu zrealizować nie tylko plan zemsty na dwóch osobach, ale również wybuch, o którym będą mówić wszystkie media. I jednocześnie tak go ze sobą związał emocjonalnie, żeby ten nie mógł mu odmówić małej przysługi... wybuchu, gdy ta dziennikarka znajdzie się w pobliżu. Kontrolował wszystko, a Chudy musiał się starać, by utrzymywać się w jego łasce.

Jakub Szukalski referował z pamięci, nawet nie zerkając na opinię trzymaną w ręku, a Wiktor zaczynał się niecierpliwić. Pozornie grali do jednej bramki, jednak w zupełnie inne gry.

Policja rozliczana była z wykrywalności przestępstw, a prokuratura – z tego, jak szybko sprawy „schodzą” w porównaniu do wpływów oraz ze skuteczności aktów oskarżenia.

Te dwa kryteria sprawiały, że zanim Wiktor podjął decyzję o rozpoczęciu postępowania sądowego, musiał mieć pewność, że zgromadzony materiał dowodowy wystarczy, by doprowadzić do skazania.

– Kapelusznik na razie nie potwierdza zeznań Chudego?

– Nie, to szczegółarz i trudny przeciwnik, ale damy sobie z nim radę. Jak na paranoika przystało, ma tendencje do perseweracji, a to pozwoli go ograć i przewidzieć. Chudy początkowo też nie chciał zeznawać, ale uświadomiliśmy mu, że jeśli powtórzy to, co powiedział tej dziennikarce, to może stać się telewizyjną gwiazdą. I to być może większą niż niegdyś Kapelusznik. Bo nie wiem, czy pan prokurator wie, ale to, co Chudy wyznał w mieszkaniu, nagrało się na kamerę ukrytą w mundurze dziennikarki. Tej samej, która kiedyś prowadziła w telewizji rozmowę z Kapelusznikiem. Ma kobieta szczęście do rozmów z mordercami. W każdym razie zadziałało, bo Chudy przyznał się do wszystkiego i podpisał zeznania.

Braun uśmiechnął się z satysfakcją. Od dawna uważał podobnie jak Freud, że narcystyczne zachowania ludzkie są poważnymi zaburzeniami psychicznymi prowadzącymi do odrealnienia widzenia świata i utracenia z nim kontaktu.

– Zabezpieczyliśmy też nóż, którym zaatakował dziennikarkę. Technik w szczelinie, w którą chowa się głównia, znalazł podwójne DNA. Czekamy na ostateczne wyniki badania, które potwierdzą, że to krew Lewandowskiego i Puchalskiego.

Anka jak zwykle rano miało problem z zaparkowaniem samochodu przy Primo TV. Kiedy w końcu znalazła wystarczająco dużo miejsca, by ulokować w nim swój samochód, bez zastanowienia odebrała telefon.

– Cześć, kochanie. Widziałam cię dzisiaj w porannych wiadomościach. Pięknie wyglądasz w mundurze ratownika. Powinnaś jeden taki sobie kupić.

– Cześć, mamó, spieszę się.

– Jak zwykle, ale muszę ci powiedzieć, że twoja relacja z tego, co działo się wczoraj przed Posnanią, była najlepsza. Ale to tak na marginesie, bo przecież nie dzwonię z rana, żeby cię chwalić. Bardzo bym chciała, żebyś rzuciła już tę niebezpieczną robotę, znalazła sobie dobrego mężczyznę i skupiła się na rodzinie. Błagam cię, córuś. Przecież gdyby ta bomba wybuchła bliżej ciebie, to byśmy już nie rozmawiali. Wolałabym dożyć do chrzcin wnuczka, a nie twojego pogrzebu.

– Mamó, wchodzę właśnie do firmy. Rozłączam się. Kocham cię, pa.

Anka, przestępując próg Primo TV, wzięła głęboki wdech, zrzuciła z siebie kurtkę i pobiegła prosto do sali konferencyjnej.

– Dzień dobry – weszła bez pukania. – Przepraszam za spóźnienie.

Siedzące przy stole osoby nagle zamilkły. Grabowski i Joanna posłali jej nieszczerze uśmiechy. Oba były takie same i zwiastowały nieprzyjemny ciąg dalszy. Robert Zieliński i pozostali dwaj prezesi z Warszawy wyglądali na niezadowolonych.

– Bardzo przepraszam za spóźnienie. Miałam problem...

– Proszę usiąść. – Szef wszystkich szefów, Jarosław Migalski, wskazał jej miejsce.

Zajęła je.

– Pani Aniu, pozwoli pani, że powiem szczerze i bez ogródek... Zawiodła pani nasze nadzieje. Program dotyczący pomocy, jaką niesie pogotowie ratunkowe, został zrealizowany niezgodnie z założeniami programowymi.

– To niemożliwe. Otrzymałam założenia od Joanny i trzymałam się ich na tyle, na ile pozwalały realia.

– Widzieliśmy pani materiał... To jest jakaś masakra.

– To dopiero jego wstępna wersja.

– Nie da się z tego wyciągnąć wiele więcej. To nie wygląda atrakcyjnie.

– Atrakcyjnie? Rozumiem, że za mało dramatów ludzkich zdążyliśmy sfilmować? Za mało walki o życie? Za mało emocji?

Mężczyźni kręcili głowami. Tylko brązowe oczy Roberta Zielińskiego wpatrywały się w nią z nadzieją.

– Pominę już postawę dyrektora pogotowia, który zdecydował, że operator kamery nie może z nami jeździć, bo ostatecznie nie wpłynęło to na materiał,

którym dysponujemy. Problem w tym, że coś jest nie tak z całym systemem. A może nie tyle z systemem, co z wiedzą społeczeństwa na temat zasad działalności pogotowia ratunkowego. Zamiast więc pokazywać tragedie ludzkie, pokażmy, jak to działa. Obecnie karetki wyjeżdżają w większości do pijaków, bezdomnych, ludzi z gorączką czy bólem głowy albo do przychodni, by przewieźć pacjenta do szpitala. Ponad sześćdziesiąt procent wezwań nie ma sensu. Oznacza to, że dla człowieka, którego życie nagle będzie zagrożone, może zabraknąć wolnej karetki.

Mężczyźni nie przerywali Ance, ale nie dawali też po sobie znać, czy docierają do nich jej słowa. Joanna zaczęła nerwowo kręcić się w miejscu i znacząco zerkać na Grabowskiego. To dodało Ance skrzydeł.

– Jeśli chcieliby panowie oglądać prawdziwe ludzkie dramaty i ratowników w akcji pod tytułem „ratowanie ludzkiego życia”, to musiałabym jeździć z zespołami przynajmniej rok. Wtedy może wybralibyśmy jakieś ciekawe zdarzenia na dwa, może trzy odcinki.

– No widzicie sami! – wtrącił Grabowski. – Tak jak wspominałem, dla niej zawsze istnieje tylko jeden słuszny wariant. Ten, który sama wymyśli. Dyskutuje, zamiast realizować zadania. Nieważne czy to polecenia wydawane przeze mnie, czy przez was. Jeśli pytacie więc o moją opinię... Nie mam nic przeciwko temu, żeby pozbyć się nieefektywnego pracownika.

* *

– Jeśli Primo TV chce czegoś super, co poruszy ludzi, to ja to mam. – Anka wyjęła płytę CD z torebki.

– Co to jest? – Kamil Grabowski zapragnął wyrazić swój sprzeciw.

Wstał nawet od stołu, ale nie wiedział, co robić dalej. Teoretycznie był u siebie, mógł więc wyrzucić Rogozińską z sali konferencyjnej, zabrać jej płytę i wyrzucić do kosza. Praktycznie jednak znajdował się na cenzurowanym. Święta trójca Primo TV przyjechała do Poznania specjalnie po to, żeby raz na zawsze rozwiązać problem zatrudnienia Anki Rogozińskiej.

Dopóki nie przyjechali, łudził się, że uprzejmie aczkolwiek zdecydowanie chcą jej podziękować za współpracę i dać do podpisania wypowiedzenie. Kiedy jednak dyskutowali, oczekując na przybycie spóźnionej dziennikarki, jego nadzieje zaczęły się rozwiewać.

– To materiał, który realizowałam przy okazji nagrywania tego, co podobno

miało być zbieżne z państwa wizją. – Anka zwróciła się do warszawskich szefów.

– Nie miała pani prawa nagrywać niczego przy okazji! Proszę mi to oddać! W tej chwili! – Grabowski podbiegł do Anki i wyciągnął rękę.

Przez głowę przemknęła mu myśl, że może Rogozińska nagrała jedną z rozmów, w której wraz z Joanną planują, jak się jej pozbyć, albo – co gorsza – jak uprawiają seks w jego gabinecie.

Joanna chyba przeczuwała, że za chwilę okręt, w którym ulokowała swoje uczucia, zatonie, bo zaczęła czarować Zielińskiego. Przysunęła się do niego i zaczęła uśmiechać zalotnie. Grabowski znał to jej spojrzenie. Zdekoncentrował się, a Rogozińska parlała jak zwykle do przodu. Jak czołg.

– Miałam nie tylko prawo, ale i obowiązek. Primo TV płaci mi za to, że zdobywam dla was ekskluzywne materiały, które budzą emocje. Rozumiem, że wytyczne do programu o pogotowiu przygotowywał ktoś, kto pogotowie zna jedynie z telewizji. Ja też weszłam w temat z wiedzą, która okazała się być już nieaktualna. Ale to, co tam zobaczyłam... – zawiesiła teatralnie głos, po czym podeszła do komputera i włożyła do niego płytę. – To program o ratownikach medycznych. Ludziach, których mało kto zauważa. A jeśli zauważa, to widzi ich tylko jako ogniwa kiepsko funkcjonującego systemu. Kiedy zaczęłam spędzać z nimi czas, zauważyłam, że oni nie są supermenami. Bliżej im do pancerników, takich ssaków... Po zdjęciu rażąco czerwonego munduru są tak samo szarzy i niezauważalni. Niemalże zlewają się z otoczeniem. Dźwigają na sobie ciężkie pancerze, składające się z łusek kostnych, pomiędzy którymi znajduje się elastyczna skóra, zapewniająca im ruchliwość. Są więc zabezpieczeni, ruchliwi i w większości odpychający. Ale jeśli złapie się pancernika i podniesie się go do góry, to zauważy się, że jest takie delikatne miejsce na brzuchu, na którym nie ma twardej powłoki. Miejsce, którego żaden nie chce pokazywać innym. Może dlatego pancerniki i ratownicy zwykle żyją samotnie. – Anna westchnęła i uruchomiła film.

* *

– Nie lubię gadać po pracy o pracy. Wszyscy znajomi myślą, że mam zajebistą robotę. – Haribo nie był przystojny, ale dobrze wyglądał na ekranie. Miał spojrzenie, które sprawiało, że widz mógł uwierzyć w każde wypowiediane przez niego słowo. – Nie chce mi się tłumaczyć, że ona jedynie bywa zajebista. Że większość wyjazdów jest pierdołami, że czasem przyjeżdżamy na miejsce, a tam nawet nie ma pacjenta...

– Z jaką częstotliwością pojawia się myśl, że nie chcę tego robić? – Basia, jedyna kobieta-ratownik, którą poznała Anka, powtarzała pytanie, które jej zadała. – Nie wiem. – Wzruszyła ramionami i zamyśliła się. – Naprawdę nie wiem. Nie odpowiem ci, że raz na kwartał, raz na pół roku czy raz na pięć lat. Staram się nie pamiętać tych chwil. Ale zawsze kiedy się pojawia, zastanawiam się, czy nie zrezygnować z tej roboty...

– Ale nie rezygnujesz? Dlaczego? – Usłyszała swój głos spoza kamery.

– Bo po miesiącach beznadziei pojawia się jeden przypadek ratownictwa. To on stawia mnie do pionu. Ratuję czyjeś życie i przypominam sobie, że ta robota ma sens.

Spojrzenie Basi zmieniło się, kiedy wspomniała o ratownictwie. W oczach pojawił się błysk, który kamera uchwyciła bezbłędnie. Anka zatrzymała obraz i zrobiła zbliżenie na oczy kobiety-ratownika. Szaleństwo przemieszane z miłością i pasją sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, czy w tej branży chodzi jedynie o altruistyczne pomaganie innym, czy może egoistyczne uczucie sprawstwa.

– Podchodzisz bardzo blisko obcych ludzi. Dotykasz ich. – Zarośnięty Zwierzak zerkał w kamerę, jakby przepytowała go z fizyki kwantowej. – Rozumiem, taką masz pracę. Ciekawi mnie, czy to działa w obie strony? Czy zauważasz, kiedy ktoś narusza twoją przestrzeń osobistą?

– Tak, jeśli wiąże się to z agresją w stosunku do mnie – odpowiedział po chwili zastanowienia.

– A poza agresją?

– Nie wiem.

– Jeśli ktoś klepie cię w ramię, kasjerka wydając resztę w sklepie dotknie twojej dłoni, staruszka złapie się ciebie kurczowo... Widzisz takie rzeczy?

– Nie, nie zwracam na to uwagi.

– A na co zwrócisz? Co wywołuje u ciebie największy dyskomfort?

– Kiedy dotknę pacjenta bez rękawiczek – tym razem odpowiedział bez zastanowienia, jakby to była jedyna informacja przechowywana w szufladzie zatytułowanej „dyskomfort”. – To można nawet podciągnąć pod poczucie bezpieczeństwa.

Przesunięcie granic było kolejnym aspektem tej pracy, który chciała pokazać widzom. Ratownicy przesunęli je tak daleko, że zostawili sobie jedynie cieniutką granicę lateksu.

Zatrzymała odtwarzanie. Spojrzała na twarze zgromadzonych w sali konferencyjnej. Grabowski i Joanna byli niemalże zieloni. Prezesa z Primo TV wyglądali na zadowolonych.

Odnalazła plik o nazwie „kolaż”. Zamierzała zakończyć swój program czymś, co będzie zwyczajne, a jednocześnie zapadnie w pamięci widzów. Dlatego zadawała ratownikom to samo pytanie, a ich odpowiedzi zmontowała ze sobą.

Na pierwszym planie pojawiali się oni: Basia, Zwierzak, Haribo, Szczepan i Cygan. Tło się zmieniało. Raz była to ściana przy podstacji, innym razem wnętrze karetki, jeszcze innym osiedle mieszkalne czy szpitalny podjazd tylko dla karettek.

– Najtrudniejsza interwencja dla mnie? Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam, jak odbierają dzieci matce. Poza zapłakanymi dziećmi byłam tam jedyną osobą, na której robiło to wrażenie.

– Zapamiętałem motocyklistę, który zakończył życie pod tramwajem. I nie chodzi o to, że fragmenty jego ciała rozrzucone były po torowisku. Rozwaliły mnie emocje rodziny, która dowiedziała się o zdarzeniu z mediów. Przyjechali na miejsce, bo zobaczyli w telewizji numer rejestracyjny motocykla.

– Najtrudniejsze? Coś, co by mnie złamało psychicznie albo przerosło? Nie, nie miałem, mimo że pracuję w zawodzie już trzynaście lat. Zrobiłem sobie blokadę w głowie i przyznam, że dobrze to działa. Przynajmniej śpię spokojnie.

Anka zatrzymała film i uśmiechnęła się jak matka, która dobrze wie, że dziecko ją okłamuje. Wie, ale udaje, że mu wierzy. Cygan był ratownikiem, który najczęściej powtarzał, że nigdy nie śpi spokojnie.

– Najtrudniejsze? Najtrudniejsze było dla mnie śmiertelne potrącenie. Facet solidnie dostał, nadawał się na rurę, ale był ostro pobudzony. A wiesz, że my nie możemy intubować, póki się nie zatrzyma...

– Najtrudniejsza interwencja? – Haribo jak zwykle uśmiechnął się lekceważąco. – Nie, nie mam takiej.

– Dobra, dobra. Nieważne, co powiesz, i tak będziesz dla mnie twardzielem. Tylko powiedz coś. Coś, w co będę mogła uwierzyć. Nie traktuj mnie jak naiwnej pięciolatki.

Zatrzymał uśmiech, a sekundę później całkowicie rozluźnił mięśnie twarzy i powiedział jakoś tak ciszej niż zwykle:

– Trudny dla mnie był zgon jakiejś babci. Miała pewnie z tysiąc lat, ale ruszyło mnie zachowanie jej męża. Wyglądał, jakby zawałił mu się cały świat. Łzy płynęły mu po policzkach, a on głaskał swoją żonę i się do niej tulił. Jakby wiedział, że za chwilę zabiorą mu jej ciało, i że nigdy więcej już jej nie dotknie. Dotykał jej brzydkiego pomarszczonego ciała z taką czułością... Wróciłem do domu i się poryczałem.

Muzyka przepływała przez ciało Anki, pozwalając jej na pełen relaks. Zwykle nie chodziła na Bal Dziennikarza, ale tym razem zrobiła wyjątek. Miała co świętować.

Płynęła po parkiecie w objęciach Wiktora. Przed chwilą zaproponował jej zamieszkanie razem. Udawała, że się zastanawia, ale na tyle krótko, żeby przypadkiem się nie rozmyślił.

– Przepraszam. – Znajomy głos sprawił, że oderwała swój policzek od ramienia Wiktora i spojrzała na stojącego obok nich Roberta Zielińskiego.

– Tak?

– Czy mogę ukraść panu partnerkę? – Zieliński zwrócił się do Wiktora. – Tylko na chwilę.

Wiktor kontrolnie zerknął na Ankę. Uśmiechnęła się, więc skinął głową i ustąpił miejsca Zielińskiemu.

– Gratuluję. – Robert położył dłoń na biodrze Anki.

– Czego?

– Fali sukcesów. Przystojny prokurator, wygrana wojna z Grabowskim... Pomysł z ekskluzywnymi rozmowami z ratownikami był strzałem w dziesiątkę.

– Dziękuję.

– Wszyscy jesteśmy zachwyceni. Nikt nigdy nie pokazał tych ludzi w takim świetle... a nawet powiedziałbym, że bez świateł. Pokazałaś, jak wyglądają, kiedy milknie sygnał a dyżur się kończy.

– Taki miałam zamiar.

Anka postawiła kropkę dokładnie w tej samej chwili, w której skończyła grać muzyka. To był już koniec. Tańca. Rozmowy z byłym kochankiem. Jej pracy dla Primo TV. Teraz musiała w końcu skupić się na swoim życiu.

PODZIĘKOWANIA

Jak zwykle historia, która powstała w mojej głowie, jest fantazyjną wariacją na temat pewnych zdarzeń, ludzi, miejsc i niesamowitych splotów okoliczności.

Dziękuję wszystkim, którzy w czasie pracy nad „To koniec, Anno” inspirowali mnie, drażnili i pomagali w dotarciu do informacji.

Szczególne podziękowania należą się:

– Mojej przyjaciółce Beacie Sarnowskiej, dzięki której pojawia się list z więzienia;

– Krzyškowi Gicowi, policjantowi kryminalnemu, który nie tylko, jak zwykle, udzielał konkretnych odpowiedzi, ale również dostarczył mi mnóstwo radości, przesyłając list z P.S. Przywieź mi nowe majtki, najlepiej kilka par;

– Prokuratorowi Jackowi, człowiekowi, od którego czerpię nie tylko wiedzę, ale i zawodową energię, którą potem przekazuję Wiktorowi Braunowi;

– Policyjnej profilerce Urszuli Cur, za rozmowy między innymi o ciemnej triadzie osobowości;

– Podkomisarzowi Pawłowi Leśniewskiemu za to, że podczas festiwalu Kryminalna Piła zaprowadził mnie do swojego królestwa i pokazał repliki materiałów wybuchowych;

– Podinspektorowi Leszkowi Koźmińskiemu za rozmowę o identyfikacji indywidualnej

– Stegiemu za możliwość odwiedzenia go w pracy;

– Sylwii Propokowicz za listę nazwisk i imion, Ance Misztak i Przemkowi Semczukowi za wypożyczenie nazwisk;

– Przemkowi Garczyńskiemu za konsultacje dotyczące monitoringu;

– Maricie Lipskiej i Magdzie Drogoś-Kraszewskiej, organizatorkom Poznańskiego Festiwalu Kryminału Granda, za to, że zgodziły się „osobiście” pojawić na przesłuchaniu;

– Ekipie wydawnictwa Czwarta Strona za to, że jest zawsze pełna energii.

Osobne podziękowania należą się kilku osobom związanym z pogotowiem ratunkowym:

– Przede wszystkim Tomkowi Chudzińskiemu, ratownikowi, który nie tylko dzielnie odpowiadał na moje pytania, ale również zatroszczył się o przychylność dykcji Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego SP ZOZ w Poznaniu i możliwość odbycia przeze mnie kilku dyżurów w ramach wolontariatu;

– Aleksandrowi Pawlakowi za to, że poszedł dalej, zaprosił mnie do Centrum Powiadamiania Ratunkowego i udostępnił pewien numer telefonu;

– Łukaszowi Rudawskiemu za zorganizowanie zdjęć noża, który mnie

zachwycił oraz symulację rozmów z dyspozytorem;

– Ratownikom, których mogłam podglądać przy pracy, czyli m.in. Ance, Piotrowi i Mateuszowi;

„To koniec, Anno” swój ostateczny kształt osiągnęła dzięki krytycznym uwagom zarówno mojego męża, jak i redaktora Dawida Wiktorskiego. Dziękuję Wam, Panowie. Współpraca z Wami to sama przyjemność;

I Tobie, drogi Czytelniku, dziękuję za to, że sięgnąłeś po moją książkę. Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś. Do przeczytania niebawem...

Joanna Opiat-Bojarska

